

JOHN GRISHAM

APELACJA

Przekład RADOSŁAW JANUSZEWSKI

PRZYSIĘGLI BYLI GOTOWI.

Po czterdziestu dwóch godzinach obrad, po siedemdziesięciu jeden dniach procesu, po pięciuset trzydziestu godzinach zeznań czterdziestu kilku świadków i po całych wiekach milczącego wysiadywania, kiedy prawnicy spierali się, sędzia pouczał, a widzowie wypatrywali jak jastrzębie znaczących sygnałów, przysięgli byli gotowi. Dziesięcioro zamkniętych w pokoju dla przysięgłych, odosobnionych i bezpiecznych, z dumą kładło nazwiska pod werdyktem, a dwoje obrażonych siedziało w kącie, samotnych i żalonych w swoim sprzeciwie. Były uściski i uśmiechy, i sporo zadowolenia, bo wyszli cało z tej batalii i mogli dumnie wmaszerować z powrotem na arenę z decyzją, którą wybronił siłą czystej determinacji, zawzięcie dążąc do kompromisu. Przetrwali ciężką próbę, wypełnili obywatelski obowiązek. Odsłużyli swoje ponad normę. Byli gotowi.

Przewodniczący zapukał do drzwi i wyrwał z drzemki wuja Joego. Wuj Joe, wiekowy woźny sądowy, strzegł przysięgłych, zamawiał im jedzenie, wysłuchiwał ich skarg i po cichu przekazywał sędziemu wiadomości od nich. Mówiono, że kiedy Joe był młodszy i miał lepszy słuch, podsłuchiwał przysięgłych przez cienkie sosnowe drzwi, które sam wybrał i zamontował. Ale słuch mu już nie dopisywał i - jak zwierzył się w tajemnicy żonie - po mękach tego niezwykłego procesu zawiesi stary pistolet na kołku raz na zawsze. Znoje doglądania sprawiedliwości go wykończyły.

Wuj Joe uśmiechnął się.

- Świetnie. Zawolałam sędziego - powiedział, jakby sędzia tylko czekał gdzieś w głębi gmachu, aż wuj Joe go zawoła. Tymczasem, jak każe zwyczaj, woźny odszukał urzędnika sądowego i przekazał mu wspaniałą wieść. Naprawdę ekscytującą. Stary budynek sądu nie widział jeszcze procesu tak głośniego i tak długiego. Zakończyć go bez wyroku byłoby dużym wstydem.

Urzędnik zapukał lekko do drzwi sędziego, zrobił krok przez próg i z dumą oświadczył:

- Mamy werdykt - jakby osobiście trudził się przy negocjacjach i teraz ofiarowywał ich wynik w prezencie.

Sędzia zamknął oczy i z głębi duszy, z zadowoleniem odetchnął. Uśmiechnął się radośnie, nerwowo, z ogromną ulgą, niemal niedowierzaniem, i wreszcie powiedział:

- Wezwać pełnomocników stron.

Po prawie pięciodniowych naradach sędzia Harrison z rezygnacją pogodził się z myślą, że przysięgli mogą nie osiągnąć konsensu. Prześladował go ten koszmar. Po czterech latach zacieklego sporu prawnego i czterech miesiącach zajadłej walki przed sądem na myśl, że sprawa może pozostać nierozstrzygnięta, robiło mu się niedobrze. Nie przyjmował do wiadomości, że będzie musiał zaczynać wszystko od początku.

Wsunął stopy w znoszone półbuty, zerwał się z krzesła i, uśmiechając się jak chłopczyk, sięgnął po toge. Wreszcie koniec. To był najdłuższy proces w jego bogatej karierze.

Urzędnik najpierw zadzwonił do kancelarii Payton & Payton, prowadzonej przez miejscowych prawników, męża i żonę. Mieli siedzibę w opuszczonym, tanim sklepiku w jednej z uboższych dzielnic miasta. Odebrał asystent adwokata, słuchał przez kilka sekund, odłożył słuchawkę i zawołał:

- Przysięgli wydali werdykt! - Głos rozniósł się po przepastnym labiryncie małych, prowizorycznych gabinecików, podrywając kolegów.

Wykrzyczał to jeszcze raz, biegnąc do sali konferencyjnej, w której zebrała się reszta pracowników. West Payton już tam był, a kiedy wpadła Mary Grace, jego żona, ich oczy, pełne nieskrywanego strachu i bezgranicznego zdumienia, spotkały się na ułamek sekundy. Dwóch stażystów adwokackich, dwie sekretarki i księgowy siedzieli przy długim zawalonym papierami stole. Nagle zamarli, spoglądali na siebie i czekali, aż ktoś coś powie.

Czy to naprawdę koniec? Czekali całą wieczność, a tu nagle koniec? Tak niespodziewanie? Po jednym telefonie?

- Pomódlmy się przez chwilę w milczeniu - powiedział Wes, więc wzięli się za ręce, stanęli w ciasnym kółku i modlili się żarliwie, jak nigdy dotąd. Różne petycje uleciały do Boga wszechmogącego, ale we wszystkich chodziło o to samo: o zwycięstwo.

Prosimy cię, dobry Boże, po wszystkich tych wysiłkach, wydanych pieniądzach, strachu i zwątpieniu, błagamy, daj nam zwycięstwo. I zbaw nas od upokorzenia, ruiny, bankructwa i chmary innych nieszczęść, które sprowadzi niepomyślny werdykt.

Następnie urzędnik zadzwonił na komórkę Jareda Kurtina, stratega pozwanych. Pan Kurtin wylegiwał się spokojnie na wynajętej skórzanej kanapie w prowizorycznej kancelarii na Front Street, w śródmieściu Hattiesburga, trzy przecznice od budynku sądu. Czytał jakąś biografię i patrzył, jak mijają godziny, płatne po siedemset pięćdziesiąt dolarów. Spokojnie wysłuchał wiadomości, zamknął z trzaskiem komórkę i powiedział:

- Idziemy. Przysięgli są gotowi. - Jego żołnierze w ciemnych garniturach stanęli na baczność, sformowali szereg i wyszli za nim na ulicę, ku kolejnemu, miażdżącemu

zwycięstwu. Maszerowali w milczeniu, bez modlitwy.

Potem obdzwoniono kolejnych prawników, reporterów i w parę minut wiadomość, lotem błyskawicy, obiegła całe miasto.

Gdzieś u szczytu wysokiego budynku, w niższej części Manhattanu, ogarnięty paniką młodzieniec wpadł na poważne zebranie i wyszeptał pilną wiadomość panu Carlowi Trudeau, który natychmiast przestał się interesować omawianymi sprawami.

- Wygląda na to, że przysięgli wydali werdykt - powiedział i wymaszerował z pokoju. Poszedł korytarzem do wielkiego, narożnego apartamentu, tam zdjął marynarkę, rozluźnił krawat i spojrzął przez okno na odległą rzekę Hudson przez zbierające się ciemności. Czekał i jak zwykle zadawał sobie pytanie, dlaczego właściwie tak wielka część jego imperium zależy od zbiorowej mądrości dwanaściorga przeciętnych ludzi z prowincjonalnego Missisipi.

Mimo że był człowiekiem, który wiele wiedział, na to nie miał odpowiedzi.

Kiedy Paytonowie zaparkowali na tyłach budynku sądu, ludzie wchodzili do niego ze wszystkich stron. Prawnicy przez chwilę siedzieli w samochodzie i trzymali się za ręce. Od czterech miesięcy starali się nawet nie dotykać w pobliżu sądu. Zawsze ktoś patrzył: przysięgły, reporter. Trzeba być tak profesjonalnym, jak tylko się da. Ciekawostka, jaką było małżeństwo adwokatów, zaskakiwała ludzi, więc Paytonowie próbowali zachowywać się jak adwokaci, a nie małżonkowie.

W związku z tym podczas procesu niewiele było tych, jakże pożądaných, dotknięć, również poza gmachem sądu.

- Co myślisz? - zapytał Wes, nie patrząc na żonę. Serce biło mu jak szalone, na czoło wystąpił pot. Lewą ręką ciągle ścisnął kierownicę.

Powtarzał sobie, że musi się odprężyć.

Odprężyć. Niezły żart.

- Jeszcze nigdy tak się nie bałam - powiedziała Mary Grace.

- Ja też.

Długa przerwa; oddychali głęboko, patrzyli, jak furgonetka telewizyjna mało nie przejechała przechodnia.

- Przetrywamy przegraną? Oto jest pytanie.

- Musimy przetrwać, nie mamy wyboru - odparł Wes. - Ale nie przegramy.

- Zuch chłopak! Idziemy.

Spotkali się z resztą personelu swojej małej kancelarii i razem weszli do gmachu sądu. Na parterze, tam gdzie zwykle, przy dystrybutorze napojów, czekała ich klientka, powódka, Jeannette Baker. Ledwie zobaczyła prawników, natychmiast zaczęła płakać. Wes wziął ją pod

jedno ramię, Mary Grace pod drugie i zaprowadzili ją schodami do głównej sali sądowej na pierwszym piętrze. Mogliby ją nawet zanieść. Ważyła niespełna czterdzieści pięć kilo, podczas procesu postarzała się o pięć lat. Była w depresji, miewała urojenia i chociaż nie była anorektyczką, po prostu nie jadła. W wieku trzydziestu czterech lat zdążyła już pochować dziecko i męża, a teraz kończył się ten straszny proces, o którym w skrytości ducha myślała, że lepiej, by w ogóle się nie zaczął. Na sali sądowej panował stan najwyższej gotowości, jakby przy wyciu syren spadały bomby. Tłum kłębił się, ludzie szukali sobie miejsc albo rozmawiali ukradkiem, nerwowo się rozglądając. Kiedy bocznymi drzwiami wszedł Jared Kurtin ze swoją armią prawników, wszyscy zaczęli mu się przyglądać, jakby wiedział coś, czego nie wiedzą inni. Przez ostatnie cztery miesiące, codziennie udawał, że potrafi przewidywać przyszłość, ale w tym momencie po jego twarzy niczego nie można było poznać. Z poważną miną stanął otoczony gromadką podwładnych.

Po drugiej stronie sali, zaledwie kilka metrów od nich, Paytonowie i Jeannette usiedli na krzesłach za stołem strony powodowej. Te same krzesła, ta sama postawa, ta sama sprytna strategia, żeby unaocznić przysięgłym, jak biedna wdowa i jej dwoje osamotnionych prawników stawiają czoło potężnej korporacji o nieograniczonych zasobach. Wes Payton spojrział na Jareda Kurtina, napotkał jego wzrok. Ukłonili się sobie uprzejmie. Cud rozprawy polegał na tym, że ci dwaj mężczyźni nadal potrafili odnosić się do siebie z umiarkowaną grzecznością, a nawet rozmawiać, kiedy okazywało się to absolutnie konieczne. Byli z tego dumni. Bez względu na paskudną sytuację, obaj postanowili wzniesić się powyżej poziomu rynsztoka i wyciągnąć do siebie rękę.

Mary Grace nie spojrzała w tamtą stronę. Gdyby to zrobiła, nie skinęłaby głową ani nie uśmiechnęłaby się. Dobrze, że w torebce nie miała pistoletu, bo połowy tych w ciemnych garniturach już by nie było. Położyła przed sobą, na stole, czysty notes, napisała datę, potem swoje nazwisko i na tym skończyła się jej pomysłowość. Przez siedemdziesiąt jeden dni procesu zapisała sześćdziesiąt sześć notesów, wszystkie tego samego rozmiaru i koloru. Teraz, w doskonałym porządku, leżały w kancelarii, w metalowej szafce z wyprzedaży. Podała Jeannette papierową chusteczkę. Chociaż liczyła praktycznie wszystko, nie prowadziła na bieżąco rachunku paczek z chusteczkami zużytych przez Jeannette podczas procesu. Było tego przynajmniej kilkadziesiąt sztuk.

Ta kobieta płakała prawie bez przerwy, a Mary Grace, chociaż współczuła jej z całego serca, miała już dosyć tego cholernego zawodzenia. Miała już dosyć wszystkiego - zmęczenia, stresu, bezsennych nocy, badawczych spojrzeń, niewidzenia się z dziećmi, mieszkania wymagającego remontu, góry niezapłaconych rachunków, zaniedbanych

klientów, zimnego chińskiego jedzenia o północy, trudu robienia sobie makijażu co rano, żeby wyglądać choć trochę atrakcyjnie dla przysięgłych. Tego od niej oczekiwano.

Wejście w wielki proces jest jak skok z obciążeniem do ciemnego, zarośniętego stawu. Ważne tylko, aby zaczerpnąć powietrza, nic innego się nie liczy. I ciągle masz wrażenie, że toniesz.

Kilka rzędów za Paytonami, na skraju coraz bardziej zatłoczonej ławki bankier Paytonów obgryzał paznokcie, starając się zachować pozory spokoju. Nazywał się Tom Huff Huffy dla znajomych. Wpadał od czasu do czasu, żeby poobserwować proces i zmówić cichą modlitwę. Paytonowie byli winni bankowi Hufry'ego czterysta tysięcy dolarów, a jedyne zabezpieczenie stanowił kawałek ziemi ornej w hrabstwie Cary należący do ojca Mary Grace. W sprzyjających okolicznościach pole mogło przynieść sto tysięcy dolarów, co nie pokryłoby pokaźnej części długu. Jeśli Paytonowie przegrają sprawę, skończy się obiecująca bankowa kariera Huffy'ego. Prezes banku już dawno przestał na niego wrzeszczeć. Teraz wszystkie pogrożki przychodziły pocztą elektroniczną.

To, co zaczęło się niewinnie, od zwyczajnej pożyczki na dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów pod hipotekę ich ślicznego podmiejskiego domu zmieniło się w ziejącą, piekielną dziurę debetu i głupich wydatków. Głupich, przynajmniej w oczach Huffy'ego. Ale ślicznego domu już nie było, podobnie jak ślicznego gabinetu w śródmieściu, samochodów z importu i wszystkiego innego. Paytonowie poszli na całość i Huffy nie mógł ich nie podziwiać. Pozytywny werdykt i będzie geniuszem. Negatywny - i stanie za nimi w kolejce do sądu upadłościowego.

Finansiści po drugiej stronie sali sądowej nie obgryzali paznokci i niezbyt martwili się bankructwem, chociaż była o nim mowa. Krane Chemical miało mnóstwo pieniędzy, zysków i aktywów, ale też setki potencjalnych poszkodowanych czekało jak sępy, żeby usłyszeć to, o czym świat miał wkrótce się dowiedzieć. Jeden obłądny werdykt i posypią się pozwy.

Ale teraz byli pewni siebie. Jared Kurtin to najlepszy adwokat pozwanej spółki, którego można było kupić. Akcje spółki spadły tylko trochę. Pan Trudeau, tam, w Nowym Jorku, wydawał się zadowolony.

Nie mogli się doczekać, kiedy wrócą do domu.

Dzięki Bogu rynki były już tego dnia zamknięte.

- Proszę nie wstawać! - ryknął wuj Joe i sędzia Harrison wszedł przez drzwi za stołem sędziowskim. Już dawno temu odrzucił ten głupi zwyczaj, żeby wszyscy wstawali, bo on zasiada na tronie.

- Dzień dobry - powiedział szybko. Była prawie piąta po południu. - Poinformowano

mnie, że ława przysięgłych uzgodniła werdykt.

- Rozglądał się, by się upewnić, że wszyscy gracze są obecni. - Oczekuję przyzwoitego zachowania. Żadnych ekscesów. Nikt nie opuszcza sali, zanim nie zwolnię przysięgłych. Jakies pytania? Dodatkowe, luźne wnioski adwokatów pozwanych?

Jared Kurtin nawet nie drgnął. Nie reagował na słowa sędziego, tylko bez przerwy bazgrał po papierze na podkładce, jakby tworzył arcydzieło. Jeśli Krane Chemical przegra, będzie zawzięcie apelować, a kamieniem węgielnym apelacji stanie się oczywiste uprzedzenie czcigodnego Thomasa Alsobrooka Harrisona IV, byłego adwokata, znanego z niechęci do wielkich spółek w ogólności, a teraz, w szczególności, do Krane Chemical.

- Proszę wezwać przysięgłych.

Obok ławy przysięgłych otworzyły się drzwi i jakby wielki, niewidzialny odkurzacz wessał całe powietrze z sali sądowej. Serca zamarły. Ciała zeszywniały. Oczy znalazły punkty, na których skupił się wzrok. Słysząc było tylko szuranie stóp przysięgłych po mocno wytartym dywanie.

Jared Kurtin nie przerywał metodycznej bazgraniny. Z zasady nigdy nie patrzył na twarze przysięgłych, kiedy wracali po naradzie. Po setkach procesów wiedział, że są nieprzeniknione. I czym tu się przejmować? Decyzja i tak zostanie ogłoszona za kilka sekund. Wydał swojemu zespołowi ściśle instrukcje, żeby ignorować przysięgłych i nie pokazywać po sobie żadnych reakcji, bez względu na wyrok.

Oczywiście, Jaredowi Kurtinowi nie groziła finansowa i zawodowa ruina. Wesowi Paytonowi z pewnością tak, dlatego on nie mógł się powstrzymać, żeby nie patrzeć w oczy przysięgłym, kiedy zajmowali miejsca. Pracownik mleczarni odwrócił wzrok, zły znak. Nauczyciel patrzył przed siebie, ignorując Wesa, kolejny zły znak. Kiedy przewodniczący wręczył kopertę urzędnikowi, żona pastora spojrzała litościwie na Wesa, ale potem, podczas otwierania koperty zrobiła smutną minę, jak wszyscy.

Mary Grace dostrzegła znak, chociaż go nie wypatrywała. Kiedy podawała kolejną chusteczkę Jeannette, która szlochała bez przerwy, zauważyła spojrzenie przysięgłej numer sześć, doktor Leony Rochy, emerytowanej profesor angielskiego na uniwersytecie. Doktor Rocha uraczyła ją najszybszym, najładniejszym i najbardziej emocjonującym mrugnięciem, jakie Mary Grace kiedykolwiek widziała.

- Ustaliliście werdykt? - zapytał sędzia Harrison.

- Tak, Wysoki Sądzie - odparł przewodniczący.

- Jest jednogłośnie?

- Nie, sir.

- Czy przynajmniej dziewięcioro poparło werdykt?

- Tak jest. Głosowanie wypadło dziesięć do dwóch.

- I to się liczy.

Maty Grace zrobiła notkę o mrugnięciu, ale w ferworze chwili nie była w stanie odczytać własnego pisma. Powtarzała sobie, żeby zachować pozory spokoju.

Sędzia Harrison wziął kopertę od urzędnika, wyjął kartkę i zaczął przeglądać werdykt - głębokie bruzdy przecinały mu czoło, brwi miał zmarszczone, masował sobie mostek nosa. Minęła wieczność, zanim powiedział:

- Wygląda na to, że jest w porządku. - Nie mrugnął, nie uśmiechnął się, nie zrobił wielkich oczu. W żaden sposób nie dał do zrozumienia, co jest zapisane na kartce.

Spojrzał w dół, skinął głową na stenotypistę, chrząknął, rozkoszował się tą chwilą. Potem zmarszczki wokół jego oczu złagodniały, mięśnie szczęk rozluźniły się, ramiona trochę opadły i - przynajmniej Wes tak pomyślał - nagle pojawiła się nadzieja, że przysięgli dokopali pozwanemu.

Powoli i głośno sędzia Harrison odczytał werdykt.

- Pytanie numer jeden: czy na podstawie dowodów uznaliście, że wody gruntowe zostały zanieczyszczone przez spółkę Krane Chemical? - Po podstępnej przerwie, która trwała nie dłużej niż pięć sekund, kontynuował. - Odpowiedź brzmi: tak.

Jedna strona sali sądowej zaczęła oddychać, druga posiniała.

- Pytanie numer dwa: czy na podstawie dowodów zanieczyszczenie stało się bezpośrednią przyczyną śmierci (a) Chada Bakera i, albo (b) Pete'a Bakera? Odpowiedź brzmi: tak w obu przypadkach.

Mary Grace lewą ręką wysuptywała chusteczki z pudełka, żeby je podawać, a prawą notowała jak szalona. Wes złowił spojrzenie przysięgłego numer cztery, który patrzył na niego z wesołym uśmiechem, jakby chciał powiedzieć: „teraz będzie najlepsze”.

- Pytanie numer trzy: jaką sumę odszkodowania przyznajecie Jeannette Baker, matce Chada Bakera, za jego śmierć? Odpowiedź: pięćset tysięcy dolarów.

Martwe dzieci nie są wiele warte, bo nic nie zarabiają, ale pokaźne odszkodowanie za Chada zabrzmiało jak dzwonek alarmowy, bo zapowiadało to, co miało nadejść. Wes gapił się na zegar na ścianie nad krzesłem sędziego i dziękował Bogu za odsunięcie groźby bankructwa.

- Pytanie numer cztery: jaką sumę odszkodowania przyznajecie Jeannette Baker, wdowie po Pete Bakerze, za jego śmierć? Odpowiedź: dwa i pół miliona dolarów.

Wśród chłopaków od pieniędzy w przednich ławach, za Jaredem Kurtinem, rozległ się

szmer. Krane z pewnością da sobie radę z ciosem wartym trzy miliony dolarów, ale to efekt domina nagle ich zatrwożył. Pan Kurtin tym razem jednak nie drgnął.

Jeszcze nie.

Jeannette Baker zaczęła ześlizgiwać się z fotela. Prawnicy przytrzymali ją, podciągnęli, objęli za kruche ramiona i zaczęli szeptać. Szlochała, straciła panowanie nad sobą.

Na liście wypracowanej przez prawników było sześć pytań i jeśli ława przysięgłych odpowie „tak” na pytanie numer pięć, to świat oszaleje. Sędzia Harrison dotarł do tego punktu, odczytywał go powoli, odchrząkiwał, przyglądał się odpowiedzi. I wtedy ujawnił swoją słabostkę. Zrobił to z uśmiechem. Spojrzał kilka centymetrów nad trzymaną przez siebie kartką, tuż nad tanimi okularami do czytania, tkwiącymi mu na nosie. Patrzył na Wesa Paytona. Uśmiech był cienki, porozumiewawczy, ale i tak pełen rozkosznego zadowolenia.

- Pytanie numer pięć: czy na podstawie przewagi dowodów uznaliście, że działania Krane Chemical były albo umyślne, albo wynikające z rażącego zaniedbania i usprawiedliwiają nałożenie odszkodowania retorsyjnego* za straty? Odpowiedź: tak.

Mary Grace przestała pisać i nad chwiejącą się głową klientki popatrzyła na męża. Przyglądał się jej bez mrugnięcia. Wygrali i samo to wystarczało, żeby wpaść w euforię. Ale jak wielkie było ich zwycięstwo? W tym decydującym ułamku sekundy oboje zdali sobie sprawę, że było miażdżące.

- Pytanie numer sześć: ile wynosi odszkodowanie retorsyjne? Odpowiedź: trzydzieści osiem milionów dolarów.

Rozległy się posapywania, pokastywania, ciche gwizdnięcia, gdy fala uderzeniowa rozchodziła się po sali sądowej. Jared Kurtin i jego banda pracownicy zapisywali wszystko i próbowali udawać, że nie przejmują się wybuchem bomby. Grube ryby od Krane, w pierwszym rzędzie, próbowały odzyskać równowagę i oddychać normalnie. Większość z nich patrzyła na przysięgłych z nienawiścią. Do głowy przychodziły im złe myśli o ignorantach, małomiasteczkowej głupocie i temu podobne.

Państwo Paytonowie znów objęli klientkę przytłoczoną samym ciężarem werdyktu, która budząc litość, próbowała wyprostować się na krześle. Wes szeptał Jeannette słowa otuchy, a w myśli powtarzał liczbę, którą właśnie usłyszał. Jakoś udało mu się zachować poważny wyraz twarzy i uniknąć głupkowatego uśmiechu.

Hufry, bankier, przestał obgryzać paznokcie. W ciągu niecałych trzydziestu sekund

* odszkodowanie retorsyjne - odszkodowanie karne (przyp. red.).

przebył drogę od zbankrutowanego byłego wiceprezesa w niełasce do wschodzącej gwiazdy z widokami na większe zarobki i większy gabinet. Poczul się nawet mądrzejszy. Och, jakie wspaniałe wejście do bankowej sali narad zaplanuje sobie na rano. Sędzia kontynuował formalności i dziękował przysięgłym, ale Huffy'ego nic to nie obchodziło. Usłyszał to, co chciał.

Przysięgli wstali i wyszli gęsiego, a wuj Joe trzymał przed nimi otwarte drzwi i kiwał głową z aprobatą. Później powiedział żonie, że przewidywał taki werdykt, chociaż ona sobie tego nie przypomiwała. Twierdził, że nie pomylił się co do werdyktu od wielu dziesięcioleci, odkąd pracował jako woźny sądowy. Kiedy przysięgli wyszli, wstał Jared Kurtin i z całkowitym spokojem wytrajkotał zastrzeżenia, do których sędzia Harrison odniósł się z ogromnym współczuciem, należnym przegranemu. Mary Grace nie zareagowała. Mary Grace nic to nie obchodziło. Dostała, co chciała.

Wes myślał o czterdziestu jeden milionach i tłumiał emocje. Firma przetrwa, podobnie jak ich małżeństwo, reputacja, wszystko.

- Sprawa zakończona - oświadczył wreszcie sędzia Harrisom i tłum wypadł pędem z sali sądowej. Wszyscy chwytały za telefony komórkowe.

Pan Trudeau nadal stał przy oknie, patrzył na ostatnie promienie słońca zachodzącego nad New Jersey. Stu, jego asystent, odebrał telefon po drugiej stronie gabinetu. Zrobił kilka kroków, zanim odważył się przekazać nowiny.

- Sir, to z Hattiesburga. Trzy miliony odszkodowania za straty i trzydzieści osiem odszkodowania retorsyjnego.

Szef lekko się przygarbił, sapnął ze zdenerwowania i zaczął kłać pod nosem.

Odwrócił się z trudem i spojrzał gniewnie na asystenta, jakby miał zamiar go zastrzelić za złe wiadomości.

- Jesteś pewien, że dobrze usłyszałeś? - zapytał, a zrozpaczony Stu żałował, że się nie pomylił.

- Tak, proszę pana.

Otworzyły się drzwi. Wpadł zdyszany Bobby Ratzlaff Wstrząśnięty i wystraszony szukał pana Trudeau. Ratzlaff, szef prawników firmy, jako pierwszy może położyć głowę pod topór. Już teraz się poccił.

- Masz pięć minut, żeby zebrać tu swoich chłopaków! - ryknął Trudeau i znów odwrócił się do okna.

Konferencja prasowa odbyła się na parterze gmachu sądu. Wes i Mary Grace, w dwóch małych grupkach, cierpliwie gawędzili z reporterami. Oboje dawali te same

odpowiedzi i dostawali te same pytania. Nie, werdykt nie był rekordem dla stanu Missisipi. Tak, uważają, że jest sprawiedliwy. Nie, nie oczekiwali tego, w każdym razie nie tak wielkiego odszkodowania. Z pewnością, będzie apelacja. Wes miał dużo szacunku dla Jareda Kurtina, ale nie dla jego klienta. Ich firma reprezentuje obecnie trzydzieścioro innych powodów, którzy pozywają Krane Chemicals. Nie, nie spodziewają się ugody w tych sprawach.

Tak, są zmęczeni.

Po pół godzinie wreszcie wyrwali się i pod rękę wyszli z Sądu Okręgowego Hrabstwa Forest, każde niosąc ciężką teczkę. Sfotografowano ich, jak wsiadają do samochodu i odjeżdżają.

Byli sami, milczeli. Cztery przecznice, pięć, sześć. Minęło dziesięć minut bez jednego słowa. Samochód, poobijany ford taurus z milionem kilometrów na liczniku, przynajmniej jedną łysą oponą, z nieustannym rżeniem zacinającego się tłoka jechał ulicami przy uniwersytecie.

Wes odezwał się pierwszy.

- Ile to jest jedna trzecia z czterdziestu jeden milionów?

- Nawet o tym nie myśl.

- Wcale o tym nie myślę. Tak sobie żartuję.

- Jedź.

- Jakies konkretne miejsce?

- Nie.

Samochód dotarł na przedmieścia, jechał donikąd, a na pewno nie z powrotem do biura. Zatrzymali się daleko od okolicy, w której mieli kiedyś ładny domek.

Rzeczywistość powoli wracała, drętwość ustępowała. Pozew, który niechętnie złożyli cztery lata wcześniej, teraz doczekał się dramatycznego rozstrzygnięcia. Skończył się męczący maraton, ale chociaż odnieśli tymczasowe zwycięstwo, koszty okazały się ogromne. Rany krwawiły, blizny odniesione w boju nadal były świeże.

Wskaźnik zawartości baku wskazywał mniej niż jedną czwartą. Jeszcze dwa lata wcześniej Wes prawie nie zwróciłby na coś takiego uwagi. Teraz była to o wiele poważniejsza sprawa. Wtedy jeździł bmw - Mary Grace miała jaguara - i kiedy chciał zatankować, po prostu podjeżdżał na stację i płacił kartą kredytową. Nie przeglądał rachunków; zajmowała się nimi księgowa. Teraz kart kredytowych nie było, nie było bmw i jaguara, a ta sama księgowa pracowała za połowę wynagrodzenia i oszczędnie wydzielala dolary, żeby uchronić kancelarię Paytonów przed pójściem na dno.

Mary Grace też spojrzała na wskaźnik. Niedawno nabrała tego zwyczaju. Zauważała i zapamiętywała ceny wszystkiego - litra benzyny, bochenka chleba, pół litra mleka. Ona oszczędzała, on wydawał, a przecież nie tak dawno temu, kiedy dzwonili klienci i był ruch w interesie, swobodnie korzystała z zawodowego sukcesu. Oszczędzanie i inwestowanie nie miały większego znaczenia. Byli młodzi, firma rozrastała się, przyszłość otwierała się przed nimi.

Wszystko, co udało się jej zainwestować w fundusz powierniczy, już dawno zostało pochłonięte przez sprawę Baker.

Godzinę temu krążyło nad nimi widmo bankructwa - rujnujący dług dalece przewyższał wątle aktywa, które mogliby zebrać. Teraz sprawy miały się inaczej. Pasywa nie znikły, ale bilans z pewnością się poprawił.

Czyżby?

Kiedy zobaczą procent z tego cudownego odszkodowania? Czy Krane zaproponuje teraz ugodę? Jak długo potrwa apelacja? Ile czasu będą mogli poświęcić pozostałym klientom?

Żadne z nich nie chciało zastanowić się nad pytaniem, które oboje sobie zadawali. Po prostu byli zbyt zmęczeni i zbyt uradowani. Przez wieczność rozmawiali prawie wyłącznie o tym, a teraz nie rozmawiali o niczym. Jutro albo pojutrze omówią przeprowadzoną akcję.

- Prawie nie mamy już benzyny - powiedziała.

Żadna odpowiedź nie przyszła na myśl Wesowi, dlatego zapytał:

- A może obiad?

- Makaron i ser z dzieciakami.

Rozprawa nie tylko odebrała im energię i aktywa; sprawiła też, że spalili wszelkie nadliczbowe kilogramy, które mieli kiedy się rozpoczynała. Wes schudł przynajmniej siedem kilo, tak przypuszczał, bo od miesiący nie stawał na wadze. Nie zamierzał też pytać o tę delikatną kwestię żony, ale było oczywiste, że powinna bardziej o siebie zadbać. Ominęło ich wiele posiłków - śniadania, kiedy szamotali się, żeby ubrać dzieci i zawieźć je do szkoły; lunchy, kiedy jedno kłóciło się o wnioski w gabinecie Harrisona, a drugie przygotowywało do kolejnego przesłuchania świadka; kolacje, kiedy pracowali do północy i po prostu zapominali o jedzeniu. Na chodzie trzymały ich batony i napoje energetyzujące.

- Świetny pomysł - powiedział i skręcił w lewo, w ulicę, która prowadziła do domu.

Ratzlaff i dwóch innych prawników zajęli miejsca przy wąskim, obitym skórą stole w rogu gabinetu pana Trudeau. Ściany, całe ze szkła, ukazywały wspaniałą panoramę wieżowców stojących gęsto w dzielnicy finansowej, ale nikt nie był w nastroju, żeby

podziwiać widoki. Pan Trudeau, po drugiej stronie gabinetu, siedząc za chromowanym biurkiem, rozmawiał przez telefon. Prawnicy nerwowo czekali. Non stop rozmawiali z naocznymi świadkami tam, w Missisipi, ale udało im się uzyskać niewiele odpowiedzi.

Szef skończył rozmowę i podszedł do nich.

- Co się stało? - parsknął. - Godzinę temu, chłopaki, byliście cholernie pewni siebie. Teraz trzęsiemy portkami. Co się stało? - Usiadł, patrząc gniewnie na Ratzlaffa.

- Sądzą przysięgli. To ryzykowna sprawa.

- Mam za sobą mnóstwo spraw i zazwyczaj wygrywam. Wydawało mi się, że płacimy najlepszym adwokackim hienom w tym interesie.

Najlepszym papugom, jakie można kupić za pieniądze. Nie oszczędzaliśmy na nich, zgadza się?

- Och, tak. Zapłaciliśmy sporo. Nadal płacimy.

Pan Trudeau trzasnął dłonią w stół i warknął:

- Co poszło źle?

Hm, pomyślał Ratzlaff i chciał już powiedzieć na głos - tyle że bardzo cenił sobie swoją pracę - że należałoby zacząć od faktu, że spółka zbudowała fabrykę pestycydów w Podunk, w Missisipi, bo ziemia i praca są tam tanie jak barszcz. Potem trzydzieści lat wyrzucała chemikalia i odpady do dołów i do rzek, oczywiście nielegalnie, i zatruchiwała środowisko, tak że woda pitna smakowała jak stęchłe mleko, co jednak nie było najgorsze, bo potem ludzie zaczęli umierać na raka i białaczkę.

To, panie Szefie, panie Generalny Dyrektorze, panie Korporacyjny Piracie, to właśnie poszło źle.

- Prawnicy są dobrej myśli w kwestii apelacji - powiedział w końcu, bez szczególnego przekonania.

- No, wspaniale. Bardzo im teraz ufam. Gdzie znalazłeś tych błaznów?

- Są najlepsi.

- Jasne. I wyjaśnijmy prasie, że z entuzjazmem podchodzimy do apelacji i że pewnie jutro nasze akcje nie runą na łeb, na szyję. O tym mówisz?

- Możemy to zmanipulować - odparł Ratzlaff Dwaj pozostali prawnicy patrzyli na szklane ściany. Który chętny, żeby skoczyć pierwszy?

Zadzwoił jeden z telefonów komórkowych szefa. Pan Trudeau chwycił go ze stołu.

- Cześć, kochanie - powiedział, wstał i odszedł. To była trzecia pani Trudeau, najnowsze trofeum, śmiercionośna młódka, której Ratzlaff i wszyscy inni ze spółki unikali jak ognia. Mąż poszeptał do niej i pożegnał się. Podszedł do okna obok prawników i popatrzył na

roziskrzzone wieżowce. - Bobby - zaczął, nie oglądając się. - Masz jakieś pojęcie, skąd przysięgłym przyszła do głowy suma trzydziestu ośmiu milionów odszkodowania retorsyjnego?

- Na razie nie.

- Oczywiście, że nie. Przez pierwsze dziewięć miesięcy tego roku miesięczne zyski Krane wynosiły przeciętnie trzydzieści osiem milionów. Banda prostaków, którzy razem nie zdołaliby zarobić stu tysięcy rocznie, zasiadła sobie jak bogowie i zabiera bogatym, żeby dać biednym.

- Carl, nadal mamy te pieniądze - zauważył Ratzlaff - Miną lata, zanim chociaż cent przejdzie z rąk do rąk, o ile w ogóle to nastąpi.

- Świetnie! Wmów to jutro tym wilkom, kiedy nasze akcje spłyną rynsztokiem.

Ratzlaff zamilkł i osunął się w fotelu. Pozostali dwaj prawnicy nie śmieli pisać słówka.

Pan Trudeau przechadzał się nerwowo.

- Czterdzieści jeden milionów dolarów. A ile mamy innych spraw, Bobby? Czy ktoś mówił, że dwieście, trzysta? Hm, jeśli dzisiaj rano było trzysta, to jutro rano będzie trzy tysiące. Każdy prostak z Missisipi chory na opryszczkę zacznie teraz twierdzić, że popijał magiczny wywar z Bowmore. Każdy kiepski adwokacina, który ugania się za karetkami pogotowia, już tam jedzie, żeby złożyć pozwy. Bobby, nie tak miało być. Zapewniałeś mnie.

Ratzlaff trzymał pod kluczem memorandum. Sporządzono je osiem lat temu pod jego nadzorem. Na stu stronach zostały opisane makabryczne szczegóły składowania przez spółkę odpadów toksycznych z fabryki w Bowmore. Memorandum streszczało zawile knowania spółki, których celem było ukrycie wysypiska, oszukanie Agencji Ochrony Środowiska i przekupienie polityków na szczeblach lokalnym, stanowym i federalnym. Zalecało potajemne, ale skuteczne oczyszczenie wysypiska za cenę pięćdziesięciu milionów. Każdego, kto je czytał, błagano, żeby przestać składować odpady.

A co najważniejsze w tej krytycznej chwili, memorandum przewidywało, że pewnego dnia, w sali sądowej zapadnie niekorzystny wyrok.

Tylko szczęście i skandaliczne nieliczenie się z regułami procedury cywilnej pozwoliły Ratzlaffowi utrzymać memorandum w tajemnicy.

Pan Trudeau dostał osiem lat temu egzemplarz, ale teraz zaprzeczał, żeby kiedykolwiek widział memorandum na oczy. Ratzlaffa kusilo, żeby je odkurzyć i przeczytać kilka wybranych ustępów, ale cenił swoją pracę.

Pan Trudeau podszedł do stołu, oparł się dłońmi o wykładany skórą blat i spojrzął

gniewnie na Bobby'ego Ratzlaffa.

- Przysięgam ci, to się nie zdarzy - powiedział. - Nawet cent z naszych ciężko zapracowanych zysków nie trafi do rąk tych wieśniaków z przyczep mieszkalnych.

Trzej prawnicy patrzyli na szefa, który zmrużył błyszczące oczy. Ziejąc ogniem, zakończył:

- Jeśli miałbym zbankrutować albo podzielić spółkę na piętnaście kawałków, to przysięgam wam na grób matki, że ci ignoranci nie dotkną ani centa z pieniędzy Krane.

Przeszedł po perskim dywanie, zdjął marynarkę z wieszaka i wyszedł z gabinetu.

KREWNI ZABRALI JEANNETTE BAKER DO BOWMORE, jej rodzinnego miasteczka położonego niecałe czterdzieści kilometrów od sądu. Była osłabiona i jak zwykle wzięła środki uspokajające. Liczby głosiły zwycięstwo, a werdykt oznaczał koniec długiej, żmudnej drogi. Ale to nie wróciło życia jej mężowi i synkowi.

Mieszkała w starej przyczepie z Bette, siostrą przyrodnią, przy zwirowej drodze w zabitym deskami zakątku Bowmore, zwanym Pine Grove. Inne przyczepy stały rozsiane wzdłuż nieutwardzonych ulic. Większość pordzewiałych, poobijanych samochodów i terenówek parkujących przy przyczepach miała po kilkadziesiąt lat. Było tam kilka domów jako tako zakotwiczonych na płaskich kamieniach piętnaście lat temu, ale one też mocno się postarzały i nosiły wyraźne ślady zaniedbania. W Bowmore niewiele było pracy, jeszcze mniej w Pine Grove i szybki spacer ulicami miasteczka przygnębiłby każdego gościa.

Nowina przybyła przed Jeannette i mały tłumek zgromadził się w okolicy jej domu. Krewni położyli umęczoną kobietę do łóżka, potem usiedli w ciasnym saloniku, szeptali o wyroku i zastanawiali się, co to wszystko mogło znaczyć.

Czterdzieści jeden milionów dolarów? Jak to wpłynie na inne pozwy? Czy Krane zostanie zmuszone do posprzątania po sobie całego bałaganu? Kiedy ona zobaczy choć część tych pieniędzy? Próbowali raczej nie omawiać tej ostatniej kwestii, ale zdominowała ich myśli.

Przybyli kolejni przyjaciele i tłumek wysypał się z saloniku na chwiejny drewniany taras. Postawili na nim składane fotele i rozmawiali w chłodzie wczesnego wieczoru. Pili wodę z butelek i napoje bezalkoholowe. Dla cierpiących od dawna ludzi było to słodkie zwycięstwo. Wreszcie wygrali. Cokolwiek. Zadali cios Krane, spółce, której nienawidzili każdą cząstką duszy, i wreszcie zemsta sięgnęła celu. Może los się odwrócił i ktoś wreszcie ich wysłuchał.

Rozmawiali o prawnikach, zeznaniach, Agencji Ochrony Środowiska, najnowszych raportach toksykologicznych i geologicznych. Chociaż nie byli wykształceni, biegle posługiwali się żargonem opisującym toksyczne odpady, skażenie wód podskórnych i zmiany nowotworowe. Żyli w koszmarze.

Jeannette leżała w ciemnej sypialni. Nie spała, przysłuchiwała się stłumionej rozmowie. Czowała się bezpieczna. To byli swoi ludzie, jej przyjaciele, rodzina i bracia w nieszczęściu. Bliskie więzy, wspólne cierpienie. Jeśli kiedykolwiek zobaczy choć centa,

podzieli się nim.

Patrzyła na ciemny sufit, werdykt nie rzucił jej na kolana. Ulga, że ciężka próba, czyli proces, dobiegła końca, przeważała nad radością zwycięstwa. Jeannette chciała spać przez tydzień i obudzić się w zupełnie nowym świecie, z rodziną, w której wszyscy byłiby szczęśliwi i zdrowi. Ale po raz pierwszy, odkąd usłyszała werdykt, pytała siebie, co właściwie mogłaby kupić za to odszkodowanie.

Godność. Godne miejsce, żeby w nim mieszkać, i godną pracę. Oczywiście gdzieś indziej. „Wyprowadziłyby się z Bowmore i hrabstwa Cary z jego zatrutymi rzekami, strumieniami i warstwą wodonośną. Ale niedaleko, bo wszyscy, których kochała, mieszkali w okolicy. Marzyła jednak o nowym życiu, w nowym domu z czystą bieżącą wodą, która nie śmierdzi i nie plami, nie wywołuje choroby i śmierci.

Usłyszała, jak trzaskają drzwi kolejnego samochodu. Była wdzięczna przyjaciółom. Może powinna przyczesać włosy i iść się przywitać. Weszła do malutkiej łazienki obok łóżka, włączyła światło, odkręciła kurek nad umywalką, potem usiadła na brzegu wanny i patrzyła na strumień szarawej wody spływający na ciemne plamy muszli ze sztucznej porcelany.

Nadawała się tylko do spłukiwania ludzkich odchodów. Stacja pomp, która dostarczała wodę, należała do miasta Bowmore i samo miasto zabroniło picia jego własnej wody. Trzy lata wcześniej rada przyjęła uchwałę wzywającą obywateli, żeby używali tej wody tylko do spłukiwania. Tablice ostrzegawcze zawieszono w każdej publicznej toalecie. „Woda nie nadaje się do picia. Rada miasta”. Czystą wodę dowożono z Hattiesburga, a w każdym domu w Bowmore, ruchomym i na fundamentach, był dwudziestolitrowy zbiornik z dozownikiem. Ci, których było na to stać, mieli czterystalitrowe zbiorniki zainstalowane na palach, przy werandzie, z tyłu domu. A najładniejsze domy miały cysterny na wodę deszczową.

Woda była codziennym wyzwaniem w Bowmore. Nad każdym jej kubkiem debatowano, korzystano z niej oszczędnie, bo dostawy były niepewne. A każda kropla, która wpływała do ludzkiego ciała albo miała z nim kontakt, pochodziła z butelki, ze sprawdzonego i opatrzonego certyfikatem źródła. Picie i gotowanie było łatwe w porównaniu z kąpaniem się i sprzątaniem. Utrzymywanie higieny przypominało bitwę i większość kobiet w Bowmore obcięła włosy na krótko.

Woda stała się legendą. Dziesięć lat wcześniej miasto zainstalowało system irygacyjny dla młodzieżowego boiska do bejsbolu, a trawa zbrązowiała i uschła. Miejski basen został zamknięty, bo kiedy konsultant postanowił dodać chloru, woda zrobiła się słona i zaczęła cuchnąć jak dół kloaczny. Kiedy płonął kościół metodystyczny, strażacy zdali sobie sprawę

podczas przegrywanej batalii, że woda pompowana z niefiltrowanych zapasów działa jak środek zapalający. Od wielu lat mieszkańcy Bowmore podejrzewali, że to właśnie woda powoduje, iż po paru myciach pęka lakier na samochodach.

A my piliśmy to przez lata, powiedziała do siebie Jeannette. Piliśmy, kiedy zaczynała śmierdzieć. Piliśmy, kiedy zmieniła kolor. Piliśmy, rozpaczliwie skarżąc się radzie miejskiej. Piliśmy, kiedy ją sprawdzono i miasto zapewniło nas, że jest w porządku. Piliśmy ją po przygotowaniu, pewni, że wysoka temperatura zabije truciznę. A kiedy przestaliśmy ją pić, braliśmy prysznic, kapaliśmy się w niej, wdychaliśmy parę wodną.

A co mieliśmy robić? Zbierać się przy studni co rano jak starożytni Egipcjanie i dostarczać ją do domu w dzbanach niesionych na głowie? Kopać studnie, po dwa tysiące dolarów od odwiertu i znajdować tę samą wstrętną mieszaninę, którą znajdowało miasto? Przywozić wodę w wiadrach z Hattiesburga?

Jakby słyszała te zaprzeczenia - te sprzed lat, kiedy eksperci pokazywali wykresy i prowadzili wykłady dla rady miejskiej i mieszkańców stłoczonych w sali konferencyjnej. Powtarzali w kółko, że woda została sprawdzona i jest wprost doskonała, jeśli ją odpowiednio oczyścić dużymi porcjami chloru. Jakby słyszała tych zakłamanych specjalistów, których Krane Chemical przysłał na proces. Powiedzieli ławie przysięgłych, że owszem, przez te lata mogły się zdarzyć małe „wycieki” z fabryki w Bowmore, ale to nie powód do zmartwień, bo bichloronylen i inne „niepożądane” substancje zostały wchłonięte przez glebę i splukane przez podziemny strumień, który nie stanowił najmniejszego zagrożenia dla wody pitnej używanej w mieście. Słyszała rządowych naukowców z ich wyniosłym słownictwem, jak raczą przemawiać do ludzi i zapewniać ich, że woda, której zapach ledwie można było wytrzymać, doskonale nadaje się do picia.

Zewsząd zaprzeczenia, a liczba zgonów wzrastała. W Bowmore rak atakował wszędzie, na każdej ulicy, prawie w każdej rodzinie. Czterokrotna średnia krajowa. Potem sześciokrotna, dziesięciokrotna. Podczas procesu ekspert wynajęty przez Paytonów wyjaśniał przysięgłym, że na obszarze geograficznym objętym granicami miasta Bowmore liczba przypadków raka przewyższała piętnastokrotnie średnią krajową.

Tyle było tego raka, że poddawali ich badaniom wszelkiego rodzaju prywatni i sponsorowani przez stan naukowcy. Termin „skupisko rakowe” stał się w mieście powszechnie znany. Bowmore było radioaktywne. Jakiś zmyślny dziennikarz ochrzcił hrabstwo Cary mianem hrabstwa Raka i ta nazwa przywarła do nich.

Hrabstwo Raka. Woda stała się zmorą Izby Handlowej Bowmore. Gospodarka stanęła i miasto zaczęło gwałtownie się kurczyć.

Jeannette zakręciła kurek, ale woda nadal tam była, niewidoczna, w rurach, które biegły w ścianach i w ziemi. Zawsze tam była, czekała jak łowca o bezgranicznej cierpliwości. Cicha i śmiercionośna, pompowana z gleby zatrutej przez Krane Chemical.

Często, w nocy, Jeannette leżała, nie śpiąc, nasłuchując wody gdzieś w ścianach.

Kapiący kran był dla niej jak uzbrojony napastnik.

Niebale zaczesła włosy. Kolejny raz próbowała nie przyglądać się sobie zbyt długo w lustrze. Potem umyła zęby, używając wody z dzbanka, który zawsze stał na umywalce. Włączyła światło w pokoju, otworzyła drzwi, uśmiechnęła się sztucznie i weszła do ciasnego saloniku, w którym siedzieli jej przyjaciele.

Czas na pójście do kościoła.

Czarnego bentleya Trudeau prowadził czarny kierowca Toliver, który utrzymywał, że jest Jamajczykiem, chociaż jego dokumenty imigracyjne były równie podejrzane, jak udawany karaibski akcent. Toliver woził wielkiego człowieka od dziesięciu lat i potrafił rozpoznawać jego nastroje. Tym razem to zły nastrój, szybko ustalił Toliver, kiedy przebijali się przez korki na FDR, jadąc do centrum. Pierwszym oczywistym sygnałem było, że pan Trudeau osobiście zatrzasnął za sobą drzwi samochodu, zanim Toliver zdołał się rzucić, żeby wypełnić swoje obowiązki.

Wiedział, że jego szef potrafi zachować zimną krew w sali konferencyjnej. Jest opanowany, zdecydowany, wyrachowany i tak dalej. Ale w samotności, na tylnej kanapie samochodu, nawet kiedy zasłona dzieląca go od kierowcy jest opuszczona, często wychodzi na jaw jego prawdziwy charakter. Ten człowiek to choleryk z potężnym ego, który nie znosi porażek.

A tym razem bez wątplenia poniósł porażkę. Siedział i rozmawiał przez telefon. Nie krzyczał, ale też nie szeptał. Akcje spadną nisko. Prawnicy okazali się durniami. Wszyscy go okłamywali. Kontrolować straty. Toliver wychwytywał tylko fragmenty rozmowy, ale nie ulegało wątpliwości, że w Missisipi doszło do katastrofy.

Jego szef miał sześćdziesiąt jeden lat i według „Forbesa” posiadał sieć wartą prawie dwa miliardy. Toliver często zastanawiał się, ile dla Trudeau byłoby dosyć? Co zrobiłby z kolejnym miliardem i z następnym? Po co pracować tak ciężko, skoro ma więcej, niż można kiedykolwiek wydać? Domy, odrzutowce, żony, łodzie, bentleye, wszystkie zabawki, które chciałby mieć biały człowiek.

Ale Toliver znał prawdę. Żadna suma nie zaspokoi pana Trudeau. W mieście byli więksi ludzie, a on pędził, żeby ich dogoniać.

Toliver jechał na zachód Sześćdziesiątą Trzecią i powoli przebiegał się do Piątej. Tam

nagle skręcił i stanął przed wielką żelazną bramą, która szybko otworzyła się do wewnątrz. Bentley zniknął pod ziemią i zatrzymał się przy strażniku. Toliver otworzył tylne drzwi.

- Odjeżdżamy za godzinę - warknął Trudeau do Tolivera i ulotnił się, niosąc dwie grube teczki.

Winda pojechała błyskawicznie na szesnaste, ostatnie piętro, gdzie państwo Trudeau mieszkali w oszałamiającym przepychu. Ich penthouse rozciągał się na dwóch najwyższych piętrach. Ogromne okna wychodziły na Central Park. Kupili to mieszkanie za dwadzieścia osiem milionów, sześć lat temu, wkrótce po hucznym ślubie, potem wydali kolejne dziesięć milionów, czy coś koło tego, żeby było jak w czasopiśmie o wystrojach wewnątrz. Koszty stałe obejmowały gaże dla dwóch pokojówek, kucharza, butlera, lokajów dla niego i dla niej, co najmniej jedną nianię i oczywiście, obowiązkowo osobistą asystentkę, żeby pani Trudeau miała należycie zorganizowany dzień i lunch o właściwej porze.

Lokaj odebrał od niego teczki, Trudeau rzucił mu płaszcz. Poszedł po schodach do dużego pokoju, szukał żony. W tej chwili nie pragnął zobaczyć się z nią, ale trzeba było odprawić małżeńskie rytuały.

Siedziała w obszernej garderobie, po obu stronach stali fryzjerzy, obaj gorączkowo pracowali nad jej prostymi blond włosami.

- Cześć, kochanie - powiedział w poczuciu obowiązku, bardziej na użytek fryzjerów, dwóch młodych białych, na których jakby nie robił wrażenia fakt, że żona szefa była prawie goła.

- Podobają ci się moje włosy? - zapytała Brianna. Patrzyła nieufnie w lustro, a chłopcy głaskali włosy i robili mnóstwo zamieszania. Nie: „Jak się masz?” Nie: „Cześć, kochanie”. Nie: „Jak tam proces?” Po prostu, „Podobają ci się moje włosy?”

- Są śliczne - odparł i poszedł do drzwi. Rytuał ukończony, mógł wyjść i zostawić ją z mistrzami. Zatrzymał się przy wielkim małżeńskim łóżku i popatrzył na jej suknię wieczorową.

- Valentino - zdążyła go poinformować.

Suknia była jaskrawoczerwona i miała duży dekolt, który zapewne odkrywał fantastyczne, nowe piersi Brianny. Krótka, prawie przezroczysta, zapewne ważyła nie więcej niż pięćdziesiąt gramów i zapewne kosztowała co najmniej dwadzieścia pięć tysięcy. Rozmiar dwójka, więc musiała być dobrze dopasowana do wychudzonego ciała Brianny. Inne anorektyczki na przyjęciu będą się ślinić i zazdrośnie podziwiać, jak „szczupło” wygląda. Szczerze mówiąc, Carl miał dosyć jej obsesyjnego trybu życia: godzina dziennie z trenerem (trzysta za godzinę), godzina jogi z instruktorem (trzysta za godzinę), godzina dziennie z

dietetykiem (dwieście za godzinę), a wszystko, żeby spalić wszystkie komórki tłuszczowe i utrzymać wagę między czterdziestoma pięcioma a pięćdziesięcioma kilogramami. Zawsze miała ochotę na seks - to była część umowy - ale teraz czasami martwił się, że albo ona pokaleczy go kośćmi miednicy albo on zmiażdży ją na placek. Miała zaledwie trzydzieści jeden lat, ale zauważył jedną, dwie zmarszczki tuż nad jej nosem. Chirurgia mogłaby to załatwić, ale czy to nie cena za intensywne odchudzanie się?

Miał ważniejsze sprawy na głowie. Młoda piękna żona była tylko częścią jego imponującej osoby, a na widok Brianny Trudeau na ulicy natychmiast tworzył się korek.

Mieli dziecko, choć Carlowi na nim nie zależało. Miał już sześcioro, dużo jego zdaniem. Troje było starszych od Brianny. Ale ona nalegała, z oczywistych powodów. Dziecko zapewniało bezpieczeństwo, a skoro wyszła za mąż za człowieka, który uwielbiał kobiety i cenił instytucję małżeństwa, oznaczało rodzinę, więzy i komplikacje prawne, gdyby sprawy źle się potoczyły. Dziecko to ochrona dla każdej żony na pokaz.

Brianna urodziła córkę i wybrała dla niej koszarne imię. Dziewczynka nazywała się więc Sadler MacGregor Trudeau. MacGregor to panięńskie nazwisko Brianny, a Sadler było wzięte z powietrza. Z początku Brianna twierdziła, że Sadler to jakiś szkocki szelma, odległy krewny, ale darowała sobie to kłamstewko, kiedy Carl natknął się przypadkiem na księgę dziecięcych imion. Zresztą wszystko jedno. Dziecko było jego wyłącznie ze względu na DNA. Próbował już ojcowania we wcześniejszych rodzinach, ale paskudnie zawiódł.

Sadler miała teraz pięć lat i praktycznie oboje rodziców ją porzuciło. Brianna, kiedyś tak heroicznie usiłująca zostać matką, szybko straciła zainteresowanie macierzyństwem i oddelegowała obowiązki na serię nianieł. Teraz dziewczynką zajmowała się gruba młoda kobieta z Rosji z papierami równie wątpliwymi, jak papiery Tolivera. Carl nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska. Brianna najęła ją i była rozemocjonowana, bo dziewczyna znała rosyjski i pewnie mogłaby przekazać tę znajomość Sadler.

- W jakim języku miałyby mówić? - zapytał Carl.

Ale Brianna nie potrafiła odpowiedzieć.

Wszedł do pokoju zabaw, podniósł córkę, jakby nie mógł się doczekać, kiedy ją zobaczy, wymienił z nią uściski i całusy, zapytał, jak się ma i po paru minutach czmychnął z ulgą do swojego gabinetu, gdzie chwycił za telefon i zaczął wrzeszczeć na Bobby'ego Ratzlaffa.

Po kilku bezowocnych telefonach wziął prysznic, wysuszył w połowie siwe włosy i ubrał się w najnowszy smoking od Armaniego. Pas był trochę ciasny, prawdopodobnie rozmiar 34, kilka centymetrów więcej niż w czasach, kiedy Brianna chodziła za nim krok w

krok po mieszkaniu. Ubierając się, przeklinał czekający go wieczór, przyjęcie i ludzi, których tam spotka. Będą wiedzieli. Telefony dzwoniły, jego rywale zanosili się śmiechem i rozkoszowali nieszczęściem Krane. Internet pękał od najnowszych wieści z Missisipi.

On, wielki Carl Trudeau, odwołałby swoją obecność na każdym innym przyjęciu, tłumacząc się chorobą. Zawsze robił to, co mu się, do cholery, podobało i jeśli postanowił po chamsku zrezygnować z imprezy w ostatniej chwili, to co komu do tego. Ale to nie była pierwsza lepsza okazja.

Brianna wcisnęła się do zarządu Muzeum Sztuki Abstrakcyjnej i dziś wieczór odbędzie się ich największe targowisko. Będą suknie od projektantów, smokingi i wielkie nowe piersi, nowe podbródki i perfekcyjna opalenizna, diamenty, szampan, paszteciki, kawior, kolacja przyrządzona przez kucharza dla celebrytów, cicha aukcja wibratorów i głośna wydolności seksualnej. A co najważniejsze, pojawi się tam tłum kamerzystów i fotografów, wystarczająco dużo, żeby przekonać gości z elity, że oni i tylko oni są centrum świata. Wieczór Oscarów, najpiękniejsza okazja towarzyska.

Hitem wieczoru, przynajmniej dla niektórych, będzie aukcja dzieł sztuki. Co roku komitet wystawia „świeżo odkrytego” malarza albo rzeźbiarza i w rezultacie zgarnia zazwyczaj ponad milion baksów. Ubiegłoroczny obraz - przyprawiający o zakłopotanie wizerunek ludzkiego mózgu po strzale z broni palnej - poszedł za sześć kół. W tym roku ma to być wywołująca depresję kupa czarnej gliny z prętami z brązu tak wygiętymi, że dawały zarys z lekka przypominający kształty młodej dziewczyny. Rzeźba nosiła frapujący tytuł Znieważona Imelda i stałaby niezauważona w galerii w Duluth, gdyby nie sam twórca, umęczony argentyński geniusz, który jak wieść niosła, jest na skraju samobójstwa. Smutny los natychmiast podwoił wartość jego dzieł, czego nie omieszkali zauważyć znający się na rzeczy nowojorscy handlarze dzieł sztuki. Brianna porzuciła broszurki po całym penthausie i zrobiła kilka aluzji, że Znieważona Imelda świetnie wyglądałaby w ich korytarzu, tuż przy wejściu do windy.

Carl wiedział, czego oczekuje jego żona: powinien kupić to cholerstwo. Miał tylko nadzieję, że nie będzie szaleństwa na aukcji. A gdyby miał stać się właścicielem rzeźby, liczył, że artysta szybko popęka samobójstwo.

Wyszła z garderoby w sukni od Valentino. Fryzjerzy już poszli i udało się jej samodzielnie włożyć kreację i biżuterię.

- Bajecznie - przyznał Carl. Nie kłamał. Mimo wystających kości i zeber nadal była piękną kobietą. Uczesanie bardzo przypominało to, jakie miała o szóstej rano, kiedy przy kawie całował ją na do widzenia.

Teraz, tysiąc dolarów później, nie widział wielkiej różnicy.

Cóż, zdobycze mają swoją cenę. W umowie przedmałżeńskiej zapewniał jej sto tysięcy miesięcznie na zabawki po ślubie i dwadzieścia milionów w przypadku rozwodu. Mogła też zabrać Sadler, a on zachowałby możliwość widywania się z dzieckiem, o ile miałby na to ochotę.

W bentleyu, kiedy wyjechali z parkingu pod budynkiem i byli już się na Piątej Alei, Brianna powiedziała:

- Ojej, zapomniałam pocałować Sadler. Co ze mnie za matka?

- Nic jej nie będzie - mruknął Carl, który też zapomniał powiedzieć dziecku dobranoc.

- Czuję się okropnie - stwierdziła, udając odrazę. Rozchylone poły długiego czarnego płaszcza od Prądy odsłaniały jej wspinałe nogi. Od stóp aż po uda. Bez pończoch, gołe. Nogi dla Carla, żeby je podziwiał, dotykał, pieścił, i w ogóle się nie przejmowała, że Toliver widzi je w całej okazałości. Były na pokaz, jak zwykle.

Carl głaskał je, bo były miłe w dotyku, ale miał ochotę powiedzieć: Zaczynają przypominać kije od miotły. Darował sobie.

- Jakież wieści z procesu? - zapytała w końcu.

- Przysięgli nas przyszpilili - odparł.

- Tak mi przykro.

- Jest dobrze.

- Ile?

- Czterdzieści jeden milionów.

- Ach, ci głupcy.

Carl niewiele jej mówił o skomplikowanym i tajemniczym świecie Trudeau Group. Miała swoje imprezy dobroczynne, spotkania, lunchy i trenerów i to dawało jej zajęcie. Nie chciał i nie tolerował zbyt wielu pytań.

Brianna sprawdziła to w Internecie i doskonale się orientowała, co postanowili przysięgli. Wiedziała, co prawnicy mówią o apelacji i że akcje Krane ostro spadną następnego dnia rano. Prowadziła własne badania i tajne notatki. Była piękna i chuda, ale nie głupia. Carl telefonował.

Budynek muzeum znajdował się kilka przecznic na południe, między Piątą a Madison. Kiedy podjechali bliżej, zobaczyli strzelające flesze setki aparatów. Brianna wyprostowała się, napięła perfekcyjnie ukształtowane mięśnie brzucha i wystawiła na widok nowe dodatki.

- Boże, jak ja ich nienawidzę - powiedziała.

- Kogo?

- Tych wszystkich fotografów.

Parsknął śmiechem na to oczywiste kłamstwo. Samochód zatrzymał się, służący w smokingu otworzył drzwi. Wszystkie aparaty zwróciły się na czarnego bentleya. Wielki Carl Trudeau wyłonił się bez uśmiechu, za nim pojawiły się nogi. Brianna doskonale wiedziała, jak dać fotografom, a za ich pośrednictwem plotkarskim kącikom i może, tylko może, jednemu, dwóm magazynom poświęconym modzie to, czego chcą - kilometry zmysłowego ciała bez pokazywania wszystkiego. Najpierw stanęła prawa stopa w bucie od Jimmy 'ego Choo po sto baksów od palca, a kiedy umiejętnie się odwróciła, płaszcz rozchylił się, suknia od Valentino rozchyliła się i cały świat zobaczył, jakie są korzyści z bycia miliarderem i posiadania trofeum.

Ramię w ramię popłynęli czerwonym dywanem. Machali do fotografów, ignorowali reporterów, z których jeden miał odwagę ryknąć:

- Hej, Carl, jakiś komentarz na temat werdyktu z Missisipi?

Carl, oczywiście, tego nie usłyszał. Ale lekko przyspieszył kroku i szybko znaleźli się w środku, na nieco bezpieczniejszym gruncie. Taką miał nadzieję. Tam zostali przywitani przez klakierów; odebrano ich płaszcze; uśmiechano się do nich; pojawiły się przyjazne aparaty fotograficzne; zmaterializowali się starzy kumple; i wkrótce państwo Trudeau zmieszali się z ciepłym tłumkiem naprawdę bogatych ludzi, którzy udawali, że lubią swoje towarzystwo.

Brianna znalazła bratnią duszę, inne anorektyczne trofeum o tak samo niezwykłym ciele - wszystko doskonale wygłodzone plus absurdalnie duże piersi. Carl ruszył prosto do baru i prawie mu się udało tam dotrzeć, kiedy zagadnął go pewien cymbał, którego miał nadzieję nie spotkać.

- Carl, stary, słyszałem, że z Południa nadeszły złe wieści - zagrzemiał najgłośniejszym, jak potrafił.

- Tak, bardzo złe - odparł Carl znacznie ciszej, chwycił kieliszek z szampanem i zaczął go osuszać.

Pete Flint miał numer 228 na liście czterystu najbogatszych Amerykanów „Forbesa”. Carl był numerem 310 i obaj wiedzieli, gdzie jest ich miejsce na grzędzie. W tłumie znajdowały się też numery 87 i 141, wraz z masą, która nie zmieściła się w rankingu.

- Myślałem, że twoi chłopcy mają sprawy pod kontrolą - naciskał Flint, siorbiąc z wysokiej szklanki pełnej scotcha albo bourbona. Jakoś udało mu się zmarszczyć brwi. Mocno się starał ukryć zadowolenie.

- Owszem, my też tak myśleliśmy. - Carl żałował, że nie może trzasnąć w te tłuste,

opadające policzki.

- Co z apelacją? - zapytał poważnie Flint.

- Jesteśmy w doskonałej formie.

Podczas ostatniej dorocznej aukcji Flint dzielnie się spisywał i odszedł z Mózgiem po postrzale z broni palnej, śmieciem artystycznym wartym sześć milionów, od którego zaczęła się trwająca teraz kampania zbierania kapitału dla muzeum. Bez wątpienia i dziś wieczór zapoluje na główną nagrodę.

- Dobrze, że w ubiegłym tygodniu sprzedaliśmy akcje Krane.

Carl już miał go skłąć, ale się opanował. Flint prowadził fundusz asekuracyjny słynący z rzutkości. Czy rzeczywiście wyprzedał Krane Chemical, spodziewając się niekorzystnego werdyktu? Zaskoczony i wściekły wzrok Carla niczego nie ukrywał.

- O, tak - kontynuował Flint. Siorbnął ze szklanki. - Nasi ludzie stamtąd mówili, że przerąbaliście sprawę.

- Nie zapłacimy ani centa - odparł odważnie Carl.

- Zapłacicie rano, stary. Zakładamy, że akcje Krane spadną o dwadzieścia procent. - Odwrócił się i odszedł.

Carl dokończył szampana i sięgnął po następnego. Dwadzieścia procent? Szybki jak laser umysł Carla dokonał obliczeń. Był właścicielem czterdziestu pięciu procent doskonałych udziałów Krane Chemical, spółki, której wartość rynkowa wynosiła trzy miliardy dwieście milionów, według cen z zamknięcia dnia. Dwudziestoprocentowy spadek kosztowałby go dwieście osiemdziesiąt milionów, na papierze. Oczywiście, nie ponieśliby prawdziwych strat w gotówce, ale i tak szykował się ciężki dzień w biurze.

Myślał, że bardziej prawdopodobne byłoby dziesięć procent. Chłopaki od finansów zgadzali się z nim co do tego.

Czyżby fundusz Flinta wyprzedał znaczącą liczbę akcji Krane bez wiedzy Carla? Gapił się na speszzonego barmana i rozważał tę kwestię. Tak, to możliwe, ale mało prawdopodobne. Flint po prostu uderzył w czułe miejsce.

Znikąd pojawił się dyrektor muzeum. Carl ucieszył się na jego widok. Facet na pewno nie piśnie ani słowem o werdykcie, jeśli nawet o nim wie. Będzie mówił tylko miłe dla Carla rzeczy i oczywiście wspomni, jak fantastycznie wygląda Brianna. Zapyta o Sadler i remont ich domu w Hamptons.

Gawędzili o tego typu sprawach, chodząc z drinkiem w dłoni po zatłoczonym holu. Unikali pułapek niebezpiecznych rozmów. Wreszcie stanęli przed Znieważoną Imeldą.

- Wspaniale, prawda? - zadumał się dyrektor.

- Piękne. - Carl zerknął w lewo, na numer 141, który akurat przechodził obok. - Za ile pójdzie?

- Debatowaliśmy nad tym przez cały dzień. Ale kto wie? Przypuszczam, że co najmniej za pięć milionów.

- A ile jest warte?

Dyrektor uśmiechnął się, bo fotograf robił im zdjęcie.

- Hm, to zupełnie inna sprawa. Ostatnia wielka praca tego rzeźbiarza została sprzedana dżentelmenowi z Japonii za jakieś dwa miliony. Oczywiście, dżentelmen z Japonii nie ofiarował wielkich sum naszemu małemu muzeum.

Carl wypił kolejny łyk. Znał reguły gry. Celem kampanii muzeum było zebranie stu milionów dolarów w ciągu pięciu lat. Według Brianny osiągnęli mniej więcej półmetek i potrzebowali dużego zastrzyku z aukcji tego wieczoru.

Przedstawił im się krytyk sztuki z „Timesa” i dołączył do rozmowy. Ciekawe, czy wie o werdykcie, pomyślał Carl. Krytyk i dyrektor dyskutowali o argentyńskim rzeźbiarzu i jego problemach umysłowych, a Carl przyglądał się Imeldzie i pytał sam siebie, czy rzeczywiście chce, żeby na stałe zagościła w korytarzu jego luksusowego penthouse'u.

Jego żona z pewnością chciała.

TYMCZASOWYM DOMEM PAYTONÓW BYŁO MIESZKANIE z trzema sypialniami na pierwszym piętrze starego kompleksu budynków niedaleko uniwersytetu. Wes mieszkał nieopodal w swoich studenckich latach i nadal nie mógł uwierzyć, że wrócił w te okolice. Ale zaszło tyle drastycznych zmian, że trudno było zaprzętać sobie głowę tylko tą jedną.

Jak długo tu zostaną? To fundamentalna kwestia dla ich małżeństwa, chociaż nie rozmawiali o niej od tygodni i nie zamierzali rozmawiać teraz. Może za dzień, dwa, kiedy zmęczenie i szok ustąpią, uda się znaleźć wolną chwilę i pogadać o przyszłości. Wes przejechał przez parking obok przepelnionych pojemników, wokół których wały się śmieci. Głównie puszki po piwie i potłuczone butelki. Chłopcy z college'u zabawiali się, ciskając opróżnione naczynia z górnych pięter, nad parkingiem, nad samochodami, w kierunku pojemników. Kiedy butelki roztrzaskiwały się, hałas odbijał się echem wśród kamienic i studenci mieli rozrywkę. Inni nie. Pozbawionym snu Paytonom łoskot czasami wydawał się nie do zniesienia.

Właściciel, stary klient, był powszechnie uważany za najgorszego posiadacza slumsów, przynajmniej przez studentów. Zaproponował mieszkanie Paytonom i na słowo honoru wynajął je za tysiąc dolarów miesięcznie. Mieszkali tu od siedmiu miesięcy, zapłacili za trzy, ale właściciel twierdził, że mu się nie spieszy. Cierpliwie czekał w kolejce z wieloma innymi wierzycielami. Firma prawnicza Payton & Payton udowodniła już kiedyś, że potrafi przyciągać klientów i generować honoraria, a jej udziałowcy z pewnością byli zdolni do wielkiego powrotu.

Spróbujemy wrócić na scenę, myślał Wes, parkując. Czy werdykt opiewający na czterdzieści jeden milionów jest wystarczająco spektakularny? Przez chwilę poczuł się jak gwiazda, ale potem wróciło zmęczenie.

Niewolnicy koszmarnego nawyku, oboje wysiedli i chwycili teczki z tylnego siedzenia.

- Nie - oświadczyła nagle Mary Grace. - Dziś wieczór nie pracujemy. Zostawiamy to w samochodzie.

- Tak jest, proszę pani.

Pobiegli po schodach. Z pobliskiego okna dobiegał lubieżny rap. Mary Grace zagrzechotała kluczami, otworzyła drzwi. Oboje dzieci i Ramona, niania z Hondurasu,

oglądali telewizję. Dziewięcioletnia Liza rzuciła się do rodziców, wrzeszcząc.

- Mamusiu, wygraliśmy, wygraliśmy!

Mary Grace podniosła ją i mocno przytuliła.

- Tak, kochanie, wygraliśmy.

- Czterdzieści miliardów!

- Milionów, skarbie, nie miliardów.

Pięcioletni Mack podbiegł do ojca. Przez dłuższą chwilę Paytonowie stali w wąskim korytarzu, ściskając dzieci. Po raz pierwszy od zapadnięcia werdyktu Wes zobaczył łzy w oczach żony.

- Widzieliśmy cię w telewizji - zaszcebiotała Liza.

- Ale brzydko wyglądałeś - dodał Mack.

- To ze zmęczenia - odparł Wes.

Ramona przyglądała się z dala, z ledwie widocznym uśmiechem. Nie wiedziała dokładnie, co oznaczał werdykt, ale rozumiała tyle, że wiadomość jest dobra.

Po zdjęciu płaszczy i butów rodzina Paytonów padła na kanapę, bardzo ładną, miękką, skórzaną. Zaczęli się ściskać, łaskotać i rozmawiać o szkole. Wesowi i Mary Grace udało się zachować większość mebli i obskurne mieszkanie pełne było pięknych rzeczy, które nie tylko przypominały im przeszłość, ale co ważniejsze, przypominały o przyszłości. To tylko przystanek, niespodziewana przerwa w podróży.

Na podłodze salonu leżały notesy i kartki. Oczywisty dowód, że praca domowa została odrobiona, zanim włączono telewizję.

- Jestem głodny - oświadczył Mack, który na próżno starał się rozwiązać krawat ojca.

- Mam mówić, że będziemy mieli makaron i ser - powiedział Wes.

- Super! - zawołały dzieciaki, a Ramona poszła do kuchni.

- Czy teraz będziemy mieli nowy dom? - zapytała Liza.

- Myślałem, że ci się tutaj podoba - odparł Wes.

- Tak, ale nadal szukamy nowego domu, prawda?

- Oczywiście.

Byli ostrożni wobec dzieci. Lizie wyjaśnili w zarysach, czego dotyczył pozew: nieuczciwa spółka zatrąła wodę, od której zachorowało wielu ludzi. Dziewczynka szybko uznała, że też nie lubi tej spółki. I skoro rodzina musi się przeprowadzić, żeby walczyć ze złą firmą, to popiera to z całego serca.

Ale opuszczanie pięknego nowego domu było traumatycznym przeżyciem. Poprzednio Liza miała różowobiały pokój, wyposażony we wszystko, czego mogła chcieć

mała dziewczynka. Teraz dzieliła mniejszy pokój z bratem i chociaż nie narzekała, ciekawiło ją, ile to jeszcze potrwa. Mack zazwyczaj zbyt długo siedział w przedszkolu, żeby się martwić brakiem własnego kąta.

Oboje tęsknili za starym sąsiedztwem, gdzie stały duże domy z basenami i sprzętem sportowym na podwórkach. Przyjaciele mieszkali tuż obok albo za rogiem. Była szkoła - prywatna i bezpieczna. Kościół stał przecznicę dalej. Znali tam wszystkich.

Teraz chodzili do miejskiej podstawówki, gdzie przeważały czarne twarze, a modlili się w śródmiejskim kościele episkopalnym, otwartym dla wszystkich.

- Nie przeprowadzimy się zaraz - wyjaśniła Mary Grace. - Ale może powinniśmy zacząć się rozglądać.

- Jestem głodny - powtórzył Mack.

W rozmowach z dziećmi unikano tematu mieszkania. Mary Grace wreszcie wstała.

- Chodźmy coś ugotować - powiedziała do Lizy.

Wes znalazł pilota.

- Pooglądamy Sports - Center - zwrócił się Wes do Macka. - Wszystko, tylko nie wiadomości lokalne.

- Pewnie.

Ramona gotowała wodę i krajała w kostkę pomidora. Mary Grace uściśnęła ją szybko.

- Jak minął dzień? - zapytała.

- Dobrze - powiedziała Ramona. - Żadnych problemów w szkole. Praca domowa już odrobiona.

Liza poszła do sypialni. Jeszcze nie wykazywała zainteresowania sprawami kuchennymi.

- A wy mieliście dobry dzień? - ciągnęła Ramona.

- Tak, bardzo dobry. Weźmiemy biały cheddar. - Wyjęła blok sera z lodówki i zaczęła go trzeć.

- Możecie teraz odpocząć?

- Tak, przynajmniej przez kilka dni. - Za pośrednictwem przyjaciela z kościoła znaleźli Ramonę, która wygłodzona ukrywała się w Baton Rouge, spała na pryczy i jadła żywność z paczek przysyłanych na Południe dla ofiar huraganu. Przeżyła męczącą trzymiesięczną podróż z Ameryki Środkowej, przez Meksyk, potem Teksas, aż do Luizjany, gdzie nie znalazła niczego z rzeczy, które jej obiecywano. Ani pracy, ani gościnnej rodziny, ani dokumentów, i nikt się nią nie zajął.

W normalnych warunkach zatrudnianie nielegalnej imigrantki w charakterze niani nie

zdarzyłoby się Paytonom. Szybko ją zaakceptowali, nauczyli prowadzić samochód, ale tylko po kilku wybranych ulicach, korzystać z telefonu komórkowego i sprzętów kuchennych, zmusili do nauki angielskiego. Z katolickiej szkoły w swoim kraju wyniosła dobre podstawy. Całe godziny spędzała zamknięta w mieszkaniu, sprzątała i naśladowała sposób mówienia osób z telewizji. Po ośmiu miesiącach jej postępy robiły wrażenie. Ale wolała słuchać, szczególnie Mary Grace, która miała potrzebę zwierzenia się komuś. Przez minione cztery miesiące, w te rzadkie wieczory, kiedy przygotowywała kolację, gadała bez przerwy, a Ramona chłonęła każde jej słowo. To była cudowna terapia, szczególnie po brutalnym dniu na sali sądowej pełnej zdenerwowanych mężczyzn.

- Żadnych problemów z samochodem?

Mary Grace pytała o to co wieczór. Ich drugim samochodem była stara honda accord, której Ramona jeszcze nie zdążyła uszkodzić. Z wielu powodów przerażała ich myśl o wypuszczeniu na ulice Hattiesburga nielegalnej, nielicencjonowanej i zupełnie nieubezpieczonej cudzoziemki z dwojgiem małych dzieci na tylnym siedzeniu, w rozklekotanej hondzie. Nauczyli Ramonę jeździć na pamięć bocznymi uliczkami, do szkoły, do sklepu spożywczego, a w razie potrzeby, do ich biura. Gdyby zatrzymała ją policja, mieli w planie błaganie o litość glin, prokuratora i sędziego. Znali ich dobrze.

Wes wiedział z całą pewnością, że sędzia miejski sam zatrudnia nielegalnego imigranta do pielienia ogródka i koszenia trawy.

- Dobry dzień - powiedziała Ramona. - Żadnych problemów.

Wszystko w porządku.

Istotnie, dobry dzień, pomyślała Mary Grace, zabierając się do topienia sera.

Zadzwoił telefon. Wes niechętnie podniósł słuchawkę. Numer mieli zastrzeżony, bo jakiś narwaniec im groził. Korzystali właściwie tylko z telefonów komórkowych. Posłuchał, odpowiedział coś, odłożył słuchawkę i poszedł do kuchni, żeby przeszkodzić w gotowaniu.

- Kto to był? - zapytała z zaniepokojeniem Mary Grace. Każdy telefon do mieszkania wywoływał podejrzliwość.

- Sherman, z biura. Mówi, że kręcą się tam reporterzy, szukają gwiazdorów. - Sherman był jednym z pracowników kancelarii.

- Co on robi w biurze? - zapytała Mary Grace.

- Chyba jeszcze mu mało. Mamy oliwki do sałatki?

- Nie. Co mu powiedziałaś?

- Żeby zastrzelił jednego, to reszta ucieknie.

- Zmieszaj sałatę, proszę - zwróciła się do Ramony.

Cała piątka stłoczyła się przy stoliku do kart w kącie kuchni. Trzymali się za ręce, a Wes modlił się, dziękując za to, co dobre w życiu, za rodzinę, przyjaciół i szkołę. I za jedzenie. Wdzięczny był też za mądrych, łaskawych przysięgłych i fantastyczny wyrok. Ale to zachowa na później. Najpierw została podana sałatka, potem makaron i ser.

- Hej, tato, zrobimy kemping? - zapytał Mack, jak tylko przełknął.

- Oczywiście! - powiedział Wes. Nagle zaczęły go boleć plecy. Robienie kempingu w mieszkaniu polegało na tym, że kładli na podłodze koce, kołdry i poduszki i na tym spali, zazwyczaj w piątkowe wieczory, przy włączonym do późna w noc telewizorze. Udawało się to tylko wtedy, kiedy mama i tata dołączali do zabawy. Zawsze zapraszano Ramonę, ale ta rozsądnie odmawiała.

- Ale do łóżka idziecie o zwykłej porze - zastrzegła Mary Grace.

- Rano jest szkoła.

- O dziesiątej - negocjowała Liza.

- Dziewiątej - powiedziała Mary Grace i dodała jeszcze pół godziny; dzieci się uśmiechnęły.

Mary Grace leżała obok Macka i Lizy, napawała się chwilą, była szczęśliwa, że zmęczenie wkrótce ustąpi. Może teraz zdoła odpocząć, zabrać je do szkoły, odwiedzić klasę, zjeść z nimi lunch. Tęskniła do tego, żeby znowu być matką, nikim więcej. Dzień, w którym zostanie zmuszona, żeby znowu wejść na salę sądową będzie ponury.

W środowy wieczór, w kościele Pine Grove odbywa się przyjęcie, na które każdy przynosi swoją zapiekankę i bywa, że wynik robi ogromne wrażenie. Kościół, przez który przelewały się tłumy, stał pośrodku ich dzielnic i wielu wiernych, co niedziela i co środa, po prostu szło tam spacerkiem przecnicę albo dwie. Drzwi były otwarte osiemnaście godzin na dobę, a pastor mieszkał na plebanii za kościołem i zawsze czekał, żeby nieść duchową pociechę swojemu ludowi.

Jedli w sali wspólnoty, obrzydliwej, metalowej przybudówce, przytulonej do bocznej ściany kaplicy. Na składanych stołach stały wszelkiego rodzaju potrawy przygotowane według domowych przepisów. Był kosz z białymi bułkami, wielki dozownik ze słodką herbatą i oczywiście mnóstwo wody w butelkach. Tego wieczoru spodziewano się jeszcze większego tłumu. Ludzie mieli nadzieję, że przyjdzie Jeannette. Uroczystość miała się odbyć jak należy.

Kościół Pine Grove był zupełnie niezależny, nie miał najmniejszych związków z jakimkolwiek wyznaniem, co stanowiło źródło cichej dumy jego założyciela, pastora Denny'ego Otta. Kilkadziesiąt lat wcześniej zbudowali go baptyści, potem opustoszał, jak

reszta Bowmore. Zanim nastał tu Ott, parafia składała się z kilku mocno poranionych duszyczek. Lata wewnętrznych konfliktów zdziesiątkowały wiernych. Ott oczyścił atmosferę, otworzył drzwi dla wszystkich, i wyszedł do ludzi.

Nie zaakceptowano go od razu, przede wszystkim dlatego, że pochodził z Północy i mówił z takim czystym, wyraźnym akcentem. Spotkał dziewczynę z Bowmore na studiach biblijnych w Nebrasce i to ona zabrała go na Południe. Po serii niepowodzeń wylądował na stanowisku tymczasowego pastora drugiego kościoła baptystów. W istocie nie był baptystą, ale w okolicy brakowało młodych duchownych, więc kościół nie mógł sobie pozwolić na grymasy. Pół roku później wszyscy baptysci wyjechali i kościół zmienił nazwę.

Pastor nosił brodę i często sprawował posługę we flanelowej koszuli i sportowych butach. Nie zabraniano nosić krawatów, ale krzywiono się na ich widok. W tym kościele każdy mógł znaleźć pokój i pociechę bez konieczności wkładania najlepszego niedzielnego ubrania. Pastor Ott pozbył się Biblii króla Jakuba i starych ksiąg z hymnami. Nie widział pożytku w żałobnych pieśniach pisanych przez prastarych pielgrzymów. Msze stały się luźniejsze, nowoczesne, z gitarami i pokazami slajdów. Wierzył - i nauczał - że bieda i niesprawiedliwość są ważniejszymi tematami społecznymi niż aborcja i prawa gejów, ale swoją politykę uprawiał ostrożnie.

Gmina rosła i prosperowała, chociaż nie troszczył się o pieniądze. Przyjaciel z seminarium prowadził misję w Chicago i za jego pośrednictwem Ott otrzymał duży zapas używanej, ale bardzo przydatnej odzieży do kościelnej „szafy”. Zadręczał większe parafie w Hattiesburgu i Jackson, ale dzięki ich datkom utrzymywał w sali wspólnoty dobrze zaopatrzone bank żywności. Zanudzał spółki farmaceutyczne, żeby dawały mu resztki serii leków - i tak kościelna „apteka” była pełna lekarstw spod lady.

Denny Ott uważał całe Bowmore za swoją placówkę i nikt nie był tu głodny, bezdomny albo chory, jeśli tylko Ott mógł temu zapobiec. Bez końca służył ludziom i opiekował się nimi.

Poprowadził szesnaście pogrzebów osób zabitych przez Krane Chemical, spółkę, której nie znosił tak mocno, że nieustannie modlił się o wybaczenie. Nie żywił nienawiści do anonimowych właścicieli Krane, to naraziłoby na szwank jego wiarę. Ale na pewno nienawidził samej korporacji. Czy to grzech nienawidzić korporacji? Ta burzliwa polemika codziennie rozdzierała mu serce, więc żeby się zabezpieczyć, nie ustawał w modłach.

Cała szesnastka została pochowana na małym cmentarzu za kościołem. W ciepłe dni kosił trawę wokół nagrobków, a kiedy było zimno, malował na biało parkan, który chronił cmentarz przed dzikimi zwierzętami. Chociaż tego nie planował, jego kościół stał się

ogniskiem skierowanej przeciwko działalności Krane w hrabstwie Cary. Prawie wszyscy wierni byli dotknięci chorobą albo śmiercią kogoś, kogo spółka skrzywdziła.

Starsza siostra jego żony chodziła do szkoły średniej w Bowmore razem z Mary Grace Shelby. Pastor Ott i Paytonowie byli sobie bardzo bliscy. W gabinecie pastora, przy zamkniętych drzwiach, któreś z Paytonów często udzielało porad prawnych przez telefon. Dziesiątki zeznań zostały zebrane w sali wspólnoty wypełnionej po brzegi prawnikami z wielkich miast. Ott nie znosił prawników na usługach korporacji prawie równie mocno, jak samych korporacji.

Mary Grace często telefonowała do pastora Otta podczas procesu i zawsze go przestrzegała, żeby nie ulegał optymizmowi. Nie ulegał. Ale kiedy zadzwoniła przed dwoma godzinami z oszałamiającą nowiną, chwycił żonę i zaczął tańczyć po całym domu, pohukując i śmiejąc się w głos. Krane zostało przygwożdżone, upokorzone, wystawione na widok publiczny, ukarane. Nareszcie.

Kiedy witał swoją trzódkę, zobaczył, jak wchodzi Jeannette z przyrodnią siostrą Bette i resztą przyjaciół. Natychmiast otoczyli ją bliscy, którzy chcieli dzielić z nią tę wielką chwilę i pocieszyć cichym słowem. Posadzili ją z tyłu sali, przy starym pianinie i stanęli w kolejce, żeby się przywitać. Parę razy zdobyła się na uśmiech i nawet podziękowała, ale wyglądała bardzo mizernie.

Rondle stygły z minuty na minutę, sala była pełna, więc pastor Ott wreszcie przywołał wszystkich do porządku i rozpoczął napuszoną modlitwę dziękczynną. Zakończył ją teatralnie i powiedział:

- Jeddmy.

Jak zwykle dzieci i starcy ustawili się pierwsi. Podano kolację. Ott poszedł na tył sali i usiadł przy Jeannette.

- Chciałabym pójść na cmentarz - wyszeptała do pastora.

Wyprowadził ją bocznymi drzwiami na wąską zwirowaną dróżkę, która wiodła po pochyłości za kościołem do odległego o trzydzieści metrów małego cmentarza. Szli powoli w ciemności, milczeli. Ott otworzył drewnianą furtkę, weszli na ładny, porządnie wysprzątnany teren z małymi nagrobkami. Nie było tu pomników, krypt, krzykliwych hołdów dla wielkich.

W czwartym rzędzie, po prawej stronie, Jeannette uklękła między dwoma grobami. W jednym leżał Chad - dziecko, które przeżyło tylko sześć lat, zanim zadusiły je guzy. W drugim spoczywały szczątki Pete'a. Był mężem Jeannette przez osiem lat. Ojciec i syn spoczywali obok siebie na wieki. Odwiedzała ich co najmniej raz w tygodniu i nigdy nie omieszkła wyrazić życzenia, żeby do nich dołączyć. Pogłaskała oba nagrobki jednocześnie.

- Cześć, chłopcy, to ja, mama - powiedziała cicho. - Nie uwierzylibyście, co dzisiaj się stało.

Pastor Ott dyskretnie odszedł, zostawił kobietę z jej łzami, myślami i cichymi słowami. Nie chciał ich słyszeć. Czekał przy furtce, mijały minuty, patrzył na cienie, które poruszały się między rzędami nagrobków, kiedy światło księżyca przesączało się przez chmury. Pochował Chada i Pete'a. Razem szesnaścioro cichych ofiar. Ale z małego, otoczonego parkanem cmentarzyka przy kościele Pine Grove dobiegł wreszcie ich głos. Donośny, zły, który pragnął być słyszany i domagał się sprawiedliwości.

Widział cień Jeannette i słyszał jej szept.

Modlił się z Pete'em w jego ostatnich chwilach, pocałował w czoło Chada, zanim chłopiec odszedł. Zebrał pieniądze na trumny i pogrzeby. Potem razem z dwoma diakonami wykopał groby. Pogrzeby odbyły się w odstępie ośmiu miesięcy.

Jeannette wstała, pożegnała się.

- Powinniśmy wejść do budynku - powiedział Ott.

- Tak, dziękuję - odparła, wycierając policzki.

Stół kosztował pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a skoro to pan Trudeau podpisał czek, mógł przecież, do cholery, decydować, kto z nim siedział. Po lewej miał Briannę i jej bliską przyjaciółkę Sandy, kolejny szkielec, który właśnie został na mocy kontraktu uwolniony z ostatniego małżeństwa i polował na męża numer trzy. Po prawej siedzieli przyjaciel, emerytowany bankier i jego żona. Mili ludzie, lubili gawędzić o sztuce. Urolog Carla zajął miejsce dokładnie naprzeciwko niego. Został zaproszony z żoną, ponieważ oboje byli małomówni. Mężczyzna bez partnerki to niższy rangą dyrektor w Trudeau Group - po prostu wyciągnął najkrótszą słomkę i musiał tutaj przyjść.

Kucharz celebrytów przygotował wykwintne menu: najpierw kawior i szampan, potem biała zupa z homarami, odrobina pasztetu strasburskiego saute z przybraniem, świeży szkocki kurczak dla mięsożernych i bukiet wodorostów dla wegetarianów. Na deser wspaniała kreacja z wielowarstwowych lodów. Każde danie, łącznie z deserem, wymagało innego wina.

Carl wymiatał wszystko, co przed nim postawiono, i mnóstwo pił. Rozmawiał tylko z bankierem, bo ten słyszał nowiny z Południa i okazywał współczucie. Brianna i Sandy niegrzecznie poszeptywały podczas kolacji, krytykowały wszystkich snobów w towarzystwie. Dziobały jedzenie na talerzach, praktycznie niczego nie jedząc. Carl na wpół pijany już zamierzał zwrócić uwagę żonie, która dłużyła w wodorostach na talerzu. Chciał powiedzieć: „Wiesz, ile to cholera kosztowało?”, ale wszczynanie awantury nie miało sensu.

Kucharz celebrytów, o którym Carl nigdy nie słyszał, został przedstawiony i otrzymał

owację na stojąco od czterystu gości, nadal głodnych po pięciu daniach. Ale tego wieczoru nie chodziło o jedzenie. Chodziło o pieniądze.

Po dwóch krótkich przemówieniach wystąpił prowadzący aukcję. Znieważoną Imeldę wtoczono do atrium. Zwisiała dramatycznie z małego, ruchomego dźwigu, pół metra nad posadzką, żeby wszyscy mogli dobrze widzieć arcydzieło. Reflektory używane podczas koncertów sprawiały, że rzeźba wyglądała jeszcze bardziej egzotycznie. Tłum ucichł, stoły zostały uprzątnięte przez armię nielegalnych imigrantów w czarnych kurtkach i krawatach.

Prowadzący aukcję bredził coś o Imeldzie, a tłum słuchał. Potem mówił o artyście, a tłum naprawdę słuchał. Czy istotnie rzeźbiarz był szalony? Obłąkany? Bliski samobójstwa? Chcieli szczegółów, ale prowadzący aukcję twardo trzymał się faktów. Był Brytyjczykiem, bardzo dobrze wychowanym, co zwiększało zwycięską stawkę o co najmniej milion baksów.

- Proponuję, żebyśmy zaczęli aukcję od pięciu milionów - powiedział przez nos, a tłum westchnął.

Brianna nagle straciła zainteresowanie przyjaciółką. Przysunęła się do Carla, zatrzepotała rzesami i położyła rękę na jego udzie. Carl kiwnął głową do najbliższego stojącego pomocnika prowadzącego aukcję. Mężczyzna dał znak w stronę podium i Imelda ożyła.

- I mamy pięć milionów - obwieścił prowadzący. Burzliwe oklaski. - Ładny początek, dziękuję. A teraz naprzód, do sześciu.

Sześć, siedem, osiem, dziewięć... Carl skinął głową przy dziesięciu. Uśmiechał się, ale żołądek mu się wywracał. Ile będzie go kosztowało to szkaradziejstwo? Na sali było co najmniej sześciu miliardów i paru innych, którzy dopiero zbliżali się do miliarda. Nie brakowało ani potężnej dawki próżności, ani gotówki, ale w tej chwili nikt tak rozpaczliwie nie potrzebował publicity w mediach, jak Carl Trudeau.

A Pete Flint to rozumiał.

Dwóch licytantów zrezygnowało po drodze do jedenastu milionów.

- Ilu zostało? - szepnął Carl do bankiera, który przyglądał się tłumowi i szukał współzawodników.

- Jest Pete Flint, może jeszcze ktoś.

Ten sukinsyn. Kiedy Carl kiwnął głową przy dwunastu, Brianna właściwie trzymała już język w jego uchu.

- Mamy dwanaście milionów.

Tłum eksplodował oklaskami i wiwatami.

- Zróbmy przerwę na oddech - zaproponował rozsądnie prowadzący.

Wszyscy czegoś się napili. Carl łyknął jeszcze więcej wina. Pete Flint siedział za nim,

dwa stoły dalej, ale Carl nie śmiał się odwrócić. Jeśli Flint naprawdę wyprzedził akcje Krane, to skosi miliony na werdykcie. Carl najwyraźniej już stracił na tym miliony. Na papierze, ale czyż wszystko nie jest na papierze?

Imelda nie była. Prawdziwe, namacalne dzieło sztuki, którego Carl nie mógł stracić, na pewno nie na rzecz Pete'a Flinta.

Rundy trzynasta, czternasta i piętnasta zostały mistrzowsko przedłużone przez prowadzącego, każda kończyła się owacjami. Wieść rozeszła się szybko i wszyscy wiedzieli, że pojedynek rozgrywa się między Carlem Trudeau a Pete'em Flintem. Kiedy oklaski zamarły, dwóch zawodników wagi ciężkiej przygotowało się na ciąg dalszy. Carl skinął głową przy szesnastu milionach i podziękował za aplauz.

- Czy mamy siedemnaście milionów? - zahuczał prowadzący, sam nieźle podekscytowany.

Długa pauza. Napięcie było wyczuwalne.

- Doskonale, jest szesnaście. Po raz pierwszy, po raz drugi i tak... mamy siedemnaście milionów.

Podczas tej ciężkiej próby Carl składał sobie przysięgi i łamał je, ale postanowił nie przekroczyć siedemnastu milionów baksów. Kiedy wrzawa ucichła, rozsiadł się, opanowany jak przystało na korporacyjnego pirata, który puszcza w ruch miliardy.

- Czy wolno mi zapytać o osiemnaście? - Znów oklaski. Więcej czasu dla Carla na zastanowienie. Jeśli godził się na siedemnaście, to czemu nie osiemnaście? A jeśli skoczy na osiemnaście, to Flint zda sobie sprawę, że Carl wytrzyma do samego końca.

Gra warta świeczki.

- Osiemnaście? - zapytał prowadzący.

- Tak - powiedział Carl na tyle głośno, żeby wielu go usłyszało.

Strategia zadziałała. Flint się wycofał i rozbawiony patrzył, jak Carl Trudeau finalizuje parszywy interes.

- Sprzedane za osiemnaście milionów dolarów panu Carlowi Trudeau - ryknął prowadzący, tłum zerwał się z krzesel.

Opuścili Imeldę, żeby nabywca mógł stanąć obok zdobyczy. Wielu obecnych, zarazem zazdrosnych i dumnych, zerkało na państwa Trudeau i ich nowe trofeum. Orkiestra zaczęła grać, przyszedł czas na tańce. Brianna była podniecona - pieniądze wprawiały ją w szal - w połowie pierwszego tańca Carl łagodnie odepchnął ją na długość ramienia. Wyglądała lubieżnie, pokazywała tyle golizny, ile tylko mogła. Ludzie patrzyli i to się jej podobało.

- Chodźmy stąd - powiedział Carl po drugim tańcu.

W NOCY WESOWI UDAŁO SIĘ PRZENIEŚĆ NA KANAPE, znacznie miększe miejsce spoczynku, a kiedy obudził się przed świtem, Mack przytulił się do jego boku. Mary Grace i Liza leżały na podłodze owinięte kocami. Oglądali telewizję, dopóki dzieciaki nie zasnęły, potem po cichu otworzyli i wypili butelkę taniego szampana, który zachowali na tę okazję. Alkohol i zmęczenie zbiły ich z nóg, przysięgli sobie, że się porządnie wyśpią.

Pięć godzin później Wes otworzył oczy i nie mógł ich zamknąć. Znowu siedział na sali sądowej, spocony i zdenerwowany, patrzył, jak wmaszerowują przysięgli, szukał znaku, potem słuchał dostojnych słów sędziego Harrisona. Na zawsze będą dźwięczały w jego uszach.

Dziś będzie piękny dzień, Wes nie może zmarnować go, leżąc na kanapie.

Odsunął się od Macka, okrył go kocem i przeszedł po cichu do zagraconej sypialni. Włożył szorty, buty i bluzę. Podczas procesu starał się biegać codziennie, często o północy, o piątej rano. Miesiąc wcześniej o trzeciej przed świtem zatrzymał się kilka kilometrów od domu. Bieganie oczyszczało mu umysł i łagodziło stres. Układał strategię, przesłuchiwał świadków, spierał się z Jaredem Kurtinem, odwoływał się do przysięgłych, podejmował się tuzina zadań, wałąc w ciemności stopami o asfalt.

Może podczas tego biegu skoncentruje się na czymś, czymkolwiek, byle nie na procesie. Wakacje. Plaża. Ale apelacja już nie dawała mu spokoju.

Mary Grace nie poruszyła się, kiedy wychodził z mieszkania i zamykał za sobą drzwi. Był kwadrans po piątej.

Nie zrobił rozgrzewki, ruszył i wkrótce dotarł na Hardy Street, biegł w stronę kampusu Uniwersytetu Południowego Missisipi. Lubił to bezpieczne miejsce. Okrążał dormitoria, w których kiedyś mieszkał, biegł wokół stadionu, gdzie dawniej grywał w piłkę, i po pół godziny zatrzymał się przy Java Werks, swojej ulubionej kawiarni naprzeciwko kampusu. Położył cztery monety dwudziestopięciocentowe na ladzie i wziął mały kubek mieszanki firmowej. Cztery monety. Prawie się roześmiał, kiedy je odliczał. Musiał oszczędzać na kawę i zawsze szukał drobnych.

Na końcu lady leżały poranne gazety. Tytuł na pierwszej stronie „Hattiesburg American” krzychał: „Krane Chemical przygwoźdzony na 41 milionów dolarów”. Było tam wielkie, wspaniałe zdjęcie przedstawiające jego i Mary Grace, jak wychodzą z sali sądowej, zmęczeni, ale szczęśliwi. I mniejsze zdjęcie Jeannette Baker, która nadal płakała. Mnóstwo

cytatów z mów adwokatów, mniej z wypowiedzi przysięgłych, w tym wzniosłe przemówienie doktor Leony Rochoy, która najwyraźniej odgrywała ważną rolę w pokoju ławników. Zacytowano, wśród innych perełek, jej słowa. „Rozzłościło nas aroganckie i wykalkulowane wykorzystanie tej ziemi przez Krane, nieliczenie się z zasadami bezpieczeństwa, a potem oszustwo, jakim spółka posługiwała się, próbując ukryć swoje matactwa”.

Wes uwielbiał tę kobietę. Pochłaniał długi artykuł, odstawił kawę. Największą gazetą stanu była „Clarion - Ledger”, wydawana w Jackson. Tam tytuły były trochę bardziej powściągliwe, chociaż i tak robiły wrażenie: „Przysięgli obwiniają Krane Chemical - twarde wyroki”. Kolejne zdjęcia, cytaty, szczegóły rozprawy. Po paru minutach Wes przyłapał się na tym, że przerzuca prasę. „Sun Herald” z Biloxi dał najlepszy, jak do tej pory, tytuł: „Przysięgli do Krane: pieniądze na stół”.

Informacje z pierwszej strony i zdjęcia w wielkich dziennikach. Nie najgorszy dzień dla małej kancelarii prawniczej Payton & Payton. Szykował się wielki powrót, a Wes był gotowy. Do biura zaczęły dzwonić potencjalni klienci: rozwody, bankructwa i setki innych spraw, do których Wes nie ma cierpliwości. Prawdopodobnie odeśle ich do drugorzędnych kancelarii, a sam będzie sprawdzał co rano sieci, wyszukując wielkich okazji. Fantastyczny wyroki, zdjęcia w gazetach, rozmowy w mieście i interes mocno się rozkręci. Wypił kawę i wyszedł na ulicę.

Carl Trudeau też wyszedł z domu przed wschodem słońca. Mógł ukrywać się w penthausie przez cały dzień i kazać swoim ludziom zajmować się katastrofą. Mógł wystawić do walki prawników. Albo wskoczyć do swojego odrzutowca i polecieć do willi na Anguilla lub posiadłości w Palm Beach. Ale Carl taki nie był. Nigdy nie uciekał przed bijatyką i nie zrobi tego teraz.

Ponadto nie chciał widzieć żony. Ostatniego wieczoru kosztowała go fortunę i miał jej to za złe.

- Dzień dobry - powiedział szorstko do Tolivera, kiedy sadził się na tylnym siedzeniu bentleya.

- Dzień dobry, sir. - Toliver nie zamierzał zadawać głupich pytań, na przykład: „Jak się pan miewa?” Było wpół do szóstej. Zazwyczaj wyjeżdżali z penthouse'u godzinę później.

- Jedziemy - polecił szef i Toliver pomknął Piątą Aleją.

Dwadzieścia minut później Carl stał w prywatnej windzie razem ze Stu, asystentem, którego jedyny obowiązek polegał na tym, żeby być pod telefonem siedem dni w tygodniu, przez okrągłą dobę, na wypadek, gdyby wielki człowiek czegoś potrzebował. Stu został postawiony w stan gotowości godzinę wcześniej. Otrzymał instrukcje: przygotować kawę,

podpiec pszeniczny bajgel, wycisnąć sok z pomarańczy. Podano mu listę sześciu gazet, które miały leżeć na biurku pana Trudeau. I był jeszcze w połowie poszukiwań w Internecie artykułów na temat werdyktu. Carl ledwie zauważał jego obecność.

W gabinecie Stu wziął od szefa marynarke, nalał mu kawy i usłyszał, że ma się pośpieszyć z bajgłem i sokiem.

Carl usadowił się na aerodynamicznym, specjalnie zaprojektowanym fotelu, strzelił kostkami palców, przysunął się do biurka, odetchnął głęboko i wziął „New York Timesa”. Pierwsza strona, lewa kolumna. Nie pierwsza strona działu gospodarczego, ale pierwsza strona całej cholerycznej gazety! Właśnie tam, razem z brudną wojną, skandalem w Kongresie, trupami w Gazie.

Pierwsza strona. „Krane Chemical uznane za winne śmierci od trucizny” głosił nagłówek. Carl powoli przestał zaciskać zęby. Nazwisko autora, Hattiesburg, Missisipi: „Przysięgli sądu stanowego przyznali młodej wdowie trzy miliony odszkodowania i trzydzieści osiem milionów odszkodowania retorsyjnego w sprawie wytoczonej przez nią spółce Krane Chemical za spowodowanie śmierci”. Carl szybko czytał - znał te przekłete szczegóły. „Times” opisał większość z nich poprawnie. Każdy cytat z wypowiedzi adwokatów był łatwy do przewidzenia. Bła, bła, bła.

Ale dlaczego na pierwszej stronie?

Uznał to za cios poniżej pasa, ale zaraz dostał kolejny cios - na drugiej stronie poświęconej gospodarce rozmaici analitycy rozwijali temat potencjalnych pozwów wobec Krane w sprawach bardzo podobnych do sprawy Jeannette Baker. Według eksperta, którego - co dziwne - nazwiska Carl nie znał, Krane może być narażone na stratę kilku miliardów w gotówce, a ponieważ spółka z jej „niejasną polityką w kwestii ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej” była praktycznie „obnażona”, straty mogą okazać się „katastrofalne”.

Carl przeklinał, kiedy przyszedł Stu z sokiem i bajgłem.

- Coś jeszcze, sir?

- Nie, zamknij za sobą drzwi.

Carl pobieżnie przejrzał dział poświęcony sztuce. Na pierwszej stronie rozkładówki znalazł reportaż z wczorajszego pokazu w Muzeum Sztuki Abstrakcyjnej ukazujący aukcję jako swego rodzaju potyczkę. W dolnym prawym rogu zamieszczono porządne kolorowe zdjęcie państwa Trudeau pozujących przy nowym zakupie. Brianna, jak zwykle fotogeniczna, bo taka, do cholery powinna być, emanowała doskonałością. Carl pomyślał, że on sam wygląda bogato, szczupło i młodo, almelda była równie szokująca na zdjęciu, jak w

rzeczywistości. Czy to naprawdę dzieło sztuki? Czy tylko miszmasz z brązu i cementu sklecony przez jakąś zagubioną duszę ciężko pracującą nad tym, żeby myślano, iż cierpi?

To ostatnie było prawdą, według krytyka sztuki z „Timesa”, tego samego uprzejmego dżentelmena, z którym Carl gawędził przed kolacją. Kiedy reporter zapytał go, czy osiemnaście milionów pana Trudeau to rozsądna inwestycja, krytyk odpowiedział: „Nie, ale z pewnością doda rozpędu kampanii zbierania kapitału prowadzonej przez muzeum”. Potem wyjaśnił, że rynek na rzeźby abstrakcyjne przeżywa zastój od ponad dekady i raczej się nie zanosi, przynajmniej jego zdaniem, żeby miała nastąpić poprawa. Nie widział wielkiego sukcesu przed Imeldą.

Artykuł kończył się na stronie siódmej dwoma akapitami i zdjęciem rzeźbiarza, Pabla. Artysta uśmiechał się do obiektywu. Wyglądał na witalnego i... zdrowego na umyśle człowieka.

Mimo to Carl był bardzo zadowolony, przynajmniej przez chwilę. Artykuł miał pozytywną wymowę. „Wyglądało na to, że wielkiego Carla Trudeau nie wzrusza werdykt, że zachował odporność, że rządzi swoim wszechświatem. Warto mieć dobrą prasę, chociaż wiedział, że to, co najważniejsze, rozgrywa się na Południu. Chrupał bajgla, nie czując smaku.

Powrót do masakry. Druzgoczące pierwsze strony „Wall Street Journal”, „Financial Timesa” i „USA Today”. Po lekturze czterech gazet znużyło go czytanie tych samych fragmentów wypowiedzi prawników i przewidywań ekspertów. Odsunął się od biurka, napił kawy i przypomniał sobie, jak bardzo nienawidzi reporterów. Ale jeszcze żył. Lanie, które sprawiła mu prasa, było brutalne, a ciąg dalszy nastąpi, ale on, wielki Carl Trudeau, przyjmował najsilniejsze ciosy i ciągle nie dawał się zbić z nóg.

Zapowiadał się najgorszy dzień w jego życiu zawodowym, ale jutro będzie lepiej.

Dochodziła siódma. Giełdę otwierali o dziewiętej. Poprzedniego dnia, na zamknięciu cena za akcję Krane wynosiła pięćdziesiąt dwa dwadzieścia, wzrosła o dolara dwadzieścia pięć, bo ława przysięgłych debatowała w nieskończoność i wydawało się, że proces zostanie zawieszony. Poranni eksperci przewidywali paniczną wyprzedaż, ale zarząd znał przedstawiane przez nich szacunki szkód.

Przyjął telefon od dyrektora zespołu prasowego i oznajmił, że nie będzie rozmawiał z żadnymi reporterami, dziennikarzami i analitykami. Niech trzymają się wersji spółki.

- Planujemy energiczną apelację i spodziewamy się wygranej. - Nie wolno zmieniać ani słowa.

Kwadrans po siódmej przybyli Bobby Ratzlaffi Felix Bard, główny dyrektor

finansowy. Żaden z nich nie spał dłużej niż dwie godziny i obaj byli zdumieni, że ich szef znalazł czas, żeby iść na przyjęcie. Wypakowali grube teczki, lapidarnie się przywitali i skupili nad stołem konferencyjnym. Nie wyjdą stąd przez kolejnych dwanaście godzin. Mieli wiele spraw do omówienia, ale przede wszystkim chodziło o to, że pan Trudeau potrzebował towarzystwa w swoim bunkrze, kiedy giełda zostanie otwarta i rozpęta się piekło.

Zaczął Ratzlaff. Zostanie zgłoszona masa wniosków poprocesowych, a sprawa będzie przeniesiona do Sądu Najwyższego Stanu Missisipi.

- Historia tego sądu wskazuje, że jest przyjazny dla powodów, ale to się zmienia. Przejrzeliśmy orzeczenia w wielkich sprawach o odszkodowania za ostatnie dwa lata. Przysięgli z reguły głosują w stosunku pięcioro do czworga na korzyść powoda, ale nie zawsze.

- Ile czasu minie do końca sprawy apelacyjnej? - zapytał Carl.

- Półtora roku do dwóch lat.

Ratzlaff mówił dalej. W związku z awanturą w Bowmore zgłoszono sto czterdzieści pozwów przeciwko Krane, około jednej trzeciej dotyczy przypadków śmierci. Według wyczerpujących badań, prowadzonych na bieżąco przez Ratzlaffa, jego zespół i prawników z Nowego Jorku, Atlanty i Missisipi, jest prawdopodobnie kolejnych trzysta do czterystu spraw o „uzasadnionym” potencjale, co znaczy, że dotyczą albo śmierci, albo ciężkich lub bardzo ciężkich chorób. Mogą się znaleźć tysiące ludzi, którzy cierpieli na mniejsze dolegliwości, takie jak podrażnienia skóry lub ostry kaszel, ale na razie zaklasyfikowano takie powództwa jako błahe.

Ze względu na trudność i koszty związane z udowodnieniem odpowiedzialności i powiązaniem jej z chorobą w kwestii większości zarejestrowanych pozwów nie czyniono zbyt energicznych starań. To, oczywiście, wkrótce się zmieni.

- Jestem pewien, że adwokaci powodów tam, na Południu, są dziś rano bardzo głodni - powiedział Ratzlaff, ale Carl się nie uśmiechnął.

Nigdy się nie uśmiechał. Zawsze coś czytał, nie patrzył na rozmówcę, ale niczego nie przeoczał.

- Ile spraw obsługują Paytonowie? - zapytał.

- Około trzydziestu. Nie jesteśmy pewni, bo nie złożyli wszystkich pism procesowych. Tam trzeba długo czekać.

- W jednym z artykułów jest napisane, że w wyniku sprawy Baker stanęli na progu bankructwa.

- To prawda. Zastawili cały majątek.

- Długi w bankach?
- Chodzą takie pogłoski.
- Wiemy, które to banki?
- Nie jestem tego pewien.
- Sprawdź. Chcę znać sygnatury długów, terminy, każdy szczegół.
- Jasne.

Nie było dobrych prognoz, mówił Ratzlaff, opierając się na swoich notatkach. Tama pękła, powódź nadchodzi. Adwokaci mściwie zaatakują, a koszty obrony przekroczą czterokrotność stu milionów rocznie. Najbliższa sprawa będzie gotowa do przedstawienia w sądzie za osiem miesięcy, w tej samej sali, z tym samym sędzią. Kolejny wyrok nakazujący wysokie odszkodowanie i... kto wie.

Carl popatrzył na zegarek i wymamrotał, że musi zatelefonować. Odszedł od stołu, zaczął krążyć po gabinecie, wreszcie zatrzymał się przy oknie wychodzącym na południe. Jego uwagę przyciągnął Trump Building. Miał adres Wall Street 40, bardzo blisko nowojorskiej giełdy, gdzie niedługo o Krane Chemical będzie się mówiło jak o tonącym statku, z którego uciekają inwestorzy, a spekulanci rzucają się na spółkę jak hieny na ścierwo. Cóż za okrutna ironia, że on, wielki Carl Trudeau, człowiek, który nieraz, szczęśliwy, patrzył z wysoka na nieszczęsne spółki ogarnięte pożogą, będzie musiał oganiać się od sępów. Ileż to razy aranżował spadek cen akcji, żeby skupić je za grosze? Taka bezwzględna taktyka stanowiła podstawę jego legendy.

Czy będzie bardzo źle? To najważniejsze pytanie, po którym zawsze szło następne: jak długo to potrwa?

Czekał.

TOM HUFF WŁOŻYŁ NAJCIEMNIEJSZY, NAJBARDZIEJ ELEGANCKI GARNITUR i po długich rozważaniach postanowił przyjść do pracy w Drugim Banku Stanowym kilka minut później niż zazwyczaj. Wcześniejsze przyjście wydawało się zbyt przewidywalne, może trochę wyniosłe. A co ważniejsze, chciał, żeby wszyscy już byli, kiedy on się pojawi - starzy księgowi na parterze, słodziutkie sekretarki na pierwszym piętrze i wicedyrektorzy od czegoś tam, jego główni rywale na drugim. Huffy pragnął triumfalnego wejścia przy jak najliczniejszej publiczności. Odważnie postawił na Paytonów i ta chwila należała do niego.

Stało się inaczej. Księgowi go nie zauważyli, sekretarki zignorowały, a rywale obdarzyli tak dużą porcją nieszczerých uśmiechów, że zaczął się niepokoić. Na biurku znalazł informację zaznaczoną jako pilna, żeby pójść do pana Kirkheada. Coś się święciło. Huffy zaczął się czuć znacznie mniej wyniosłe. Tyle, jeśli chodzi o dramatyczne wejście. W czym rzecz”?

Pan Kirkhead czekał w swoim gabinecie przy otwartych drzwiach, co zawsze stanowiło zły znak. Szef nie znosił otwartych drzwi i szczyił się stylem zarządzania za zamkniętymi drzwiami. Był kostyczny, niegrzeczny, cyniczny, bał się własnego cienia i zamknięte drzwi poprawiały mu nastrój.

- Siadaj - warknął. Ani myślał powiedzieć „dzień dobry” albo „cześć”, albo Boże uchowaj, „moje gratulacje”. Rozsiadł się za pretensjonalnym biurkiem, tłustą łusą głowę pochylił nisko, jakby wahał arkusze obliczeniowe, które czytał.

- Jak się pan miewa? - zaćwierkał Huffy. Miał wielką ochotę powiedzieć „ty kutasie”, bo zawsze tak mówił o swoim szefie. Nawet stare panny na parterze czasem używały tego zastępczego określenia.

- Doskonale. Przyniosłeś teczkę Paytonów?

- Nie, proszę pana. Nie proszono mnie, żebym przyniósł teczkę Paytonów. Coś jest na rzeczy?

- Dwie sprawy. Po pierwsze mamy katastrofalną pożyczkę dla tych ludzi, ponad czterysta tysięcy dolarów, oczywiście minął termin spłaty, a pożyczka jest fatalnie zabezpieczona. Najgorszy dług w portfelu banku.

Powiedział „ci ludzie”, jakby Wes i Mary Grace byli złodziejami kart kredytowych.

- To nic nowego, sir.

- Pozwolisz, że skończę? A teraz mamy ten obsceniczny wyrok.

Jako bankier trzymający papiery dłużne powinienem chyba przyjąć go dobrze, ale jako kredytodawca dla spółek i lider biznesu w tej społeczności uważam ten werdykt za głupi. Jaki sygnał przesyłamy przyszłym klientom korporacyjnym takimi wyrokami?

- Żeby nie wyrzucali toksycznych odpadów w naszym stanie?

Tłuste policzki Kutasa poczerwieniały, machnięciem ręki zbył replikę Huffy'ego. Chrząknął, mało się nie zakrztusił własną śliną.

- To źle wpływa na klimat dla biznesu - oznajmił. - Piszą o tym na pierwszych stronach na całym świecie. Od rana odbieram telefony z Departamentu Spraw Wewnętrznych. To bardzo zły dzień.

Mnóstwo złych dni skończyło się w Bowmore, pomyślał Huffy. Zwłaszcza tych, kiedy odbywały się pogrzeby.

- Czterdzieści jeden milionów baksów - ciągnął Kutas. - Dla biednej kobiety, która mieszka w przyczepie.

- Nie ma w tym niczego złego, że się mieszka w przyczepie, panie Kirkhead. Tu w okolicy wielu przyzwoitych ludzi w nich mieszka.

Biorą u nas pożyczki.

- Nie rozumiałeś. To obsceniczna suma. Cały system zwariował.

I dlaczego tutaj? Dlaczego Missisipi zasłynęło jako prawnicze piekielko? Dlaczego adwokaci polubili nasz mały stan? Popatrz tylko na sondaże. To źle wpływa na interesy. Na nasze interesy, Huff.

- Owszem, ale dziś rano musiał się pan poczuć lepiej, jeśli chodzi o dług Paytonów.

- Chcę, żeby go spłacili i to szybko.

- Ja też.

- Przynieś mi terminarz spłat. Spotkaj się z tymi ludźmi i skleć jakiś plan płatności. Zaaprobuję tylko taki, który będzie wyglądał rozsądnie. I zrób to natychmiast.

- Tak jest, ale to może zająć kilka miesięcy, zanim staną na nogi.

Praktycznie byli bez środków...

- Huff, oni mnie nic nie obchodzą. Chcę, żeby to cholerstwo znikło z ksiąg.

- Oczywiście. To wszystko?

- Tak. I żadnych pożyczek pod zastaw odszkodowania, zrozumiałeś?

- Bez obaw.

Trzy domy obok banku mecenas Jared Kurtin dokonywał ostatniej inspekcji wojsk przed powrotem do Atlanty, gdzie czekało go lodowate powitanie. Kwaterą główną był

niedawno odnowiony stary budynek przy Front Street. Nadziana forszą obrona Krane Chemical wynajęła go dwa lata wcześniej, a potem zmodernizowała, angażując wspaniałą technologię i odpowiedni personel.

Panował poważny nastrój, jak można było się spodziewać, chociaż wielu miejscowym werdykt nie przeszkadzał. Po miesiącach pracy, pod przywództwem Kurtina i jego aroganckich pachołków z Atlanty, odczuwali cichą satysfakcję, patrząc na odwrót po klęsce. Ale powrót nastąpi, „werdykt był gwarancją wybuchu entuzjazmu po stronie ofiar, kolejnych pozwów, rozpraw i tak dalej.

W pożegnaniu uczestniczył Frank Sully, miejscowy prawnik i partner w firmie adwokackiej z Hattiesburga, która z początku została wynajęta przez Krane, a potem zdegradowana na rzecz „wielkiej kancelarii” z Atlanty. Sully'emu przydzielono miejsce przy lekko zatłoczonym stole strony powodowej i cierpiał upokorzenia podczas czteromiesięcznego procesu, kiedy nie mógł się odezwać ani słowem na sali sądowej. Sully nie zgadzał się praktycznie z żadną z taktyk i strategii Kurtina. Jego niechęć i brak zaufania do prawników z Atlanty były tak głębokie, że przekazał swoim partnerom tajne memorandum, w którym przepowiadał ogromne odszkodowanie retorsyjne. Teraz, po cichu, triumfował.

Ale był zawodowcem. Służył klientowi tak dobrze, jak ten tylko na to pozwalał, i zawsze wykonywał polecenia Kurtina. I z chęcią nadal robiłby wszystko, bo Krane Chemical do tej pory wypłaciło jego małej firmie ponad milion dolarów.

Przy drzwiach uścisnęli sobie dłonie z Kurtinem. Obaj wiedzieli, że będą rozmawiać ze sobą przez telefon, zanim dzień dobiegnie końca. Dla obu odjazd stanowił powód do skrywanego podniecenia. Dwie wynajęte furgonetki odwiozły Kurtina i dziesięciu jego ludzi na lotnisko, gdzie ładny mały odrzutowiec czekał na siedemdziesięciminutowy lot. Nikomu się jednak nie spieszyło. Tęsknili do domów i rodzin, ale co może być bardziej upokarzające niż ucieczka z zadupia z przetrąconą łapą i podwiniętym ogonem?

Carl siedział spokojnie na czterdziestym piątym piętrze, a po ulicach szalała plotka. Kwadrans po dziewiątej jego bankier od Godmana Sachsa zadzwonił po raz trzeci tego ranka i przekazał złą wiadomość, że giełda może odmówić wystawienia akcji Krane, zbyt szybko zmieniała się ich cena.

- To wygląda jak wyprzedaż po pożarze - skwitował bezceremonialnie, a Carl miał ochotę go zwymyślać.

Giełdę otwarto o wpół do dziesiątej, ale transakcje Krane zostały odłożone. Carl, Ratzlaff i Felix Bard siedzieli zmęczeni przy stole konferencyjnym, z podwiniętymi

rękawami, łokciami zanurzonymi głęboko w papierach, z telefonami komórkowymi w każdej ręce. Prowadzili gorączkowe rozmowy. Bomba wybuchła wreszcie o dziesiątej, kiedy Krane zaczęto sprzedawać po czterdzieści dolarów za akcję. Nie było kupców. Po trzydzieści pięć dolarów też nie. Kiedy spadek został czasowo skorygowany na dwadzieścia dziewięć pięćdziesiąt, spekulanci ruszyli do boju i zaczęli kupować. Przez następną godzinę akcje poszły w górę, to spadały. W południe chodziły po dwadzieścia siedem siedemdziesiąt pięć przy ostrym handlu, a co gorsza, od samego rana Krane był przedmiotem zainteresowania mediów zajmujących się biznesem. Kabłówki, żeby mieć najświeższe informacje z giełdy, wesoło zaczęły pokazywać analityków z Wall Street, którzy paplali o oszałamiającym załamaniu Krane Chemical.

Potem powrót do najważniejszych wydarzeń na świecie. Liczba zabitych w Iraku. Katastrofa miesiąca. I Krane Chemical.

Bobby Ratzlaff poprosił o pozwolenie udania się do swojego biura. Zbiegł po schodach, piętro niżej i ledwie zdążył do męskiej toalety. Kabiny były puste. Poszedł do najdalszej, podniósł klapę i gwałtownie zwymiotował.

Jego dziewięćdziesiąt tysięcy akcji Krane właśnie zmniejszyło wartość z około czterech i pół miliona do około dwóch i pół miliona, a spadek jeszcze się nie skończył. Korzystał z giełdy jako zabezpieczenia dla wszystkich swoich zabawek - domku w Hampton, porsche carrery połowy jachtu żaglowego. Nie wspominając o takich domowych drobiazgach, jak prywatna szkoła czy członkostwo klubu golfowego. Bobby był teraz nieoficjalnym bankrutem.

Po raz pierwszy w swojej karierze zrozumiał, dlaczego w 1929 roku ludzie skakali z okien.

Paytonowie zamierzali pojechać razem do Bowmore, ale wizyta bankiera, który wpadł do ich kancelarii w ostatniej chwili, wszystko zmieniła. Wes postanowił zostać i uporać się z Huffym. Mary Grace wzięła taurusa i sama wyruszyła do rodzinnego miasteczka.

Poszła do Pine Grove, potem do kościoła, gdzie czekała Jeannette Baker razem z pastorem Dennyem Ottem i tłumem innych ofiar, które reprezentowała kancelaria Paytonów. Spotkali się prywatnie w sali wspólnoty i zjedli lunch składający się z kanapek. Jedną z nich posiliła się nawet Jeannette, co rzadko się zdarzało. Była opanowana, wypoczęta, szczęśliwa, że jest z dala od sali sądowej i prawnych procedur.

Szok wywołany werdyktem powoli malał. Perspektywa uzyskania niemałych pieniędzy poprawiała nastrój, ale wywoływała także burzę pytań. Mary Grace nie chciała zanadto tłumić nadziei. Opowiedziała ze szczegółami o żmudnych apelacjach, które nastąpią

po wyroku w sprawie Baker. Nie podchodziła optymistycznie do ugody i wypłaty odszkodowań, a nawet do kolejnego procesu. Szczerze mówiąc, nie mieli z Wesem tyle gotówki ani energii, żeby sprostać Krane w następnym, długim sądowym starciu, ale tego ludziom nie powiedziała.

Była pewna siebie, podnosiła na duchu. Jej klienci mieli rację, udowodniła to razem z Wesem ponad wszelką wątpliwość. Wkrótce pojawi się wielu adwokatów. Będą węszyć po Bowmore, szukać ofiar Krane, obiecywać, może nawet proponować pieniądze. I to nie tylko miejscowi prawnicy, ale chłopaki od odszkodowań rangi ponadstanowej, którzy biegają za sprawami od wybrzeża do wybrzeża i często przybywają na miejsce wypadku przed wozami strażackimi. Mówiła cicho, ale stanowczo, żeby żadnemu z nich nie wierzyć. Krane zaleje okolicę detektywami, szpiclami, informatorami, a wszyscy będą szukać czegoś, co pewnego dnia, w sądzie, zostanie użyte przeciwko poszkodowanym. Nakazywała, żeby nie rozmawiać z reporterami, bo coś powiedziane żartem, podczas procesu, może zabrzmieć zupełnie inaczej. „Nie podpisujcie niczego, chyba że wcześniej przejrzą to z Wesem. Nie rozmawiajcie z innymi prawnikami”.

Dała im nadzieję. Werdykt odbijał się echem w systemie prawnym. Organa rządowe muszą go wziąć pod uwagę. Przemysł chemiczny nie może już zignorować decyzji sądu. Akcje Krane spadają na łeb, na szyję, a kiedy akcjonariusze stracą dużo pieniędzy, zażądają zmian.

Kiedy skończyła, Denny Ott wezwał ich do modlitwy. Mary Grace ścisnęła swoich klientów, życzyła im wszystkiego najlepszego, obiecywała, że spotka się z nimi za kilka dni, potem wyszła z Ottem przed kościół na następne spotkanie.

Dziennikarz nazywał się Tip Shepard. Przyjechał przed miesiącem i po wielu próbach zyskał zaufanie pastora, który przedstawił go Wesowi i Mary Grace. Shepard był wolnym strzelcem ze wspaniałymi listami polecającymi i kilkoma książkami na koncie. Mówił z teksańskim akcentem, który do pewnego stopnia neutralizował nieufność Bowmore do mediów. Paytonowie, z wielu względów, odmówili mu rozmowy podczas procesu. Teraz, po wszystkim, Mary Grace miała udzielić pierwszego wywiadu. Jeśli pójdzie dobrze, mogą być następne.

- Pan Kirkhead chce zwrotu pieniędzy - oznajmił Huffy. Był w biurze Wesa, tymczasowo urządzonym pokoju z niemalowanymi ścianami, podłogą z poplamionego betonu i meblami z wojskowego demobilu.

- Jasne - warknął Wes. Złościło go, że bankier przyszedł z żądaniem zaraz po procesie. - Powiedz, żeby czekał na swoją kolej.

- Wes, daj spokój, dawno przekroczyliśmy wszystkie terminy.
- Czy Kirkhead jest głupi? Czy myśli, że dziś przysięgli przyznają odszkodowanie, a następnego dnia pozwany wypisuje czek?
- Owszem, jest głupi, ale nie do tego stopnia.
- Przysłał cię tutaj?
- Tak. Naskoczył na mnie z samego rana i spodziewam się, że nie odpuści przez wiele kolejnych dni.
- Nie moglibyście poczekać chociaż z tydzień? Dać nam trochę odetchnąć, nacieszyć się chwilą?
- Chce, żeby przedstawić mu plan. Terminarz spłat. Na piśmie.
- Dam mu ten plan - powiedział Wes cichnym głosem. Nie chciał kłócić się z Huffym. Wprawdzie nie łączyła ich przyjaźń, ale utrzymywali dość bliskie stosunki i lubili swoje towarzystwo. Wes był bardzo wdzięczny Huffy'emu, że zdecydował się podjąć ryzyko. Huffy podziwiał Paytonów, że zaryzykowali wszystko. Spędził z nimi całe godziny, kiedy przekazywali dom, biuro, samochody, ubezpieczenia emerytalne.
- Porozmawiajmy o najbliższych trzech miesiącach - zaproponował Huffy. Nogi składanego krzesła, na którym siedział, były nierówne i kołysał się lekko podczas rozmowy.
- Wes głęboko odetchnął i przewrócił oczami. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.
- Kiedyś zarabialiśmy pięćdziesiąt tysięcy miesięcznie, trzydzieści bez opłat stałych, przed opodatkowaniem. Żyliśmy całkiem nieźle, jak pamiętasz. Potrzebujemy roku, żeby się wydobyć z tego bagna, i damy radę. Nie mamy wyboru. Przetrywamy do apelacji. Jeśli werdykt się utrzyma, Kirkhead dostanie pieniądze i niech idzie do diabła. My odpoczniemy, popływamy żaglówką. Jeśli werdykt zostanie odrzucony, ogłosimy bankructwo i zaczniemy się specjalizować w ekspresowych rozwodach.
- Werdykt na pewno przyciągnie klientów.
- Oczywiście, ale w większości to będą śmieciowe sprawy.
- Używając słowa „bankructwo”, Wes delikatnie usadził Huffy'ego na właściwym miejscu, a wraz z nim Kutasa i bank. Werdykt nie mógł być zaklasyfikowany jako aktywa, więc zestawienie bilansowe Paytonów wyglądało równie ponuro teraz, jak dzień wcześniej. Do tej pory zdążyli praktycznie stracić wszystko, a zasądzenie bankructwa było kolejnym poniżeniem, które mieli wycierpieć. Zebrało się tego. Przecież odbijają się od dna.
- Teraz nie dostaniesz planu, Huffy. Dziękuję, że zapytałeś. Wróc za miesiąc, pogadamy. W tej chwili czekają klienci, których zaniedbywałem od miesięcy.
- To co mara powiedzieć panu Kutasowi?

- Niech się podetrze tymi papierami. Nie naciskajcie tak, dajcie nam trochę czasu, a zwrócimy dług.

- Dobrze, przekażę.

W kawiarni Babe's przy Main Street Mary Grace usiadła z Tipem Shepardem w kubiku niedaleko okna od ulicy. Rozmawiali o mieście. Zapamiętała Main Street jako ruchliwe miejsce, gdzie gromadzili się przechodnie i kupujący. Bowmore było za małe na wielkie sklepy dyskontowe, więc śródmiejscy sklepikarze przetrwali. Dawniej panował tu tak gęsty ruch, że brakowało miejsca do parkowania. Teraz połowę witryn zasłaniała sklejka, a połowa sklepów ledwie zipała.

Nastolatka w fartuszku przyniosła dwa kubki czarnej kawy i odeszła bez słowa. Shepard przyglądał się uważnie Mary Grace.

- Jesteś pewna, że to można bezpiecznie pić? - zapytał.

- Oczywiście. Miasto wreszcie uchwaliło przepis zabraniający używania wody miejskiej w restauracjach. Poza tym znam Babę od trzydziestu lat. Jako jedna z pierwszych zaczęła kupować wodę.

Shepard ostrożnie upił łyk i przygotował magnetofon.

- Dlaczego zajęłaś się tymi sprawami? - zapytał.

Uśmiechnęła się, pokręciła głową, ciągle mieszając posłodzoną kawę.

- Sama się o to pytam po tysiąc razy, ale odpowiedź jest bardzo prosta. Pete, mąż Jeannette, pracował u mojego wuja. Znam niektóre ofiary. To małe miasteczko i kiedy tak wiele ludzi choruje, to oczywiste, że musi być jakiś powód. Rak przychodził falami, było tyle cierpienia. Po pierwszych trzech, czterech pogrzebach zdałam sobie sprawę, że coś trzeba zrobić.

Notował, nie zwracał uwagi na to, że przerwała. Po chwili mówiła dalej.

- Krane był największym pracodawcą, a pogłoski, że wyrzuca odpady wokół zakładu, krążyły od lat. Mnóstwo ludzi, którzy tam pracowali, zachorowało. Pamiętani, jak przyjechałam do domu po pierwszym roku studiów i usłyszałam, że tutejsi skarżą się na złą wodę. Mieszkaliśmy półtora kilometra za miastem i mieliśmy własną studnię, więc dla nas to nie był problem. Ale w mieście działo się coraz gorzej. Ciągłe mówiono o składowaniu odpadów, aż wreszcie wszyscy w to uwierzyli. Z czasem woda zmieniła się w cuchnący zgnilizną płyn. Potem uderzył rak: wątroba, nerki, moczowody, żołądek, pęcherz, mnóstwo przypadków białaczki. W niedzielę, kiedy byłam z rodzicami w kościele, widziałam cztery lśniąco łysy głowy. Chemia. Odnosiłam wrażenie, że trafiłam do filmu grozy.

- Żałowałaś, że podjęłaś się prowadzenia tej sprawy?

- Nigdy. Straciliśmy wiele, ale przecież to moje rodzinne miasto.

Mam nadzieję, że to już koniec naszych strat. Wes i ja jesteśmy młodzi, przetrwamy. Ale wielu z tych ludzi albo zmarło, albo śmiertelnie zachorowało.

- Myślisz o pieniądzach?

- O jakich pieniądzach? Apelacja zajmie osiem miesięcy, z dzisiejszej perspektywy to jak wieczność. Trzeba widzieć sprawę w szerszej perspektywie.

- To znaczy jakiej?

- Co będzie za pięć lat. Do tego czasu toksyczne składowisko zostanie oczyszczone, zniknie na zawsze i już nikt nie zostanie przez nie uszkodzony. Będą ugody, jedna wielka ugoda, a Krane Chemical i spółki ubezpieczeniowe zasiądą wreszcie do stołu i sięgną do swoich bardzo głębokich kieszeni, żeby dać odszkodowanie zniszczonym rodzinom. Każdy dostanie swój udział.

- Włączając w to adwokatów.

- Oczywiście. Gdyby nie adwokaci, Krane nadal produkowałoby tutaj pillamar 5 i składowało odpady w dołach za fabryką, a nikt nie pociągnąłby spółki do odpowiedzialności.

- No to przenieśli się teraz do Meksyku...

- Owszem. I guzik to kogo obchodzi: Tam nie grożą im procesy.

- Jakie są wasze szanse w procesie apelacyjnym?

Napiła się lurowatej, mocno osłodzonej kawy i już miała odpowiedzieć, kiedy wszedł agent ubezpieczeniowy, uściskał jej rękę, objął ją i kilkakrotnie podziękował. Kiedy odchodził, wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać. Potem pan Greenwood, dyrektor liceum, teraz na emeryturze, zauważył Mary Grace, swoją dawną uczennicę, i mało jej nie zmiażdżył w niedźwiedzim uścisku. Nie zwracając uwagi na Sheparda, gadał jak najęły, że jest z niej dumny. Dziękował, obiecywał, że będzie się za nią modlił, pytał o rodzinę i tak dalej. Kiedy odszedł po wylewnym pożegnaniu, podeszła Babę, właścicielka, z uściskami i kolejną rundą gratulacji.

Shepard w końcu wstał i wyszedł. Kilka minut później dołączyła do niego Mary Grace.

- Przepraszam - powiedziała. - To wielka chwila dla miasta.

- Są bardzo dumni.

- Chodźmy obejrzeć fabrykę.

Fabryka Numer 2 Krane Chemical w Bowmore, jak brzmiała oficjalna nazwa, mieściła się w porzuconej dzielnicy przemysłowej za wschodnią granicą miasta. Zakład składał się z serii budynków z pustaków, z płaskimi dachami, połączonych ogromną liczbą rur

i konwejerów. Wieże wodne i silosy wyrastały za budynkami. Wszystko zarośnięte było pnąciami kudzu i chwastami. Ze względu na sprawę sądową spółka odgrodziła zakład kilometrami wysokiego płotu z metalowej siatki, zwieńczonego błyszczącym drutem kolczastym. Ciężkie bramy zamknięte były na łańcuchy, z których zwisały kłódki. Fabryka jak więzienie, w którym dzieją się straszne rzeczy, stała odcięta od świata i zazdrośnie strzegła swoich tajemnic.

Mary Grace podczas procesu odwiedzała to miejsce co najmniej kilkanaście razy, ale zawsze w towarzystwie tłumu - innych prawników, inżynierów, byłych pracowników Krane, strażników, nawet sędziego Harrisona. Ostatnia wizyta odbyła się dwa miesiące wcześniej, kiedy przysięgłym urządzono wycieczkę po zakładzie.

Razem z Shepardem zatrzymali się przed główną bramą i dokładnie przyjrzeni się kłódkom. Na wielkiej murszejącej planszy widniała nazwa fabryki i jej właściciela. Patrzyli przez siatkę.

- Sześć lat temu, kiedy stało się już jasne, że rozprawa jest nieunikniona, Krane uciekł do Meksyku - odezwała się Mary Grace.

- Pracownikom dano trzydniowe wypowiedzenie i po pięćset dolarów odprawy; wielu z nich pracowało tu od trzydziestu lat. Zarząd postąpił niewiarygodnie głupio, bo niektórzy z dawnych pracowników zostali naszymi najlepszymi świadkami podczas rozprawy. Byli i są bardzo rozgoryczeni. Jeśli Krane miał jakichkolwiek przyjaciół w Bowmore, to stracił wszystkich, kiedy wypieprzył swoich robotników.

Fotoreporter pracujący z Shepardem spotkał się z nimi przy bramie głównej i zaczął robić zdjęcia. Ruszyli wzdłuż płotu, Mary Grace prowadziła.

- Przez lata nie było ogrodzenia. Regularnie dokonywano aktów wandalizmu. Przychodzili tu nastoletni chuligani, pili, brali narkotyki.

Teraz ludzie trzymają się z daleka od tego miejsca. Naprawdę nie potrzeba bram i płotów. Nikt nie ma ochoty zbliżyć się tutaj.

Mary Grace pokazała długi rząd opasłych metalowych cylindrów, stojących od północy.

- To się nazywa Dział Destylacji Numer 2 - wyjaśniła. - Bichloronylen powstawał tu jako produkt uboczny i był gromadzony w tych zbiornikach. Część usuwano stąd zgodnie z przepisami, ale większość wywożono do miejscowych lasów, dalej, z tyłu posiadłości i po prostu wrzucano do jaru.

- Dół Proctora?

- Tak, pan Proctor kierował usuwaniem odpadów. Umarł na raka, zanim zdążyliśmy

weszać go na świadka. - Przeszli kilkanaście metrów wzdłuż płotu. - Stąd nie widać, ale tam, w głębi lasu, są trzy jary, do których po prostu przywożono zbiorniki i przykrywano je ziemią i błotem. Z upływem lat źle uszczelnione baniaki zaczęły przeciekać.

Przez lata tony bichloronylenu, cartolyksu, aclaru i innych rakotwórczych substancji wsiąkły w ziemię. Jeśli wierzyć naszym ekspertom, a przysięgli najwyraźniej uwierzyli, trucizna w końcu skaziła warstwę wodonośną, z której korzystało Bowmore.

Z drugiej strony płotu wózkiem do golfa podjechali strażnicy. Dwóch opasłych ochroniarzy zatrzymało się i zaczęło gapić.

- Nich pan ich po prostu zignoruje - wyszeptła Mary Grace.

- Czego tu szukacie? - zapytał ochroniarz.

- Jesteśmy poza terenem fabryki - odpowiedziała.

- Czego tu szukacie? - powtórzył.

- Mary Grace Payton, adwokat - przedstawiła się. - Jedźcie swoją drogą, chłopcy.

Obaj jednocześnie skinęli głowami i powoli odjechali. Popatrzyła na zegarek.

- Naprawdę muszę już iść.

- Kiedy będziemy mogli znowu się spotkać?

- Zobaczymy. Niczego nie obiecuję. Atmosfera zrobiła się trochę nerwowa.

Wrócili do kościoła w Pine Grove i pożegnali się. Kiedy Shepard odjechał, Mary Grace przespacerowała się trzy przecznice do przyczepy Jeannette. Bette była w pracy, panował spokój. Przez godzinę Mary Grace siedziała z klientką pod drzewem i piła lemoniadę z butelki. Żadnych łez, żadnych chusteczek, po prostu kobieca rozmowa o życiu, rodzinach i minionych czterech miesiącach spędzonych razem w okropnej sali sądowej.

NA GODZINĘ PRZED ZAMKNIĘCIEM GIEŁDY NOTOWANIA KRANE SPADŁY do osiemnastu dolarów za akcję, potem zaczął się mizerny wzrost, jeśli można to tak nazwać. Cena przez pół godziny wahała się w okolicy dwudziestu dolarów za akcję, zanim zatrzymała się na tym poziomie.

Na domiar złego inwestorzy z jakichś powodów postanowili się ze mścić na pozostałej części imperium Carla. Należąca do niego Trudeau Group była właścicielem czterdziestu pięciu procent Krane i mniejszych kawałków innych sześciu spółek giełdowych - trzech chemicznych, jednej wydobywania ropy naftowej, wytwórni części samochodowych i sieci hoteli. Wkrótce po lunchu akcje tych sześciu spółek też zaczęły spadać. To nie miało żadnego sensu, ale giełda bywa nieprzewidywalna. Nędza jest zaraźliwa na Wall Street. Często następuje niezrozumiała zbiorowa panika.

Pan Trudeau nie przewidział reakcji łańcuchowej, podobnie jak Felix Bard, znający się na rzeczy czarodziej od finansów: Z przerażeniem patrzyli, jak z minuty na minutę miliard dolarów w wartości rynkowej ucieka z Trudeau Group.

Trzeba było na kogoś zwalić winę. Oczywiście wszystko zaczęło się od werdyktu w Missisipi. Ale wielu analityków, szczególnie tych bajdurzących ekspertów z kablówek, zwracało uwagę na fakt, że Krane Chemical od lat beczelnie nie korzysta z dobrodziejstw pełnego ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej. Spółka zaoszczędziła fortunę na składkach, ale teraz musi oddać wszystko workami. Bobby Ratzlaff słuchał analityka w telewizorze stojącym w rogu.

- Wyłącz to! - warknął Carl.

Była prawie czwarta po południu, magiczna godzina, kiedy giełda zostaje zamknięta i kończy się masakra. Carl siedział za biurkiem ze słuchawką przy uchu. Bard przy stole konferencyjnym wpatrywał się w dwa monitory i spisywał ostatnie notowania akcji. Ratzlaff był blady, chory i coraz bardziej czuł się bankrutem; chodził od okna do okna, jakby wybierał, z którego zacznie swój śmiertelny lot.

Pozostałych sześć spółek trochę się odbiło przed ostatnim dzwonkiem i chociaż znacząco spadły, straty nie oznaczały ruiny. Spółki były solidnymi przedsiębiorstwami i ich akcje, w odpowiednim czasie, powinny wrócić do poprzedniego kursu. Jednak Krane legło w gruzach. Na zamknięciu akcje kosztowały dwadzieścia jeden dolarów, dwadzieścia pięć centów, co oznaczało spadek o trzydzieści jeden dolarów, dwadzieścia pięć centów w

stosunku do poprzedniego dnia. Wartość rynkowa spółki skurczyła się z trzech miliardów dwustu milionów dolarów do jednego miliarda trzystu milionów. Czterdziestopięcioprocentowy udział pana Trudeau w tej nędzy wynosił około ośmiuset pięćdziesięciu tysięcy. Bard szybko podsumował spadki pozostałych sześciu spółek i obliczył, że jego szef w ciągu jednego dnia stracił miliard sto milionów. To nie rekord, ale z pewnością wystarczało, żeby Carl wylądował na liście dziesięciu największych przegranych.

Po przeglądzie bilansu zamknięcia Carl kazał Bardowi i Ratzlaffowi, żeby włożyli marynarki, poprawili krawaty i poszli za nim.

Cztery piętra niżej, w biurach Krane Chemical, wysocy rangą dyrektorzy zabarykadowali się w małej jadalni, zarezerwowanej do ich wyłącznego użytku. Jedzenie było zawsze nijakie, ale widoki wspaniałe. Ale tego dnia i tak nikt nie miał apetytu. Ogarnięci nerwicą frontową, od godziny oczekiwali wybuchu nad głowami. Masowy pogrzeb byłby weselszym wydarzeniem. Ale panu Trudeau udało się poprawić nastroje w salce. Wmaszerował pewien siebie, w towarzystwie dwóch ulubieńców - Barda z plastikowym uśmiechem i Ratzlaffa z pozieleniałą twarzą - i nie wrzeszczał, tylko podziękował swoim ludziom za ciężką pracę i poświęcenie dla spółki.

- Panowie, to nie jest najlepszy dzień - powiedział, szeroko się uśmiechając. - Jestem pewien, że zapamiętamy go na długo. - Mówił przyjemnym głosem, ot jeszcze jedna przyjacielska wizyta człowieka z samego szczytu. - Ale ten dzień się skończył, na szczęście, a my nadal stoimy na nogach. Jutro zaczniemy kopać tyłki.

Kilka nerwowych spojrzeń, niepewnych uśmiechów. Większość spodziewała się, że zostanie z miejsca zwolniona.

- Chcę, żebyście zapamiętali trzy rzeczy, o których zaraz powiem przy tej historycznej okazji - ciągnął Carl. - Po pierwsze, nikt w tej sali nie straci pracy. Po drugie, Krane Chemical przetrwa tę pomyłkę sprawiedliwości. I po trzecie, nie zamierzam przegrać walki.

Był uosobieniem pewnego siebie przywódcy, kapitanem, który podrywa swoich żołnierzy z okopów. Znak zwycięstwa, długie cygareto i mógłby być Churchillem w jego najlepszych dniach. Rozkazał podnieść głowy, wyprostować plecy.

Nawet Bobby Ratzlaff poczuł się lepiej.

Dwie godziny później Ratzlaff i Bard zostali wreszcie odesłani do domów. Carl potrzebował czasu na zastanowienie, lizanie ran, uporządkowanie myśli. Żeby poszło lepiej, przygotował sobie scotcha i zdjął buty. Słońce zachodziło gdzieś za New Jersey, a on żegnał się z tym niezapomnianym dniem.

Zerknął na komputer i sprawdził, kto dzwonił w ciągu dnia. Brianna telefonowała

cztery razy, nic pilnego. Gdyby miała ważną sprawę, sekretarka Carla zaznaczyłaby to jako „pańska żona”, a nie „Brianna”. Oddzwonił później. Nie miał nastroju na wysłuchiwanie sprawozdań z codziennych ćwiczeń.

Było ponad czterdzieści połączeń, jego uwagę przyciągnął numer dwudziesty ósmy. Senator Grott dzwonił z Waszyngtonu. Carl nie utrzymywał z nim bliskich kontaktów, ale każdy poważny gracz korporacyjny znał Tego Senatora. Grott miał za sobą trzy kadencje w Senacie Stanów Zjednoczonych z Nowego Jorku, zanim przeszedł na dobrowolną emeryturę i dołączył do wpływowej kancelarii adwokackiej, żeby zbić fortunę. Był uosobieniem Waszyngtonu, człowiekiem najlepiej poinformowanym, doświadczonym prawnikiem i doradcą dysponującym biurami na Wall Street, Pennsylvania Avenue i gdzie tylko chciał. Senator Grott miał więcej kontaktów niż ktokolwiek inny, często grywał w golfa z każdym lokatorem Białego Domu, podróżował po świecie, poszukując kolejnych kontaktów, dawał porady tylko bogatym i ogólnie był uważany za najważniejsze ogniwo łączące wysoko postawionych biznesmenów i przedstawicieli rządu. Jeśli dzwoni senator, trzeba oddzwonić, nawet jeśli właśnie straciło się miliard dolarów. Senator dokładnie znał bilans i martwił się z tego powodu.

Carl wybrał prywatny numer. Po ośmiu dzwonek odezwał się szorstki głos.

- Grott.

- Panie senatorze, mówi Carl Trudeau - odezwał się uprzejmie Carl. Z szacunkiem odnosił się do niewielu osób, ale senator wymagał respektu i zasługiwał na niego.

- Ach, to ty, Carl - nadeszła odpowiedź, jakby nieraz grywali w golfa. Ot, dwóch starych kumpli. Carl słuchał tego głosu i myślał o niezliczonych okazjach, kiedy widział senatora w wiadomościach. - Jak się miewa Amos? - zapytał.

Był to kontakt, człowiek, który łączył ich obu.

- Świetnie. W ubiegłym miesiącu jadłem z nim lunch. - Kłamstwo. Amos był partnerem i szefem w kancelarii adwokackiej zajmującej się wielkimi spółkami i Carl korzystał z jego usług od dziesięciu lat.

Nie z kancelarii senatora. Ale Amos był poważną osobistością, z pewnością na tyle, żeby zasługiwać na wzmiankę ze strony senatora.

- Przekaż mu moje najlepsze życzenia.

- Oczywiście. - No, teraz do dzieła, myślał Carl.

- Słuchaj, wiem, że miałeś ciężki dzień, więc nie chcę cię zatrzymywać. - Przerwa. - Jest taki człowiek w Boca Raton, z którym powinieneś się spotkać, nazywa się Rinehart, Barry Rinehart. To ktoś w rodzaju konsultanta, chociaż nie znajdziesz go w książce

telefonicznej.

Jego firma specjalizuje się w wyborach.

Długa przerwa.

- Okay. Słucham - odezwał się w końcu Carl.

- Jest bardzo kompetentny, mądry, dyskretny, skuteczny i drogi.

Ale jeśli ktokolwiek zdoła załatwić ten werdykt, to tylko on.

- Załatwić werdykt - powtórzył Carl.

Senator mówił dalej.

- Jeśli jesteś zainteresowany, zadzwonię do niego, otworzę drzwi.

, .. - No, tak, oczywiście, że jestem zainteresowany.

„Załatwić werdykt. To brzmiało jak muzyka.

- Dobrze, będę w kontakcie.

- Dziękuję.

Na tym rozmowa się skończyła. Typowe dla senatora. Przysługa tu, odpłata tam. Wszystkie kontakty w ruchu. Ale pewnego dnia senatorowi trzeba będzie się zrewanżować.

Carl zamieszał scotcha palcem i popatrzył na pozostałe telefony. Sama nęcza.

Załatwić werdykt, powtarzał bez ustanku.

Na środku nieskazitelnego biurka leżał raport z napisem „poufne”. Czyż wszystkie jego raporty nie były poufne? Na pierwszej stronie ktoś nabazgrał czarnym markerem nazwisko Payton. Carl podniósł raport, oparł stopy o biurko i zaczął przeglądać zawartość teczek. Zdjęcia z wczorajszego procesu - państwo Paytonowie wychodzą z budynku sądu, idą triumfalnie, ramię w ramię. Było i wcześniejsze, Mary Grace z publikacji rady adwokackiej. Pobieżna notka biograficzna. Miejsce urodzenia: Bowmore, college w Millsaps, studia prawnicze na starym, dobrym uniwersytecie stanu Missisipi, dwa lata pracy dla rządu federalnego, dwa na stanowisku obrońcy z urzędu, stanowisko prezesa rady adwokackiej hrabstwa, adwokatura, rada szkolna, członek stanowej Partii Demokratycznej i kilku grup obrońców środowiska.

W tej samej publikacji fotografia i biogram Jamesa Wesleya Paytona. Urodzony w Monroe, w Luizjanie, kursy futbolu amerykańskiego na uniwersytecie Południowego Missisipi, studia prawnicze w Tulane, trzy lata na stanowisku szefa prokuratury, członek grupy adwokatów wolontariuszy, Rotary Club, klub pomocy dla niepełnosprawnych i tak dalej.

Dwoje prowincjonalnych adwokacin biegających za karetkami pogotowia, którzy właśnie doprowadzili do usunięcia Carla z listy czterystu najbogatszych Amerykanów

„Forbesa”.

Dwoje dzieci - niania, nielegalna imigrantka, szkoły publiczne, kościół episkopalny, mieszkanie i biuro, którym grozi zajęcie, dwa samochody, też do zajęcia, praktyka - bez partnerów, tylko personel pomocniczy - która liczy już dziesięć lat i kiedyś była całkiem dochodowa, według małomiasteczkowych standardów, ale teraz prowadzona jest w opuszczonym sklepie z tanimi rzeczami - czynsz niepłacony co najmniej od trzech miesięcy. A potem coś miłego - potężne długi, minimum czterysta tysięcy, wobec Drugiego Banku Stanowego i linia kredytowa praktycznie bez zabezpieczenia. Od pięciu miesięcy żadnych spłat, nawet odsetek. Drugi Bank Stanowy był lokalną instytucją, z dziesięcioma filiami na południu Missisipi. Czterysta tysięcy dolarów pożyczki na jeden cel: sfinansowania powództwa przeciwko Krane Chemical.

- Czterysta tysięcy dolarów - wymamrotał Carl. Jak do tej pory wypłacił około czternastu milionów na cholerną obronę swojego stanowiska.

Konta bankowe puste. Karty kredytowe zablokowane. Inni klienci, nie licząc kompanii z Bowmore, ponoć są wściekli, bo czują się zaniedbywani.

Żadnych innych wartych wspomnienia wyroków. Nic, co zbliżałoby się do miliona dolarów.

Podsumowanie: ci ludzie są potężnie zadłużeni i ledwo się trzymają. „Wystarczy lekko pchnąć i spadną w przepaść. Strategia: przeciągać apelację, zwlekać, zwlekać. Podkreślić presję ze strony banku. Może wykupić Drugi Stanowy i zażądać spłaty długu. Ogłoszenie bankructwa będzie jedynym wyjściem. Istotna przeszkoda, gdy nadciąga apelacja. Ponadto Paytonowie nie zdołają zająć się trzydziestoma sprawami przeciwko Krane i zapewne odmówią przyjęcia większej liczby klientów.

Saldo: można zniszczyć tę małą kancelarię.

Memorandum nie było podpisane i nic dziwnego, ale Carl wiedział, że zostało przygotowane przez jednego z dwóch wynajętych zbirów pracujących w biurze Ratzlaffa. Dowie się, który to, i da chłopakowi podwyżkę. Dobra robota.

Wielki Carl Trudeau rozbijał wielkie koncerny, przejmował wrogo nastawione zarządy, wyrzucał z pracy sławnych prezesów, podminowywał całe gałęzie przemysłu, obdzierał ze skóry bankierów, manipulował cenami akcji i niszczył kariery dziesiątków swoich wrogów.

Z pewnością da radę zrujnować operetkową kancelarię taty z mamą z Hattiesburga w stanie Missisipi.

Toliver przywiózł go do domu po dziewiątej wieczorem. Carl wybrał tę godzinę, bo

niania położyła już Sadler do łóżka, więc nie będzie musiał udawać, że świata nie widzi poza dzieckiem, które go nie interesowało. Tego drugiego dziecka nie da się uniknąć. Brianna posłusznie czeka na niego. Zjedzą kolację przy kominku.

Kiedy przeszedł przez próg, stanął twarzą w twarz z Imeldą, którą już ulokowano na stałe w korytarzu. Wyglądała na bardziej znieważoną niż poprzedniego wieczoru. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie zagapić się na rzeźbę. Czy ten stos pretów z brązu naprawdę przypomina młodą dziewczynę? Gdzie tułów? Gdzie kończyny? Gdzie głowa? Nie do wiary, że zapłacił tyle pieniędzy za taki abstrakcyjny bałagan.

Jak długo ten dziwoląg będzie go prześladować w jego własnym penthausie?

Kiedy lokaj zdejmował mu płaszcz i odbierał teczkę, Carl patrzył smutno na arcydzieło.

- Cześć, kochany. - Do pokoju wpłynęła Brianna, wlokąc za sobą czerwony tren. Cmoknęli się w policzki. - Czyż nie jest oszalamiająca?

- Wskazała na Imeldę.

- Oszalamiająca, to właściwe słowo - przyznał. Popatrzył na Briannę, potem na Imeldę i miał ochotę udusić obie. Ale mu przeszło. Nigdy nie przyznawał się do porażki.

- Kolacja gotowa, kochany - zagruchała.

- Nie jestem głodny. Napijmy się.

- Ale Claudelle przygotowała twoje ulubione danie: pieczoną solę.

- Nie mam apetytu, moja droga. - Zerwał krawat i rzucił go lokajowi.

- Dziś było okropnie, wiem - powiedziała. - Scotcha?

- Tak.

- Opowiesz mi o tym? - zapytała.

- Bardzo chętnie.

Prywatny doradca finansowy Brianny, kobieta, której Carl nie znał, dzwoniła w ciągu dnia z najnowszymi informacjami o katastrofie. Brianna znała liczby i słyszała raporty, że jej mąż stracił miliard.

Odesłała obsługę kuchni, potem przebrała się w szlafrok, który pokazywał znacznie więcej niż suknia. Usiedli przy kominku i gawędzili, póki nie zasnął.

W PIĄTEK, O DZIESIĄTEJ RANO, DWA DNI PO WERDYKCIE, Zespół Pytonów spotkał się w sali narad, wielkiej otwartej przestrzeni, otoczonej niemalowanymi ścianami, wzdłuż których stały półki własnej roboty z tomami statystyk medycznych, informacjami o przysięgłych, opiniami biegłych świadków i setkami innych dokumentów i przedmiotów służących jako dowody procesowe. Pośrodku pomieszczenia znajdowało się coś w rodzaju stołu - cztery wielkie płyty z grubej na dwa centymetry sklejki, zamontowane na drewnianych kozłach, otoczone przygnębiającą kolekcją metalowych i drewnianych krzeseł. Prawie każdemu meblowi brakowało jakiejś części. Stół przez ostatnie cztery miesiące najwyraźniej był okiem cyklonu - leżały na nim stosy papierów i książek prawniczych. Sherman, pracownik kancelarii, spędził większą część poprzedniego dnia na wynoszeniu kubków po kawie, pudełek po pizzy, pojemników po chińskim jedzeniu i pustych butelek po wodzie. Pozamiatał też betonową podłogę, chociaż nie na wiele się to zdało.

Poprzednia kancelaria, dwupiętrowy budynek przy Main Street, była pięknie urządzona, dobrze wyposażona i co wieczór czyszczona przez firmę sprzątającą. Pozory i schludność wtedy się liczyły.

Teraz po prostu próbowali przetrwać.

Mimo nędznego otoczenia panował wesoły nastrój. Przyczyny były oczywiste. Skończył się maraton. Ogłoszono niewiarygodny werdykt. Zjednoczona trudem i przeciwnościami, dobrze zorganizowana mała kancelaria podjęła się walki z bestią i odniosła wielkie zwycięstwo w imieniu pozytywnych bohaterów.

Mary Grace przywołała zebranych do porządku. Telefony wyłączono, bo Tabby, recepcjonistka, należała do zespołu i spodziewano się, że weźmie udział w dyskusji.

Sherman i drugi pracownik, Rusty, nosili dzinsy, bluzy i nie zakładali skarpetek. Nie widzieli potrzeby troszczyć się o strój, skoro pracowali w mało eleganckim lokalu. Tabby i Vicky, druga recepcjonistka, zrezygnowały z ładnych ubrań, kiedy obie porozrywały sobie sukienki o meble z wyprzedazy. Tylko Olivia, stateczna księgowa, pojawiała się codziennie w biurowym kostiumie.

Usiedli wokół stołu ze sklejki, popijali podłą kawę, od której zdążyli się już uzależnić, i uśmiechnięci słuchali podsumowania wygłaszanego przez Mary Grace.

- Będą zwykłe poprocesowe wnioski - mówiła. - Sędzia Harrisom wyznaczył termin przesłuchania za miesiąc, ale nie oczekujemy niespodzianek.

- Za sędziego Harrisona. - Sherman wznosił toast kawą.

W kancelarii panowała demokracja. Wszyscy obecni uważali się za równych. Każdy mógł zabierać głos, kiedy chciał. Mówiono do siebie wyłącznie po imieniu. Nędza to wielki egalitarysta.

Mary Grace kontynuowała wystąpienie.

- Przez kilka następnych miesięcy razem z Shermanem będziemy się zajmowali postęпами sprawy Baker i na bieżąco poprowadzimy inne sprawy z Bowmore. Wes i Rusty zajmą się resztą i zaczną zarabiać gotówkę.

Oklaski.

- Za gotówkę. - Sherman wznosił kolejny toast.

Wieczorowo skończył aplikację, ale nie zdał egzaminu adwokackiego. Miał teraz ponad czterdzieści lat i praktykę zawodową pomocnika w kancelarii adwokackiej. O prawie wiedział więcej niż większość adwokatów. Rusty był dwadzieścia lat młodszy i myślał o akademii medycznej.

- Skoro jesteśmy przy tym temacie - ciągnęła Mary Grace - Olivia dała mi najnowszy raport na temat zadłużenia. Jakże mi miło. - Podniosła kartkę i popatrzyła na liczby. - Zalegamy z płatnością czynszu za trzy miesiące na łączną sumę czterech tysięcy pięciuset dolarów.

- Och, niechże nas eksmitują - mruknął Rusty.

- Ale właściciel nadal jest naszym klientem i nie robi problemów.

Oczywiście, wszystkie inne płatności, za telefony i elektryczność, są co najmniej o dwa miesiące opóźnione. Wynagrodzenia nie były płacone od czterech tygodni...

- Pięciu - sprostował Sherman.

- Jesteś pewien? - zapytała.

- Jak tego, że dzisiaj jest piątek. Dzień wypłaty, przynajmniej kiedyś.

- Przepraszam, pięć tygodni opóźnienia. Powinniśmy mieć jakąś gotówkę za tydzień, kiedy zakończymy sprawę Raneya. Postaramy się nadgonić.

- Przetrwaliśmy - powiedziała Tabby, jedyny singiel w kancelarii.

Wszyscy inni mieli pracujących mężów i żony. Chociaż budżet był boleśnie napięty, wiedzieli, że dadzą radę się utrzymać.

- A co z rodziną Paytonów? - zapytała Vicky.

- W porządku - powiedział Wes. - Dziękuję za troskę, ale dajemy sobie radę, tak jak wy. Mówiłem o tym sto razy, ale powtórzę. Mary Grace i ja zapłacimy wam, jak tylko zdobędziemy gotówkę. Wszystko idzie ku lepszemu.

- Bardziej niepokoiły się o was - dodała Mary Grace.

Nikt nie odchodził. Nikt nie groził.

Umowa została zawarta dawno temu, chociaż nie na piśmie. Kiedy - i o ile - sprawa z Bowmore przyniesie zyski, pieniądze zostaną rozdzielone na całą kancelarię. Może nie po równo, ale wszyscy obecni nie mieli wątpliwości, że dostaną swój udział.

- A co z bankiem? - zapytał Rusty. Nie było już tajemnic. Wiedzieli, że Huffy przyszedł poprzedniego dnia upomnieć się o spłatę długu.

- Mam to pod kontrolą - powiedział Wes. - Jeśli jeszcze bardziej nacisną, powołamy się na artykuł jedenasty i niech się chrzanią.

- Głosuję za tym, żeby chrzanić bank.

Wyglądało na to, że w sali jednomyślnie uznano konieczność chrzanienia banku, chociaż wszyscy znali prawdę. Rozprawa byłaby niemożliwa bez wsparcia ze strony Huffy'ego i nakłonienia pana Kutasa, żeby otworzył linię kredytową. Wiedzieli też, że Paytonowie nie spoczną, dopóki nie spłacą długu.

- Ze sprawy Raneya powinniśmy zgarnąć dwanaście tysięcy - podliczała głośno Mary Grace. - I kolejne dziesięć tysięcy z pogryzienia przez psa.

- Może nawet piętnaście - dodał Wes.

- I co wtedy? Kiedy będzie następna ugoda? - Mary Grace rzuciła tę myśl, żeby ją rozważyli.

- Geeter - powiedział Sherman. To było coś więcej niż sugestia.

Wes spojrzał na Mary Grace. Oboje popatrzyli na Shermana bez zrozumienia.

- Kto to jest Geeter?

- Nasz klient. Poślizgnął się i upadł w sklepie Krogera. Przyszedł osiem miesięcy temu.

Siedzący za stołem spoglądali ze zdziwieniem. Było oczywiste, że oboje prawników zapomniało o Geeter ze.

- Nie przypominam go sobie - przyznał Wes.

- Jaki ma potencjał? - zapytała Mary Grace.

- Niewielki. Odpowiedzialność wątpliwa. Może na dwadzieścia tysięcy. W poniedziałek przejrzą z wami akta.

- Dobry pomysł - powiedziała Mary Grace i szybko zmieniła temat. - Wiem, że telefony się rozdzwoniły i że jesteśmy kompletnie splukani, ale nie zaczniemy brać byle czego. Żadnych sporów o nieruchomości i bankructw. Żadnych spraw kryminalnych, chyba że za pieniądze. Żadnych oprotestowanych rozwodów. Będziemy robić szybkie sprawy po

tysiąc dolarów, ale wszystko musi być dogadane. Nasza kancelaria zajmuje się obrażeniami cielesnymi i jeśli zasypią nas detale, nie starczy nam czasu na dochodowe interesy. Są pytania?

- Przez telefon jest zgłaszanych mnóstwo dziwnych spraw - odezwała się Tabby. - I to z całego kraju.

- Po prostu trzymajmy się zasad - odparł Wes. - Nie możemy zająć się klientami z Florydy albo z Seattle. Potrzebne nam są szybkie ugody tutaj, na miejscu, przynajmniej przez najbliższych dwanaście miesięcy.

- Ile czasu zajmie apelacja? - zapytała Vicky.

- Półtora roku do dwóch lat - odpowiedziała Mary Grace. - I niewiele możemy zrobić, żeby to przyspieszyć. Takie są procedury. Dlatego musimy przycupnąć i wyciągać honoraria skądinąd.

- Co zahacza o inny temat - powiedział Wes. - Werdykt całkowicie zmienił krajobraz. Po pierwsze, nadzieje są teraz ogromne i wkrótce zaczną nas zadreć inni klienci z Bowmore. Chcą swoich pięciu minut w sądzie, swojego wielkiego werdyktu. Musimy być cierpliwi, ale nie możemy pozwolić, żeby ci ludzie weszli nam na głowy. Po drugie, do Bowmore nadsięgną sępy. Adwokaci zaczną się prześcigać w poszukiwaniu klientów. To będzie wolna amerykanka. Wszelkie kontakty z innymi kancelariami muszą być natychmiast zgłaszane. Po trzecie, werdykt wywarł ogromny nacisk na Krane. Ich brudne sztuczki staną się jeszcze brudniejsze. Nasłali ludzi, którzy nas obserwują. Nie ufajcie nikomu. Nie rozmawiajcie z nikim. Nic nie opuszcza murów tej kancelarii. Wszystkie zbędne dokumenty idą do niszcarki. Jak tylko będziemy mogli sobie na to pozwolić, wynajmiemy nocnego stróża.

Wniosek: uważajcie na wszystkich i na swoje głowy.

- Fajnie - zapiszczała podekscytowana Vicky. - Jak w filmie.

- Jeszcze jakieś pytania?

- Tak - powiedział Rusty. - Czy razem z Shermanem możemy znowu zacząć jeździć za karetkami pogotowia? Wiecie, od początku procesu minęły cztery miesiące. Naprawdę brakuje mi tych emocji.

- Od tygodni nie widziałem oddziału pierwszej pomocy od środka - dodał Sherman. - Tęsknię za dźwiękiem syren.

Nie było jasne, czy żartują, czy mówią poważnie, ale chwila sprzyjała dowcipom, więc każdy mógł się pośmiać. Wreszcie Mary Grace powiedziała:

- Naprawdę nie obchodzi mnie, co robicie; po prostu nie muszę wszystkiego wiedzieć.

- Zebranie zakończone - oznajmił Wes. - Jest piątek. Wychodzimy w południe. Zamykamy drzwi. Widzimy się w poniedziałek.

Zabrali Macka i Lizę ze szkoły i po lunchu w fast foodzie jechali przez godzinę na południe, mijając wsie, aż zobaczyli jezioro Garland. Asfalt był coraz - węższy, wreszcie przeszedł w żwir. Chata stała na końcu wiejskiej drogi, sterczała nad wodą na palach, wciśnięta między linię lasu a brzeg. Z werandy wychodziło krótkie molo, a dalej rozciągały się wody wielkiego jeziora. Nie było tu innych śladów działalności człowieka, ani na jeziorze, ani wokół niego.

Chata należała do przyjaciela, adwokata z Hattiesburga, u którego Wes kiedyś pracował i który odmówił mieszkania się w brudy Bowmor. Jeszcze dwie doby wcześniej wydawało się, że to mądra decyzja. Teraz były co do tego poważne wątpliwości.

Z początku chcieli się wybrać do położonego parę godzin jazdy dalej Destin i spędzić długi weekend na plaży. Ale po prostu nie mogli sobie na to pozwolić.

Wyładowali rzeczy z samochodu, włączyli się po przestronnej chacie i strychu, który Mack, po spenetrowaniu, uznał za doskonały na kolejną „kempingową” noc.

Na parterze były trzy małe sypialnie. Na razie Wes marzył, żeby w ten weekend porządnie się wyspać i spokojnie spędzić czas z dziećmi.

Tak, jak im obiecano, sprzęt wędkarski znajdował się w składziku pod werandą. Łódź podciągnięta kołowrotem wisiała na końcu mola. Dzieci patrzyły z oczekiwaniem, jak Wes spuszcza ją na wodę. Mary Grace sprawdzała, czy dzieci dobrze założyły kamizelki ratunkowe. Godzinę po przyjeździe leżała wygodnie na leżance, na werandzie, opatulona w kołdrę, z książką w ręku i patrzyła, jak reszta rodziny płynie wzdłuż niebieskiego horyzontu jeziora Garland, trzy małe postacie polujące na leszcze i okonie.

Była połowa listopada, żółte liście opadały, kręcąc się na wietrze, pokrywały chatę, molo i wodę. Panowała idealna cisza. Odgłosy małej motorówki płynącej daleko, przy słabym wietrze nie docierały do brzegu. Ptaków i dzikiej zwierzyny nie było o tej porze w okolicy. Całkowity spokój, rzecz w życiu rzadka, a teraz szczególnie cenna. Odłożyła książkę, zamknęła oczy, próbowała myśleć o czymś, co nie miałooby związku z wydarzeniami kilku ostatnich miesięcy.

Co z nimi będzie za pięć lat? Skupiła się na przyszłości, bo przeszłość całkowicie należała do sprawy Baker. Z pewnością kupią dom, chociaż nigdy już nie zaryzykują i nie wezmą tłustego kredytu hipotecznego na pretensjonalny zameczek na przedmieściach. Chciała mieć dom, nic więcej. Już nie obchodziły ją samochody z importu, wytworna kancelaria i inne zabawki, które kiedyś wydawały się takie ważne. Pragnęła być matką dla

swoich dzieci i wychowywać je we własnym domu.

Poza rodziną i majątkiem myślała o pracownikach. Kancelaria będzie większa, pełna mądrych, utalentowanych prawników, zajmujących się wyłącznie ściganiem tych, którzy nielegalnie składują toksyczne odpady, produkują szkodliwe lekarstwa i wadliwe towary. Pewnego dnia firma Payton & Payton będzie znana nie z wygranych spraw, ale z nazwisk obwiesi, których postawiła przed sądem.

Miała czterdzieści jeden lat i czuła się zmęczona. Ale znużenie minie. Stare marzenia o poświęceniu się dzieciom i wygodnym życiu domowym zostały zapomniane na zawsze. Krane Chemical zmieniło ją w radykała i bojownika. Po tych ostatnich czterech miesiącach nie będzie już taka jak przedtem.

Dość. Szeroko otworzyła oczy.

Każdą myślą wracała do sprawy, do Jeannette Baker, rozprawy, Krane Chemical. Nie chciała strawić tego spokojnego, miłego weekendu na takich rozważaniach. Znow sięgnęła po książkę i zaczęła czytać.

Na kolację zrobili hot dogi i piankę cukrową na kamiennym piecu nad wodą, potem, w ciemności, usiedli na molu i patrzyli na gwiazdy. Powietrze było czyste i chłodne, przytulili się do siebie pod kołdrą. Odległe światło migało na horyzoncie. Po chwili dyskusji doszli do wniosku, że to tylko jakaś łódź.

- Tato, opowiedz nam historię - poprosił Mack. Siedział ściśnięty między siostrą a matką.

- Jaką historię?

- O duchach. Straszna.

Pierwsze, co mu przyszło na myśl, to były psy z Bowmore. Przez lata stado bezpańskich kundli błąkało się po peryferiach miasta. Często, w głuchą noc szczekały, wyły i robiły większy hałas niż stado kojotów. Miejscowe legendy głosiły, że psy dostały wścieklizny, bo piły zatrutą wodę.

Ale miał już dosyć Bowmore. Przypomniał sobie historyjkę o duchu, który chodził nocą po wodzie, szukając ukochanej żony, topielicy. Zaczął opowiadać, a dzieci mocniej przytuliły się do rodziców.

UMUNDUROWANY STRAŻNIK OTWORZYŁ BRAMĘ DO POSIADŁOŚCI, skinął głową kierowcy i długi czarny mercedes przemknął, jak zwykle w pośpiechu. Pan Carl Trudeau siedział z tyłu, sam, zatopiony w lekturze porannych gazet. Było wpół do ósmej rano, za wcześnie na golfa, tenisa czy na poranne przejażdżki po Palm Beach. W ciągu kilku minut samochód znalazł się na Międzystanowej 95, gnał na południe.

Carl zignorował informacje z giełdy. Dzięki Bogu tydzień już się skończył. Na zamknięciu poprzedniego dnia Krane kosztowało po dziewiętnaście pięćdziesiąt, a cena nie osiągnęła jeszcze dna. Chociaż zostanie zapamiętany na zawsze jako jeden z nielicznych, którzy stracili miliard dolarów w jeden dzień, już zaczynał pracować na rzecz kolejnej legendy. Wystarczy mu rok, a odzyska swój miliard. W dwa lata podwoi majątek.

Czterdzieści minut później dotarł do Boca Raton, przejeżdżał nad kanałem żeglownym i zbliżał się do grupy wysokich bloków z mieszkaniami własnościowymi i hoteli stojących ciasno wzdłuż plaży. Biurowiec był lśniącym szklanym cylindrem, wysokim na dziewięć pięter, z bramą i strażnikiem, ale bez żadnych tablic informacyjnych. Mercedes został przepuszczony i zatrzymał się pod portykiem. Młody człowiek o surowej twarzy, w czarnym garniturze, otworzył tylne drzwi.

- Dzień dobry, proszę pana - powiedział.
- Dzień dobry - odparł Carl, wysiadając.
- Proszę tędy.

Według pospiesznej kwerendy dokonanej przez Carla, firma Troy - Hogan bardzo się starała nie rzucać w oczy. Nie miała strony internetowej, broszur, ogłoszeń, numeru w książce telefonicznej ani czegokolwiek, co mogłoby przyciągnąć klientów. Nie była to kancelaria prawnicza, bo nie została zarejestrowana w tym charakterze w stanie Floryda ani w żadnym innym. Nie pracowali w niej oficjalni lobbyści. Nie wiadomo, skąd wzięła się nazwa, bo nie było śladu po kimś o nazwisku Troy albo Hogan. Firma ponoć zajmowała się marketingiem i usługami konsultingowymi, ale nic nie wskazywało, żeby prowadziła tego rodzaju działalność zarobkową. Siedzibę miała na Bermudach, a na Florydzie funkcjonowała od ośmiu lat. Krajowym przedstawicielstwem była kancelaria prawnicza w Miami. Należała do prywatnego właściciela, którego nikt nie znał.

Im mniej Carl wiedział o firmie, tym bardziej ją podziwiał.

Stanowisko szefa piastował Barry Rinehart i w tym wypadku trop był nieco

wyraźniejszy. Według przyjaciół i kontaktów z Waszyngtonu Rinehart przemknął dwadzieścia lat wcześniej przez DC, nie zostawiając odcisków palców. Pracował dla kongresmanów, Pentagonu i paru lobbystów średniej wielkości - typowy życiorys zawodowy niczym nieróżniący się od milionów innych. Miasto opuścił w 1990 roku bez oczywistych powodów i wypłynął w Minnesocie, gdzie poprowadził udaną kampanię dla nieznanego publicznie polityka, który został wybrany do Kongresu. Potem udał się do Oregonu. Tam roztoczył swoje czary w wyścigach do Senatu. Kiedy jego reputacja zaczęła się umacniać, nagle zrezygnował z prowadzenia kampanii i zniknął z horyzontu. Na tym trop się kończył.

Rinehart: czterdzieści osiem lat, dwukrotnie żonaty i dwukrotnie rozwiedziony. Nie miał dzieci, nie był notowany, nie należał do stowarzyszeń zawodowych, klubów obywatelskich. Ukończył Wydział Nauk Politycznych na Uniwersytecie Stanu Maryland i prawo na Uniwersytecie Stanu Nevada.

Mało kto się orientował, co Rinehart teraz robił, ale z pewnością robił to dobrze. Jego apartament na najwyższym piętrze cylindra był pięknie udekorowany minimalistyczną sztuką nowoczesną i gustownie umeblowany. Carl, który nie oszczędzał na własnym biurze, był pod wrażeniem.

Barry czekał przy drzwiach gabinetu. Podali sobie ręce, wymienili zwyczajowe grzeczności, przyjrzeni się szczegółom swoich garniturów, koszul, krawatów, butów. Wszystko robione na miarę. Żaden szczegół nie został zaniedbany, mimo że był niedzielny poranek w południowej części Florydy. Wrażenia odgrywały niezwykle istotną rolę, szczególnie dla Barry'ego, którego podniecała perspektywa usidlenia nowego i zamożnego klienta.

Carl spodziewał się raczej sprytnego sprzedawcy samochodów w byle jakim garniturze, ale przyjemnie się rozczarował. Pan Rinehart okazał się dostojnym, dobrze wychowanym mężczyzną. Mówił łagodnie i zachowywał się bardzo swobodnie w obecności potężnego człowieka. Z pewnością nie był mu równy, ale dobrze sobie radził z pokonywaniem tej różnicy.

Kiedy weszli do środka, zobaczyli ocean. Sekretarka zapytała, czy napiją się kawy. Z dziesiątego piętra, przy plaży, Atlantyk rozciągał się w nieskończoność. Carl, który parę razy dziennie patrzył na rzekę Hudson, poczuł zazdrość.

- Pięknie - powiedział, wyglądając przez rząd wysokich okien.
- Niezłe miejsce do pracy - stwierdził Barry.

Usiedli na beżowych skórzanych fotelach, przyniesiono kawę. Sekretarka zamknęła za sobą drzwi, co sprawiło, że w pokoju zapanowała przyjemna aura bezpieczeństwa.

- Doceniam, że spotkał się pan ze mną w niedzielny poranek i do tego tak szybko - zaczął Carl.

- Cała przyjemność po mojej stronie. To był ciężki tydzień.

- Miewałem lepsze. Zakładam, że rozmawiał pan osobiście z senatorem Grottem.

- O tak. Gawędzimy od czasu do czasu.

- Bardzo niejasno wyrażał się o pańskiej firmie i o tym, co pan robi.

Barry roześmiał się i założył nogę na nogę.

- Zajmujemy się kampaniami. Proszę spojrzeć. - Podniósł pilota i nacisnął guzik. Z sufitu zjechał wielki, biały ekran i zakrył większą część ściany, pojawiła się na nim mapa całego kraju. Większość stanów była zielonego koloru, reszta w stonowanym żółtym. - Trzydzieści jeden stanów wybiera sędziów sądów apelacyjnych i najwyższych.

W tych zaznaczonych na żółto rozsądnie mianuje się zespoły sędziowskie. My żyjemy z tych zielonych.

- Wybory sędziów.

- Tak. Tylko tym się zajmujemy i robimy to bardzo cicho. Kiedy nasi klienci potrzebują pomocy, skupiamy się na sędzim, który nie jest nastawiony nazbyt przyjaźnie, i wyłączamy go z gry.

- Ot tak, po prostu.

- Tak po prostu.

- Kim są wasi klienci?

- Nie mogę podać nazwisk, ale wszyscy mieszkają po pańskiej stronie ulicy. Wielkie spółki energetyczne, ubezpieczeniowe, farmaceutyczne, chemiczne, handlu drewnem, wszelkiego rodzaju wytwórcy, do tego lekarze, szpitale, domy opieki, banki. Zbieramy tony pieniędzy i wynajmujemy ludzi na miejscu, żeby prowadzili agresywne kampanie.

- Pracowaliście w Missisipi?

- Jeszcze nie. - Barry nacisnął inny guzik i znów pojawiła się mapa Ameryki. Zielone obszary powoli zabarwiły się na czarno. - Ciemniejsze stany to te, w których pracowaliśmy. Jak pan widzi, rozciągają się od wybrzeża do wybrzeża. Jesteśmy obecni w trzydziestu jeden stanach.

Carl wypił trochę kawy i skinął głową, żeby Barry mówił dalej.

- Tutaj zatrudniamy około pięćdziesięciu osób, cały budynek należy do nas. Gromadzimy ogromne ilości danych. Informacja to potęga, a my wiemy wszystko. Przeglądamy każdy wyrok apelacyjny w zielonych stanach. Znamy każdego sędziego sądu apelacyjnego, jego życiorys, rodzinę, karierę zawodową, rozwody, bankructwa, wszystkie

brudy. Analizujemy decyzje i niemal zawsze potrafimy przewidzieć wynik apelacji. Siedzimy prawodawstwo i jesteśmy na bieżąco z uchwałami, które mogą mieć wpływ na sądownictwo cywilne. Monitorujemy tak że ważne rozprawy cywilne.

- A co z tą w Hattiesburgu?

- Och tak. Werdykt wcale nas nie zaskoczył.

- To dlaczego zaskoczył moich prawników?

- Pańscy prawnicy są dobrzy, ale nie genialni. Ponadto powód miał łatwiejsze zadanie.

Przyglądałem się mnóstwu składowisk odpadów toksycznych, Bowmore jest jednym z najgorszych.

- Więc znowu przegramy?

- Tak prognozuję. Zbliży się powódź.

Carl spojrział na ocean i znów napił się kawy.

- Co się stanie w trakcie apelacji?

- To zależy od tego, kto wejdzie w skład Sądu Najwyższego Stanu Missisipi. W tej chwili jest bardzo duża szansa, że werdykt zostanie utrzymany stosunkiem głosów pięć do czterech. Stan znany był przez ostatnie dwie dekady z notorycznej sympatii do powodów. Jak pan zapewne wie, zyskał zasłużoną reputację wylęgarni spraw sądowych.

Azbest, tytoń, fenphen, wszelkiego rodzaju zwariowane powództwa grupowe. Adwokaci od odszkodowań uwielbiają to miejsce.

- Więc przegram jednym głosem?

- Mniej więcej. Sąd nie jest całkowicie przewidywalny.

- Więc potrzebujemy tylko przyjaźnie nastawionego sędziego?

- Tak.

Carl postawił filiżankę na stole i zerwał się z fotela. Zdjął marynarkę, powiesił na oparciu, podszedł do okna i zapatrzył się na ocean. Barry powoli popijał kawę.

- Ma pan na myśli konkretnego sędziego?

Barry nacisnął guzik pilota. Ekran zgasł i zniknął w suficie. Barry przeciągnął się, jakby bolały go plecy.

- Może najpierw powinniśmy porozmawiać o interesach.

Carl skinął głową i usiadł w fotelu.

- Słucham.

- Propozycja wygląda tak: pan wynajmuje naszą firmę, pieniądze zostają przesłane elektronicznie na odpowiednie konta, potem ja panu daję plan restrukturyzacji Sądu Najwyższego Stanu Missisipi.

- Ile?

- Są dwie opłaty. Najpierw milion zaliczki. To będzie zaksięgowane, jak należy. Zostaje pan oficjalnie naszym klientem, a my dostarczamy usługi konsultingowe w dziedzinie stosunków z rządem. To cudownie ogólny termin, który może znaczyć wszystko. Druga opłata to siedem milionów baksów, bierzemy ją z góry. Część pójdzie na kampanię, ale większość zostanie zachowana. Tylko pierwsza opłata znajdzie się w księgach.

Carl ze zrozumieniem kiwał głową.

- Za osiem milionów mogę sobie kupić sędziego Sądu Najwyższego.

- Na tym polega plan.

- A ile taki sędzia zarabia rocznie?

- Sto dziesięć tysięcy.

- Sto dziesięć tysięcy dolarów - powtórzył Carl.

- To sprawa względna. Wasz burmistrz w Nowym Jorku wydał siedemdziesiąt pięć milionów, żeby go wybrano na stanowisko, które pozwala zarobić maleńką cząstkę tej sumy. To polityka.

- Polityka - wycodził Carl, jakby zamierzał splunąć. Westchnął ciężko i osunął się lekko w fotelu. - Domyślam się, że to wyniesie mnie taniej niż werdykt.

- Znacznie taniej, a będzie więcej werdyktów. Osiem milionów za nasze usługi to dobry interes.

- Kiedy pan to mówi, wszystko wydaje się łatwe.

- Nie jest. W takich kampaniach można się posiniaczyć, ale wiemy, jak je wygrywać.

- Chcę dostać uproszczony plan wydatków.

Barry wstał i dolał sobie kawy ze srebrnego termosu. Potem podszedł do wspinających okien i popatrzył w dal, na Atlantyki. Carl spojrział na zegarek. Dwadzieścia po dwunastej był umówiony na golfa w Palm Beach Country Club, chociaż teraz to mało ważne. Grywał, bo tego się po nim spodziewano.

Rinehart opróżnił filiżankę i wrócił na fotel.

- Prawda jest taka, proszę pana, że w istocie pan nie potrzebuje planu wydatków, tylko zwycięstwa. Pan musi mieć przyjazną twarz w Sądzie Najwyższym, żeby za półtora roku, przed rozstrzygnięciem sprawy Baker przeciwko Krane Chemical, być pewnym wyniku. Tego pan chce. To dostarczamy.

- Za osiem milionów baksów? Mam nadzieję.

Puściłeś osiemnaście milionów na byle jaką rzeźbę trzy dni temu, pomyślał Barry ale nie ośmielił się tego powiedzieć. Masz trzy odrzutowce po czterdzieści milionów sztuka.

„Remont” w Hamptons pochłonie co najmniej dziesięć milionów. A to tylko niektóre z twoich zabawek. Teraz mówimy o interesach, nie o zabawkach. Teczka, którą Barry miał na Carla, była znacznie grubsza niż ta, którą Carl miał na Barry'ego. Ale przecież pan Rinehart bardzo się starał nie rzucać w oczy, podczas gdy panu Trudeau zależało na przyciąganiu uwagi.

Przyszła chwila, żeby dobić targu, więc Barry zaczął z lekka naciskać.

- Wybory sędziów są w Missisipi za rok, w listopadzie. Mamy mnóstwo czasu, ale nie do stracenia. Czas jest po pańskiej stronie.

Mocno się zaangażujemy w przyszłoroczne wybory, a sprawa będzie się wlokła przez procedury apelacyjne. Nasz nowy człowiek obejmie urząd za rok, licząc od stycznia, i jakieś cztery miesiące później zmierzy się ze sprawą Baker przeciwko Krane Chemical.

Carl po raz pierwszy dostrzegł manierę sprzedawcy samochodów, ale wcale go to nie zaniepokoiło. Polityka to brudny interes, a zwycięzcy nie zawsze należą do tych, którzy mają najczystsze ręce w mieście. Trzeba być trochę opryskiem, żeby przetrwać.

- Moje nazwisko nie może zostać narażone na szwank - oznajmił surowo.

Barry wiedział, że właśnie zarobił kolejną przyjemną sumkę.

- Oczywiście - powiedział ze sztucznym uśmiechem. - Wszędzie mamy zapory ogniowe. Jeśli któryś z naszych agentów będzie niesubordynowany, zrobi coś nie tak, nasza w tym głowa, żeby kto inny wziął na siebie winę. Troy - Hogan zawsze cieszyło się nieskazitelną reputacją. A skoro nie mogą złapać nas, to możemy być pewni, że nie znajdą i pana.

- Żadnych dokumentów.

- Tylko w kwestii pierwszego honorarium. W końcu jesteśmy legalną firmą konsultingową, uprawiającą lobbing w kręgach rządowych.

Będziemy utrzymywać z panem oficjalne kontakty: konsulting, marketing, komunikacja społeczna... cudownie mgliste obszary działania, które zakrywają wszystko inne. Ale pozostała suma jest całkowicie poufna.

Carl długo myślał, potem się uśmiechnął.

- Podoba mi się to. Bardzo.

KANCELARIA PRAWNICZA F. CLYDE HARDIN I WSPÓLNICY nie miała wspólników. Składała się tylko z Clyde'a i Miriam, jego słabowitej sekretarki, która była w firmie od ponad czterdziestu lat, znacznie dłużej niż Clyde. Pisała na maszynie akty prawne i testamenty dla jego ojca, który wrócił do domu z drugiej wojny bez nogi i zasłynął tym, że zdjął drewnianą protezę przed przysięgłymi, żeby ich rozproszyć. Hardin senior już dawno nie żył. Stare biuro, stare meble i starą sekretarkę przekazał w spadku swemu jedynemu dziecku, Clyde'owi - wówczas czterdziestopięcioletniemu, czyli też już niemłodemu.

Kancelaria prawnicza Hardina mieściła się na Main Street w Bowmore. Przetrwiała wojny, depresje, recesje, protesty, bojkoty, zniesienie segregacji rasowej, ale Clyde nie był pewien, czy przetrwa Krane Chemical. Miasto wyludniało się. Brzemię nazwy: hrabstwo Raka, okazało się nie do udźwignięcia. Clyde z pierwszego rzędu przy ringu patrzył, jak sklepikarze, właściciele kawiarni, małomiasteczkowi adwokaci, lekarze rzucają ręcznik i opuszczają pole walki.

Clyde nie chciał być prawnikiem, ale ojciec nie dał mu wyboru. I chociaż jakoś żył z pism procesowych, testamentów i rozwodów, a w lnianych garniturach, muszkach w tureckie wzory i słomkowych kapeluszach udawało mu się wyglądać na całkiem szczęśliwego i niebanalnego człowieka, to po cichu nie znosił prawa i małomiasteczkowej praktyki. Gardził codzienną harówką, robieniem interesów z ludźmi zbyt biednymi, żeby mu zapłacić w terminie, szarpaniny z innymi wymęczonymi adwokatami, którzy próbowali podkraść mu wyżej wymienionych klientów, sprzeczek z sędziami, urzędnikami i z każdym, kto wszedł mu w drogę. W Bowmore zostało już tylko sześciu adwokatów, a Clyde był najmłodszy. Marzył, żeby osiąść nad jeziorem albo nad morzem, gdziekolwiek, ale te marzenia nigdy nie miały się spełnić.

O wpół do dziewiątej każdego ranka Clyde jadł na śniadanie u Babę dwa smażone jajka i pił kawę z cukrem, siedem domów na prawo od jego kancelarii, a w południe był pieczony ser i mrożona herbata u Boba Burgersa, siedem domów na lewo. O piątej, kiedy tylko Miriam uprzątnęła biurko i powiedziała do widzenia, Clyde wyciągał kancelaryjną butelkę i przygotowywał sobie wódkę z lodem. Zazwyczaj pijał w samotności. Była to najpiękniejsza godzina dnia. Wysoko cenił sobie ciszę tej prywatnej „happy hour”. Wokół rozlegał się wtedy tylko świst sufitowego wentylatora i grzechot kostek lodu.

Upił dwa łyki, dość spore, i lekko zaczęło mu szumieć w głowie, kiedy usłyszał

agresywne stukanie do drzwi. Nikogo się nie spodziewał. Po południu, o piątej, śródmieście pustoszało, ale oto znalazł się przypadkowy klient, szukający adwokata. Clyde był za bardzo splukany, żeby zignorować okazję. Postawił szklankę na półce z książkami i podszedł do drzwi. Czekał za nimi dobrze ubrany dżentelmen. Clyde spojrzał na jego wizytówkę. Sterling Bintz, adwokat. Z Filadelfii.

Pan Bintz miał około czterdziestu lat, był niski, chudy i poważny. Biło od niego samozadowolenie, którego Jankesi nie są w stanie ukryć, kiedy zabłąkają się do zabitego deskami miasteczka na dalekim Południu. Spojrzeniem pytają: Jak tak można żyć?

Clyde z miejsca go znieubił, ale chciał znów napić się wódki, więc zaproponował Sterlingowi drinka. Pewnie, czemu nie?

Rozsiedli się przy biurku i zaczęli pić.

- Może przejdziemy do rzeczy? - spytał Clyde po kilku minutach nużącej paplaniny.

- Oczywiście. - Akcent był ostry, precyzyjny i ach, jakże zgrzytliwy. - Moja kancelaria specjalizuje się w powództwach grupowych.

Tylko tym się zajmujemy.

- I nagle zainteresowaliście się naszym małym miasteczkiem. Cóż za niespodzianka.

- Owszem, zainteresowaliśmy się. Według naszych badań może tu się znaleźć ponad tysiąc potencjalnych spraw i chcemy zebrać ich jak najwięcej. Ale potrzebny nam jest miejscowy adwokat.

- Trochę się spóźniłeś, kolego. Adwokacyny, które wyszukują klientów wśród pacjentów pogotowia ratunkowego, przeczesały to miejsce od pięciu lat.

- Tak, rozumiem, że większość przypadków śmierci jest już zajęta, ale pozostały sprawy innego typu. Chcemy znaleźć ofiary, które mają problemy z wątrobą i nerkami, cierpią na wrzody żołądka, dolegliwości okrężnicy, choroby skóry i dziesiątki innych przypadłości, a wszystkie, oczywiście, wywołane przez karygodne praktyki Krane Chemical.

Przebadają ich nasi lekarze i kiedy zbierzemy kilkudziesięciu poszkodowanych, uderzymy w Krane powództwem grupowym. To nasza specjalność. Robimy to od dawna. Ugoda może się sownie opłacić.

Clyde słuchał i udawał, że go to nudzi.

- Mów pan dalej - mruknął.

- Krane dostało potężny cios. Nie może się dalej prawować, więc w końcu będzie zmuszone do zawarcia ugody. Kiedy wystąpimy z pierwszym powództwem zbiorowym, chwycimy ich za gardło.

- My?

- Tak. Moja kancelaria chce wejść w układ z pańską.

- Patrzy pan na moją kancelarię.

- Wykonamy całą pracę. Potrzebne nam jest pańskie nazwisko jako miejscowego adwokata oraz kontakty i obecność tutaj, w Bowmore.

- Ile? - Clyde był znany jako bezpośredni człowiek. Nie miało sensu używać afektowanych słówek wobec tego krętacza z Północy.

- Pięćset baksów za klienta, potem pięć procent od honorariów, kiedy zawrzemy ugody. Powtarzam, my bierzemy na siebie całą robotę.

Clyde zagrzechotał kostkami lodu i próbował obliczyć zyski. Sterling naciskał.

- Budynek po sąsiedzku jest pusty. Ja...

- Och, tak. W Bowmore stoi wiele pustych budynków.

- Kto jest właścicielem tego po sąsiedzku?

- Ja. Mój dziadek kupił to tysiąc lat temu. Mam też jeden po drugiej stronie ulicy.

Pusty.

- Sąsiednie biuro doskonale nadaje się na gabinet lekarski. Wyremontujemy je, dostosujemy do celów medycznych, sprowadzimy naszych lekarzy, potem będziemy ogłaszać się na wszystkie strony i szukać każdego, komu się wydaje, że zachorował. Zlecą się tłumy. Zawrzemy z nimi umowy, zbierzemy dane, potem złożymy powództwo grupowe.

Brzmiało w tym coś fałszywego, ale Clyde wiedział wystarczająco dużo o masowych szkodach, żeby zdawać sobie sprawę, że Sterling zna się na rzeczy. Pięciuset klientów po pięćset od głowy plus pięć procent, kiedy wygrają loterię. Sięgnął po kancelaryjną butelkę i znów napelnił obie szklanki.

- Intrygujące - powiedział.

- Może przynieść duże zyski.

- Aleja nie występuje przed sądem federalnym.

Sterling łyknął niemal zabójczą dawkę trunku, uśmiechnął się. Doskonale się orientował w ograniczeniach tego małomiasteczkowego samochwały. Clyde miałby trudności z obroną sklepowego złodziejaska w sądzie miejskim.

- Jak mówiłem, my zajmujemy się całą procedurą. Na sali sądowej idziemy po trupach.

- Tylko żadnych nieetycznych ani nielegalnych sztuczek - zastrzegł Clyde.

- Oczywiście, że nie. Od dwudziestu lat wygrywamy powództwa grupowe w wielkich sprawach o szkody. Niech pan nas sprawdzi.

- Zrobię to.

- Byle szybko. Ten werdykt przyciąga uwagę. Od tej pory to wyścig, żeby znaleźć klientów i złożyć powództwo grupowe.

Kiedy wyszedł, Clyde nalał sobie trzecią porcję wódki. Dopijając ją, znalazł w sobie odwagę, żeby posłać miejscowych do wszystkich diabłów. Och, jakże chętnie by go skrytykowali! Zamieszczanie ogłoszeń w tygodniku hrabstwa w poszukiwaniu ofiar, czyli klientów, przebudowa biura na tanią przychodnię, wydająca taśmowo rozpoznania, układ z jakimiś oślizłymi adwokatami z Północy, czerpanie zysku z nieszczęścia współobywateli. Lista będzie długa, a plotka obiegnie całe Bowmore. Ale im więcej pił, tym bardziej skłaniał się ku decyzji, żeby machnąć na wszystko ręką i chociaż raz zarobić trochę pieniędzy.

Jak na człowieka o zawadiackiej osobowości, Clyde w głębi duszy bał się sali sądowej. Przed laty kilkakrotnie stawał przed ławami przysięgłych i ogarniał go taki strach, że z ledwością mógł wydusić z siebie słowo. Ograniczył się do bezpiecznej i wygodnej praktyki kancelaryjnej - co prawda nie wystarczała na wiele więcej niż płacenie rachunków, ale trzymała go z dala od przerażających starć, w których wygrywało się i przegrywało prawdziwe pieniądze.

Dlaczego tym razem nie podjąć wyzwania?

I czyż nie pomogłoby swoim ziomkom? Każde dziesięć centów zabrane Krane Chemical i zdeponowane gdzieś w Bowmore było zwycięstwem. Nalał sobie czwartego drinka, przysiągł, że to ostatni, i podjął decyzję, że owszem, do cholery, wyciągnie rękę do Sterlinga i jego złodziejskiej bandy od powództw grupowych i wyprowadzi potężny cios w imię sprawiedliwości.

Dwa dni później przedsiębiorca budowlany, którego Clyde reprezentował w co najmniej trzech sprawach rozwodowych, przybył wcześniej ze skorym do pracy zespołem stolarzy, malarzy i pomocników. Ekipa zaczęła szybki remont sąsiedniego biura.

Dwa razy w miesiącu Clyde grywał w pokera z właścicielem „Bowmore News”, jedynego periodyku hrabstwa. Jak i samo miasto, tygodnik podupadał i rozpaczliwie próbował utrzymać się na powierzchni. Pierwszą stroną najnowszego wydania zdominowały informacje o werdykcie z Hattiesburga, ale znalazł się tam także obszerny artykuł o związkach prawnika Hardina z wielką, ogólnokrajową kancelarią adwokacką z Filadelfii. Wewnątrz było całostronicowe ogłoszenie, które w istocie zwracało się z błaganiem do wszystkich obywateli hrabstwa Cary, żeby wpadli do nowego „punktu diagnostycznego” przy Main Street na całkowicie darmowe badania.

Clyde'owi spodobało się tłumne zainteresowanie i już liczył pieniądze.

O czwartej nad ranem było zimno i ciemno, zbierało się na deszcz. Buck Burleson

zaparkował furgonetkę na małym parkingu dla pracowników przepompowni w Hattiesburgu. Zabrał termos z kawą, kanapkę z szynką i pistolet automatyczny kaliber 9 milimetrów. Zaniósł to wszystko do osiemnastokołowej ciężarówki z nieoznakowanymi drzwiami i zbiornikiem pojemności czterdziestu tysięcy litrów. Włączył silnik, sprawdził wskaźniki, koła i stan paliwa.

Kierownik nocnej zmiany usłyszał diesla i wyszedł z pomieszczenia monitoringu na pięterku.

- Cześć, Buck - zawołał na dół.

- Witaj, Jake. - Buck kiwnął głową. - Zatankowana?

- Gotowa do akcji.

Ta część rozmowy pozostawała niezmienna od pięciu lat. Zazwyczaj pogadywali też o pogodzie, potem się żegnali. Ale tego ranka Jake postanowił z lekka zmienić dialog. Myślał o tym od paru dni.

- Poprawił się nastrój tym w Bowmore?

- Nie wiem ni cholery, nie włączę się tam.

I na tym koniec. Buck otworzył drzwi kierowcy.

- Do zobaczenia - krzyknął jak zwykle i zamknął się w środku.

Jake patrzył, jak cysterna jedzie podjazdem, skręca w lewo, na ulicę i znika. Był to jedyny pojazd o tej godzinie.

Na autostradzie Buck ostrożnie nalał kawę z termosu do plastikowej nakrętki. Popatrzył na pistolet leżący na fotelu pasażera. Postanowił poczekać ze zjedzeniem kanapki. Kiedy zobaczył znak z nazwą hrabstwa Cary znów spojrzał na broń.

Jeździł tędy trzy razy dziennie, cztery dni w tygodniu. Inny kierowca pracował w pozostałe trzy dni. Często się wymieniali, kiedy mieli wakacje i święta. Nie była to wymarzona praca Bucka. Przez siedemnaście lat pełnił funkcję brygadzysty w Krane Chemical, w Bowmore i zarabiał trzy razy tyle, ile płacą mu teraz za wożenie wody do miasteczka.

Co za ironia, że jeden z ludzi, którzy zrobili wiele, żeby zatruć wodę w Bowmore, teraz wozi jej świeże dostawy. Ale Buck nie widział tej ironii. Był zły na spółkę, że uciekła i zlikwidowała miejsca pracy. I nienawidził Bowmore, bo ono nienawidziło jego.

Buck był kłamcą. Udowodniono to kilkakrotnie, ale nigdy bardziej spektakularnie, jak podczas brutalnego przesłuchania w sądzie, przed miesiącem. Mary Grace Payton łagodnie podała mu sznurek, a potem patrzyła, jak dawny brygadzysta Krane wiesz się na oczach przysięgłych.

Przez lata Buck i inni kierownicy od Krane stanowczo zaprzeczali, żeby wyrzucano chemikalia. Ich szefowie kazali tak mówić. Zaprzeczali w memorandumach dla spółki. Zaprzeczali, kiedy rozmawiali z adwokatami spółki. Zaprzeczali, składając pisemne oświadczenia pod przysięgą. I z całą mocą zaprzeczali, kiedy w fabryce prowadziła śledztwo Agencja Ochrony Środowiska i Prokuratura Generalna Stanów Zjednoczonych. Potem zaczął się proces. Po tak długim i żarliwym zaprzeczaniu jakże mogli nagle zmienić zeznania i wyznać prawdę? Krane, który tak długo żarliwie wspierał kłamstwa, zniknął. Uciekł w pewien weekend i znalazł nowy dom w Meksyku. Bez wątpienia, jakiś tamtejszy tortillożerny osioł wykonywał za pięć dolarów dziennie pracę Bucka. Przeklinał, popijając kawę.

Kilku kierowników zeznawało uczciwie. Większość trzymała się swoich kłamstw. I tak nie miało to znaczenia, bo podczas procesu wyszli na durniów. Niektórzy próbowali się ukryć. Earl Crouch, chyba największy kłamca, został przeniesiony do fabryki Krane pod Galveston. Płotka głosiła, że zniknął w tajemniczych okolicznościach.

Buck znów zerknął na pistolet.

Jak do tej pory dostał tylko jeden telefon z pogrózkami. Nie wiedział, jak było w przypadku innych brygadzystów. Wszyscy wyjechali z Bowmore i nie podtrzymywali kontaktów.

Mary Grace Payton. Gdyby miał pistolet podczas przesłuchania przed sądem, zastrzeliłby tę kobietę, jej męża, paru prawników od Krane i zostawiłby jedną kulę dla siebie. Przez cztery druzgoczące godziny obnażała jedno kłamstwo po drugim. Powiedziano mu, że może w pewnych sprawach kłamać bez obaw.

Niektóre znalazły się w memoriałach i zeznaniach spisanych pod przysięgą, które Krane schował głęboko. Ale pani Payton miała wszystkie memoriały, wszystkie zeznania spisane pod przysięgą i znacznie więcej.

Kiedy ciężka próba dobiegała końca, świadek krwawił, przysięgli byli wściekli, a sędzia Harrison groził karą za krzywoprzysięstwo. Buck prawie się załamał. Wykończony, upokorzony, miał ochotę nagle wstać, popatrzeć na przysięgłych i krzyknąć: „Chcecie prawdy? To ją wam powiem. Wyrzucaliśmy tyle tego gówna do jarów, że aż dziw, że całe miasto nie wyleciało w powietrze. Codziennie litrami wylewaliśmy BCL, cartolox i aclear, substancje rakotwórcze pierwszej klasy - setki litrów toksycznego świństwa prosto do ziemi. Wylewaliśmy to z kadzi, kubłów, beczek i bębnow. Wylewaliśmy nocą i w jasny dzień. Och, oczywiście, mnóstwo trzymaliśmy w zaplombowanych zielonych bębnach i płaciliśmy majątek specjalnej firmie, która to wywoziła. Krane stosuje się do prawa. Całuje Agencję Ochrony Środowiska w dupę. Widzieliście dokumentację, wszystko wygląda ładnie i zgodnie

z prawem. A kiedy faceci w nakrochmalonych koszulach wypełniali formularze w biurze od frontu, my z tyłu zakopywaliśmy w dziurach truciznę. Wyrzucanie tego było znacznie łatwiejsze i tańsze. I wiecie co? Te same dupki z biura od frontu doskonale wiedziały, co my robimy tam, z tyłu”. Wtedy wytknąłby palcem dyrektorów Krane i ich prawników. „Oni to ukrywali! A teraz was okłamują. Wszyscy kłamią”.

Buck wygłaszał tę mowę na głos podczas jazdy, chociaż nie robił tego co rano. Dziwne, pocieszała go myśl o tym, co powinien powiedzieć, a nie to, co powiedział. W sali sądowej zostawił kawałek duszy i cały kawał męstwa. Ostre wypowiedzi w samotności kabiny miały działanie terapeutyczne.

Ale jazda do Bowmore nie. Nie był stąd i nigdy nie lubił tego miasta. Kiedy stracił pracę, nie miał wyboru, musiał się wyprowadzić.

Autostrada przeszła w Main Street, skręcił w lewo i minął cztery przecznice. Punkt dystrybucyjny nazwano zbiornikiem miejskim. Znajdował się tuż pod starą wieżą wodną, nieużywanym, rozpadającym się zabytkiem, którego metalowe panele od środka wyżarła zatruta woda. Teraz miastu służył wielki aluminiowy rezerwuar. Buck wjechał cysterną na platformę, wyłączył silnik, wepchnął pistolet do kieszeni i wysiadł z ciężarówki. Zaczął przelewać ładunek, zajęło mu to pół godziny.

Z rezerwuaru woda płynęła do szkół, instytucji i kościołów, i chociaż w Hattiesburgu uważano, że nadaje się do picia, w Bowmore nadal mocno się jej obawiano. Płynęła rurami, którymi dostarczano skażoną wodę.

W ciągu dnia samochody ciągle podjeżdżały pod rezerwuar. Ludzie wyjmowali rozmaite plastikowe naczynia, metalowe kanistry, małe zbiorniczki, napełniali je i zabierali do domu.

Ci, których było na to stać, podpisywali umowy z prywatnymi dostawcami. Dostęp do wody stanowił codzienne wyzwanie w Bowmore.

Buck czekał w ciemnościach, aż cysterna się opróżni. Siedział w kabinie, z włączonym ogrzewaniem, zamkniętymi drzwiami, pistoletem tuż obok siebie. W Pine Grove mieszkały dwie rodziny; o nich Buck myślał co rano. Mocne rodziny, w których mężczyźni odsiedzieli swoje. Wielkie rodziny z wujami i kuzynami. Każdej białaczka zabrała dziecko. Każda z nich wystosowała pozew. A Buck był dobrze znanym kłamcą.

Osiem dni przed Bożym Narodzeniem prawnicy i wszyscy zainteresowani zebrali się po raz ostatni w sali sądowej sędziego Harrisona. Przesłuchanie miało zamknąć niezakończone sprawy i pozwolić na przedyskutowanie wniosków poprocesowych.

Jared Kurtin, szczupły i opalony, po dwóch tygodniach gry w golfa w Meksyku,

powitał ciepło Wesa i nawet udało mu się uśmiechnąć do Mary Grace. Zignorowała go, rozmawiała z Jeannette, która nadal wyglądała na wymizerowaną i zmartwioną, ale przynajmniej nie płakała.

Sfora podwładnych Kurtina przekładała papiery za cenę setek dolarów na godzinę dla każdego, a Frank Sully, miejscowy adwokat, patrzył na nich z satysfakcją. To wszystko było na pokaz. Harrison nie zamierzał ulżyć Krane Chemical ani trochę i wszyscy o tym wiedzieli.

Inni też patrzyli. Huffy zajął swoje zwykłe miejsce, nadal zaniepokojony o dług i swoją przyszłość. Zjawili się kilku reporterów i przyszedł nawet rysownik z gazety, ten sam, który obsługiwał proces i szkicował twarze potem nierozpoznawane przez nikogo. Było też kilku adwokatów reprezentujących powodów, żeby obserwować i monitorować postępy sprawy. Marzyli o sówitej ugodzie, która pozwoliłaby im się wzbogacić i zarazem uniknąć brutalnego procesu, takiego jak ten, który dopiero co wycierpieli Paytonowie.

Sędzia Harrison przywołał zebranych do porządku i przeszedł do rzeczy.

- Jak to miło znowu was widzieć - powiedział ironicznie. - Razem złożono czternaście wniosków: dwanaście pozwanego i dwa powoda. Planujemy załatwić je wszystkie przed południem. - Popatrzył wściekle na Jareda Kurtina, jakby tylko czekał, że usłyszy od niego jedno słowo za dużo. Mówił dalej: - Przeczytałem wnioski i akta sprawy, więc proszę nie powtarzać niczego, co już zostało złożone na piśmie. Panie Kurtin, może pan zaczynać.

Pierwszy wniosek był o nowy proces. Kurtin szybko przedstawił powody przegranej swojego klienta, poczynając od dwojga przysięgłych, których chciał wysadzić z siodła, ale Harrison odmówił. Zespół Kurtina wyczarował dwadzieścia dwa błędy i uznał je za wystarczająco poważne, żeby złożyć skargę, ale Harrison miał inne zdanie. Po wysłuchaniu godzinnej sprzeczki prawników sędzia sprzeciwił się wznowieniu procesu.

Jared Kurtin byłby wstrząśnięty, gdyby usłyszał inną decyzję. Ot, rutynowe postępowanie po przegranej bitwie. Ale nie wojnie.

Kolejny wniosek.

- Oddalony - zdecydował sędzia po paru minutach nudnych argumentów z obu stron.

Kiedy adwokaci przestali się spierać, zebrano papiery i zamknięto teczki.

- Wysoki Sądzie, to była przyjemność. Jestem pewien, że wrócimy do sprawy za trzy lata - oznajmił Jared Kurtin.

- Sąd zakończył obrady - powiedział obcesowo Wysoki Sąd i głośno stuknął młotkiem.

Dwa dni po Bożym Narodzeniu, w zimne wietrzne popołudnie Jeannette Baker poszła ze swojej przyczepy mieszkalnej na cmentarz na tyłach kościoła w Pine Grove. Ucałowała

mały nagrobek Chada, usiadła i oparła się o grób męża. Pete zmarł tego dnia, pięć lat temu.

Przez pięć lat nauczyła się wspominać rzeczy dobre, chociaż nie potrafiła zapomnieć tych złych. Pete, wielki mężczyzna, schudł do pięćdziesięciu paru kilogramów, nie mógł jeść, wreszcie przestał przyjmować wodę ze względu na guzy w gardle i przełyku. Pete, prężny trzydziestolatek, stał się zabiedzony i blady, jakby miał dwa razy więcej lat. Pete, ten silny facet, płakał z bólu i błagał o morfinę. Pete, ten gaduła i gawędziarz, nie był w stanie wydobyć z siebie nic poza żalonymi jękami. Pete, który prosił, żeby pomogła mu ze sobą skończyć.

Chad nie cierpiał tak bardzo. Ostatnie dni Pete'a były straszne. Tyle musiała przejść.

Dość tych złych wspomnień. Jest tu, żeby porozmawiać o wspólnym życiu, romansie, pierwszym mieszkaniu w Hattiesburgu, o narodzinach Chada, o tym, jak chcieli mieć więcej dzieci i ładny dom, i o wszystkich marzeniach, które kiedyś ich cieszyły. Mały Chad z wędką i wspaniałymi okoniami ze stawu wuja. Mały Chad w pierwszym stroju do bejsbolu z trenerem Pete'em u boku. Boże Narodzenie i Święto Dziękczynienia, wakacje w Disneylandzie, kiedy oboje zachorowali i ledwie żyli.

Została do zmierzchu, jak zawsze.

Denny Ott patrzył na nią z kuchennego okna plebanii. Cmentarzyk, o który tak dbał, stał się ostatnio czymś więcej niż kolejnym miejscem, gdzie wypełniał swoje obowiązki.

NOWY ROK ZACZAŁ SIĘ OD KOLEJNEGO POGRZEBU. Pani Inez Perdue zmarła po długotrwałej i bolesnej chorobie nerek. Była sześćdziesięcioletnią wdową z dwojgiem dorosłych dzieci, które szczęśliwie wyjechały z Bowmore, kiedy tylko stały się pełnoletnie. Nie była ubezpieczona, umarła w swoim małym domku na przedmieściach, otoczona przyjaciółmi, w towarzystwie swojego pastora, Denny'ego Otta. Po wyjściu od niej pastor poszedł na cmentarz za kościołem i z diakonem zaczął kopać siedemnasty grób.

Kiedy tylko tłum się przerzedził, ciało pani Inez zostało zabrane ambulansiem prosto do kostnicy ośrodka medycznego hrabstwa Forrest w Hattiesburgu. Lekarz, wynajęty przez kancelarię adwokacką Paytonów, spędził trzy godziny na pobieraniu próbek tkanek i krwi oraz na sekcji zwłok. Pani Inez zgodziła się na tę ponurą procedurę rok wcześniej, kiedy podpisała kontrakt z Paytonami. Próbki jej organów i wyniki badań tkanek mogły stać się pewnego dnia istotnym dowodem w sądzie.

Osiem godzin po śmierci znów trafiła do Bowmore. Prosta trumna została zamknięta na noc w prezbiterium kościoła w Pine Grove.

Pastor Ott dawno już przekonał swoje owieczki, że kiedy ciało jest martwe, a duch poszedł do nieba, doczesne rytuały są głupie i mają niewielkie znaczenie. Pogrzeby, stypy, balsamowanie, kwiaty, drogie trumny - wszystko to strata czasu i pieniędzy. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Bóg powołuje nas na ten świat nagimi i tacy powinniśmy odchodzić.

Następnego dnia poprowadził mszę za panią Inez w wypełnionym kościele. Przyszli też Paytonowie oraz paru innych adwokatów, którzy przyglądali się wszystkiemu z ciekawością. Pastor Ott starał się, żeby msze były podnoszące na duchu, a czasem nawet dowcipne. Pani Inez akompaniowała w kościele na pianinie i chociaż robiła to z entuzjazmem, to rękę miała ciężką i przepuszczała połowę nut. A że słabo słyszała, nie miała pojęcia, jak fatalnie gra. Wspomnienie jej występów podniosło nastroje.

Łatwo byłoby bić jak w bęben w Krane Chemical i wytykać mnogość jego grzechów, ale pastor Ott nawet nie wspominał o spółce. Inez nie żyła i nic nie mogło tego zmienić. Wszyscy wiedzieli, co ją zabiło.

Po godzinnej mszy żałobnicy złożyli drewnianą trumnę na drewnianym powozie pana Earla Mangrama, ostatnim takim pojeździe w hrabstwie. Pan Mangram był jedną z pierwszych ofiar Krane, pochówek numer trzy w karierze Denny'ego Otta. Prosił, żeby

trumnę przewieziono z kościoła na cmentarz w powozie dziadka, zaprzężonym w starą kobyłę Blaze. Krótka procesja okazała się takim hitem, że natychmiast stała się tradycją w Pine Grove.

Kiedy trumnę pani Inez umieszczono na wozie, pastor Ott pociągnął za uzdę Blaze i stary koń powłókł się, otwierając procesję, która od kościoła, boczną drogą, przeszła na cmentarz.

Zgodnie z tradycją Południa, po ostatnim pożegnaniu nastąpiło przyjęcie, na które każdy przyniósł własne jedzenie do sali wspólnoty. Posiłek po pogrzebie pozwalał na wzajemne wsparcie i wspólne przeżywanie żałoby. Pastor Ott chodził wśród wiernych, rozmawiał ze wszystkimi, z niektórymi się modlił.

Wielkie pytanie w tych mrocznych chwilach brzmiało: kto następny? Pod wieloma względami czuli się jak więźniowie. Odosobnieni, cierpiący, niepewni, kogo teraz wybierze kat. Rory Walker, czternastolatek, przegrywał dziesięcioletnią bitwę z białaczką. Prawdopodobnie nadchodziła jego kolej. Był w szkole i minęła go posługa dla pani Perdue, ale jego matka i babka przyszły do kościoła.

Paytonowie z Jeannette Baker siedzieli w kącie i rozmawiali o wszystkim, tylko nie o sprawie. Nad papierowymi talerzami ze skromnymi porcjami zapiekanki z brokułów i sera dowiedzieli się, że Jeannette pracuje teraz jako sprzedawczyni na nocnej zmianie w całodobowym sklepie spożywczym i ma na oku ładniejszą przyczepę. Kłóci się z kuzynką. Nowy chłopak Bette często u nich nocuje i wydaje się za bardzo zainteresowany prawną sytuacją Jeannette.

Jeannette wyglądała lepiej, umysł miała jaśniejszy. Przybrała na wadze kilka kilogramów i mówiła, że już nie bierze antydepresantów.

Ludzie traktowali ją inaczej. Mówiła bardzo cicho, przyglądając się innym.

- Przez jakiś czas wszyscy byli naprawdę dumni. Oddaliśmy cios.

Wygraliśmy. Wreszcie ktoś z zewnątrz nas wysłuchał, biedaków z małego miasteczka. Sąsiedzi, krewni mnie odwiedzali i pocieszali. Gotowali dla mnie, sprząтали przyczepę. Ale z upływem dni zaczęłam słyszeć rozmowy o odszkodowaniu. Ile potrwa apelacja? Kiedy wpłyną pieniądze?

Co zamierzam z nimi zrobić? I tak w kółko. Młodszy brat Bette został na noc, wypił za dużo i próbował pożyczyć tysiąc dolarów. Zaczęliśmy się szarpać, a on powiedział, że wszyscy w mieście wiedzą, jakobym dostała już część tych pieniędzy. Byłam wstrząśnięta. Ludzie gadają. Krążą różne plotki. Dwadzieścia milionów to, dwadzieścia milionów tamto.

Ile wydam? Jaki samochód kupię? Gdzie wybuduję wielki dom? Patrzą mi teraz na

ręce. A mężczyźni... wszystkie kocury z czterech okolicznych hrabstw dzwonią, chcą wpaść albo zabrać mnie do kina. Wiem na pewno, że dwóch z nich nawet nie jest jeszcze rozwiedzionych. Betce zna swoich kuzynów. Mnie mężczyźni mało obchodzą.

Wes odwrócił wzrok.

- Rozmawiałaś z Dennym? - zapytała Mary Grace.

- Trochę. Jest cudowny. Mówi, żebym nieustannie się modliła za tych, którzy plotkują na mój temat. Owszem, modlę się za nich. Na prawdę. Ale mam wrażenie, że oni jeszcze bardziej się modlą za mnie i za pieniądze. - Rozejrzała się podejrzliwie.

Podano pudding bananowy. Paytonowie skorzystali z okazji, żeby zostawić Jeannette. W sali było jeszcze paru innych klientów kancelarii i każdemu należało poświęcić trochę uwagi. Kiedy pastor Ott z żoną zaczęli sprzątać stoły, żałobnicy wreszcie skierowali się ku drzwiom.

Wes i Mary Grace spotkali się z Dennym w jego gabinecie obok prezbiterium. Po pogrzebie przyszedł czas na załatwianie spraw. Kto zachorował? Jakie są nowe rozpoznania? Kto w Pine Grove wynajął inną kancelarię adwokacką?

- Działania Clyde'a Hardina wymknęły się spod kontroli - zauważył Denny. - Ogłaszają się przez radio, a raz w tygodniu w gazecie, na całą stronę. Można odnieść wrażenie, że gwarantują pieniądze. Ludzie się do nich garną.

Zaraz po mszy za panią Inez Wes i Mary Grace poszli na Main Street. Chcieli na własne oczy zobaczyć nowy medyczny punkt konsultacyjny. Na chodniku stały dwie wielkie chłodziarki z wodą w butelkach i lodem. Nastolatek w T - shircie z logo Bintz & Bintz wręczył im po butelce. Na naklejce widniał napis: „Czysta woda źródłana. Z pozdrowieniami od Bintz & Bintz Adwokaci”. Podany był darmowy numer telefoniczny.

- Skąd jest ta woda? - zapytał Wes chłopaka.

- Nie z Bowmore - nastąpiła błyskawiczna odpowiedź.

Mary Grace zagadywała chłopca, a Wes wszedł do środka i dołączył do trojga potencjalnych klientów czekających na badanie. Po żadnym nie było widać, że jest chory. Wesa przywitała urodziwa młoda dama, nie więcej niż osiemnastoletnia. Wręczyła mu broszurę, formularz na podkładce, długopis i pouczyła, że musi wypełnić kartkę po obu stronach. Broszura była sporządzona profesjonalnie, podawała podstawowe zarzuty wobec Krane Chemical, spółki, której „udowodniono w sądzie”, że zanieczyściła wodę pitną w Bowmore i hrabstwie Cary.

Proszono, aby wszystkie pytania kierować do Bintz & Bintz, Filadelfia \

w Pensylwanii. Pytania zawarte w formularzu dotyczyły sytuacji ankietowanego i

spraw medycznych, nie licząc ostatnich dwóch: (1) Kto ! polecił ci to biuro? (2) Czy znasz kogoś, kto mógłby potencjalnie być ,i ofiarą Krane Chemical? Jeśli tak, wpisz nazwiska i numery telefonów.

Kiedy Wes wypełniał formularz, do poczekalni wszedł lekarz i wywołał i następnego pacjenta. Miał na sobie biały lekarski fartuch, a do kompletu stetoskop na szyi. Pochodził z Indii albo Pakistanu i nie wyglądał na więcej niż trzydziestkę.

Po kilku minutach Wes przeprosił i wyszedł.

- To rzecz trzeciorzędna - powiedział Wes Denny'emu. - Sporządzą kilkaset wniosków, w większości bezzasadnych. Potem złożą powództwo grupowe w sądzie federalnym. Jeśli dopisze im szczęście, za parę lat zawrą ugodę po kilka tysięcy dolarów od głowy. Adwokaci zgarną ładne sumki. Ale bardziej prawdopodobne, że Krane nie zgodzi się na ugodę. Wtedy żaden z nowych klientów nie dostanie nic, a Clyde Hardin będzie musiał wrócić do pisania pism procesowych.

- Ilu z twoich parafian zgłosiło się do nich? - zapytała Mary Grace.

- Nie wiem. Nie mówią mi wszystkiego.

- Nie przejmujemy się tym - powiedział Wes. - Szczerze mówiąc, mamy tyle tych spraw, że na długo starczy nam zajęcia.

- Czyżbym widziała na dzisiejszej mszy paru szpiegów? - zapytała Mary Grace.

- Tak, jeden to adwokat z Jackson, nazywa się Crandell. Kręci się tutaj od procesu. Właściwie wpadł, żeby się przywitać. Zwyczajny cwaniak.

- Słyszałem o nim - powiedział Wes. - Złowił jakieś sprawy?

- Nie w tej parafii.

Rozmawiali przez chwilę o Crandellu, potem jak zwykle o Jeannette i nowych wyzwaniach, wobec których stanęła. Ott spędzał z nią dużo czasu i był pewien, że go słucha.

Po godzinie zakończyli spotkanie. Paytonowie wrócili do Hattiesburga, mieli tam kolejnego klienta - sprawa o wywołanie szkód cielesnych, która już zmieniła się w powództwo o spowodowanie śmierci.

Wstępna dokumentacja wpłynęła do Sądu Najwyższego Stanu Missisipi w styczniu. Sądowi sekretarze skończyli transkrypcję z taśmy magnetofonowej. Liczyła szesnaście tysięcy dwieście stron. Przesłano egzemplarze urzędnikowi sądowemu i adwokatowi. Wystosowano pismo do Krane Chemical, że nieprzekraczalny termin złożenia apelacji wynosi dziewięćdziesiąt dni. Do sześćdziesięciu dni po tym terminie Paytonowie mogli złożyć wniosek o oddalenie apelacji.

W Atlancie Jared Kurtin przesłał teczkę wydziałowi apelacyjnemu kancelarii, tak

zwanym jajogłowym, wybitnym naukowcom z dziedziny prawa, którzy słabo dawali sobie radę w normalnych kręgach, więc nie wypuszczano ich z biblioteki. Dwóch wspólników, czterech współpracowników i czterech urzędników kancelarii ostro wzięło się do prac nad apelacją, kiedy tylko dotarła olbrzymia transkrypcja. Mogli się zapoznać z każdym słowem, które padło na sali. Mieli je szczegółowo przeanalizować i znaleźć dziesiątki powodów do unieważnienia wyroku.

W jednej z gorszych dzielnic Hattiesburga transkrypcję rzucono na stół ze sklejki w sali kancelaryjnej. Mary Grace i Sherman gapili się na nią z niedowierzaniem, niemal bali się jej dotknąć. Mary Grace miała kiedyś sprawę, która ciągnęła się dziesięć dni. Transkrypcja liczyła wtedy tysiąc dwieście stron. Mary Grace przeczytała dokumentację tyle razy, że na jej widok dostawała mdłości. A teraz to.

Jeśli mieli jakąś przewagę, to dlatego, że byli na sali sądowej podczas całego procesu i pamiętali prawie wszystko, co potem znalazło się w transkrypcji. I rzeczywiście, nazwisko Mary Grace pojawiało się na większej liczbie stron niż któregokolwiek z innych uczestników.

Ale i tak trzeba było przeczytać tych kilkanaście tysięcy stron po wielokroć i to bezzwłocznie. Prawnicy Krane zaczęły zmyślnie i gwałtownie atakować przebieg procesu i werdykt. Adwokaci Jeannette Baker musieli odpowiedzieć jak równi równym, argumentem na argument, słowem na słowo.

W euforii po werdykcie planowano, że Mary Grace skupi się na sprawach z Bowmore, a Wes popracuje przy innych, żeby zarobić. Sława nie miała ceny; telefony dzwoniły bez ustanku. Każdy wariat z Południowego Zachodu nagle potrzebował Paytonów. Prawnicy grzęznący w beznadziejnych pozwach dzwonili po pomoc. Członkowie rodzin, których bliscy umarli na raka, widzieli w werdykcie znak nadziei. Adwokaci od spraw kryminalnych, rozwodzący się współmałżonkowie, maltretowane kobiety, zbankrutowani przedsiębiorcy, naciągacze, którym powinęła się noga, i zwolnieni pracownicy dzwonili, a nawet przychodzili, żeby zdobyć dla siebie sławnych prawników. Rzadko kogo stać było na zapłacenie przyzwoitego honorarium.

Uzasadnione pozwy dotyczące obrażeń cielesnych okazały się jednak rzadkie. Ten „Wielki Pozew”, gdzie odpowiedzialność byłaby oczywista, a pozwany miałby wypchane kieszenie, sprawa, która bywała podstawą marzeń o pieniądzach na emeryturę, nie pojawiła się jeszcze w kancelarii adwokackiej Paytonów. Znalazło się parę dodatkowych spraw o zniszczone samochody i odszkodowania dla robotników, ale nic, z czym można by iść do sądu.

Wes pracował gorączkowo, żeby zamknąć jak najwięcej spraw, i nawet mu się to

udawało. Czysznik regulowano teraz na bieżąco, przynajmniej za kancelarię. Wszyscy pracownicy dostali zaległe wynagrodzenia. Huffy i bank nadal widnieli na horyzoncie, ale bali się mocniej naciskać. Nie płacono rat kapitałowych ani odsetek.

ZDECYDOWALI SIĘ NA RONA FISKA, adwokata nieznanego poza jego własnym miasteczkiem, Brookhaven w Missisipi, godzinę na południe od Jackson, dwie godziny na zachód od Hattiesburga i siedemdziesiąt pięć kilometrów na północ od granicy z Luizjaną. Wybrano go spośród grupy osób o podobnych życiorysach, z których żadna nie miała najmniejszego pojęcia, że jej nazwisko i kariera zostały tak starannie oszacowane. Młody biały mężczyzna, jedno małżeństwo, troje dzieci, dość przystojny, przyzwoicie ubrany, konserwatysta, pobożny baptysta, po wydziale prawa uniwersytetu Missisipi, żadnych skaz etycznych na karierze zawodowej, problemów z prawem karnym powyżej mandatu za nadmierną szybkość, powiązania z wielkimi kancelariami, kontrowersyjnych spraw, żadnego doświadczenia sądowego.

Nic takiego się nie zdarzyło, żeby ktoś spoza Brookhaven słyszał kiedykolwiek o Ronię Fisku. I właśnie dlatego idealnie się nadawał. Wybrali Fiska, bo był już w tym wieku, żeby przedostać się przez ich niski próg doświadczenia prawniczego, a zarazem był na tyle młody, żeby jeszcze mieć ambicje.

Skończył trzydzieści dziewięć lat, pracował jako młodszy partner w kancelarii specjalizującej się w występowaniu po stronie pozwanego w sprawach o wypadki samochodowe, podpalenia, wypadki przy pracy i setkach innych z zakresu odpowiedzialności cywilnej. Klientelę firmy stanowiły spółki ubezpieczeniowe, które płaciły od godziny, co pozwalało pięciu panterom na osiągnięcie niezłych, chociaż nie oszałamiających zarobków. Jako młodszy wspólnik Fisk zarobił poprzedniego roku dziewięćdziesiąt dwa tysiące dolarów. Było to odległe echo tego, co zarabia się na Wall Street, ale nieźle jak na małe miasteczko w stanie Missisipi.

Pensja sędziego Sądu Najwyższego wynosiła wtedy sto dziesięć tysięcy.

Żona Fiska, Doreen, zarabiała czterdzieści jeden tysięcy jako zastępca dyrektora prywatnej kliniki psychiatrycznej. Wszystko było na hipotekę - dom, dwa samochody, nawet niektóre meble. Ale Fiskowie raty spłacali perfekcyjnie. Raz do roku urządzali sobie wakacje na Florydzie, gdzie wynajmowali mieszkanie w wieżowcu za tysiąc baksów tygodniowo. Żadnego funduszu powierniczego ani niczego istotniejszego, czego można by się spodziewać po nieruchomościach ich rodziców.

Fiskowie byli czyści jak łąza. Niczego nie dało się wyciągnąć w gorączce wrednej kampanii wyborczej.

Tom Zachary wszedł do budynku za pięć druga.

- Jestem umówiony z panem Fiskiem - oznajmił uprzejmie i sekretarka znikła.

Czekając, rozejrzył się po pokoju. Wypaczone półki, zastawione zakurzonymi książkami. Wytarty dywan. Zbutwiały zapach pięknego, starego budynku, który wymaga lekkiego remontu.

Otworzyły się drzwi. Przystojny młody człowiek przekroczył próg i wyciągnął rękę.

- Panie Zachary, jestem Ron Fisk - powiedział ciepło, jak zapewne robił wobec wszystkich nowych klientów.

- Miło mi.

- Zapraszam do gabinetu. - Fisk zatoczył ręką w stronę drzwi.

Usiedli przy dużym biurku, obłożonym papierami. Zachary odmówił kawy, wody, soku.

Fisk miał podwinięte rękawy i poluzowany krawat, jakby wykonywał jakąś pracę fizyczną. Zacharemu natychmiast spodobał się jego wizerunek. Ładne zęby, lekka siwizna tuż nad uszami, silny podbródek. Ten facet był zdecydowanie rynkowy.

Przez dłuższy czas bawili się w alfabet towarzyski, a Zachary twierdził, że od dawna mieszka w Jackson, gdzie większość swojej kariery zawodowej poświęcił lobbingowi w administracji, cokolwiek to miało znaczyć. Ponieważ wiedział, że Fisk nie ma za sobą działalności politycznej, niezbyt się obawiał, że kłamstwo wyjdzie na jaw. W istocie, mieszkał w Jackson niecałe trzy lata i do niedawna pracował jako lobbysta producentów asfaltu. Pogawędzili jeszcze trochę o stanowym senatorze z Brookhaven, którego obaj znali.

Kiedy już się lepiej poznali, Zachary przeszedł do rzeczy:

- Muszę pana przeprosić. Nie jestem nowym klientem. Mam do pana znacznie ważniejszą sprawę.

Fisk zachmurzył się i skinął głową.

- Czy słyszał pan o grupie Wizja Sprawiedliwości? - zaczął Zachary.

- Nie.

Niewielu słyszało. W mrocznym świecie lobbingu i konsultingu Wizja Sprawiedliwości była nowicjuszem. Zachary kontynuował:

- Jestem dyrektorem wykonawczym na stan Missisipi. To grupa o zasięgu krajowym. Naszym jedynym celem jest wybieranie godnych ludzi do sądów apelacyjnych. Mówiąc „godnych”, mam na myśli konserwatywnych, zorientowanych na gospodarkę, umiarkowanych, o nieskazitelnej opinii, inteligentnych i ambitnych młodych sędziów, którzy są w stanie zmienić sądowy krajobraz tego kraju. A jeśli nam się to powiedzie, będziemy

mogli bronić praw nienarodzonych, ograniczyć ilość śmieci kulturalnych, które są konsumowane przez nasze dzieci, uszanować świętość małżeństwa, wyrzucić homoseksualistów ze szkół, odeprzeć ataki zwolenników kontroli posiadania broni, uszczelnić nasze granice i ochronić prawdziwie amerykański styl życia.

Obaj wzięli głęboki oddech.

Fisk wątpił, czy pasuje do tej rozszalałej wojny, ale puls mu bez wątpienia przyspieszył o dziesięć uderzeń na minutę.

- Cóż, interesująca grupa - powiedział.

- Jesteśmy oddani sprawie - oznajmił stanowczo Zachary. - Pragniemy przywrócić normalność w naszym systemie sądownictwa cywilnego. Szalone werdykty i wygłodniali adwokaci hamują wzrost gospodarczy. Odstraszamy spółki od Missisipi, zamiast je przyciągać.

- Co do tego nie ma wątpiwości - przyznał Fisk, a Zachary'emu chciało się krzycheć z radości.

- Widzi pan wszystkie te bezsensowne pozwy. Współpracujemy z krajową grupą działającą na rzecz reformy prawa dotyczącego odszkodowań za szkody.

- Świetnie. Ale dlaczego przyjechał pan do Brookhaven?

- Czy ma pan ambicje polityczne, proszę pana? Myślał pan kiedykolwiek, żeby wejść na ring i walczyć o wybór na urząd?

- Nie, nigdy.

- Hm, przeprowadziliśmy badania i uważamy, że byłby pan doskonałym kandydatem do Sądu Najwyższego.

Fisk instyktownie zaśmiał się, słysząc taką głupotę, ale był to śmiech nerwowy, kiedy człowiek wie, że to, co brzmi śmiesznie, tak naprawdę śmieszne nie jest. Chodziło o bardzo poważny cel, który można osiągnąć.

- Badania?

- O tak. Poświęciliśmy mnóstwo czasu na szukanie kandydatów, którzy nam odpowiadają i są w stanie wygrać. Przyglądamy się uważnie przeciwnikom, wynikom wyborów, demografii, polityce, praktycznie wszystkiemu. Nasz bank danych nie ma sobie równych, podobnie jak nasza zdolność do generowania poważnych funduszy. Chce pan jeszcze posłuchać?

Fisk odsunął rozkładany fotel, położył stopy na biurku, założył ręce za głowę.

- Jasne - powiedział.

- Chcę pana zwerbować do wystąpienia w listopadowych wyborach przeciwko sędzi

Sheili McCarthy w południowym okręgu Missisipi - oświadczył z przekonaniem. - Łatwo ją pokonać. Nie podoba nam się i ona, i jej orzecznictwo. Przeanalizowaliśmy wszystkie wyroki, które wydała, zasiadając przez dziewięć lat za stołem sędziowskim, i myślimy, że jest wściekłym liberałem, któremu udaje się ukrywać swoje prawdziwe przekonania. Znają pan?

Fisk niemal się przestraszył, że musi powiedzieć „tak”.

- Kiedyś się spotkaliśmy, króciutko. Właściwie to jej nie znam.

W rzeczywistości, według badań lobbystów, sędzia McCarthy uczestniczyła w trzech procesach dotyczących spraw prowadzonych przez kancelarię adwokacką Rona Fiska i za każdym razem głosowała przeciwko ich klientowi. Fisk oprotestował jeden z wyroków, zaciekle dyskutowaną sprawę podpalenia magazynu. Jego klient przegrał stosunkiem głosów pięć do czterech. Było całkiem prawdopodobne, że nie podobała mu się ta jedyna kobieta, która zasiadała w Sądzie Najwyższym Stanu Missisipi.

- Jest słabo zabezpieczona przed atakiem - przekonywał Zachary.

- Dlaczego uważa pan, że mogę ją pokonać?

- Bo jest pan przyzwoitym konserwatystą, który wierzy w wartości rodzinne. Bo ma pan doświadczenie w prowadzeniu błyskawicznych kampanii. Bo my dysponujemy dużymi pieniędzmi.

- Na pewno?

- O tak. Posiadamy nieograniczone środki. Weszliśmy w alians z pewnymi potężnymi ludźmi, proszę pana.

- Mów mi Ron.

Zanim się zorientujesz, będzie Ronuś kochany, pomyślał Zachary.

- Dobrze, Ron, koordynujemy zbieranie funduszy z grupami reprezentującymi banki, spółki ubezpieczeniowe, producentów energii, wielki biznes. Ron, mówię o poważnych pieniądzach. Ponadto rozpięliśmy parasol ochronny nad bliskimi naszemu sercu ugrupowaniami.

Konserwatywni chrześcijanie są zdolni do zebrania ogromnych sum w ogniu kampanii. Ponadto mogą zmienić wynik głosowania.

- To wydaje się łatwe, kiedy tak mówisz.

- To nigdy nie jest łatwe, Ron, ale rzadko przegrywamy. Udoskonaliliśmy nasze umiejętności podczas kilkunastu takich kampanii w całym kraju i mamy zwyczaj doprowadzać do zwycięstw, które zaskakują wielu ludzi.

- Nigdy nie zasiadałem za stołem sędziowskim.

- Wiemy, dlatego nam się podobasz. Zasiadali sędziowie podejmują

bezkompromisowe decyzje. A te bywają kontrowersyjne. Pozostawiają za sobą ślady, wyroki, które oponenti mogą przeciwko nim wykorzystać. Najlepsi kandydaci, jak się przekonaliśmy, to zdolni, młodzi kołesie, tacy jak ty, nieobciążeni wyrokowaniem.

Niedoświadczenie jeszcze nigdy nie było tak miłą rzeczą.

Zapadła długa cisza, Fisk starał się pozbierać myśli. Zachary wstał i podszedł do ściany z dyplomami, wyróżnieniami z Rotary Club, zdjęciami z gry w golfa i wieloma fotografiami rodzinnymi robionymi z ukrytej kamery. Śliczna żona Doreen. Dziesięcioletni Josh w stroju do bejsbolu. Siedmioletni Zake z rybą wielką prawie jak on. Pięcioletnia Clarissa ubrana do gry w piłkę nożną.

- Piękna rodzina - powiedział Zachary, jakby po raz pierwszy widział ją na oczy.

- Dziękuję - odparł rozpromieniony Fisk.

- Wspaniałe dzieci.

- Dobre geny ich matki.

- Pierwsza żona? - zapytał Zachary, mimochodem, całkiem niewinnie.

- O tak. Spotkałem ją w college'u.

Zachary o tym wiedział, wiedział znacznie więcej. Wrócił na fotel i przybrał poprzednią pozycję.

- Nie sprawdzałem ostatnio, ale ile płacą teraz za tę pracę? - zapytał trochę niezręcznie Fisk.

- Jeden, dziesięć - powiedział Tony i stłumił uśmiech. Udało mu się więcej, niż planował.

Fisk skrzywił się lekko, jakby nie mógł sobie pozwolić na tak gwałtowny spadek wynagrodzeń. Ale przeżywał gonitwę myśli, odurzała go ta perspektywa.

- A zatem, werbujesz kandydatów do Sądu Najwyższego - powiedział oszołomiony.

- Nie na wszystkie miejsca. Mamy tam już paru dobrych sędziów i będziemy ich wspierać, jeśli znajdą się przeciwnicy. Ale McCarthy musi odejść. To feministka wyrozumiała dla przestępców. Musimy ją zdjąć. Liczę, że z twoją pomocą.

- A jeśli odmówię?

- Wtedy zwrócimy się do następnego człowieka z naszej listy. Ty jesteś numerem jeden.

- Nie wiem. - Fisk zdumiony pokręcił głową. - Ciężko będzie mi rozstać się z kancelarią.

Ale przynajmniej myślał o rozstaniu się z kancelarią. Ryba już widziała zarzuconą przynętę. Zachary kiwnął głową. Rozumiał człowieka. Gromadka steranych urzędników z

kancelarii marnowała czas, świadcząc za pijanych kierowców i zawierając ugody w sprawach drobnych stłuczek na godzinę przed rozprawą. Fisk robił w kółko to samo od czternastu lat. Jedna sprawa podobna do drugiej.

Usiedli w cukierni i zamówili deser lodowy.

- Co to jest błyskawiczna kampania? - zapytał Fisk. Byli sami. Wokół ani żywego ducha.

- Zasadniczo to zasadzka - odparł Zachary, zapalając się do swojego ulubionego tematu. - W tej chwili sędzia McCarthy nie wie, że ma konkurenta. Myśli, jest pewna, że nikt nie rzuci jej wyzwania.

Na koncie wyborczym trzyma sześć tysięcy dolarów i nie doda nawet dziesiątaka, jeśli nie będzie musiała. Powiedzmy, że zgodziłeś się wziąć udział w wyborach. Za cztery miesiące upływa termin rejestrowania kandydatów, a my poczekamy do ostatniej chwili, żeby wpisać cię na listę. Ale już teraz mamy co robić. Zbieramy twój sztab. Składamy pieniądze w banku. Drukujemy na metry plakaty, nalepki, ulotki, materiały do skrzynek pocztowych. Kręcimy twoje spoty do telewizji, wynajmujemy konsultantów, ankieterów. Kiedy zgłosisz kandydaturę, zalejemy dystrykt pocztą wyborczą. Pierwsza fala to materiał przyjazny: ty, twoja rodzina, twój pastor, Rotary Club, harcerstwo. Druga fala to twardy, ale uczciwy przegląd orzecznictwa McCarthy. Zaczynasz walczyć jak wariat. Dziesięć przemówień dziennie, dzień w dzień, w całym okręgu. Transportujemy cię wszędzie prywatnymi samolotami. Ona nie będzie wiedziała, gdzie zacząć. Już pierwszego dnia poniesie druzgoczącą klęskę. Trzydziestego czerwca zgłosisz milion dolarów na koncie wyborczym. McCarthy zostanie z niecałymi dziesięcioma tysiącami. Adwokaci wyskrobiają dla niej jakieś pieniądze, ale to będzie kropla w morzu. Po Świącie Pracy zaczniemy mocniej uderzać spotami telewizyjnymi. Jest miękka wobec przestępców. Uległa wobec gejów. Przychylna przeciwnikom broni. Przeciwna karze śmierci. Nie zdoła się podnieść.

Kelnerka przyniosła desery lodowe, zaczęli jeść.

- Ile to będzie kosztowało? - zapytał Fisk.

- Trzy miliony baksów.

- Trzy miliony baksów! Na kampanię do Sądu Najwyższego?

- O ile chcemy wygrać.

- I możecie zebrać tyle pieniędzy?

- Wizja Sprawiedliwości ma już zgłoszenia. A jeśli będzie potrzeba więcej, dostaniemy więcej.

Ron wziął do ust łyżkę lodów i po raz pierwszy zapytał sam siebie, dlaczego jakaś

organizacja chce wydać fortunę, żeby wysadzić z siodła sędziego Sądu Najwyższego, która ma niewielki wpływ na bieżące kwestie społeczne. Sądy Missisipi rzadko były wplątywane w sprawy dotyczące aborcji, praw gejów, broni, imigracji. Przez cały czas miały do czynienia z karą śmierci, ale nikt nie oczekiwał po nich, że ją zniosą. Najcięższe sprawy zawsze trafiały do sądu federalnego.

Być może ważną rolę odgrywały kwestie społeczne, ale coś innego było na rzeczy.

- Tu chodzi o odpowiedzialność cywilną, prawda? - zapytał.

- To pakiet, Ron, składający się z kilku elementów. Ale owszem, ograniczenie odpowiedzialności cywilnej to potężny priorytet naszej organizacji i stowarzyszonych z nią grup. Musimy znaleźć konia do tych wyścigów. Mam nadzieję, że to ty, ale jeśli nie, pójdziemy do następnego gościa. A kiedy znajdziemy odpowiedniego człowieka, będziemy oczekiwali jasnego zobowiązania, że ograniczy odpowiedzialność w sprawach cywilnych. Adwokaci muszą zostać powstrzymani, Doreen zaparzyła późnym wieczorem kawę bezkofeinową. Dzieci były już śpiące, ale dorośli nie. I nie mieli szybko zasnąć. Ron, po wyjściu pana Zachary'ego, zadzwonił z kancelarii do domu i od tej chwili myśleli tylko o Sądzie Najwyższym.

Kwestia numer jeden: mają troje małych dzieci. Jackson, siedziba Sądu Najwyższego, znajduje się godzinę jazdy od ich domu, a rodzina nie zamierzała wyprowadzać się z Brookhaven. Ron uważał, że będzie musiał spędzić najwyżej dwa dni w tygodniu w Jackson. Dojeżdżanie nie stanowiło problemu. Pracować może w domu. Po cichu nawet z radością myślał o tym, że na trochę wyrwie się z Brookhaven co tydzień. Doreen też się cieszyła, że przez kilka dni będzie miała dom tylko dla siebie.

Kwestia numer dwa: kampania. Jak zdoła angażować się w politykę, nie przerywając praktyki zawodowej? Uważał, że jego kancelaria go wesprze, ale nie będzie to łatwe. Ale przecież niczego się nie osiągnie bez ofiar.

Kwestia numer trzy: pieniądze, chociaż nie odgrywały najistotniejszej roli. Niewątpliwie jego udział w zyskach kancelarii wzrastał co roku, ale wielkie przyrosty nie były możliwe. Organy ustawodawcze okresowo podnosiły zarobki sędziowskie w Missisipi. Ponadto stan dysponował lepszym planem emerytalnym i pakietem świadczeń zdrowotnych.

Kwestia numer cztery: kariera. Po czternastu latach robienia tego samego, bez perspektywy rozwoju, myśl o nagłej wolcie w życiu zawodowym sprawiała mu przyjemność. Sama koncepcja wyjścia z wielotysięcznej masy, żeby stać się jednym z dziewięciu, wywoływała dreszcze. Gwałtowne salto z sądu hrabstwa na szczyt stanowego systemu prawnego było niezwykle podniecające. Doreen także bardzo to się podobało.

Kwestia numer pięć: porażka. A jeśli przegra? I to z kretesem? Myśl o upokorzeniu przygnębiała go, ale ciągle powtarzał sobie słowa Tony'ego Zachary'ego: „Za trzy miliony baksów wygrasz wybory, a my znajdziemy te pieniądze”.

I ostatnie pytanie: kim właściwie jest Tony Zachary i czy może mu zaufać? Ron spędził godzinę przed komputerem, szukając śladów Wizji Sprawiedliwości. Jeden z kolegów słyszał o nich, ale niewiele wiedział. Poza tym zajmował się prawami do złóż naftowych na pełnym morzu i trzymał się z dala od polityki.

Ron zadzwonił do biura Wizji Sprawiedliwości w Jackson i został przekierowany z powrotem do sekretarki pana Zachary'ego, która poinformowała, że szef podróżuje po południowej części Missisipi. Kiedy się rozłączył, zadzwonił do Tony'ego i opowiedział o swojej próbie nawiązania kontaktu.

Fiskowie spotkali się z Tonym następnego dnia w Dbrie Springs Cafe, restauracyjce nad jeziorem, piętnaście kilometrów na południe od Brookhaven, z dala od potencjalnych ciekawskich.

Na tę okazję Zachary przybrał z lekka inną pozę. Dziś był człowiekiem, który ma wybór. Oto układ - bierzesz albo nie, bo w kolejce czekają inni młodzi protestanci prawnicy, z którymi mogę porozmawiać. Zachowywał się subtelnie, czarująco, szczególnie wobec pani pisk - Doreen opuściły podejrzenia, jakie ją dręczyły jeszcze na początku lunchu.

W pewnej chwili, podczas bezsennej nocy, państwo Fiskowie niezależnie doszli do tego samego wniosku. Życie będzie pełniejsze, bogatsze w ich małym miasteczku, jeżeli adwokat Fisk zostanie sędzią Fisliem. Osiągną znacznie wyższy status. Nikt ich nie tknie, a skoro nie pragnęli władzy ani rozgłosu, pokusa była nie do odparcia.

- Co was najbardziej niepokoi? - zapytał Tony po kwadransie paplaniny.

- Hm, mamy styczeń - zaczął Ron. - A przez najbliższych jedenaście miesięcy będę musiał poświęcić się kampanii. To jasne, że martwię się o swoją praktykę prawniczą.

- Oto jeden ze sposobów - odparł bez wahania Tony. Miał sposób na wszystko. - Wizja Sprawiedliwości to dobrze skoordynowana poważna organizacja. Sprzyja nam wiele osób. Przydzielimy twojej kancelarii jakąś pracę. Drewno, energia, gaz naturalny, wielcy klienci, którzy prowadzą interesy w tej części stanu. Twoja kancelaria może zatrudnić dodatkowo prawnika lub dwóch, kiedy ty będziesz zajęty gdzie indziej, i to rozładuje obciążenie obowiązkami. Jeśli zdecydujesz się kandydować, nie ucierpisz finansowo. Wręcz przeciwnie.

Fiskowie nie mogli się powstrzymać, żeby na siebie nie popatrzeć. Tony posmarował masłem słonego krakersa i ugryzł spory kawałek.

- To uczciwi klienci? - zapytała Doreen i pożałowała, że nie trzymała języka za zębami.

Tony zmarszczył brwi, przeżuając.

- Doreen, wszystko, co robimy, jest uczciwe - odparł, kiedy już przełknął. - Zaczniemy od tego, że postępujemy w stu procentach etycznie. Naszą misją jest oczyszczenie, nie zaśmiecenie sądu. W czasie kampanii będziemy podlegać surowej ocenie. Te wybory pójdą na ostro i przyciągną mnóstwo uwagi. Nie zrobimy fałszywego kroku.

Skarcona skupiła się na krojeniu bułki.

Tony kontynuował:

- Nikt nie śmie zakwestionować uczciwej pracy prawniczej i przyzwoitych honorariów płaconych przez klientów, dużych czy małych.

- Oczywiście - przytaknął żarliwie Ron. Już myślał o fantastycznej rozmowie ze wspólnikami, kiedy powie o napływie nowej klienteli biznesowej.

- Nie widzę siebie jako żony polityka - stwierdziła Doreen. - Objazdy, wygłaszanie przemówień... Nigdy nawet o tym nie myślałam.

Tony uśmiechnął się, emanował wdziękiem. Nigdy nikogo nie wyśmiewał.

- Zrobisz tyle, ile będziesz chciała. Myślę, że przy trojgu małych dzieciach masz prawo być bardzo zajęta domowymi obowiązkami.

Nad rybą i bułeczkami kukurydzianymi ustalili, że spotkają się znowu za kilka dni, kiedy Tony znajdzie się w pobliżu. Pójdą na lunch i podejmą ostateczną decyzję. Do listopada jeszcze daleko, ale czekało ich wiele pracy.

KIEDYŚ ŚMIAŁA SIĘ Z SIEBIE, że poddaje się tym strasznym rytuałom, gramoli się o świcie na rower stacjonarny i pedałuje donikąd przy wschodzącym słońcu, oświetlającym małą salkę gimnastyczną. Jej publiczny wizerunek to poważne oblicze i onieśmielająca czarna toga. Bawiło ją, co ludzie pomyśleliby, gdyby zobaczyli dostojną przedstawicielkę sądu na rowerku, w starym dresie, ze zmierzwionymi włosami, zapuchniętymi oczami, nieumalowaną twarzą. Ale to było dawno. Teraz poddawała się rutynie, nie zastanawiając się, jak wygląda i co ktoś pomyśli. Szczególnie martwił ją fakt, że przez wakacje, jedenaście miesięcy po rozwodzie przybyło jej dwa kilo. Musiała zatrzymać tycie, zanim weźmie się do odchudzania. W wieku pięćdziesięciu jeden lat trudno zrzucić dodatkowe kilogramy.

Sheila McCarthy nie należała do rannych ptaszków. Nie znosiła poranków, nie cierpiała wstawać zaspana z łóżka, nienawidziła tych radosnych głosów w telewizji, korków po drodze do biura. Nie jadała śniadań, nie piła kawy. Po cichu zawsze odnosiła się z niechęcią do tych, którzy rozkoszowali się porannymi wyczynami - uprawiającymi jogging, fanatykami jogi, pracoholikami, nadaktywnymi mamuškami, grającymi w piłkę. Jako młoda sędzia sądu okręgowego w Biloxi często wyznaczała rozprawy na dziesiątą rano, skandaliczną godzinę. Ale tam tylko ona ustalała zasady.

Teraz była jedną z dziewięciorga sędziów, a trybunał, w którym zasiadała, rozpaczliwie trzymał się tradycji. W pewne dni mogła przychodzić w południe i pracować do północy, zgodnie z ulubionym rozkładem zajęć, ale najczęściej oczekiwano, że stawi się o dziewiątej rano.

Spościła się po „przejechaniu” kilometra. Spalone osiemdziesiąt cztery kalorie. Mniej niż kubeczek miętowych chrupków czekoladowych, które stanowiły najpoważniejszą pokusę. Ze stelażu nad rowerem zwisał telewizor. Patrzyła i słuchała, jak miejscowi pomstują na ostatnie wypadki samochodowe i morderstwa. Potem zapowiadacz pogody wrócił po raz trzeci w ciągu dwunastu minut. Paplał o śniegu w Górach Skalistych, bo na miejscu nie pojawiła się ani jedna chmurka do analizy.

Po dwóch kilometrach i spaleniu stu sześćdziesięciu jednej kalorii Sheila zatrzymała się, żeby wziąć wodę i ręcznik, potem zdecydowała jeszcze trochę się pomęczyć. Przełączyła na CNN, na szybki przegląd ogólnokrajowych plotek. Kiedy spaliła dwieście pięćdziesiąt kalorii, skończyła i poszła pod prysznic. Godzinę później opuściła piętrowy domek nad zalewem, wsiadła do jaskrawoczerwonego sportowego kabrioletu bmw i pojechała do pracy.

Sąd Najwyższy Stanu Missisipi podzielony jest na trzy dystrykty: północny, centralny i południowy. Z każdego wybieranych jest trzech sędziów. Kadencja trwa osiem lat i nie jest ograniczona. „Wybory sędziów odbywają się w terminach, kiedy nie ma żadnych innych ważnych wyborów, panuje spokój i nie toczą się kampanie na urzędy lokalne ani stanowe. Raz zdobyte miejsce w sądzie utrzymywane jest bardzo długo, zazwyczaj do śmierci albo dobrowolnego przejścia na emeryturę.

Wybory są bezpartyjne, wszyscy zainteresowani startują jako niezależni kandydaci. Prawa regulujące finanse na kampanię ograniczają datki ze strony osób fizycznych do pięciu tysięcy dolarów, a od organizacji, w tym komitetów politycznych i spółek, do dwóch i pół tysiąca.

Sheila McCarthy została mianowana na stanowisko przed dziewięcioma laty przez sprzyjającego jej gubernatora, po śmierci poprzednika. Kandydowała raz, bez konkurencji i z pewnością przymierzała się do kolejnego łatwego zwycięstwa. Nie pojawiła się żadna pogłoska, że ktoś inny ma plany wobec tego stanowiska.

Dziewięcioletnim doświadczeniem przewyższała tylko trzech innych sędziów i była uważana przez większość stanowej palestry za względnie nowego człowieka. Przegląd jej opinii na piśmie i głosowań zdumiewał zarówno liberałów, jak i konserwatystów. Była człowiekiem umiarkowanym, budowniczym konsensusu, praktykiem zajmującym pośrednią pozycję. Niektórzy twierdzili, że najpierw wybierała najlepsze rozwiązanie, a dopiero potem znajdowała przepisy, żeby zrealizować zamysł. Z tych powodów była wpływowym członkiem sądu. Potrafiła doprowadzić do ugody między zagorzałymi prawicowcami a liberałami. Z czterema sędziami na prawicy i zazwyczaj dwoma na lewicy Sheila sytuowała się pośrodku z dwoma towarzyszami, chociaż taka uproszczona analiza zawiodła już niejednego prawnika próbującego przewidzieć wynik. Większość spraw na wokandzie umykała kategoryzacji. Gdzie są liberałowie czy konserwatyści przy głośniejszej sprawie rozwodowej albo gdzie przebiega granica poglądów politycznych przy sporze między spółkami handlu drewnem? W wielu sprawach wyroki zapadały w stosunku dziewięć do zera.

Siedziba Sądu Najwyższego mieści się w Carroll Gartin Justice Building, w śródmieściu Jackson, naprzeciwko stanowego kapitolu. Sheila zaparkowała na zarezerwowanym miejscu pod gmachem. Wjechała windą na czwarte piętro i weszła do gabinetu dokładnie za kwadrans dziewiąta. Paul, szef jej asystentów, uderzająco przystojny dwudziestoosmioletni kawaler, heteroseksualista, z którego była bardzo zadowolona, wszedł do gabinetu kilka sekund później.

- Dzień dobry - powiedział. Miał długie, ciemne, kręcone włosy i nosił w uchu

diamencik. Jakoś zawsze udawało mu się zachować na twarzy perfekcyjny, trzydniowy zarost. Orzechowe oczy. Często spodziewała się, że trafi na zdjęcie Paula prezentującego garniturę od Armaniego w magazynach mody rozrzuconych po jej mieszkaniu.

W swojej salce gimnastycznej myślała o Paulu częściej niż śmiała to przed sobą wyznać.

- Dzień dobry - odpowiedziała chłodnym tonem, jakby ledwie go zauważała.

- O dziewiątej ma pani przesłuchanie w sprawie Sturdivanta.

- Wiem - odparta, obrzucając go spojrzeniem, kiedy już kierował się ku drzwiom.

Spłowiął dzinsy. Tyłek modela.

Śledziła każdy jego krok.

Przyszła sekretarka. Zamknęła drzwi i wyciągnęła mały zestaw do makijażu. Kiedy sędzia McCarthy była gotowa, poprawki poszły szybko. Włosy - krótkie, ścięte prawie równo z uszami, w połowie piaskowe, w połowie siwe, teraz starannie malowane dwa razy w miesiącu za czterysta dolarów od jednego seansu - zostały ułożone i polakierowane.

- Jakie miałabym szansę u Paula? - zapytała Sheila z zamkniętymi oczami.

- Trochę za młody, nie sądzisz?

Sekretarka była starsza od swojej szefowej i zajmowała się poprawianiem jej makijażu od dziewięciu lat. Nie przerywała pudrowania.

- Oczywiście, że młody. Ale w tym rzecz.

- Bo ja wiem? Słyszałam, że jest po uszy zakochany w tym rudzielcu z biura Albrittona.

Do Sheili też dotarły te plotki. Przepiękna nowa urzędniczka po Stanfordzie wzbudzała ogromne zainteresowanie w całym sądzie, a wybrańcem został Paul.

- Czytałaś akta sprawy Sturdivanta? - zapytała Sheila.

- Tak. - Sekretarka pomogła szefowej włożyć togę. Obie panie szamotały się z czarnym strojem, dopóki nie leżał perfekcyjnie.

- Kto zabił policjanta? - Sheila ostrożnie zasunęła zamek błyskawiczny.

- Na pewno nie Sturdivant.

- Zgadza się. - Stała przed wysokim lustrem. - Widać, że przytyłam? - zapytała Sheila.

- Nie. - Jakie pytanie, taka odpowiedź.

- Cóż, a jednak trochę mi przybyło na wadze. I dlatego uwielbiam tę szatę. Może zamaskować dziesięć kilogramów.

- Uwielbiasz ją z innych powodów, moja droga. Zasiadasz w składzie sędziowskim

jako jedyna kobieta wśród ośmiu facetów i żaden z nich nie jest takim twardzielem i spryciarzem, jak ty.

- I nie jest taki sexy. Nie zapominaj i tym.

Sekretarka roześmiała się.

- Żaden z tych starych capów ci nie dorówna.

Wyszły z gabinetu, na korytarzu znowu spotkały Paula. Kiedy jechali windą na drugie piętro, gdzie mieściła się sala sądowa, wyrzucił z siebie szybko kilka kluczowych kwestii w sprawie Sturdivanta. Jeden prawnik może zakwestionować to, a drugi tamto. Oto parę kwestii, na których obaj się poślizgną.

Trzy przecznice od miejsca, gdzie McCarthy wykonywała swoje obowiązki, grupka poważnych mężczyzn i kobiet zasiadła przy stole, żeby porozmawiać o porażce pani sędzi. Zebrali się w sali konferencyjnej bez okien, w nijakim budynku, jednym z wielu stojących w okolicy stanowego kapitolu, w którym tłum urzędników i aktywistów zmaga się z zadaniem rządzenia stanem Missisipi.

Spotkanie zostało zainicjowane przez Tony'ego Zachary'ego i Wizję Sprawiedliwości. Gośćmi byli dyrektorzy innych podobnie nastawionych firm „lobbingu rządowego”. Niektóre nosiły dziwne nazwy, umykające kategoryzacji - Sieć Wolności. Partnerstwo Rynkowe, Rada Handlu, Orędownictwo Przedsiębiorczości. Inne nazwy trafiły w sedno - Centrum Obywateli przeciw Legislacyjnym Trudnościom (COLT), Stowarzyszenie na rzecz Sprawiedliwych Werdyktów, Straż Prawna, Komitet Reformy Odszkodowań Cywilnych w Missisipi. Była też stara gwardia, stowarzyszenia reprezentujące interesy banków, towarzystw ubezpieczeniowych, wydobywców ropy naftowej, przedstawicieli handlu, wytwórczości i tego, co najlepsze w amerykańskim stylu życia.

W mrocznym świecie legislacyjnej manipulacji, w którym sympatie zmieniają się z dnia na dzień i przyjaciel staje się wrogiem, zanim wybije południe, ludzie zgromadzeni w sali byli godni zaufania, przynajmniej w oczach Tony'ego Zachary'ego.

- Proszę państwa - zaczął Tony, stając nad nadgryzionym rogalikiem. - Celem tego spotkania jest przekazanie wam informacji, że w listopadzie usuniemy Sheilę McCarthy z Sądu Najwyższego, a jej następcą zostanie młody sędzia, oddany sprawie wzrostu gospodarczego i ograniczenia odpowiedzialności cywilnej.

Zerwały się lekkie oklaski. Wszyscy siedzieli i słuchali z zainteresowaniem. Nikt nie wiedział dokładnie, co to jest Wizja Sprawiedliwości. Zachary kręcił się tu od kilku lat i cieszył się dobrą opinią, ale nie miał własnych pieniędzy. A jego organizacja liczyła niewielu członków. I nigdy specjalnie nie interesował się wymiarem sprawiedliwości w sprawach

cywilnych. Jego nowy zapał do zmiany przepisów dotyczących odpowiedzialności cywilnej wyrastał znikąd.

Ale nie ulegało wątpliwości, że Zachary i Wizja Sprawiedliwości są tym razem nieźle wyposażeni w środki. A w tej grze tylko to się liczyło.

- Mamy już finanse na rozpoczęcie działalności, sporo też nam obiecano - oznajmił z dumą. - Od was, oczywiście, będziemy chcieli więcej. Dysponujemy planem kampanii, strategią i to my, Wizja Sprawiedliwości, poprowadzimy show.

Znów oklaski. Największą przeszkodę zawsze stanowiła koordynacja. Było tyle ugrupowań, tyle spraw, ambicji. Zbieranie pieniędzy nie nastęczało problemów, przynajmniej po ich stronie ulicy, ale mądre ich wydawanie częstokroć bywało wyzwaniem. Fakt, że Tony - co prawda, trochę agresywnie - przejął kierownictwo, został przyjęty z entuzjazmem. Pozostali byli bardziej niż zadowoleni, że mogą ograniczyć się do podpisywania czeków i naganiania wyborców.

- A co to za kandydat? - zapytał ktoś.

Tony się uśmiechnął.

- Bardzo się wam spodoba. Ale teraz jeszcze nie podam jego nazwiska. Stworzony dla telewizji. - Ron Fisk na razie nie wyraził zgody na udział w kampanii, ale Tony wiedział, że to tylko kwestia czasu.

A gdyby jednak Fisk się wycofał, sytuacja dramatycznie by się skomplikowała. Nikt nie czekał w kolejce. Ale zdobędą tego swojego kandydata i to wkrótce, nawet jeśli miałyby to ich kosztować fortunę. - Możemy zacząć mówić o pieniądzach? - zapytał i szybko przystąpił do rzeczy, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. - Dysponujemy milionem baksów. Chcę wydać więcej, niż w ostatnich wyborach wyłożyli obaj kandydaci. To było dwa lata temu i nie muszę przypominać, że wasz chłopak słabo wypadł. Mój nie przegra wyścigu. Zęby to zagwarantować, potrzebuję dwóch milionów od was i członków waszych organizacji.

Trzy miliony na taki cel to porażająca suma. W ostatnich wyborach na stanowisko gubernatora, które objęły wszystkie osiemdziesiąt dwa hrabstwa, a nie tylko jedną trzecią z nich, zwycięzca wydał siedem milionów, a przegrany połowę tego. A dobre wybory gubernatora to zawsze wspaniałe widowisko, oś polityki stanowej. Emocje były duże, frekwencja też.

Wybory na stanowisko sędziego Sądu Najwyższego, jeśli już się zdarzą, rzadko przyciągają więcej niż jedną trzecią zarejestrowanych wyborców.

- Jak pan zamierza wydać trzy miliony? - To pytanie wyraźnie wskazywało, że nie chodzi o problem z zebraniem pieniędzy. Obecni mieli dostęp do bardzo wypchanych

kieszoni.

- Telewizja, telewizja, telewizja - odparł Tony. Ale to była tylko część prawdy. Nigdy nie ujawniłby swojej prawdziwej strategii. Razem z panem Rinehartem zamierzał wydać znacznie więcej niż trzy miliony, ale wiele wydatków miało zostać pokryte gotówką.

Nagle pojawił się asystent i zaczął rozdawać grube foldery.

- Oto, co zrobiliśmy w innych stanach - powiedział Tony. - Proszę zabrać to ze sobą i uważnie przeczytać.

Zadawano pytania o plany, ale więcej o kandydata. Tony przekazywał minimum informacji, ale nieustannie podkreślał, że potrzebuje zobowiązań finansowych, im wcześniej, tym lepiej. Nagle dyrektor COLT - a oznajmił, że jego grupa też werbuje kandydatów, żeby konkurowali w wyborach z McCarthy, i że on ma własny plan, jak ją usunąć. COLT szczylił się ośmioma tysiącami członków, chociaż ta liczba była wątpliwa. Większość działaczy stanowili ci, którzy musieli płacić odszkodowania po przegranych procesach. Organizacja cieszyła się zaufaniem, ale nie miała miliona dolarów. Po krótkiej, ale intensywnej konfrontacji, Tony zaproponował facetowi z COLT - a, żeby prowadził własną kampanię, a ten wtedy szybko wycofał roszczenia i wrócił na swoje miejsce w szeregu.

Przed zakończeniem zebrania Tony wezwał do zachowania tajemnicy, która była istotnym elementem kampanii.

- Jeśli adwokaci dowiedzą się, że wystawimy konia w tych wyścigach, zmontują własną maszynę do zbierania pieniędzy. Ostatnim razem was pokonali.

Zirykowało ich to drugie przywołanie przegranej w ostatnich wyborach, jakby mogli wtedy wygrać, gdyby tylko Tony z nimi był. Ale wszyscy machnęli na to ręką.

Za bardzo ekscytowała ich obecna gonitwa, żeby się spierać o poprzednie wyścigi.

Powództwo grupowe obejmowało ponoć „ponad trzysta” ofiar pokrzywdzonych na różne sposoby przez karygodne zaniedbanie ze strony Krane Chemical w zakładach w Bowmore. Tylko dwadzieścioro wymieniono z nazwiska jako powodów, a z tych dwudziestu osób może połowa odniosła poważny uszczerbek na zdrowiu. Czy ich schorzenia dało się powiązać ze skażoną wodą gruntową, to już inna kwestia.

Powództwo złożono w Hattiesburgu w budynku sądu federalnego, o rzut kamieniem od budynku Sądu Okręgowego Hrabstwa Forrest, gdzie doktor Leona Rocha i reszta przysięgłych wydali werdykt zaledwie dwa miesiące wcześniej. Prawnicy Sterling Bintz z Filadelfii i F. Clyde Hardin z Bowmore wpadli, żeby złożyć pisma procesowe, a także, żeby pogadać z każdym reporterem, który zareagowałby na alarm podniesiony przez nich w prasie przed rozpoczęciem procedur. Niestety, nie było kamer telewizyjnych. Zaledwie kilku

reporterów zbierało informacje z ostatniej chwili. Przynajmniej dla F. Clyde'a była to jednak przygoda. Nie zbliżał się do budynku sądu federalnego od ponad trzydziestu lat.

Pana Bintza zaniepokoił żalosny brak zainteresowania ze strony mediów. Marzył o wielkich tytułach i długich reportażach ze wspaniałymi zdjęciami. Złożył już wiele ważnych powództw grupowych i zazwyczaj udawało mu się zdobywać adekwatny rozgłos. Co jest nie tak z sielskim Missisipi?

F. Clyde pospieszył do Bowmore, do swojej kancelarii, gdzie czekała Miriam, żeby dowiedzieć się, jak poszły sprawy.

- Który kanał? - zapytała.

- Żaden.

- Co? - To był przecież największy dzień w historii kancelarii F. Clyde Hardin i Wspólnicy.

- Postanowiliśmy nie zadawać się z reporterami. Nie można im zaufać - wyjaśnił F. Clyde, patrząc na zegarek. Minęła już piąta. - Nie ma potrzeby tu siedzieć. - Zamaszyście włożył marynarkę. - Wszystko jest pod kontrolą.

Miriam szybko wyszła, wyraźnie rozczarowana, a F. Clyde ruszył prosto po kancelaryjną butelkę. Schłodzona, mocna wódka natychmiast go uspokoiła. Zaczął odtwarzać ten wielki dzień. Przy odrobinie szczęścia gazeta z Hattiesburga opublikuje jego zdjęcie.

Bintz mówił o trzystu klientach. Po pięćset za każdego i F. Clyde zbierze ładne honorarium. Jak do tej pory wypłacono mu tylko trzy tysiące pięćset - większość wykorzystał na opłacenie zaległych podatków.

Nalał sobie drugiego drinka. Co u diabła, Bintz mnie potrzebuje, więc nie będzie oszukiwał, pomyślał. On, F. Clyde Hardin, był teraz ważnym adwokatem w jednym z najgłośniejszych powództw grupowych w kraju. Wszystkie drogi prowadziły do Bowmore, a tu należało się liczyć z F. Clyde'em.

W KANCELARII POWIEDZIANO, ŻE PAN FISK WYJECHAŁ DO JACKSON na Cały dzień, żeby załatwić sprawy osobiste. Jako wspólnik zyskał sobie prawo do ustalania godzin pracy według życzenia, ale był tak zdyscyplinowany i zorganizowany, że każdy z pracowników kancelarii mógł go znaleźć w ciągu pięciu minut.

O świcie pożegnał się z Doreen. Poproszono ją, żeby towarzyszyła mężowi w podróży, ale musiała odmówić - praca, troje dzieci. Tym bardziej że dowiedziała się o wyjeździe w ostatniej chwili. Ron wyszedł z domu bez śniadania, chociaż nie z powodu pośpiechu. Tony Zachary powiedział, że zjedzą w samolocie, i to wystarczyło, żeby Ron darował sobie płatki z otrębów.

Pas startowy w Brookhaven okazał się za mały dla odrzutowca, dlatego Ron jechał do Jackson. I to z radością. Nigdy w życiu nie podszedł bliżej niż na sto metrów do prywatnego odrzutowca i nawet nie myślał, że kiedyś takim będzie latał. Tony Zachary czekał na dworcu lotniczym, serdecznie uścisnął mu rękę.

- Dzień dobry, Wysoki Sądzie - powiedział dziarsko.

Zdecydowanym krokiem przeszli po tarmaku obok paru starych samolotów turbośmigłowych i tłokowych - mniejszych, gorszych maszyn. W oddali stał wspaniały okaz, egzotyczny i smukły jak statek kosmiczny. Migał światełkami nawigacyjnymi. Eleganckie schodki czekały na specjalnych pasażerów. Ron ruszył za Tonym do wejścia, gdzie śliczna stewardesa w krótkiej spódniczce powitała gości, wzięła od nich marynarki i pokazała fotele.

- Byłeś kiedy na pokładzie gulfstreama? - zapytał Tony, kiedy się usadowili.

Jeden z pilotów powiedział im cześć i nacisnął guzik chowający schodki.

- Nie. - Ron gapił się na wypolerowany mahoń, miękką skórę i złote ozdoby.

- To jest G 5, mercedes wśród prywatnych odrzutowców. Mógłby nas zabrać do Paryża bez międzylądowania.

No to lećmy do Paryża, zamiast do Nowego Jorku, pomyślał Ron, nachylając się w stronę przejścia, żeby ogarnąć wzrokiem wnętrze samolotu. Szybko zliczył fotele, starczało ich dla co najmniej sześciu osób przyzwyczajonych do luksusów.

- Piękny - powiedział. Chciał zapytać, czyj. Kto płaci za podróż?

Kto stoi za tym pozłacanym werbunkiem? Ale uznał, że takie wypytywanie byłoby nieuprzejme. Rozluźnij się, ciesz podróżą i zapamiętaj szczegóły, żeby potem wszystko opowiedzieć Doreen, myślał sobie w duszy.

Wróciła stewardesa. Przedstawiła procedury bezpieczeństwa i zapytała, co chcieliby dostać na śniadanie. Tony poprosił o jajecznicę, bekon i starte ziemniaki smażone z cebulą. Ron zamówił to samo.

- Łazienka i kuchnia są z tyłu - poinformował Tony, jakby codziennie podróżował G 5. - Fotel jest rozkładany, gdybyś chciał uciąć sobie drzemkę.

Kawa została podana, kiedy zaczęli kołować. Stewardesa zaproponowała rozmaite gazety. Tony chwycił jedną z nich i gwałtownie rozłożył.

- Jesteś na bieżąco ze sprawą z Bowmore? - zapytał po chwili.

Ron udawał, że zagląda w gazetę, ale nadal chłonał luksusy odrzutowca.

- W miarę - powiedział.

- Wczoraj zgłosili powództwo grupowe - mruknął z niesmakiem Tony. - Reprezentuje ich jedna z ogólnokrajowych kancelarii od odszkodowań cywilnych z Filadelfii. Coś mi się zdaje, że zleciały się sępy.

- Po raz pierwszy poruszył ten temat przy Ronie, ale z pewnością nie po raz ostatni.

G 5 wystartował. Był jednym z trzech należących do rozmaitych firm kontrolowanych przez Trudeau Group. Został wynajęty za pośrednictwem zewnętrznej spółki leasingowej, co uniemożliwiało wyśledzenie prawdziwego właściciela. Ron patrzył, jak Jackson niknie w dole. Parę minut później, kiedy wyrównali na tysiącu pięciuset metrach, poczuł wspaniały aromat bekonu smażonego na patelni.

Na lotnisku Dullesa wepchnięto ich pospiesznie na tylną kanapę długiej czarnej limuzyny i czterdzieści minut później znaleźli się w mieście, na K Street. Po drodze Tony poinformował Fiska, że o dziesiątej mają spotkanie zjedną z grup potencjalnych zwolenników, a potem, o drugiej, z następną. Ron zje kolację już u siebie w domu. Był niemal oszołomiony z podniecenia tą luksusową podróżą i poczuciem własnej ważności.

Na szóstym piętrze nowego budynku wyszli na nijaki korytarz Ligi Amerykańskich Rodzin i zwrócili się do recepcjonistki również mocno pospolitej.

- To ugrupowanie jest chyba najpotężniejsze spośród wszystkich konserwatywnych stronnictw chrześcijańskich - wyjaśnił Tony Ronowi jeszcze w odrzutowcu. - Mnóstwo członków, dużo gotówki, ogromna siła przebicia. Waszyngtońscy politycy uwielbiają ich i boją się. Na czele stoi Walter Utley, były kongresman, który wściekł się na liberałów w Kongresie i zrezygnował z mandatu, żeby sformować własne ugrupowanie.

Fisk słyszał o Walterze Utleyu i jego Lidze Amerykańskich Rodzin.

Zostali wprowadzeni do wielkiej sali konferencyjnej, gdzie pan Utley we własnej osobie czekał z ciepłym uśmiechem i uściskiem dłoni. Przetawiał ich kilku innym ludziom, o

których Tony wcześniej wspominał Fiskowi. Reprezentowali takie ugrupowania, jak Partnerstwo Modlitewne, Globalne Światło, Okrągły Stół Rodzin, Inicjatywa Ewangelicka i parę innych. Według Tony'ego, wszyscy byli znaczącymi graczami w polityce krajowej.

Usiedli wokół stołu, przed nimi leżały notatniki i wyciągi z akt, jakby za chwilę mieli zaprzysiąc pana Fiska i spisać jego zeznania. Tony zaczął od podsumowania spraw Sądu Najwyższego Stanu Missisipi i wypowiadał się, ogólnie rzecz biorąc, pozytywnie. Ale, oczywiście, pozostała kwestia sędzi Sheili McCarthy i jej skrywanego liberalizmu. Nie można zaufać McCarthy w ważnych sprawach. Jest rozwódką. Chodzą pogłoski o jej swobodnych obyczajach, ale Tony powstrzymał się przed wchodzeniem w szczegóły.

Zęby wystąpić przeciwko niej, potrzebny jest obecny tutaj Ron, który gotów jest podjąć to wyzwanie. Tony podał w skrócie życiorys ich człowieka, ale nie było w tym ani jednego faktu, którego obecni by nie znali. Przekazał pałeczkę Ronowi. Ten odchrząknął i podziękował za zaproszenie. Zaczął mówić o swoim życiu, wykształceniu, wychowaniu, rodzicach, żonie, dzieciach. Był gorliwym chrześcijaninem i diakonem w kościele św. Łukasza, u baptystów, nauczycielem w szkółce niedzielnej. Rotary Club, ochrona przyrody, prowadzenie dziecięcej ligi bejsbolu. Przedłużał przemówienie, jak tylko mógł. Potem wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „to wszystko”.

Razem z żoną modlili się o tę decyzję. Spotkali się nawet z pastorem na kolejnej modlitwy z nadzieją, że ich żarliwe prośby dotrą wyżej. Czuli się dobrze. Byli gotowi.

Wszyscy nadal odnosili się do niego ciepło, przyjaźnie, bardzo się cieszyli z jego obecności. Zapytali o przeszłość - czy było coś, co mogłoby mu przeszkodzić? Romans, jazda pod wpływem alkoholu, głupia balanga studencka w college'u? Zarzuty natury etycznej? Pierwsze i jedyne małżeństwo? Tak, myślimy, że wszystko w porządku. Jakieś oskarżenia ze strony podwładnych o molestowanie seksualne? Cokolwiek związanego z seksem? Bo w trakcie ostrej kampanii afery „rozporkowe” są zabójcze. A skoro o tym mowa, co sądzi o gejach? Małżeństwa homoseksualistów? Absolutnie nie! Związki cywilne? Nie, proszę panów, nie w Missisipi. Adopowanie dzieci przez gejów? Wykluczone.

Aborcja? Sprzeciw.

Kara śmierci? Jak najbardziej za.

Nikt nie widział sprzeczności etycznych.

Druga Poprawka, prawo do noszenia broni? Ron uwielbiał swoje pistolety, ale przez chwilę zdziwiło go, że tym pobożnym ludziom tak bardzo zależy na prawie do posiadania broni. Potem zrozumiał - tu chodzi o politykę i o to, żeby zostać wybranym. Jego życiorys łowiecki bardzo spodobał się zgromadzonym, a on rozwodził się nad tym jak najdłużej. Żadne

zwierzę nie było bezpieczne.

Potem dyrektor Okrągłego Stołu Rodzin piskliwym głosem zadawał pytania dotyczące separacji Kościoła i państwa. Wszyscy zaczęli przysypiać. Ron obronił swoje pozycje, odpowiadał roztropnie i chyba zadowolił tych nielicznych, którzy słuchali. Zaczął też zdawać sobie sprawę, że to wszystko jest na pokaz. Podjęli decyzję na długo, zanim opuścił tego ranka Brookhaven. Był ich człowiekiem i teraz wyważał otwarte drzwi.

Następna runda pytań dotyczyła wolności słowa, szczególnie religijnego.

- Czy sędzia z małego miasta powinien mieć prawo powiesić na sali sądowej Dziesięcioro Przykazań?

Ron wyczuł, że ta sprawa jest dla nich istotna. Z początku zamierzał zupełnie uczciwie odpowiedzieć, że nie. Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych orzekł, że byłoby to naruszenie oddzielenia Kościoła od państwa, a Ron przypadkiem się z tym zgadzał. Nie chciał jednak zasmucić towarzystwa.

- Jednym z moich bohaterów jest lokalny sędzia okręgowy w Brookhaven - powiedział. - Wielki człowiek. W jego sali sądowej przez trzydzieści lat wisiało na ścianie Dziesięcioro Przykazań, zawsze go podziwiałem.

Zręczny unik - i tak został zrozumiany. Ponadto świetny przykład bystrości, która może pomóc panu Fiskowi przetrwać ostrą kampanię. Na tym więc poprzestali. Nie drażyli tematu i nie mieli zastrzeżeń. W końcu byli sprawdzonymi w bojach politykami i potrafili docenić rozsądne posunięcia.

Po godzinie Walter Utley spojrział na zegarek i oświadczył, że są trochę spóźnieni. Mają jeszcze wiele ważnych spotkań. Zakończył oświadczeniem, że kandydat wywarł na nim duże wrażenie i nie widzi powodu, żeby jego Liga Amerykańskich Rodzin nie poparła pana Rona Fiska. Natychmiast zaczęli też starania na miejscu, żeby zdobyć dla niego trochę głosów. Wszyscy pokiwali głowami, a Tony Zachary wyglądał jak dumny młody ojciec.

- Nastąpiła zmiana w naszych planach co do lunchu - poinformował, kiedy znowu znaleźli się w limuzynie. - Senator Rudd chciałby się z tobą spotkać.

- Senator Rudd? - zapytał z niedowierzaniem Fisk.

- Właśnie - powiedział z dumą Tony.

Myers Rudd był w połowie swojej siódmej kadencji - trzydzieści dziewięć lat - w Senacie Stanów Zjednoczonych i przynajmniej podczas trzech ostatnich kampanii wyborczych wystraszył całą opozycję. Nie znosiło go ze czterdzieści procent ludzi, a uwielbiało sześćdziesiąt procent. Doprowadził do perfekcji sztukę pomagania swoim spławianiem wszystkich innych. Był legendą w świecie polityki stanu Missisipi, prawnikiem,

niepoprawnym mącicielem w lokalnych wyborach, królem, który dobierał kandydatów, zabójcą ich konkurentów; bankiem, który mógł sfinansować każde wybory, i dostawcą worków pieniędzy, starym mędrcom, przywódcą swojej partii i opryszkiem rozbijającym opozycję.

- Senator Rudd jest zainteresowany tą sprawą? - zapytał niewinnie Fisk.

Tony uważnie mu się przyjrzał. Czy można być aż tak naiwnym?

- Oczywiście. Senator Rudd stoi bardzo blisko ludzi, z którymi właśnie się spotkałeś. Osiąga doskonałe wyniki wyborcze w ich księdze notowań. Nie na dziewięćdziesiąt pięć procent, ale doskonałe. Jeden z trzech w Senacie, a ci dwaj pozostali to żółtodzioby.

Co na to powie Doreen? Ron zatopił się w myślach. Lunch z senatorem Ruddem, w Waszyngtonie! Dojechali w pobliże Kapitolu i limuzyna skręciła w jednokierunkową uliczkę.

- Tu wyskakujemy - powiedział Tony, zanim kierowca zdążył wysiąść.

Poszli w stronę wąskich drzwi obok starego hotelu Mercury. Stary odźwierny w zielonej liberii nachmurzył się, kiedy ich zobaczył.

- Na spotkanie z senatorem Ruddem - rzucił szorstko Tony i wyraz twarzy odźwiernego nieco złagodniał, „wewnątrz poprowadzono ich przez pustą, ponurą jadalnię i korytarz. - To prywatne apartamenty senatora - szepnął Tony.

Ron był pod wrażeniem. Zauważył, co prawda, wytarty dywan i łuszczącą się farbę, ale podobała mu się spora dawka sfatygowanej elegancji starego gmachu. Ile umów zawarto w tych ścianach? - pytał w myślach.

Z korytarza przeszli do małej jadalni, gdzie widniały wszelkie oznaki prawdziwej władzy. Senator Rudd siedział przy stoliku z telefonem komórkowym przytkniętym do ucha. Wyglądał znajomo, chociaż Ron nigdy się z nim nie spotkał. Ciemny garnitur, czerwony krawat, gęste, lśniące siwe włosy, gładko szesane na lewo, ułożone za pomocą niemałej ilości lakieru. Duża okrągła twarz, która z roku na rok wydawała się grubsza. Nie mniej niż czterech jego pomagierów krzątało się jak w ulu, wszyscy pilnie dzwonili z komórek, prawdopodobnie kontaktowali się między sobą.

Tony i Fisk czekali, przyglądali się widowisku. Rząd w działaniu.

Nagle senator zamknął z trzaskiem komórkę i pozostałe rozmowy natychmiast się skończyły.

- Zostawcie nas - warknął wielki człowiek i czterech jego pieszczošków czmychnęło jak myszy. - Jak się masz, Zachary? - powiedział, stając za stołem.

Dokonano prezentacji, przez chwilę gawędzono o niczym. Zdawało się, że Rudd zna wszystkich z Brookhaven, jego ciotka kiedyś tam mieszkała i był zaszczycony, że może się

spotkać z tym panem Fiskiem, o którym tyle słyszał. W pewnej, z góry ustalonej chwili, Tony powiedział:

- Wrócę za godzinę. - I zniknął. Zastąpił go kelner w smokingu.

- Niech pan siada - zaprosił Rudd. - Jedzenia nie mamy zbyt wiele, za to prywatności w bród. Jadam tutaj pięć razy w tygodniu.

Kelner zignorował komentarz i podał karty dań.

- Pięknie tu. - Ron patrzył na ściany zastawione książkami, których nikt nie czytał i nie odkurzał od stu lat. Jasne, że mieli tu zapewnioną prywatność.

Zamówili zupę i pieczoną rybę. Kelner zamknął za sobą drzwi.

- Mam spotkanie o pierwszej, więc rozmawiajmy krótko. - Rudd nasypał sobie cukru do mrożonej herbaty i zaczął mieszać łyżką do zupy.

- Oczywiście.

- Ron, możesz wygrać te wybory, a Bóg wie, jak bardzo ciebie potrzebujemy.

Słowa króla. Kilka godzin później Ron będzie w kółko powtarzał je Doreen. Uzyskał gwarancję ze strony człowieka, który nigdy nie przegrał, i od tej pierwszej salwy już mógł się uważać za zwycięzcę.

- Jak wiesz - kontynuował Rudd, bo nie zwykł słuchać, zwłaszcza trzeciorzędnego polityka z prowincji - nie angażuję się w lokalne wybory.

W pierwszym odruchu Fisk chciał parsknąć śmiechem, ale szybko zdał sobie sprawę, że senator mówi śmiertelnie poważnie.

- Ale te właśnie wybory są zbyt istotne. Zrobię, co w mojej mocy, a to nie jest mało, wiesz o tym?

- Oczywiście.

- Mam paru potężnych przyjaciół w tym biznesie i bardzo chętnie wesprą twoją kampanię. Wystarczy, żebym zadzwonił.

Ron uprzejmie kiwał głową. Dwa miesiące wcześniej w „Newsweeku” opublikowano na pierwszej stronie artykuł o górach waszyngtońskich pieniędzy na użytek specjalny i o politykach, którzy z nich korzystają. Rudd był na czele listy. Miał w szkatule ponad jedenaście milionów na kampanię, chociaż nie zbliżał się okres wyborów. Myśl o realnym konkurencie była zbyt śmieszna, żeby nawet brać ją po uwagę. Wielki biznes miał mu wiele do zawdzięczenia - banki, ubezpieczenia, ropa naftowa, węgiel, media, obrona, farmaceutyki - żaden z segmentów korporacyjnej Ameryki nie unikał trybów jego maszyny do zbierania funduszy.

- Dziękuję - powiedział Ron, bo czuł się zobowiązany.

- Moje chłopaki potrafią zebrać mnóstwo pieniędzy. Ponadto, znam ludzi z pierwszej linii frontu. Gubernatora, ustawodawców, burmistrzów. Słyszał pan kiedy o Williem Tacie Ferrisie?

- Nie, proszę pana.

- Jest inspektorem w czwartym rewirze, w hrabstwie Adams, w pańskim okręgu. Dwukrotnie wyciągałem jego brata z więzienia.

Willie Tate zrobi dla mnie wszystko. A on jest najmocniejszym politykiem w tamtych okolicach. Jeden mój telefon i ma pan hrabstwo Adams. - Pstryknął palcami. - Tak właśnie wyborcy ustawiają się w kolejce. A słyszał pan o Linku Kuyzerze? Szeryfie z hrabstwa Wayne?

- Może.

- Link to stary przyjaciel. Dwa lata temu potrzebował nowych wozów patrolowych, radiostacji, kamizelek kuloodpornych, pistoletów i w ogóle wszystkiego. Hrabstwo nie dałoby mu ani centa, więc zadzwonił do mnie. Poszedłem do wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego, pogadałem z przyjaciółmi, przycisnąłem paru facetów i hrabstwo Wayne nagle zostało zasilone sześcioma milionami baksów na walkę z terroryzmem. Dostali więcej wozów patrolowych, niż mają glin. Ich system łączności jest lepszy niż w marynarce wojennej. I oto terroryści postanowili trzymać się z dala od hrabstwa Wayne. - Roześmiał się z własnej puenty, a Ron posłusznie mu zawtórował. Nie ma nic lepszego od szastania pieniędzmi podatników. - Potrzebny panu Link? Ma pan Linka i hrabstwo Wayne - obiecał Rudd i przełknął łyk herbaty.

Ron pozyskał już dwa hrabstwa, zaczął więc rozmyślać o pozostałych dwudziestu pięciu w południowym dystrykcie. Czy następną godzinę spędzi na wysłuchiwanie bohaterskich opowieści z nich wszystkich? Oby nie. Podano zupę.

- Ta dziewczucha, McCarthy - powiedział Rudd między jednym a drugim siorbnięciem. - Ona nigdy nie była na fali. - Ron zrozumiał to jako oskarżenie, że nie wspierała senatora Ruddy. - Jest zbyt liberalna. Ponadto, między nami, chłopakami, nie jest skrojona do czarnej togi. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Ron skinął lekko głową, patrząc uważnie w zupę. Trochę to dziwne, że senator wolał jadać u siebie. Nie pamięta jej imienia, pomyślał Ron. Bardzo mało o niej wie, poza tym że jest kobietą i że jego zdaniem nie nadaje się na stanowisko sędziego.

Żeby trochę odejść od pogawędki porządnych białych facetów, Ron postanowił postawić naiwne pytanie.

- A co z wybrzeżem zatoki? Mam tam bardzo mało znajomości.

Jak można się było spodziewać, senator potraktował to z drwiną.

W czym problem?

- Moja żona jest z Bay Saint Louis - oznajmił, jakby sam ten fakt gwarantował jego wybrańcowi oszałamiające zwycięstwo. - Dostawcy wojskowi, stocznie marynarki wojennej, NASA, do diabła, mam tych ludzi w kieszeni.

A oni prawdopodobnie ciebie, pomyślał Ron. Obszar wspólnych korzyści. Zadzwoń na komórkę leżącą obok szklanki z herbatą senatora. Spojrzał na nią, zmarszczył brwi.

- Muszę odebrać. To Biały Dom. - Wyglądał na mocno zirytowanego.

- Mam wyjść? - zapytał Ron zachwycony, a zarazem przerażony, że mógłby przypadkiem podsłuchać jakąś istotną rozmowę.

- Nie, nie. - Rudd machnął ręką, żeby Ron siedział.

Fisk próbował skupić się na zupie, herbacie i bułce, i chociaż na długo miał zapamiętać ten lunch, to nagle zapragnął, żeby już było po wszystkim. Rozmowa trwała. Rudd chrząkał, coś mamrotał, ale nie dał po sobie poznać, jaki kryzys właśnie zażegnał. Wrócił kelner z rybą. Z początku trochę jeszcze skwierczała, ale szybko przestygła. Kawalki buraka cukrowego pływały obok mięsa w kałuży roztopionego masła.

Kiedy świat znów był bezpieczny, Rudd rozłączył się i wbił widelec w środek ryby.

- Przepraszam - powiedział. - Cholerni Rosjanie. Mniejsza o to, Ron, chcę, żebyś kandydował. To ważne dla stanu. Musimy uporządkować nasze sądy.

- Tak, sir, ale...

- A ty masz moje całkowite poparcie. Nic na pokaz, rozumiesz, ale za kulisami zaharuję się po łokcie. Zbiorę poważną forszę, będę trzaskał z biczem, łamał kości, jak zwykle to się u nas robi. To moja gra, synu, zaufaj mi.

- A jeśli...

- Nikt nie pobije mnie w Missisipi. Zapytaj gubernatora. Dwa miesiące temu był dwadzieścia punktów do tyłu i chciał sam dać sobie radę. Nie potrzebował mojej pomocy. Poleciałem tam, zorganizowałem spotkanie modlitewne, chłopak się nawrócił i wygrał w cuglach. Nie lubię mieszać się w lokalne sprawy, ale to zrobię. Tym razem. Dasz radę?

- Tak myślę.

- Nie bądź głupi, Ron. To niepowtarzalna szansa, żeby dokonać czegoś wielkiego. Pomyśl, ty, w wieku, hm...

- Trzydzieści dziewięć.

- Właśnie. Taki młody, a już zasiądzie w Sądzie Najwyższym Stanu Missisipi. A kiedy będziemy cię tam mieli, to przytrzymamy, jak długo się da. Pomyśl tylko.

- Myślę bardzo intensywnie, proszę pana.

- Dobrze.

Telefon znowu zabręczał, prawdopodobnie dzwonił prezydent.

- Przepraszam. - Rudd przytknął komórkę do ucha i odgryzł duży kawał ryby.

Trzecia i ostatnia wizyta została złożona w Sieci Reformy Systemu Odszkodowań na Connecticut Avenue. Z pomocą Tony'ego błyskawicznie uporali się z prezentacją i krótkimi mówkami. Fisk odpowiedział na kilka życzliwych pytań, znacznie łatwiejszych niż to, co rano zaserwowały mu religijne chłopaki. Znow odniósł wrażenie, że wszyscy działają na niby. Owszem, chcieli zobaczyć i posłuchać kandydata, ale wyglądało na to, że nie poddają go poważnej ocenie. Zdawali się na Tony'ego, a skoro on wybrał danego człowieka, to i oni go wybrali.

O czym Ron Fisk nie wiedział, całe czterdziestominutowe spotkanie zostało sfilmowane ukrytą kamerą i wysłane na górę do małego pomieszczenia technicznego. Tam Barry Rinehart uważnie przejrzał materiał. Miał grubą teczkę Fiska, ze zdjęciami i różnymi analizami, ale chciał usłyszeć jego głos, zobaczyć oczy i ręce, posłuchać odpowiedzi. Czy jest fotogeniczny, telegeniczny, dobrze ubrany, wystarczająco przystojny? Czyjego głos brzmi krzepiąco, czy wzbudza zaufanie? Czy mówi inteligentnie, czy głupio? Czy denerwuje się wobec zebranych, czy też jest spokojny i pewny siebie? Czy można go opakować i odpowiednio sprzedać?

Po kwadransie Barry przekonał się do Fiska. Jedynym minusem była pewna nerwowość. Ale nic dziwnego, że człowiek wyrwany z Brookhaven i rzucony przed obcych ludzi w wielkim mieście parę razy się zająknie. Miły głos, sympatyczna twarz, przyzwoity garnitur. Barry'emu zdarzało się już pracować z gorszymi.

Nie spotka się z Ronem Fiskiem i tak jak we wszystkich kampaniach, które prowadził, kandydat nie będzie miał najmniejszego pojęcia, kto pociąga za sznurki.

Kiedy lecieli z powrotem, Tony zamówił whisky i próbował wmusić drinka w Rona. Ten jednak odmówił, choć okoliczności były doskonałe, żeby się napić - pokład luksusowego odrzutowca, piękna barmanka, koniec długiego i stresującego dnia, atmosfera prywatności.

- Wystarczy kawa - powiedział Ron. Wiedział, że nadal jest oceniany. Poza tym w ogóle stronił od alkoholu. Decyzja była łatwa.

Tony też nie należał do mocno trunkowych. Wypił kilka łyków drinka, rozluźnił krawat i wcisnął się głębiej w fotel.

- Mówią, że ta McCarthy wali gorzałę na całego - odezwał się po chwili.

Ron tylko wzruszył ramionami. Nic takiego nie słyszał w Brookhaven. Pomyślał, że co najmniej połowa ludzi w jego miasteczku nie potrafiłaby wymienić z nazwiska

któregokolwiek z trojga sędziów z południowego dystryktu, nie wspominając o ich obyczajach, złych czy dobrych.

Jeszcze jeden łyk. Tony mówił dalej:

- Oboje jej rodziców nieźle piło. Oczywiście są z wybrzeża, więc nic dziwnego. Często przesiaduje w swojej ulubionej knajpie Wtorek, niedaleko sztucznego jeziora. Słyszałeś kiedyś o tym lokalu?

- Nie.

- Coś na kształt targowiska dla swingersów w średnim wieku, tak mi mówiono.

Fisk nie dał się złapać na haczyk. Nużyły go obmierzłe plotki. To nie przeszkadzało Tony'emu. A nawet mu się podobało. Niech kandydat wysoko nosi głowę. Od obrzucania błotem są inni.

- Od kiedy znasz senatora Rudda? - Fisk zmienił temat.

- Od dawna. - Przez resztę krótkiej podróży rozmawiali o wielkim senatorze i jego barwnej karierze.

Ron pognął do domu. Nadal był oszołomiony spotkaniem z władzą i jej atrybutami. Doreen czekała na szczegóły. Jedli odgrzane spaghetti, dzieci kończyły odrabiać lekcje i przygotowywały się do spania.

Miała mnóstwo pytań, a Ron na niektóre nie potrafił przekonująco odpowiedzieć. Dlaczego tyle rozmaitych ugrupowań chętnie wyda tak dużo na nieznanego i absolutnie niedoświadczonego polityka? Bo były oddane sprawie. Bo chciały inteligentnego, przyzwoitego młodego człowieka z odpowiednimi poglądami, nieobciążonego przeszłością. A gdyby Ron odmówił, znaleźliby innego kandydata. Chcieli wygrać, oczyścić sąd. To ruch narodowy dążący do rozstrzygnięcia.

Fakt, że jej mąż jadł obiad sam na sam z senatorem Myersem Ruddem, stanowił przeważający argument. Skoczą teraz w nieznany świat polityki i zwyciężą.

BARRY RINEHART POLECIAŁ SAMOLOTEM REJSOWYM NA LAGUARDIA, a Stamtąd prywatnym samochodem udał się do hotelu Mercer w SoHo, na Manhattanie. Zameldował się, wziął prysznic, włożył cieplejszy, wełniany garnitur, bo zapowiadano opady śniegu. Wziął numer faksu z recepcji i poszedł osiem przecznic dalej, w okolice Village, do wietnamskiej restauracyjki, która jeszcze nie pojawiła się w przewodnikach turystycznych. Pan Trudeau wybrał ją na dyskretne spotkanie. Była pusta, a Barry przyszedł za wcześnie, więc usiadł na stołku przy barze i zamówił drinka.

Tandetne powództwo grupowe F. Clyde'a Hardina mogło być nieistotną wiadomością w Missisipi, ale większą karierę zrobiło w Nowym Jorku. Strony dzienników poświęcone finansom zaczynały się od tego newsa, a zmaltretowane akcje Krane dostały kolejne baty.

Pan Trudeau spędził dzień na telefonowaniu i wrzeszczeniu na Bobby'ego Ratzlaffa. Akcje Krane sprzedawano od osiemnastu do dwudziestu dolarów za sztukę, ale na zamknięciu spadły do czternastu pięćdziesiąt, osiągając nowe dno. Carl udawał, że jest zmartwiony. Ratzlaff, który pożyczył milion baksów ze swojego funduszu emerytalnego, wydawał się nawet bardziej przygnębiony.

Im niżej, tym lepiej. Carl chciał, żeby akcje spadły tak nisko, jak to tylko możliwe. Stracił już miliard na papierze i mógł pozwolić sobie na większe straty, bo pewnego dnia i tak wszystko wróci z hukiem. O czym nie wiedział nikt, nie licząc dwóch bankowców w Zurychu, Carl już skupował akcje Krane za pośrednictwem cudownie mglistej spółki w Panamie. Ostrożnie zbierał udziały małymi porcjami w dniach zastoju i po dwadzieścia tysięcy sztuk w dniach wielkich obrotów, ale nie robił niczego, co mogłoby przyciągnąć uwagę. Wkrótce pojawią się wpływy za czwarty kwartał, a Carl preparował księgi już od Bożego Narodzenia. Akcje miały nadal spadać. Carl będzie je kupować.

Odesłał Ratzlaffa po zmierzchu i odpowiedział na kilka telefonów.

O siódmej wgramolił się na tylne siedzenie bentleya i Toliver zawiózł go do wietnamskiej restauracji.

Carl nie widział się z Rinehartem od ich pierwszego spotkania w Boca Raton, w listopadzie, trzy dni po werdykcie. Nie kontaktowali się za pomocą maili, faksów, listów poleconych, telefonów stacjonarnych i komórkowych. Obaj mieli bezpieczną linię, łączącą tylko ich dwóch raz na tydzień. Carl wtedy dzwonił, żeby być na bieżąco.

Zaprowadzono ich za zasłonę z bambusa, do słabo oświetlonej salki z jednym stołem.

Carl udawał, że przeklina powództwa zbiorowe i adwokatów, którzy je składają.

- Zeszliśmy do poziomu krwawienia z nosa i wysypki - powiedział. - Każdy burak, któremu zdarzyło się kiedyś przejechać obok fabryki, nagle występuje z powództwem. Nikt nie pamięta dawnych, dobrych dni, kiedy płaciliśmy najwyższe stawki w południowym Missisipi. Teraz w owczym pędzie wszyscy szturmują sąd, zaganiani przez adwokatów.

- Może być gorzej - stwierdził Barry. - Wiemy o innej grupie prawników, która gromadzi klientów. Jeśli złożą pozew, wtedy ich powództwo zbiorowe zostanie dodane do pierwszego. Nie martwiłbym się o to.

- Łatwo ci mówić. Nie ty płacisz adwokatom.

- Odzyskasz to, Carl. Nie panikuj. - Teraz zwracali się do siebie po imieniu i byli na bardzo zażyłej stopie.

- Krane na zamknięciu stało dzisiaj po czternaście pięćdziesiąt.

Gdybyś posiadał dwadzieścia pięć milionów akcji, nie spałbyś spokojnie.

- Przeciwnie, byłbym wyluzowany i kupowałbym.

Carl pociągnął scotcha.

- Robisz się bardzo pewny siebie.

- Widziałem dzisiaj naszego chłopaka. Objężdżał Waszyngton. Facet nieźle wygląda, sympatyczny do bólu. Inteligentny, dobrze mówi, elegancko się zachowuje. Wszyscy byli pod wrażeniem.

- Zgłosił kandydaturę?

- Jutro zgłosi. Jadł lunch z senatorem Ruddem, a stary wie, jak wpływać na ludzi.

- Myers Rudd. - Carl pokręcił głową. - Co za dureń.

- Istotnie, ale zawsze można go kupić.

- Ich wszystkich można kupić. W ubiegłym roku wydałem ponad cztery miliony w Waszyngtonie. Rozdawałem dolce jak słodczyce na Boże Narodzenie.

- I jestem pewien, że Rudd dostał swój udział. Obaj wiemy, że to cymbał, ale ludzie z Missisipi tego nie wiedzą. Tam jest królem i cieszy się należnym uwielbieniem. Jeśli chce, żeby nasz chłopak kandydował, to wyścig już się zaczął.

Carl wyplątał się z marynarki i zawiesił ją na oparciu krzesła. Zdjął spinki, podwinął rękawy i, skoro nikt nie patrzył, rozluźnił krawat. Zgarbił się i upił scotcha.

- Znasz historię o senatorze Ruddzie i Agencji Ochrony Środowiska? - Doskonale się orientował, że o szczegółach słyszało nie więcej niż pięć osób.

- Nie - odparł Barry, też poluzowując krawat.

- Siedem, może osiem lat temu, zanim zaczęły się pozwy, Agencja przybyła do

Bowmore i zaczęła szkodzić. Miejscowi składali skargi od lat, ale Agencja nie słynie z szybkiego działania. Myszkowali, robili testy, trochę się zaniepokoiili, potem wzburzyli. Przyglądaliśmy się temu bardzo dokładnie. Mamy ludzi wszędzie. Cholera, nawet w Agencji. Może trochę poszliśmy na skróty z tymi odpadami, bo ja wiem, ale biurokraci zrobili się naprawdę agresywni. Mówili o śledztwie kryminalnym, grozili prokuratorem generalnym, nieprzyjemna sprawa.

Chcieli ją nagłośnić z wszelkiego rodzaju postulatami: oczyszczanie za miliardy, horrendalne kary, może nawet zamknięcie zakładu. Dyrektorem generalnym Krane był wtedy Gabbard; już go nie ma, szkoda, porządny gość, wiedział, jak stosuje się perswazję. Wysłałem Gabbarda do Waszyngtonu z czekiem in blanco. Z kilkoma czekami in blanco.

Spotkał się z naszymi lobbystami i założył nowy komitet wyborczy, który pozornie miał działać na rzecz wspierania interesów wytwórców chemikaliów i plastiku. Uzgodnili szczegóły planu, którego podstawą było skaptowanie senatora Rudda. Tam się go boją i jeśli on chce, żeby Agencja Ochrony Środowiska poszła sobie do diabła, to możesz o niej zapomnieć. Rudd zasiada od stu lat w komisji kredytowej i gdyby Agencja zaczęła brykać, to on po prostu zagroziłby, że obetnie im fundusze. Skomplikowane, ale zarazem bardzo proste. Ponadto Missisipi to podwórko Rudda, a on ma mnóstwo kontaktów i rażącą siłę przebicia. Więc nasze chłopaki z komitetu wyborczego podejmowali Rudda wystawnymi kolacyjkami, a on doskonale rozumiał, o co chodzi. To prostak, ale uczestniczy w tej grze od tak dawna, że sam zaczął ustalać jej zasady.

Kelner postawił talerze z krewetkami i kluskami.

- W końcu Rudd doszedł do wniosku, że potrzebuje miliona baksów na konto wyborcze, a my ustaliliśmy, że prześlemy je za pośrednictwem rozmaitych marionetkowych spółek i fasadowych organizacji, z których i wy korzystacie, żeby się ukryć. Kongres na to pozwala, bo inaczej byłoby to łapówkarstwo. Potem Rudd zażyczył sobie jeszcze czegoś. Okazało się, że ma z lekka opóźnionego w rozwoju wnuka, który uwielbia słonie. Dzieciak całe ściany wykleił ich zdjęciami.

W kółko ogląda filmy o życiu dzikich zwierząt. I tak dalej. I senatorowi zachciało się luksusowego, czterogwiazdkowego afrykańskiego safari, na które zabrałby wnuka, żeby zobaczył stado słoni. Nie ma problemu.

Potem uznał, że cała rodzina chętnie wzięłaby udział w takiej wycieczce, więc nasi lobbysci zaaranżowali tę cholerną eskapadę. Dwadzieścia osiem osób, dwa prywatne odrzutowce, piętnaście dni w afrykańskim buszu z popijaniem szampana, pożeraniem homarów i steków i oczywiście z gapieniem się na tysiąc słoni. Rachunek wyniósł blisko

trzysta tysięcy, a on nawet nie zdawał sobie sprawy, że to ja płaciłem.

- Transakcja.

- Absolutnie. Rzucił się na Agencję i wygryzł ją z Bowmore. Nie mogli nas tknąć. Dodatkowa korzyść: senator Rudd jest teraz znawcą spraw afrykańskich. AIDS, ludobójstwo, głód, łamanie praw człowieka... Wymień coś z tego, a on pojawi się jako znawca, bo spędził dwa tygodnie w kenijskim buszu, obserwując dziką zwierzynę z tylnego siedzenia landrovera.

Razem wybuchnęli śmiechem i wzięli się do klusek.

- Kontaktowałeś się z nim na początku procesu? - zapytał Barry.

- Nie. Na sprawę rzucili się adwokaci. Pamiętam jedną rozmowę z Gabbardem o Ruddzie, ale doszliśmy do wniosku, że politycy nie wmieszają się do sporu prawnego. Byliśmy bardzo pewni siebie. Bardzo się myliliśmy.

Jedli przez kilka minut, ale żaden nie wyglądał na zachwyconego wietnamskim daniem.

- Nasz kandydat nazywa się Ron Fisk. - Barry podał dużą, szarą kopertę. - Oto podstawowe dane. Parę zdjęć, ogólny życiorys, nie więcej niż osiem stron, jak sobie życzyłeś.

- Fisk?

- To on.

Przybyła matka Brianny. Odwiedzała ją dwa razy w roku. W takich razach Carl nalegał, żeby zamieszkały w domu w Hamptons i zostawiły go w mieście samego. Matka Brianny była dwa lata młodsza od Carla i myślała, że jest wystarczająco atrakcyjna, żeby przyciągnąć jego uwagę. Spędzał niecałą godzinę rocznie w obecności teściowej i za każdym razem żałował, że Brianna nie ma innego kompletu genów. Nie znosił tej kobiety. Matka żony trofeum nie staje się automatycznie kolejnym trofeum. Carl nie znosił wszystkich swoich teściowych. Niemiła mu była sama myśl, że ma teściową.

Więc pojechały. Penthouse przy Piątej Alei wreszcie należał tylko do niego. Brianna zabrała Sadler MacGregor, rosyjską nianię, asystentkę, dietetyka, pokojówkę i całą karawana ruszyła na wyspę, żeby dokonać inwazji na ich piękny dom i znieść się nad służbą.

Carl wysiadł z prywatnej windy, stanął twarzą w twarz ze Znieważoną Imeldą, zaklął na jej widok, zignorował lokaja, odesłał resztę służby, a kiedy wreszcie został sam w swojej sypialni, włożył piżamę, szlafrok i grube wełniane skarpety. Znalazł cygaro, nalał sobie whisky Single Malt i wyszedł na taras z widokiem na Piątą Aleję i Central Park. Powietrze było rześkie, doskonałe.

Rinehart ostrzegł go, żeby nie pytał o szczegóły kampanii.

- Nie chcesz wiedzieć wszystkiego - powtarzał. - To mój zawód, a jestem bardzo

dobry w tym, co robię.

Ale Rinehart nigdy nie stracił miliarda dolarów. Według pewnego artykułu w prasie, a jakże, o Carlu, tylko sześciu ludzi w historii straciło miliard w ciągu jednego dnia. Barry nigdy się nie dowie, jakim upokorzeniem w tym mieście jest upadek tak szybki i tak twarde lądowanie. Coraz trudniej było znaleźć przyjaciół. Dowcipy Carla przestały być śmieszne. Niektóre kręgi towarzyskie zamknęły się przed nim - chociaż wiedział, że tymczasowo. Nawet żona stała się nieco oziębła i mniej mu nadskakiwała. Nie mówiąc o tym, że ignorowali go ludzie, którzy naprawdę się liczyli - bankierzy, zarządcy funduszy, guru od inwestycji, elita Wall Street.

Policzki poczerwieniały mu na wietrze, rozejrzał się powoli po Piątej Alei. Wszędzie wokół miliarderzy. Czy jest im go żal, czy cieszą się z jego upadku? Znał odpowiedź, bo jemu samemu porażka innych sprawiała dużo satysfakcji.

Śmiejecie się, chłopaki, pomyślał i pociągnął długi łyk whisky. Śmiejecie się do upadłego, boja, Carl Trudeau, dysponuję teraz tajną bronią. Nazywa się Ron Fisk, jest miłym, naiwnym młodym człowiekiem, kupionym przeze mnie za śmieszne pieniądze.

Trzy przecznice na północ, na szczycie budynku, który Carl ledwie teraz widział, znajdował się penthouse Pete'a Flinta, jednego z licznych jego wrogów. Dwa tygodnie „wcześniej Pete pojawił się na okładce „Hedge Funds Report” ubrany w przyciasny garnitur. Najwyraźniej przybierał na wadze. Artykuł chwalił Pete'a i jego fundusz. W szczególności rozwodzonego nad spektakularnym ostatnim kwartałem, który Flint zawdzięczał wyłącznie przenikliwemu pozbyciu się akcji Krane Chemical. Pete twierdził, że zarobił pół miliarda na Krane, bo genialnie przewidział, że proces zakończy się porażką. Nazwisko Carla nie zostało wspomniane, nie było potrzeby. Wszyscy wiedzieli, że stracił miliard, a tu Pete twierdził, że zgarnął połowę z tego. Upokorzenie przekraczało wszelkie granice.

Pan Flint nie wiedział nic o panu Fisku. Kiedy usłyszy to nazwisko, będzie już za późno. Carl odzyska swoje pieniądze. I znacznie więcej.

ZEBRANIE STOWARZYSZENIA ADWOKATÓW STANU MISSISIPI (SASM) odbywało się co roku w Jackson, na początku lutego, kiedy trwała jeszcze sesja ciał ustawodawczych. Zazwyczaj zbierano się w weekend, wygłaszano mowy, odbywano seminaria, przekazywano polityczne nowinki i tak dalej. Ponieważ najważniejszy werdykt dotyczył Krane Chemical, adwokaci chcieli usłyszeć szczegóły bezpośrednio od Paytonów. Mary Grace odmówiła. Była członkiem stowarzyszenia, ale nie lubiła tych okazji. Zebrania zazwyczaj kończyły się długimi bankietami i opowieściami prosto z pierwszej linii boju. Chociaż kobiety brały w nich udział, to nie bardzo pasowały do tego rodzaju przyjęć. Poza tym ktoś musiał zostać w domu z Maćkiem i Liżą.

Wes pojechał, chociaż nie miał ochoty. On też należał do stowarzyszenia, ale na zimowych zebraniach zazwyczaj wiało nudą. Letnie spotkania na plaży były zabawniejsze i bardziej sprzyjały rodzinom, klan Paytonów uczestniczył w nich już dwukrotnie.

Wes wyruszył do Jackson w sobotę rano i dołączył do grona adwokatów w śródmiejskim hotelu. Zaparkował daleko, żeby żaden z kolegów nie zobaczył, czym obecnie jeździ. Znani byli z przesadnie eleganckich samochodów i innych zabawek, więc Wes krępował się, bo z Hattiesburga przyjechał poobijanym taurusem. Nie zostawał na noc, bo nie mógł sobie pozwolić na sto dolarów za hotel. Ktoś mógłby przypuszczać, że Payton jest milionerem, ale trzy miesiące po werdykcie on nadal liczył się z każdym centem. Wszelkie płatności za sprawę z Bowmore były odległym marzeniem. Nawet teraz uważał, że zajęli się tą sprawą wbrew rozsądkowi.

Lunch odbywał się w wielkiej sali balowej. Przybyło aż dwieście osób. Podczas wstępnych przemówień Wes przyglądał się tłumowi z miejsca na podwyższeniu.

Adwokaci byli barwną i zróżnicowaną gromadką. Kowboje, szelmy, radykałowie, długowłosi, korporacyjni eleganci w garniturach, indywidualiści, starzy kumple, uliczni naciągacze, ci, co nawiedzali oddziały doraźnej pomocy, twarze z billboardów, żółtych stron i telewizyjnych poranków. Wszystko można było o nich powiedzieć, tylko nie to, że są nudni. Spierali się ze sobą jak kłótniwa rodzinka, ale potrafili zakończyć waśnie, zewrzeć szyki i zaatakować wroga. Pochodzili z wielkich miast, w których walczyli o sprawy i klientelę; z miasteczek, gdzie szlifowali swoje umiejętności wobec prostych przysięgłych, niechętnych do szafowania cudzymi pieniędzmi. Niektórzy byli właścicielami odrzutowców i śmigali po kraju, kompletując powództwa zbiorowe w najnowszych sprawach o odszkodowania. Innych

odrzucały gierki związane z masowymi odszkodowaniami i z dumą trwali przy tradycji indywidualnych pozwów. Nowym gatunkiem byli przedsiębiorcy - masowo zgłaszali sprawy i zawierali ugody, rzadko stając przed przysięgłymi. Inni żyli atmosferą sali sądowej. Nieliczni pracowali w zespołach, które zasilali pieniędzmi i talentem, ale trudno razem działać takim indywidualistom, jak adwokaci występujący przed sądem. Z reguły byli to samotni myśliwi, zbyt ekscentryczni, żeby wytrzymać w zespole. Niektórzy zarabiali miliony rocznie, inni ledwie wiązali koniec z końcem, większość nie wychodziła poza obręb dwustu pięćdziesięciu tysięcy rocznie. Kilku zbankrutowało. Wielu miało na przemian lata tłuste i chude. Żyli jak na kolejce górskiej i zawsze byli gotowi grać z losem w kości.

Jeśli cokolwiek ich łączyło, to żyłka zawziętej niezależności i podnieta płynąca z reprezentowania Dawida wobec Goliata.

Na politycznej prawicy jest establishment, są pieniądze, wielki biznes i finansowane przez niego niezliczone ugrupowania. Na lewicy znajdują się mniejszości, związki zawodowe, nauczyciele i adwokaci. Tylko adwokaci występujący przed sądem mają pieniądze porównywalne z tym, czym dysponował wielki biznes.

Chociaż bywały czasy, kiedy Wes miał ochotę wszystkich ich udusić, czuł się tutaj jak w domu. To byli jego koledzy, towarzysze broni. Mogli być arogancy, chamsey, dogmatyczni i często wobec siebie wrody, ale nikt nie walczył tak żąrcie o prawa maluczkich.

Kiedy jedli kurczaka na zimno i jeszcze zimniejsze brokoły, przewodniczący komisji do spraw legislacyjnych przedstawił ponure informacje o losie rozmaitych ustaw zalegających stanowy kapitol. Zwolennicy reformy prawa o odszkodowaniach w sprawach cywilnych wrócili i mocno naciskali, żeby wprowadzić w życie ograniczenia odpowiedzialności cywilnej, które zamknęłyby drzwi na sale rozpraw. Po nim przemówił przewodniczący komisji do spraw politycznych - nieco większy optymista. W listopadzie odbędą się wybory sędziów i chociaż jest za wcześnie, żeby mieć całkowitą pewność, wygląda na to, że „dobrzy” sędziowie na poziomie zarówno pierwszej instancji, jak i apelacji nie będą mieli poważnych konkurentów.

Po torciku lodowym i kawie przedstawiono Wesa Paytona. Przy - ., witano go owacją na stojąco. Zaczął od przeproszania za nieobecność współniczki, mózgu sprawy z Bowmore. Z wielką przykrością musiała odmówić przybycia, ale uznała, że bardziej potrzebują jej dzieci, u z którymi została w domu. Potem Wes przedstawił obszerne podsumowanie procesu Baker, werdyktu i obecnego stanu innych pozwów przeciwko Krane Chemical. W tym towarzystwie do werdyktu wartego czterdzieści jeden milionów podchodzono czołobitnie.

Mogli długo słuchać człowieka, który zdobył takie trofeum. Tylko nieliczni sami przeżyli radość równie wielkiego zwycięstwa, a wszyscy musieli przełknąć gorzką pigułkę przegranego procesu.

Kiedy skończył, znowu zerwały się burzliwe oklaski, a potem zaczęła się improwizowana sesja pytań i odpowiedzi. Którzy biegli okazali się skuteczni? Ile wyniosły wydatki na obronę? Wes uprzejmie odmówił podania wysokości sumy. Nawet w sali, gdzie siedziało tylu bogatych, był to zbyt bolesny temat do rozmowy. Na jakim etapie są rozmowy o ugodzie, jeśli się zaczęły? Jak powództwo zbiorowe wpłynie na pozwanego? Co z apelacją? Wes mógłby mówić godzinami, a i tak utrzymałby słuchaczy w napięciu.

Później, tego samego popołudnia, podczas bankietu, znów zabawiał ich rozmową, odpowiadał na kolejne pytania, dementował plotki. Rzuciła się na niego grupa, która zajmowała się składowiskiem toksycznych odpadków w północnej części stanu. Chcieli wyciągnąć poradę. Czy zerknąłby na ich akta? Poleciłby jakichś biegłych? Obejrzałby samo miejsce? Wreszcie uciekł do baru i tam wpadł na Barbarę Mellinger, niegłupią i obrotną panią dyrektor wykonawczą SASM, i jej głównego lobbystę.

- Masz chwilkę? - zapytała. Poszli w róg sali, gdzie nikt nie powinien ich usłyszeć. - Dotarła do mnie przerażająca plotka - powiedziała. Popijała gin i patrzyła na gości. Mellinger spędziła dwadzieścia lat w korytarzach Kapitolu. Znała ten grunt jak nikt inny. I nie była skłonna do rozsiewania plotek. Słyszała więcej niż inni, ale kiedy przekazywała komuś pogłoskę, musiało chodzić o coś ważnego. - Oni wzięli się do McCarthy - oznajmiła.

- Oni? - Wes stał przy niej i też patrzył na gości.

- Typowa grupa podejrzanych... Rada Handlu i reszta opryszków.

- Nie pobiją McCarthy.

- Hm, ale na pewno spróbują.

- Czy ona o tym wie? - Wes stracił zainteresowanie napojem dietetycznym.

- Nie sądzę.

- Mają kandydata?

- Jeśli tak, to nic mi o tym nie wiadomo. Ale słyną z talentu do wynajdywania ludzi.

Co właściwie Wes mógł powiedzieć albo zrobić? Jediną obroną były pieniądze na kampanię, a on nie śmierdział groszem.

- Czy ci faceci wiedzą? - Wskazał głową adwokatów rozmawiających w małych grupkach.

- Jeszcze nie. Teraz siedzimy cicho, czekamy. McCarthy nie dysponuje dużymi funduszami. Typowe. Ci z Sądu Najwyższego myślą, że są niepokonani, stoją ponad polityką

i w ogóle. Śpij słodko, dopóki nie pojawi się konkurent.

- Masz jakiś plan?

- Nie. Na razie czekam i patrzę. I modłę się, żeby to była tylko plotka. Dwa lata temu w kampanii wyborczej McElwayne'a wstrzymywali się do ostatniej chwili ze zgłoszeniem kandydata, a do tego czasu zebrali ponad milion.

- Ale to my wygramy te wybory.

- Istotnie. Ale powiedz mi, że się nie boisz.

- Jestem ponad strach.

Podstarzały hippis z kucykiem rzucił się do nich i zagrzmiął:

- Skopaliście im tyłki.

Początek zapowiadał, że rozentuzjasmowany adwokat zabierze Wesowi co najmniej pół godziny. Barbara zrejterowała.

- Ciąg dalszy nastąpi - wyszeptała.

Po drodze do domu Wes delektował się fetą przez kilka kilometrów, potem naszły go mroczne myśli w związku z plotką na temat McCarthy. Niczego nie ukrywał przed Mary Grace. Po kolacji, wieczorem wymknęli się z mieszkania i poszli na długi spacer. Ramona i dzieci oglądały stary film.

Jak wszyscy dobrzy prawnicy, uważnie obserwowali Sąd Najwyższy. Czytali i roztrząsali każdą decyzję. Ten zwyczaj narodził się na początku ich wspólnej pracy i z przekonaniem go kontynuowali. Kiedyś sędziowie Sądu Najwyższego rzadko się zmieniali. Wakaty powstawały w wyniku śmierci, a tymczasowe mianowania zazwyczaj okazywały się stałymi. Z upływem lat gubernatorzy nauczyli się mądrze obsadzać puste stanowiska i sąd cieszył się szacunkiem. Hałaśliwe kampanie się nie zdarzały. Sąd był dumny ze swojej niezależności. Wykluczał politykę z wokandy i orzeczeń. Ale ta szlachetna epoka powoli mijała.

- Ale pokonaliśmy ich przy wyborach McElwayne'a - powtórzyła któryś z kolei raz.

- Trzema tysiącami głosów.

- To zwycięstwo.

Przed dwoma laty, kiedy sędzia Jimmy McElwayne znalazł się w tarapatkach, Paytonowie byli zbyt pochłonięci powództwem z Bowmore, żeby wspomóc sprawę finansowo. Zamiast tego poświęcili tę resztkę czasu, która im została, na działalność w lokalnym Komitecie. Zasiadali nawet w komisji wyborczej.

- Wygraliśmy proces, Wes, i nie przegramy apelacji - oznajmiła stanowczo.

- Zgadzam się.

- To prawdopodobnie tylko plotka.

W poniedziałek po południu Ron i Doreen Fiskowie wymknęli się z Brookhaven i pojechali do Jackson. Mieli się tam spotkać z Tonym Zacharym, a potem z kilkoma ważnymi ludźmi.

Uzgodniono, że Tony będzie oficjalnym szefem kampanii. Pierwszego wprowadził do sali kandydata na dyrektora finansowego, elegancko ubranego młodego człowieka, za którym ciągnęła się długa historia kampanii wyborczych w co najmniej kilkunastu stanach. Nazywał się Vancona. Szybko, z pewnością siebie wyłożył podstawowe kwestie planu finansowego. Posługiwał się laptopem i projektorem - wszystko zostało wyświetlone w żywych kolorach na białym ekranie. Po stronie przychodów znajdowała się koalicja zwolenników z dwoma i pół miliona dolarów wsparcia. Wiele z tych osób Ron spotkał w Waszyngtonie. Vancona wyświetlił dodatkowo długą listę ugrupowań. Nazwiska były nieważne, wrażenie robiła ich liczba. Mogli się spodziewać kolejnych pięciuset tysięcy od indywidualnych ofiarodawców z całego dystryktu. Te pieniądze miały napłynąć, kiedy Ron zacznie objeżdżać rejon wyborczy, zdobywać przyjaciół i robić dobre wrażenie na obywatelach.

- Wiem, jak gromadzić pieniądze - podkreślił kilkakrotnie Vancona, ale nieagresywnie.

Trzy miliony dolarów stanowiły magiczną liczbę i praktycznie gwarantowały zwycięstwo. Ron i Doreen sprawiali wrażenie przytłoczonych.

Tony przyglądał im się wnikliwie. Nie byli głupi. Po prostu dali się zwieść tak, jak każdy, kto znalazłby się w ich sytuacji. Zadali kilka pytań, ale tylko dlatego, że musieli.

Po stronie wydatków Vancona podał wszystkie pozycje. Telewizja, radio, ogłoszenia prasowe, listy adresowane bezpośrednio do mieszkańców, podróże, płace - jego wyniesie dziewięćdziesiąt tysięcy, wynajęcie biur, naklejki, tablice, billboardy, wypożyczenie samochodów. Razem dwa miliony osiemset tysięcy. To dawało pewien oddech.

Tony przesunął w ich stronę dwa grube pliki dokumentów majestatycznie zatytułowanych: Sąd Najwyższy, dystrykt południowy, Ron Fisk przeciwko Sheili McCarthy. Pofne.

- Wszystko jest tutaj - powiedział.

Ron przerzucił pierwsze strony, zadał kilka nieważnych pytań.

Tony poważnie kiwał głową, jakby jego chłopak wykazywał się niezwykłą wnikliwością.

Następnym gościem - Vancona, już jako członek zespołu, został w sali - była zalotna sześćdziesięciolatka z Waszyngtonu, specjalistka od reklamy. Przetawiała się jako Kat jakaś

tam. Ron musiał spojrzeć w notatnik - Broussard. Obok nazwiska widniał jej tytuł: dyrektor do spraw reklamy.

Gdzie Tony znalazł wszystkich tych ludzi?

Kat cechowała się wielkowiejską nadmierną ruchliwością. Jej firma uczestniczyła już w ponad stu wyborach stanowych.

Ron chciał zapytać, jaki mieli procent wygranych, ale Kat nie zrobiła ani jednej dłuższej przerwy. Bardzo chwaliła wygląd i głos kandydata. Była pewna, że razem uda im się stworzyć „visage”, który odda również mądrość i szczerłość Fiska. Kiedy mówiła, patrzyła jednak głównie na Doreen. Kobiety osiągnęły porozumienie. Kat usiadła.

Komunikowaniem politycznym miała się zająć firma z Jackson. Jej szefem była kolejna gadatliwa dama, Candace Grume, która dysponowała bogatym doświadczeniem w swojej dziedzinie. Wyjaśniła, że sukces kampanii zależy od nieustannego kontrolowania przekazu.

- Słowo wróblem wyleci, a powróci wołem - zaszczebotała. - I wybory przegrane. - Obecny gubernator był jej klientem. Ale najlepsze zachowała na sam koniec. Firma od ponad dziesięciu lat reprezentowała senatora Rudda. To mówiło samo za siebie.

Ustała miejsca specjaliście od badania opinii publicznej, bystremu statystykowi o nazwisku Tedford, który przez pięć minut chwalił się, że prawidłowo przewidział wyniki właściwie wszystkich wyborów w historii najnowszej. Pochodził z Atlanty. Jeśli jest się z wielkowiejskiej Atlanty i znajdzie się na prowincji, to ważne, żeby przypominać zgromadzonym, że jest się z Atlanty. Po dwudziestu minutach mieli dosyć Tedforda.

Koordinator społeczny nie był z Atlanty, ale z Jackson. Nazywał się Hobbs. Wyglądał znajomo, przynajmniej dla Rona. Pysznił się, że prowadził zwycięskie kampanie w stanie - czasem jawnie, czasem skrycie - od piętnastu lat. Rzucił nazwiskami zwycięzców, zupełnie zapominając o przegranych. Wygłosił kazanie o konieczności organizowania społeczności lokalnych, o lobby obywatelskich, chodzeniu do ludzi, a od czasu do czasu w oczach żarzyła mu się gorączka ulicznego kaznodziei. Ron zniechęcił go natychmiast. Doreen powiedziała później, że był czarujący.

Po dwóch godzinach tej parady Doreen wpadła niemal w stan katatonii, a notatnik Rona wypełnił się bzdurami, które wypisywał, żeby wyglądać na zainteresowanego.

Zespół został skompletowany. Pięcioro dobrze płatnych zawodowców. Sześcioro, wliczając Tony'ego, ale jego pensja miała być wypłacana przez Wizję Sprawiedliwości. Ron, który zgłębiał plik dokumentów, kiedy Hobbs wygłaszał tyrady, znalazł kolumnę z pozycjami „pensje dla pracowników” - dwieście tysięcy, i „konsultanci” - sto siedemdziesiąt pięć

tysięcy. Zapisał sobie, żeby później zapytać Tony'ego o te sumy. Wydawały mu się znacznie zawyżone, ale co on wiedział o przychodach i wydatkach wielkiej kampanii wyborczej?

Zrobili przerwę na kawę i Tony wyprosił gości z salki. Podekscytowani czekającymi ich wyzwaniem kampanii gorąco się żegnali i obiecywali, że wkrótce znowu się zobaczą.

Kiedy Tony znowu został sam na sam z Fiskami, nagle zaczął wyglądać na zmęczonego.

- Słuchajcie, wiem, że to był maraton. Wybaczcie, ale wszyscy jesteśmy zajęci, a czas odgrywa niezwykle ważną rolę. Pomyślałem, że lepiej zorganizować jedno duże zebranie niż kilka mniejszych.

- Nic się nie stało - wydusił z siebie Ron. Kawa podziałała.

- Pamiętaj, że to twoja kampania - kontynuował Tony z poważnym wyrazem twarzy.

- Jesteś ich pewien? - zapytała Doreen. - Miałabym wątpliwości.

- Doreen, zebrałem najlepszych do zespołu, ale możecie z miejsca zwolnić, kogo chcecie. Powiedzcie tylko słowo, a ja zadzwonię po zastępstwo. Ktoś się nie spodobał?

- Nie, tylko...

- Trochę nas to przytłacza - przyznał Ron.

- Nie wątpię. To wielka kampania.

- Wielkie kampanie nie muszą być przytłaczające. Zdaję sobie sprawę, że nie mam politycznego doświadczenia, ale nie jestem naiwny. Dwa lata temu, w kampanii McElwayne'a, konkurent zebrał i wydał około dwóch milionów dolarów, a i tak przegrał. Teraz rzucamy znacznie większymi liczbami. Skąd są te pieniądze?

Tony założył okulary i sięgnął po dokumenty.

- Hm, wydawało mi się, że to wyliczyliśmy - mruknął. - Kancona podawał sumy.

- Potrafię czytać, Tony - rzucił Ron. - Widzę nazwy i liczby. Nie tego dotyczy pytanie. Chcę wiedzieć, dlaczego ci ludzie zrobią rzutkę w wysokości trzech milionów dolarów, żeby wesprzeć kogoś, o kim nigdy nie słyszeli.

Tony powoli zdjął okulary, wyglądał na zrozpaczonego.

- Ron, czy nie mówiliśmy o tym tysiąc razy? W ubiegłym roku Wizja Sprawiedliwości wydała prawie cztery miliony, żeby wybrać faceta w Illinois. W Teksasie puściliśmy w obieg prawie sześć milionów.

Te liczby są porażające, ale zwycięstwo zrobiło się kosztowne. Kto podpisuje czek? Ludzie, których spotkałeś w Waszyngtonie. Ruch na rzecz rozwoju gospodarczego. Konserwatywni chrześcijanie. Lekarze, którzy są wykorzystywani przez system. Ci ludzie żądają zmian i są chętni, żeby za nie zapłacić.

Ron napił się kawy i spojrzał na Doreen. Długo milczeli. Tony zmienił pozycję, odchrząknął i powiedział cicho:

- Słuchaj, jeśli chcesz zrezygnować, mów. Jeszcze nie jest za późno.

- Nie rezygnuję, Tony. Ale tego jest za dużo na jeden dzień. Wszyscy ci zawodowi konsultanci i...

- Dam sobie z nimi radę. To moja praca. Ty masz jeździć po dystrykcie i przekonywać wyborców, żeby na ciebie głosowali. Ron, Doreen, wyborcy nigdy nie zobaczą sztabowców. Dzięki Bogu, mnie też. To ty jesteś kandydatem. To twoja twarz, twoje idee, twoja młodość i entuzjazm mają ich przekonać. Nie ja. Nie grupka członków zespołu.

Poczuł się zmęczony, rozmowa zamarła. Ron i Doreen wzięli opasłe notatniki i pożegnali się. Jechali do domu w milczeniu, ale nie byli rozgoryczeni. Kiedy dotarli do pustego śródmieścia Brookhaven, znów ogarnęło ich podniecenie na myśl o stojącym przed nimi wyzwaniu.

Czcigodny Ronald M. Fisk, sędzia Sądu Najwyższego.

W SOBOTĘ PRZED POŁUDNIEM sędzia McCarthy weszła do swojego biura. Nikogo nie było. Włączyła komputer i przejrzała pocztę. Na jej oficjalny adres mailowy spłynęły typowe sprawy urzędowe. W prywatnej skrzynce znalazła notkę od córki - potwierdzenie kolacji w Biloxi. Dwaj mężczyźni przysłali listy. Z jednym się umawiała na spotkania, drugiego trzymała w odwodzie.

Ubrana była w dżinsy, tenisówki i brązową tweedową kurtkę, którą wiele lat temu dostała od męża. Nie istniał kodeks ubioru dla sędziów na weekendy, bo w te dni przychodzili tylko urzędnicy.

Szef jej biura, Paul, pojawił się bezszelestnie.

- Dzień dobry - powiedział.

- Co tu robisz? - zapytała.

- To, co zwykle. Czytam akta.

- Coś godnego uwagi?

- Nie. - Rzucił gazetę na jej biurko. - Ta sprawa jest w drodze.

Może być zabawnie.

- Co to jest?

- Duży werdykt z hrabstwa Raka. Czterdzieści jeden milionów dolarów. Bowmore.

- A, tak. - Wzięła gazetę.

Każdy adwokat i sędzia w stanie twierdził, że zna kogoś z procesu Baker albo wie coś o sprawie. Prasa dokładnie relacjonowała sam proces, a szczególnie jego następstwa. Paul i inni urzędnicy często o nim rozmawiali. Już czekali, przewidywali, że za parę miesięcy apelacja trafi do sądu.

W artykule pisano o wszystkim, co wiązało się z wysypiskiem w Bowmore i pozwem. Zamieszczono zdjęcia miasteczka, opuszczonego, zabitego deskami; fotografie Mary Grace, jak patrzy na drut kolczasty wokół fabryki Krane albo jak siedzi z Jeannette Baker pod drzewem, a każda z nich trzyma butelkę wody; zdjęcia dwadzieścioro domniemanych ofiar - czarnych, białych, dzieci, starców. Jednak centralną postacią była Mary Grace. To była jej sprawa, jej miasto i jej przyjaciele, którzy umierali.

Sheila skończyła czytać artykuł i nagle znudziło ją siedzenie w biurze. Jazda do Biloxi zajmie trzy godziny. Wyszła, nie spotykając się już z nikim. Bez pośpiechu ruszyła na południe. Zatrzymała się w Hattiesburgu, żeby zatankować, i powodowana kaprysem skręciła

na wschód, bo nagle zaciekało ją hrabstwo Raka.

Kiedy przewodniczyła rozprawom, często wymykała się, żeby ukradkiem rzucić okiem na miejsce, którego dotyczył spór. Mętne szczegóły kolizji cystern na ruchliwym moście stały się jaśniejsze, kiedy samotnie spędziła tam godzinę, w nocy, w porze, kiedy zdarzył się wypadek. W sprawie o morderstwo twierdzenie oskarżonego, że działał w obronie własnej, zostało przez nią obalone po tym, jak poszła do zaułka, gdzie znaleziono ciało. Światło z okna magazynu oświetlało to miejsce. Podczas procesu o spowodowanie śmierci na przejeździe kolejowym przejechała się ulicą za dnia i w nocy i doszła do przekonania, że wina leży po stronie kierowcy. Oczywiście, zachowywała te opinie dla siebie. To przysięgli weryfikowali fakty, a nie sędzia, ale dziwna ciekawość często ciągnęła ją na miejsce zdarzenia. Chciała poznać prawdę.

Bowmore było pępne, tak jak pisano w artykule. Zaparkowała za kościołem, dwie przecznice od Main Street i dalej poszła pieszo. Niemożliwe, żeby ktoś miał tu podobne sportowe bmw, a bardzo nie chciała zwracać na siebie uwagi.

Ruch i handel, nawet jak na sobotę, były niewielkie. Połowa witryn zabita deskami. Przetrwało tylko kilka interesów: apteka, sklep dyskontowy, parę sklepów detalicznych. Zatrzymała się przed biurem F. Clyde Hardin i Wspólnicy. Wspominano o nim w artykule.

Podobnie jak o kawiarni Babe's, w której Sheila usiadła na stołku przy barze z nadzieją, że dowie się czegoś o sprawie. Nie rozczarowała się.

Dochodziła druga po południu, a lokal świecił pustkami. Tylko dwóch mechaników z warsztatu chevroleta jadło spóźniony lunch w kubiku przy oknie. Sala jadalna była cicha, zakurzona, dawno nieodnawiana. Najwyraźniej nie zmieniła się od dziesiątków lat. Na ścianach wisiały wyniki ligi futbolu amerykańskiego od roku 1961, zdjęcia klasowe, stare artykuły prasowe. „Wielki napis głosił: „Korzystamy tylko z wody butelkowanej”.

Po drugiej stronie lady pojawiła się Babę.

- Co byś chciała, kochana? - zagadnęła przyjaźnie. Miała na sobie wykrochmalony biały uniform, czysty ciemnoczerwony fartuch z napisem „Babę” wyszywanym na różowo, białe spodnie i białe buty.

Wyglądała jak z filmu z lat pięćdziesiątych. Prawdopodobnie mieszkała tu od tamtych czasów. Nadal mocno farbowała kokieteryjnie ułożone włosy. Były niemal koloru fartuszka. Zmarszczki palacza ginęły pod grubą warstwą podkładu, który Babę nakładała co rano.

- Tylko trochę wody - poprosiła Sheila. Ciekawiła ją ta woda.

Babę smutno popatrzyła przez okno na ulicę.

- Nie jesteś stąd - powiedziała, stawiając przed klientką butelkę.

- Wpadłam tu przejazdem - odparła Sheila. - Mam krewnych tam dalej, w hrabstwie Jones. - Nie kłamała. Jakaś odległa ciotka, która chyba jeszcze żyła, mieszkała po sąsiedzku w hrabstwie Jones.

Na butelce widniał prosty napis: „butelkowane dla Bowmore”. Babę powiedziała, że też ma krewnych w hrabstwie Jones. Sheila szybko zmieniła temat, żeby nie brnąć w analizę drzewa genealogicznego. W Missisipi wcześniej czy później okazuje się, że wszyscy są spokrewnieni.

- Co to jest? - zapytała, podnosząc butelkę.

- Woda. - Babę spojrziała ze zdziwieniem. - Dowożona ciężarówkami z Hattiesburga. Tutejsza jest skażona. Gdzie mieszkasz?

- Na wybrzeżu.

- Nie słyszałaś o wodzie z Bowmore?

- Wybacz. - Sheila odkręciła nakrętkę i upiła łyk. - Smakuje jak woda.

- Powinnaś spróbować tamtej.

- A co z nią nie tak?

- Dobry Boże, kochana! - Babę rozejrzała się, czy ktoś nie słyszał tego szokującego pytania. Nikogo nie było, więc otworzyła butelkę gazowanego napoju dietetycznego i usiadła przy ladzie. - Nic nie wiesz o hrabstwie Raka?

- Nie.

Kolejne, pełne niedowierzania spojrzenie.

- To tu. W tym hrabstwie jest największa w kraju zachorowalność na raka. Fabryka chemiczna, Krane Chemical, banda cwaniaczków z Nowego Jorku, skaziła wodę. Od wielu lat... dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu, zależy komu wierzyć, wyrzucali toksyczne gówna, przepraszam za wyrażenie, do jarów za fabryką. Mnóstwo beczek, bębnow, całe tony tego cholerstwa lądowały w ziemi i w końcu przesiąkły do warstwy wodonośnej, a miasto, zarządzane przez paru prawdziwych osłów, w późnych latach osiemdziesiątych zbudowało tam pompy. Woda pitna zrobiła się najpierw jasnoszara, potem jasnożółta. Teraz jest brązowa. Zaczęła dziwnie pachnieć, potem już śmierdziała. Przez lata walczyliśmy z radą miasta, żeby oczyszczała wodę, ale oni nie dopuszczali nas do głosu. Kurczę, czy kiedykolwiek to robili. Tak czy siak, wybuchła walka o wodę. A później ludzie zaczęli ciężko chorować. Na raka. Mieszkańcy Bowmore padali jak muchy. Nadal umierają. Inez Perdue zesłała w styczniu. Sześćdziesiąta piąta ofiara. Chyba tak. Wszystko to wyszło podczas rozprawy. - Przerwała, żeby przyjrzeć się dwóm przechodniom.

Sheila ostrożnie upiła łyk wody.

- Był proces? - zapytała.

- O tym też nie słyszałaś?

Sheila niewinnie wzruszyła ramionami.

- Jestem z wybrzeża - powtórzyła.

- O kurczę. - Babę podparła się na drugim łokciu. - O pozwach mówiło się od lat. Bywali u mnie adwokaci, żeby pogadać przy kawie.

Wszystko słyszałam. Mnóstwo gadania przez długi czas. Pozwą Krane Chemical o to, o tamto, ale nic się nie działo. Myślę, że sprawa była po prostu za duża. No i mowa o wielkiej spółce chemicznej z kupą pieniędzy i zgrają sprytnych prawników. Gadanina się skończyła, ale rak nie. Dzieciaki umierały na białaczkę. Ludzie mieli guzy w nerkach, wątrobie, pęcherzu, żołądku. Koszmar, kochana. Krane zrobił fortunę na pestycydie pillamar 5, którego zakazano dwadzieścia lat temu.

W Stanach, ale nie w Gwatemali i innych takich krajach. Więc nadal produkowali pillamar 5 tutaj i wysyłali do republik bananowych, gdzie opryskiwali tym owoce i warzywa, a potem przywozili do nas, żebyśmy je jedli. To też wyszło podczas procesu. Podobno przysięgli nieźle się wkurzyli.

- Gdzie odbywał się proces?

- Na pewno nie masz tutaj żadnych krewnych?

- Na pewno.

- Jacyś znajomi w Bowmore?

- Żadnego.

- I nie jesteś reporterem, co?

- Nie. Po prostu przejeżdżałam.

Babę, zadowolona ze słuchaczki, głęboko odetchnęła i mówiła dalej:

- Przenieśli rozprawę z Bowmore i mądrze zrobili, bo tutaj każda ława skazałaby Krane i oszustów, którzy prowadzili spółkę na karę śmierci. Rozprawa odbyła się w Hattiesburgu. Sędzia Harrison to jeden z moich ulubieńców. Hrabstwo Cary leży w jego okręgu, a on jada tutaj od lat. Lubi kobiety, a ja lubię mężczyzn. W każdym razie adwokaci od dłuższego czasu tylko gadali, ale żaden nie odważył się wystąpić przeciwko Krane. Potem miejscowa dziewczyna, jedna z nas, zebrała się na odwagę i złożyła powództwo. Mary Grace Payton dorastała kilometr od tego miasta. Uczyła się w szkole średniej w Bowmore i na koniec nauki przypadł jej zaszczyt wygłoszenia mowy. Pamiętam Mary Grace jako dziecko. Jej tata, pan Truman Shelby, nadal zachodzi tutaj od czasu do czasu. Uwielbiam tę dziewczynę. Mąż Mary Grace też jest adwokatem, razem prowadzą praktykę w Hattiesburgu.

Wystąpili w imieniu Jeannette Baker, której mąż i synek umarli na raka w odstępie ośmiu miesięcy.

Krane walczył jak wszyscy diabli, miał ze stu adwokatów. Proces ciągnął się miesiącami i prawie doprowadził Paytonów do bankructwa, z tego co słyszałam. Przysięgli dali popalić chemicznym cwaniakom. Czterdzieści jeden milionów dolarów kary. Nie wierzę, że to przegapiłaś. Bowmore pojawiło się na mapie świata. Chcesz coś zjeść, kochana?

- Może smażony ser?

- Mówisz i masz. - Babę rzuciła dwa kawałki białego chleba na ruszt. - Sprawa jest w apelacji. Modłę się co wieczór, żeby Paytonowie wygrali. A adwokaci wrócili, węższą, szukają nowych ofiar. Słyszałaś kiedyś o Clydzie Hardinie?

- Nigdy się z nim nie spotkałam.

- Ma biuro siedem domów stąd, na lewo. Był tutaj zawsze. Członek mojego klubu: kawa o ósmej trzydzieści, zgraja samochwałów. Jest w porządku, ale jego żona to flądra. Clyde boi się sali rozpraw, więc zaczepił się przy jakichś bezdusznych adwokatach z Filadelfii i złożyli powództwo zbiorowe w imieniu bandy leni, którzy chcą się załapać na forszę. Mówi się, że ci ich klienci nawet tu nie mieszkają. Po prostu czekają na czek. - Odpakowała dwa kawałki topionego cheddara i położyła go na gorącym chlebie. - Majonezu?

- Nie.

- Może trochę frytek?

- Nie, dziękuję.

- W każdym razie miasto poróżniło się jak nigdy. Ludzie naprawdę chorzy są źli na te nowe ofiary, które tylko udają, że są chore. Śmieszne, co też pieniądze mogą zrobić z człowieka. Niektórzy prawnicy myślą, że Krane w końcu ustąpi i pójdzie na wielką ugodę. Ludzie się wzbogacą. Adwokaci jeszcze bardziej. Ale inni są przekonani, że Krane nigdy się nie przyzna do nadużyć. Sześć lat temu, kiedy głośno się mówiło o pozwie, po prostu zwinęli się w jeden weekend i uciekli do Meksyku, a tam na pewno mogą zatruwać co im się spodoba. Pewnie zabijają Meksykanów na lewo i prawo. To kryminał, co wyprawia ta spółka.

Zniszczyła to miasto.

Kiedy chleb zrobił się prawie czarny, złożyła sandwicz, przekroiła go na pół i podała z ogórkiem konserwowym w plasterkach.

- Co się stało z pracownikami Krane?

- Dostali kopa. I nic dziwnego. Wielu wyjechało stąd, żeby znaleźć sobie pracę. Niektórzy byli porządnymi ludźmi. Inni wiedzieli, co się dzieje, i siedzieli cicho. Gdyby choć słówko pisnęli, wylecieliby z pracy. Mary Grace znalazła kilku i sprowadziła ich na proces.

Jedni mówili prawdę, drudzy kłamali, i tych, co słyszałam, rozszarpała na sztuki. Nie oglądałam procesu, ale prawie codziennie miałam tu sprawozdania. Całe miasto siedziało jak na szpilkach. Niejaki Earl Crouch od lat pracował w fabryce. Dobrze zarabiał, a mówi się, że Krane płacił mu za lojalność. Crouch wiedział wszystko o składowaniu odpadów, ale podczas składania zeznań wszystkiemu zaprzeczył. Kłamał jak pies.

To było dwa lata temu. Mówią, że zniknął w tajemniczych okolicznościach. Mary Grace nie mogła go znaleźć, żeby stanął przed sądem jako świadek. Zniknął. Nieobecny, nieusprawiedliwiony. Nawet Krane nie może go znaleźć.

Pozwoliła, żeby ta cenna informacja zawisła w powietrzu, a sama podeszła do mechaników z rachunkiem. Sheila odgryzła pierwszy kęs sandwicza i udawała, że ta historia niewiele ją interesuje.

- Jak kanapka? - zapytała Babę, kiedy wróciła.

- Doskonała. - Sheila napiła się wody i czekała na ciąg dalszy opowieści.

Babę nachyliła się i ściszyła głos.

- W Pine Grove mieszka taka jedna rodzina, Stonesowie. Twardziele. Co i rusz idą za coś siedzieć. Nie chciałybyś z nimi zadzierać.

Cztery, może pięć lat temu jeden z synków Stonesów zachorował na raka i szybko umarł. Wynajęli Paytonów i ich powództwo czeka na swoją kolej. Z tego, co słyszałam, Stonesowie znaleźli Earla Croucha gdzieś w Teksasie i zemścili się. To tylko plotka, ale wcale bym się nie zdziwiła, gdyby okazała się prawdą. Nikt nie zadziera ze Stonesami. Ludzie są rozdrażnieni, bardzo rozdrażnieni. Wspomnisz tylko Krane Chemical, rzucają się z pięściami.

Sheila nie zamierzała wspominać Krane Chemical. Nie chciała też wchodzić w sprawę za głęboko. Mechanicy wstali, przeciągnęli się, wzięli wykałaczki i podeszli do kasy. Babę też podeszła i przyjęła cztery dolary od każdego, gderając głośno. Dlaczego pracują w sobotę? Co sobie myśli ten ich szef? Sheili udało się przełknąć połowę sandwicza.

- Chcesz jeszcze jednego? - zapytała Babę, kiedy wróciła na stół.

- Nie, dziękuję. Muszę iść.

Weszło dwoje nastolatków.

Sheila zapłaciła rachunek, podziękowała za rozmowę, obiecała, że znowu zajrzy. Potem przez pół godziny jeździła po mieście. Artykuł wspominał o Pine Grove i pastorze Dennym Otcie. Powoli krążyła w okolicach kościoła. Były zapuszczone. Dziennikarz pisał o nich nazbyt przychylnie. Odnalazła porzucony park industrialny, kiedyś fabrykę Krane, ponury teren nawiedzany przez duchy, ale otoczony drutem kolczastym.

Po dwóch godzinach w Bowmore wyjechała z nadzieją, że już tam nie wróci. Rozumiała gniew, który doprowadził do werdyktu, ale sędzia musi odrzucić wszelkie emocje. Krane Chemical niewątpliwie postępowało podle, ale czy rzeczywiście jego odpady wywoływały raka? Przysięgli z pewnością byli o tym przekonani.

Wkrótce zajmie się tym sędzia McCarthy i jej ośmiu kolegów, żeby wydać wyrok.

Śledzili jej ruchy, kiedy kierowała się na wybrzeże, do domu trzy przecznice od Zatoki Biloxi. Była tam sześćdziesiąt pięć minut, potem przejechała półtora kilometra na Howard Street. Po długiej kolacji z córką, zięciem i dwoma małymi wnukami wróciła do domu, gdzie spędziła noc, zapewne samotnie. O dziesiątej rano w niedzielę zjadła ze znajomą śniadanie w Grand Casino. Szybko sprawdzili numery rejestracyjne i ustalili, że to znana miejscowa adwokat od rozwodów, prawdopodobnie stara przyjaciółka. Potem McCarthy wróciła do domu, włożyła dżinsy i wyszła z torbą podróżną. Pojechała bez przystanków na trasie do swojego domu w północnej dzielnicy Jackson. Przybyła dziesięć po czwartej. Trzy godziny później Keith Christian - biały mężczyzna, czterdzieści cztery lata, rozwiedziony, profesor historii - pojawił się z czymś, co wyglądało na duży zapas chińskiego jedzenia na wynos. Nie wychodził z budynku do siódmej rano następnego dnia.

Tony Zachary osobiście spisał te raporty, dziobiąc w klawiaturę laptopa, którego nie znosił. Bardzo słabo szło mu pisanie na maszynie jeszcze na długo przedtem, zanim pojawił się Internet, a jego umiejętności poprawiły się tylko nieznacznie. Ale w pewnych kwestiach nie wolno ufać nikomu - ani asystentowi, ani sekretarce. Sprawa wymagała zachowania ścisłej tajemnicy. Raporty nie mogły być wysyłane mailem ani faksem. Pan Rinehart żądał, żeby dostarczać je listem poleconym przez Federal Express.

CZEŚĆ II
KAMPANIA

W STARYM MIEŚCIE NATCHEZ POD URWISKIEM, w pobliżu rzeki jest kawałek ziemi nazywany Pod Wzgórzem. Ma długą i barwną historię, która zaczyna się wraz z pierwszymi dniami żeglugi parowej po Missisipi. Przyciągał rozmaite postacie - kupców, handlarzy, kapitanów statków, spekulantów i hazardzistów - zdążające do Nowego Orleanu. Ponieważ pieniądze przechodziły z rąk do rąk, przyciągał też zbirów, wagabundów, oszustów, przemysłowców, handlarzy bronią, dziwki i wszelkie typy spod ciemnej gwiazdy, jakie tylko można sobie wyobrazić. Natchez obfitowało w bawełnę, której wielkie ilości przywożono do miejskiego portu Pod Wzgórzem i tam sprzedawano. Łatwe pieniądze stworzyły popyt na bary, jaskinie hazardu, burdele i noclegownie. Młody Mark Twain był tam stałym klientem, kiedy pracował jako pilot parowca. Potem wojna domowa sprawiła, że ruch na rzece ustał. Zniknęły też pieniądze z Natchez i zamarło nocne życie. Pod Wzgórzem przecierpiał długi okres upadku.

W roku 1990 władze ustawodawcze stanu Missisipi przyjęły ustawę, która zezwalała na uprawianie hazardu na rzece. Idea polegała na tym, że kilka sztucznych parowców z kołami łopatkowymi będzie pływało w górę i w dół, wożąc emerytów grających w bingo i black jacka. Biznesmeni wzdłuż całej rzeki Missisipi ruszyli zakładać kasyna. Co ciekawe, kiedy tylko przeczytano i przeanalizowano ustawę, okazało się, że statki nie muszą odbijać od brzegu. Nie potrzebowały więc silnika, który by je napędzał. I tak budowle zakwalifikowane przez przepis jako statki po prostu tkwiły na rzece, w którymś z jej dopływów, zakoli, jeziorok, sztucznych kanałów, zastoin. Pod Wzgórzem wróciło do życia.

Niestety, po dalszej analizie okazało się, że ustawa przypadkiem dopuszcza pełnokrwisty hazard w stylu Las Vegas i w kilka lat prężna, nowa gałąź przemysłu wyrosła na wybrzeżu zatoki i w hrabstwie Tunica niedaleko Memphis. Natchez i inne nadrzeczne miasta ominął boom, ale udało im się utrzymać kilka stacjonarnych kasyn bez silników.

Jednym z takich przybytków był Lucky Jack. Clete Coley siedział tam, przy ulubionym stole do black jacka z ulubionym krupierem, garbił się nad stosikiem żetonów po dwadzieścia pięć dolarów i popijał rum z wodą sodową. Wygrał tysiąc osiemset dolarów, więc postanowił już przestać. Patrzył na drzwi, czekał na człowieka, z którym się umówił.

Coley był członkiem palestry. Miał licencję, nazwisko na żółtych stronach, kancelarię z tabliczką „adwokat” na drzwiach, sekretarkę, która na rzadkie telefony odpowiadała bez entuzjazmu „kancelaria adwokacka” i wizytówki z wszystkimi niezbędnymi danymi. Ale

Clete Coley nie był prawdziwym adwokatem. Nie skleiłby porządnego pisma procesowego, testamentu lub kontraktu. Nie kręcił się wokół gmachów sądów, nie lubił większości innych prawników w Natchez. Clete był po prostu wielkim, głośnym nicponiowatym adwokatem, który więcej pieniędzy wygrywał w kasynach, niż zarabiał w kancelarii. Kiedyś zajmował się trochę polityką i ledwie uniknął więzienia. Parał się kontraktami rządowymi i znów udało mu się wymknąć wymiarowi sprawiedliwości. W młodości, po college'u przemycał trochę trawki, ale gwałtownie zrezygnował z tego źródła utrzymania, kiedy znaleziono trupa jego partnera. Co więcej, nawrócił się tak całkowicie, że został tajnym funkcjonariuszem w wydziale zwalczania handlu narkotykami. Poszedł na wieczorowe studia prawnicze i wreszcie, przy czwartym podejściu, zdał egzamin adwokacki.

Podwoił stawkę na osiem i trzy, wyciągnął waleta i wygrał kolejne sto dolarów. Jego ulubiona kelnerka przyniosła mu kolejnego drinka. Nikt nie spędzał tyle czasu w Lucky Jacku, ile pan Coley. Wszystko dla pana Coleya. Patrzył na drzwi, na zegarek i grał dalej.

- Spodziewasz się kogoś? - zapytał krupier Iwan.

- A coś mówiłem?

- Chyba nie.

Człowiek, na którego czekał, też uniknął kilku oskarżeń. Znali się od dwudziestu lat, ale się nie przyjaźnili. To miało być ich drugie spotkanie. Pierwsze przebiegło na tyle pomyślnie, że doprowadziło do drugiego.

Iwan odkrył czternaście, bo wyciągnął królową, i przegrał. Kolejne sto dolarów dla pana Clete'a. Miał swoje zasady. Kiedy wygrywa dwa tysiące, rezygnuje. Kiedy przegrywa pięćset, rezygnuje. Urząd podatkowy nigdy się o tym nie dowie, ale rok w rok Coley zgarniał dodatkowo osiemdziesiąt kafli. No i pił rum za darmo.

Rzucił dwa żetony Iwanowi i zaczął z trudem zsadzać swoje wielkie cielsko z wysokiego stołka.

- Dziękuję panu - powiedział Iwan.

- Cała przyjemność po mojej stronie, jak zawsze. - Clete upchnął pozostałe żetony w kieszeniach jasnobrązowego garnituru. Zawsze brąz, zawsze garnitur, zawsze lśniące kowbojskie buty od Lucchese'go. Przy wzroście stu dziewięćdziesięciu pięciu centymetrów ważył co najmniej sto dwadzieścia pięć kilogramów. Powlókł się do baru, gdzie czekał człowiek, który był z nim umówiony. Marlin usiadł przy stole w rogu, z widokiem na parkiet. Żadnych powitań, żadnego patrzenia sobie w oczy. Clete opadł na krzesło i wyciągnął paczkę papierosów. Kelnerka przyniosła im drinki.

- Mam pieniądze - odezwał się wreszcie Marlin.

- Ile?

- Tyle samo, Clete. Nic się nie zmieniło. Po prostu czekamy, aż powiesz tak lub nie.

- A ja pytam po raz kolejny: kto to jest „my”?

- Nie ja. Jestem niezależnym zleceniobiorcą, któremu płacą za dobrze wykonaną robotę. Nie figuruję na niczyjej liście płac. Zostałem wynajęty, żeby zwerbować cię do wyborów, a jeśli odmówisz, to może mnie poproszą, żeby zwerbował kogoś innego.

- Kto ci płaci?

- To poufne, Clete. W ubiegłym tygodniu tłumaczyłem ci to kilkanaście razy.

- Może jestem przygłupi. A może trochę nerwowy. Tak czy siak chciałbym się dowiedzieć. Inaczej w to nie wchodzę.

Marlin, sądząc po pierwszym spotkaniu, wątpił, że Clete Coley zrezygnuje ze stu tysięcy dolarów w gotówce. Tyle szmalu za udział w wyborach i zrobienie zamieszania. Z Coleya byłby wspaniały kandydat - pyskаты, skandalizujący, barwny, zdolny do tego, żeby powiedzieć wszystko i nie przejmować się konsekwencjami. Antypolityk, do którego prasa zleci się jak muchy do miodu.

- Posłuchaj mnie. - Marlin spojrzał mu w oczy, co rzadko się zdarzało. - Piętnaście lat temu, w odległym hrabstwie młody człowiek i jego rodzina pewnego wieczoru wrócili do domu z kościoła. Nie wiedzieli, że w domu jest dwóch czarnych gnojkw, którzy kradną wszystko, co podłeci. Gówniarze byli na cracku, w każdej kieszeni po pistolecie, bardzo paskudne charaktery. Kiedy rodzinka weszła do domu, sprawy wymknęły się spod kontroli. Dziewczyny zostały zgwałcone. Każdy dostał po kulce w głowę, potem czarnuchy podłożyły ogień. Policja złapała ich następnego dnia. Zeznali wszystko. Siedzą w celach śmierci w Parchman do tej pory. Okazuje się, że rodzina młodego człowieka ma poważne pieniądze. Jego ojciec przeżył załamanie nerwowe, zwariował biedaczyna. Ale wyszedł z tego i jest wściekły. Wkurza go, że gnojki nadal żyją. Że jego ukochany stan nigdy nikogo nie stracił. Nienawidzi systemu prawnego, a w szczególności dziewięciorga dostojnych członków Sądu Najwyższego. To od niego, Clete, płyną pieniądze.

Jedno wielkie kłamstwo, ale na tym zasadzała się praca Marlina.

- Podoba mi się ta historia. - Clete pokiwał głową.

- Pieniądzy majak lodu. Są twoje, jeśli weźmiesz udział w kampanii i będziesz mówił tylko o karze śmierci. Wszyscy tutaj są żądni krwi.

Mamy badania opinii społecznej. Prawie siedemdziesiąt procent jest za karą śmierci, a jeszcze więcej denerwuje się, że za rzadko ją stosujemy w Missisipi. Możesz zrzucić winę na Sąd Najwyższy. To doskonale rozwiązanie.

Clete nadal kiwał głową. Przez tydzień myślał prawie wyłącznie o tym. Istotnie, sąd stanowił świetny cel. Wybory będą cholernie dobrą zabawą.

- Wspomniałeś o kilku ugrupowaniach - powiedział i wypił podwójny rum.

- Tak, ale szczególnie liczą się dwa. Jedno to Pamięć Ofiar, mocna grupa ludzi, którzy stracili najbliższych, a system ich olał. Nie są zbyt liczni, ale walczą zażarcie. Mówiąc między nami, pan X po cichu finansuje tę grupę. Druga to Koalicja Egzekwowania Praw, ugrupowanie legalistów z siłą przebiccia. Obie przyłączą się do wyborów.

Clete kiwał głową, uśmiechał się, patrzył, jak obok przemyka kelnerka z tacą zastawioną drinkami.

- Taki układ - powiedział na tyle głośno, żeby go usłyszano.

- Naprawdę nie mam nic więcej do dodania - rzucił Marlin dość obojętnym tonem.

- Gdzie są pieniądze?

Marlin głęboko odetchnął, nie zdołał ukryć uśmiechu.

- W bagażniku mojego samochodu. Połowa, pięćdziesiąt patyków.

Możesz je dostać teraz, a kolejne pięćdziesiąt zgarniesz w dniu, w którym oficjalnie wystąpisz w wyborach.

- Uczciwa gra.

Podali sobie ręce i sięgnęli po drinki. Marlin wyciągnął kluczyki z kieszeni.

- Zielony mustang z czarnym dachem, po lewej stronie od wyjścia. Weź kluczyki, samochód, pieniądze. Nie chcę ich widzieć. Będę tu siedział i grał w black jacka, póki nie wrócisz.

Clete chwycił kluczyki, wstał z trudem i poszedł do drzwi.

Marlin odczekał pięćdziesiąt minut i zadzwonił z komórki do Tony'ego Zachary'ego.

- Wygląda na to, że go złowiliśmy - powiedział.

- Wziął pieniądze? - zapytał Tony.

- Jeszcze się dogadujemy, ale owszem, już ich nie zobaczysz.

Podejrzewam, że Lucky Jack dostanie swój udział, ale tak czy owak, wszedł do gry.

- Doskonale.

- Wiesz, że ten facet da nam niezły ubaw? Telewizja będzie go uwielbiać.

- Miejmy nadzieję. Spotkamy się jutro.

Marlin znalazł sobie miejsce przy stole za pięć dolarów i w pół godziny zdążył przepuścić stówkę.

Clete wrócił uśmiechnięty, najszcześniejszy człowiek w całym Natchez. Marlin był pewien, że bagażnik mustanga jest teraz pusty.

Wrócili do baru i pili do północy.

Dwa tygodnie później Ron Fisk wychodził z treningu bejsbolu, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy. Był trenerem drużyny małej ligi, Raidersów, do której należał jego syn Josh. Chłopiec siedział na tylnym siedzeniu z dwoma kolegami z drużyny, spocony, brudny i bardzo szczęśliwy.

Ron nie chciał odbierać telefonu, ale zerknął na numer dzwoniącego. Tony Zachary. Rozmawiali co najmniej dwa razy dziennie.

- Cześć, Tony.

- Ron, masz chwilkę? - Tony zawsze tak pytał, jakby w razie czego mógł zadzwonić później. Ron nauczył się jednak, że Tony nigdy nie zamierza zadzwonić później. Każdy jego telefon był pilny.

- Jasne.

- Obawiam się, że mamy kłopot, „wygląda na to, że w wyborach weźmie udział większy tłumek, niż się spodziewaliśmy. Słyszysz mnie?

- Tak.

- Właśnie dowiedziałem się z dobrego źródła, że pewien pomyleniec, niejaki Clete Coley z Natchez, o ile pamiętam, jutro zgłosi swój udział w wyborach przeciwko sędziemu McCarthy.

Ron głęboko zaczerpnął tchu i zatrzymał wóz w ulicy obok miejskiego stadionu.

- Okay, słucham.

- Znasz faceta?

- Nie. - Ron znał kilku adwokatów z Natchez, ale tego nie.

- Ja też nie. Sprawdzamy go teraz. Wstępne wyniki nie robią szczególnego wrażenia. Prowadzi jednoosobową praktykę, nie cieszy się szczególnie dobrą opinią, przynajmniej jako prawnik. Osiem lat temu zawieszono mu licencję na pół roku, zdaje się, że chodziło o zaniechanie klientów. Dwa rozwody. Żadnego bankructwa. Jedna jazda pod wpływem, poza tym nienotowany. Tyle wiemy, ale szukamy dalej.

- Kto z nim trzyma?

- Nie wiem. Poczekamy, zobaczymy. Zadzwonię, jak dowiem się więcej.

Ron podrzucił kolegów Josha i pognął do domu, żeby opowiedzieć wszystko Doreen. Zamartwiali się przy kolacji. Potem długo nie kładli się i wyobrażali sobie rozmaite scenariusze.

Następnego dnia, o dziesiątej rano Clete Coley zatrzymał się na skraju High Street, przed gmachem sądu Carroll Gartin. Za nim jechały dwie wynajęte furgonetki. Wszystkie trzy

wozy zaparkowały nieprawidłowo, ale też ich kierowcy szukali kłopotów. Kilku wolontariuszy wyskoczyło z furgonetek i zaniósło wielkie plakaty na szeroki betonowy taras, który otaczał budynek. Jeden z nich ustawił przenośne podium.

Policjant pełniący służbę na kapitole podszedł sprawdzić, co się dzieje.

- Zgłaszam swoją kandydaturę do Sądu Najwyższego - wyjaśnił mu Clete podniesionym głosem. Stało przy nim dwóch młodych osiłków w ciemnych garniturach, jeden biały, jeden czarny, obaj prawie tych samych rozmiarów, co Clete.

- Ma pan pozwolenie? - zapytał funkcjonariusz.

- Tak. Dostałem z biura prokuratora generalnego.

Policjant odszedł bez pośpiechu. Błyskawicznie zrobiono ekspozycję. Miała dziesięć metrów wysokości, piętnaście szerokości i składała się z samych twarzy. Portrety absolwentów szkoły średniej, zdjęcia z ukrytej kamery, fotografie rodzinne, wszystko powiększone i w kolorze. Twarze zmarłych.

Wolontariusze się odsunęli, kiedy zaczęli przybywać reporterzy. Ustawiano kamery na trójnogach. Montowano mikrofony na podium. Fotoreporterzy trzaskali zdjęciami, Clete był zachwycony. Nadeszli kolejni wolontariusze, niektórzy z własnoręcznie wypisanymi hasłami: „Precz liberałom”, „Tak dla kary śmierci”, „Ofiary mają głos”.

Policjant był czarny.

- Nie mogę znaleźć nikogo, kto wiedziałby cokolwiek o pozwoleniu - zwrócił się do Clete'a.

- Hm, znalazłeś pan mnie, a ja panu mówię, że mam zezwolenie.

- Od kogo?

- Od jednego z asystentów prokuratora generalnego.

- Pamięta pan nazwisko?

- Oswald.

Policjant odszedł szukać pana Oswalda.

Poruszenie przyciągnęło uwagę ludzi znajdujących się w budynku i praca zamarła. A kiedy wieść, że ktoś rozpoczyna kampanię do Sądu Najwyższego, dotarła do czwartego piętra, troje sędziów rzuciło wszystko i pognęło do okien. Pozostała szóstka, której kadencji upływały w późniejszych latach, też podeszła, z czystej ciekawości.

Gabinet Sheili McCarthy, którego okna wychodziły na High Street, wkrótce wypełnił się urzędnikami i pracownikami biura, nagle zatrwożonymi.

- Może zszedłbyś i zobaczył, co się tam dzieje? - wyszeptała do Paula.

Inni, z sądu i urzędu prokuratora generalnego, też ruszyli na dół. Clete'a podniecił

widok tłumu szybko zbierającego się przed podium. Policjant wrócił ze wsparciem i kiedy Clete właśnie miał rozpocząć przemówienie, podeszli do niego funkcjonariusze.

- Sir, musimy pana prosić, żeby pan stąd odszedł.

- Poczekajcie, chłopaki, skończę za dziesięć minut.

- Nie, proszę pana. To nielegalne zgromadzenie. Proszę się rozejść, bo zostaną wyciągnięte konsekwencje.

Clete stanął twarzą w twarz ze znacznie niższym funkcjonariuszem i powiedział:

- Wyluzuj, okay? Cztery kamery telewizyjne wszystko filmują.

Poczekaj chwilę, odejdę, zanim się zorientujesz.

- Przepraszam.

Clete wszedł na podium, a wolontariusze zwarli za nim szyki. Uśmiechnął się do kamer.

- Dzień dobry, dziękuję, że przyszliście. Nazywam się Clete Coley, jestem adwokatem z Natchez i zgłaszam swoją kandydaturę do Sądu Najwyższego. Moją konkurentką jest sędzia Sheila McCarthy, bez wątpienia najbardziej liberalny członek tego łaskawego dla kryminalistów, rozleniwionego sądu. - Wolontariusze ryknęli na znak poparcia.

Reporterzy uśmiechnęli się na taką gratkę.

Paul aż przełknął ślinę, słysząc tak niewiarygodną salwę. Ten człowiek był głośny, nieustraszony i lubował się każdą chwilą poświęcaną mu uwagi.

A dopiero się rozkręcał.

- Widzicie za mną twarze stu osiemdziesięciorga trojga ludzi.

Czarnych i białych, babć i niemowląt, wykształconych i niepiśmiennych, z całego stanu, z różnych szczebli drabiny społecznej. Wszyscy niewinni, wszyscy nie żyją, wszystkich zamordowano. Mordercy siedzą w Parchman, w celach śmierci, należycie skazani przez przysięgłych z tego stanu. Wysłani, jak trzeba, w kolejkę do egzekucji. - Przerwał i zamasyście wskazał twarze niewinnych. - W Missisipi trzymamy w celach śmierci sześćdziesięcioro ośmioro ludzi. Są tam bezpieczni, bo ten stan odmawia wykonania na nich egzekucji. Inne stany tak nie robią.

Poważne traktują swoje prawa. Od 1978 roku w Teksasie stracono trzystu trzydziestu czterech zabójców, w Wirginii osiemdziesięciu jeden, w Oklahomie siedemdziesięciu sześciu, na Florydzie pięćdziesięciu pięciu, w Karolinie Północnej czterdziestu jeden, w Georgii trzydziestu siedmiu, w Alabamie trzydziestu dwóch, a w Arkansas dwudziestu czterech. Nawet w północnych stanach, jak Missouri, Ohio i Indiana.

Do diabła, Delaware straciło czternastu zabójców. Gdzie jest Missisipi?

Obecnie na dziewiętnastym miejscu. Straciliśmy tylko ośmiu morderców i dlatego, przyjaciele, kandyduję do Sądu Najwyższego.

Policjantów z kapitolu zebrało się teraz ponad dziesięciu, ale wyglądali na zadowolonych, patrzyli i słuchali. Walka z tłumem nie była ich specjalnością, ponadto ten człowiek mówił całkiem rozsądnie.

- Dlaczego nie wykonujemy na nich egzekucji?! - ryknął Clete do tłumu. - Powiem wam dlaczego. Bo nasz Sąd Najwyższy rozpieszcza tych zbirów i pozwala, żeby ich apelacje ciągnęły się w nieskończoność. Bobby Ray Root zabił z zimną krwią dwie osoby podczas włamania do sklepu alkoholowego. Dwadzieścia siedem lat temu. Nadal siedzi w celi śmierci, codziennie dostaje posiłki, raz w miesiącu widuje się z matką, a daty egzekucji nie można się doczekać. Willis Birley zamordował swoją czteroletnią pasierbicę. - Przerwał i wskazał na fotografię małej, czarnej dziewczynki na górze ekspozycji. - Oto ona, śliczne maleństwo w różowej sukience. Miałaby teraz trzydzieści lat. Jej morderca, człowiek, któremu ufała, siedzi w celi śmierci od dwudziestu czterech lat. Mógłbym tak mówić i mówić, ale na tym poprzestanę. Nadszedł czas, żeby potrząsnąć sądem i pokazać wszystkim, którzy popełnili morderstwo albo chcieliby to zrobić, że w Missisipi twardo egzekwujemy nasze prawa. - Zrobił przerwę na kolejną rundę burzliwych oklasków. Najwyraźniej czerpał z nich natchnienie. - Sheila McCarthy głosowała przeciwko karom za morderstwo częściej niż którykolwiek z sędziów. Jej opinie są pełne prawniczych kruczków, które podnoszą na duchu każdego stanowego obrońcę kryminalistów. Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich, ACLU, uwielbia panią McCarthy. Ona współczuje tym mordercom. Daje nadzieję zbirom czekającym w celach śmierci. Proszę państwa, nadszedł czas, żeby odebrać jej tożsamość, pióro, głos, władzę, żeby już dłużej nie deptała praw ofiar.

Paul zastanawiał się, czy nie spisać tej mowy, ale był zbyt oszołomiony, żeby się ruszyć. Nie pamiętał, żeby jego szefowa tak często głosowała na korzyść oskarżonych o przestępstwa zagrożone karą śmierci, ale wiedział, że praktycznie wszystkie jej wyroki były zatwierdzane. Bez względu na partacką pracę policji, rasizm, złą wolę prokuratury, nieuczciwych przysięgłych i głupie orzeczenia sędziów przewodniczących rozprawie, bez względu na koszmarnie czasem uchybienia w procedurze, Sąd Najwyższy rzadko uchylał jej wyroki. Paulowi zrobiło się niedobrze. Podział głosów wynosił zazwyczaj sześć do trzech, a Sheila stała na czele głośniejszej, chociaż przegłosowywanej mniejszości. Dwóch sędziów nigdy nie głosowało za uchyleniem kary śmierci.

Paul wiedział, że prywatnie jego szefowa jest przeciwna karze śmierci, ale też trzymała się praw stanu. Większą część czasu poświęcała sprawom zabójstw i nigdy nie

widział, żeby przedłożyła osobiste przekonania nad ściśle przestrzeganie prawa. Jeśli proces przeprowadzony był rzetelnie, bez wahania przyłączała się do większości i zatwierdzała wyrok.

Clete nie uległ pokusie, żeby mówić za długo. Powiedział tyle, ile trzeba. Jego wystąpienie odniosło fantastyczny sukces. Ściszył głos i poważnym tonem zakończył:

- Wzywam wszystkich obywateli stanu Missisipi, którym leży na sercu prawo i porządek, którzy mają dość panoszącej się, bezsensownej zbrodni, żeby przyłączyli się do mnie i przewrócili ten sąd do góry nogami. Dziękuję. - Oklaski.

Dwóch potężnej zbudowanych funkcjonariuszy podeszło do podium. Reporterzy zaczęli zarzucać Clete'a pytaniami.

- Czy był pan kiedykolwiek sędzią? Jakie wsparcie finansowe pan posiada? Kim są ci wolontariusze? Ma pan jakąś propozycję, żeby skrócić czas oczekiwania na apelację?

Clete już chciał odpowiedzieć, kiedy funkcjonariusz chwycił go za ramię.

- Wystarczy. Zabawa skończona - - warknął umundurowany osiłek.

- Wynos się do diabła. - Clete wyszarpnął rękę.

Nadbiegł z tupotem odwód policji, zaczął się tarmosić z wolontariuszami, ci odpowiadali wrzaskiem.

- Idziemy, koleś - zawołał funkcjonariusz.

- Spadaj. - A potem zahuczał do kamer: - Patrzcie! Litość dla przestępców, ale zero poszanowania dla wolności słowa.

- Jest pan aresztowany.

- Aresztowany! Skujcie mnie, bo wygłaszam mowę. - Ochoczo złożył ręce za plecami.

- Pan nie ma zezwolenia - powiedział jeden z funkcjonariuszy, kiedy dwaj inni zatrząskiwali kajdanki.

- Patrzcie na tych strażników Sądu Najwyższego, których wysłali ludzie z czwartego piętra, przeciwko którym kandyduję.

- Idziemy.

Clete ryczał przez cały czas, schodząc z podium.

- Nie spędzę wiele czasu w więzieniu, a kiedy wyjdę, powiem całą prawdę o tych liberalnych draniach. Możecie na to liczyć.

Sheila obserwowała scenę z okna. Jeden z urzędników, który stał obok dziennikarzy, relacjonował przebieg wypadków przez telefon komórkowy. Ten świr, tam na dole, właśnie ją wziął na celownik.

Paul został, dopóki nie uprzątnięto ekspozycji, a tłum się nie rozszedł. Potem pognął

po schodach do gabinetu Sheili. Siedziała za biurkiem z innym urzędnikiem i sędzią McElwayne'em. Atmosfera była ciężka, nastrój panował ponury. Popatrzyli na Paula, jakby przypadkiem mógł im przynieść dobrą wiadomość.

- Ten facet to wariat - powiedział.

Pokiwali głowami.

- Nie wygląda na marionetkę w rękach wielkiego biznesu - stwierdził McElwayne.

- Nigdy o nim nie słyszałam - wyszeptała Sheila. Wyglądała, jakby przeżyła szok. -

Chyba ten łatwy rok bardzo się skomplikował.

Mysł, że muszą zacząć kampanię od zera, była przygnębiająca.

- Ile kosztowały pańskie wybory? - zapytał Paul. Zaczął pracę w sądzie dwa lata temu, kiedy atakowano sędziego McElwayne'a.

- Milion czterysta tysięcy.

Sheila chrząknęła i roześmiała się.

- Ja mam sześć tysięcy na koncie wyborczym. Leżą tam od lat.

- Ale mój konkurent działał zgodnie z prawem - dodał McElwayne.

- A ten facet to świr.

- Świrów też wybierają.

Dwadzieścia minut później Tony Zachary oglądał widowisko zamknięty w gabinecie, cztery przecznice dalej. Marlin nagrał wszystko na wideo i z wielkim zadowoleniem patrzył na nie po raz drugi.

- Stworzyliśmy potwora - powiedział ze śmiechem Tony.

- Jest dobry.

- Może za dobry.

- Chcesz, żeby jeszcze ktoś wystartował?

- Nie, myślę, że wystarczy. Świetna robota.

Marlin wyszedł, a Tony nacisnął guzik szybkiego wybierania, żeby połączyć się z Ronem Fiskiem. Adwokat odebrał już po pierwszym dzwonku.

- Obawiam się, że to prawda. - Tony ponurym głosem opowiedział o wystąpieniu i aresztowaniu.

- Ten gość musi być szalony - wykrztusił Ron.

- Zdecydowanie. Dlatego mam wrażenie, że nie jest tak źle. To nawet może nam pomóc. Ten błazen wywoła wielkie zainteresowanie mediów i wydaje się, że naprawdę chce się dobrać do McCarthy.

- Ale mnie aż ściska w żołądku.

- Polityka to twarda gra, Ron. Wkrótce się o tym przekonasz. Ja jestem spokojny, przynajmniej na razie. Trzymamy się naszego planu, nic się nie zmienia.

- Coś mi się zdaje, że tłok sprzyja temu, kto już sprawuje urząd - zauważył Ron. I miał rację, jeśli chodzi o generalną zasadę.

- Niekoniecznie. Nie ma powodów do paniki. Zresztą i tak nic nie poradzimy, że inni chcą wziąć udział w zawodach. Nie rozprasza się.

Prześpijmy się z tym i porozmawiajmy jutro.

BARWNY POCZĄTEK KAMPANII CLETE'A COLEYA trafił w najlepszy moment. W całym stanie nie działo się nic innego godnego uwagi. Prasa podchwyciła oświadczenie Coleya i machała nim jak sztandarem. I kto miałby jej to za złe? Nieczęsto zdarza się zobaczyć na żywo, jak adwokata odprowadzają w kajdankach, a on wygraża „liberalnym draniom”. Przerażająca wystawa przedstawiająca twarze zmarłych robiła mocne wrażenie. Wolontariusze, szczególnie krewni ofiar, byli szczęśliwi, że mogą porozmawiać z reporterami i opowiedzieć im swoje historie. Zuchwałość, z jaką przeprowadził wiec tuż pod nosami sędziów Sądu Najwyższego, bawiła, a nawet wzbudzała podziw.

Zawieziono go pędem do komendy w śródmieściu, tam spisano, sfotografowano i pobrano odciski palców. Słusznie zakładał, że policyjne zdjęcie szybko trafi do prasy, miał też kilka wolnych chwil, żeby przemyśleć, jak powinien wyglądać. Gniewnie zmarszczone brwi potwierdziłyby podejrzenie, że jest trochę stuknięty. Głupawy uśmiech może doprowadzić do zakwestionowania jego szczerości - kto się uśmiecha chwilę po aresztowaniu? Zdecydował się na lekko zdziwiony wyraz twarzy, jakby mówił: „Dlaczego się mnie czepiają?”

Procedury nakazywały każdemu zatrzymanemu rozebrać się, wziąć prysznic i założyć pomarańczowy kombinezon. Zazwyczaj robiono to przed fotografowaniem. Ale Clete nie zastosował się do tych zasad. Oskarżano go tylko o wtargnięcie na cudzy teren, za co maksymalna kara to dwieście pięćdziesiąt dolarów grzywny. Kaucja wynosiła dwa razy tyle, więc Clete, który kieszenie miał wypchane studolarówkami, machał banknotami na lewo i prawo, żeby władze wiedziały, że zaraz wyjdzie z aresztu. Więc darowali mu prysznic i kombinezon i sfotografowali Clete'a w jego najładniejszym brązowym garniturze, wykrochmalonej koszuli i perfekcyjnie zawiązanym jedwabnym krawacie w prążki. Długie siwiejące włosy miał starannie ułożone.

Proces trwał niecałą godzinę i kiedy Clete wyszedł jako wolny człowiek, ku jego zachwytowi pobiegła za nim większość reporterów. Odpowiadał na ich pytania na chodniku, dopóki się nie zmęczył.

W wieczornych wiadomościach pokazano w czołówce jego i dramatyczne wydarzenia dnia. Wrócił w wiadomościach nadawanych późniejszym wieczorem. Oglądał to wszystko na szerokoekranowym telewizorze w barze dla motocyklistów w południowej dzielnicy Jackson, gdzie zamelinował się na wieczór i stawiał drinki wszystkim, którzy przekroczyli próg.

Rachunek wyniósł tysiąc czterysta dolarów. Koszty kampanii.

Zachwyceni motocykliści obiecali, że zjawią się tłumnie, żeby go wybrać. Oczywiście żaden z nich nie był zarejestrowany jako wyborca. Kiedy bar zamknięto, Clete'a odwieziono jaskrawoczerwonym cadillakiem escalade, wynajętym na czas kampanii za tysiąc dolarów miesięcznie. Za kierownicą siedział jeden z jego nowych ochroniarzy, biały młody człowiek, tylko trochę trzeźwiejszy od swojego szefa. Dotarli do motelu, cudem unikając kolejnego aresztowania.

W biurze Stowarzyszenia Adwokatów Stanu Missisipi przy State Street Barbara Mellinger, dyrektor wykonawczy i główny lobbysta, spotkała się na porannej kawie ze swoim asystentem, Skipem Sanchezem. Przy pierwszej filiżance przeglądali poranną prasę. Mieli egzemplarze czterech dzienników z południowego dystryktu - z Biloxi, Hattiesburga, Laurel i Natchez - a w każdym twarz pana Coleya pojawiała się na pierwszych stronach. Gazeta z Jackson nie podała wielu szczegółów. „Times - Picayune” z Nowego Orleanu miał czytelników na wybrzeżu i na czwartej stronie zamieścił informację agencyjną ze zdjęciem - adwokat w kajdankach.

- Może powinniśmy poradzić wszystkim naszym kandydatom, żeby dali się aresztować, kiedy będą zgłaszali udział w wyborach - powiedziała oschle Barbara. Nie uśmiechała się od dwudziestu czterech godzin. Wysączyła pierwszą filiżankę i poszła po następną porcję.

- Kto to, do diabła, jest Clete Coley? - zapytał Sanchez, przyglądając się fotografiom policyjnym w gazetach z Jackson i Biloxi. Coley wyglądał na człowieka, który najpierw bije, potem pyta.

- Wczoraj wieczorem zadzwoniłam do Waltera, do Natchez - powiedziała Barbara. - Coley mieszka tam od lat, zawsze robi jakieś podejrzane interesy, ale jest na tyle sprytny, że nie daje się złapać. Podobno kiedyś zajmował się naftą i gazem. Miał jakieś trudne kredyty na małą działalność biznesową. Teraz zabawia się hazardem. Nie podchodzi na kilometr do budynku sądu. Nie jest znany.

- Już jest.

Barbara wstała i powoli zaczęła chodzić po gabinecie. Znów napełniła filiżanki, usiadła i wzięła się do czytania gazet.

- Nie należy do środowiska zwolenników reformy odpowiedzialności cywilnej za szkody - zauważył Skip, chociaż z pewnym wahaniem. - Nie pasuje do ich stylu. Ma zbyt duży bagaż jak na ostrą kampanię. Jedno zatrzymanie za jazdę pod wpływem, dwa rozwody.

- Możliwe, ale dlaczego nagle zaczął wrzeszczeć o karze śmierci?

Skąd ten zryw? Ta pasja? Wczorajsze show było dobrze zorganizowane.

Ktoś go wspiera. Kto?

- Czy to naprawdę ważne? Sheila McCarthy wyprzedzi go w cuglach. Powinniśmy się cieszyć, że jest stukniętym bufonem, którego raczej nie finansuje Rada Handlu ani chłopaki z korporacji. Dlaczego mamy się przejmować?

- Bo jesteśmy adwokatami.

Skip znów spochmurniał.

- Może powinniśmy zorganizować spotkanie z sędzią McCarthy?

- zapytała Barbara po długiej, męczącej pauzie.

- Za parę dni, jak kurz opadnie.

Sędzia McCarthy wstała wcześnie. Dlaczego nie? I tak nie mogła zasnąć. O wpół do ósmej widziano, jak wychodzi z mieszkania. Pojechała do dzielnicy Belhaven w Jackson, jej starego sąsiedztwa. Zaparkowała na podjeździe czcigodnego sędziego Jamesa Henry'ego McElwayne'a.

Tony'ego to nie zdziwiło.

Pani McElwayne serdecznie ją powitała i zaprosiła do środka, przeszły przez salon, kuchnię, aż do gabinetu. Sędzia, dla przyjaciół Jimmy, właśnie kończył czytać poranne gazety.

McElwayne i McCarthy. Duży Mac i mała Mac, jak ich czasem nazywano. Kilka minut gawędzili o panu Coleyu i jego zdumiewającej popularności medialnej, potem przeszli do rzeczy.

- Ostatniego wieczoru przeglądałem teczki z kampanii wyborczej.

- McElwayne podał Sheili opasły folder. - Pierwszy rozdział to lista ofiarodawców, poczynając od grubych ryb, idąc w stronę Południa, „wszystkie czeki na wysokie sumy wypisane zostały przez adwokatów.

W następnym rozdziale było podsumowanie wydatków na kampanię. Sheila z trudem mogła uwierzyć w te liczby. Potem zamieszczono raporty konsultantów, próbki ogłoszeń, wyniki badania opinii publicznej i kilkanaście podsumowań związanych z kampanią.

- To przywołuje złe wspomnienia - powiedział.

- Przepraszam, że cię męcę.

- Jestem po twojej stronie.

- Kto stoi za Coleyem?

- Myślałem o tym całą noc. Może być wabikiem. To świr, bez dwóch zdań. Ale nie należy go lekceważyć. Jeśli jest twoim jedynym konkurentem, wcześniej czy później czarne

charaktery wślizgną się do jego obozu. Przyniosą pieniądze. A ten facet, dysponując grubą książeczką czekową, może naprawdę okazać się groźny.

McElwayne był kiedyś stanowym senatorem, potem sędzią sądu polubownego pochodzącym z wyboru. Brał udział w politycznych wojnach. Przed dwoma laty Sheila patrzyła bezradnie, jak go niszczone i obrażano podczas zażartej kampanii. W najgorszym momencie, kiedy w spotach telewizyjnych konkurenta - jak się później dowiedziano, finansowanych przez American Rifle Association - został oskarżony, że jest zwolennikiem kontroli posiadania broni palnej przez obywateli, a nie ma większego grzechu w Missisipi, powiedziała sobie, że nigdy, bez względu na okoliczności, nie pozwoli się tak poniżyć. Nie warto. Czmychnie z powrotem do Biloxi, otworzy mały butik i codziennie będzie się widywać z wnukami. Niech ktoś inny zajmie jej stanowisko.

Teraz jednak się wahała. Rozgniewały ją ataki Coleya. Krew jeszcze w niej nie wrzała, ale niewiele brakowało. W wieku pięćdziesięciu jeden lat była za młoda, żeby zrezygnować, i za stara, żeby zaczynać od nowa.

Mówili o polityce ponad godzinę. McElwayne opowiadał historyjki o dawnych wyborach i barwnych politykach, a Sheila łagodnie go nakłaniała, żeby wrócił do bitew, które teraz ją czekają. Jego kampanie fachowo prowadził młody prawnik. McElwayne obiecał, że zadzwoni jeszcze tego samego dnia i sprawdzi, co się z chłopakiem dzieje. Miał też skontaktować się z wielkimi darczyńcami i miejscowymi działaczami. Znał wydawców gazet. Zrobi wszystko, żeby obronić jej stanowisko w sądzie.

Sheila wyszła czternaście minut po dziewiątej i pojechała pod gmach Gartina.

Zgłoszenie Coleya odnotowano w kancelarii Payton & Payton, ale niewiele o tym mówiono. Następnego dnia, osiemnastego kwietnia, nastąpiły trzy ważne wydarzenia i kancelarii nie interesowało nic innego. Pierwsze wydarzenie przyjęto z entuzjazmem. Pozostałe - nie.

Dobra wiadomość była taka, że młody prawnik z miasteczka Bogue Chitto wpadł, żeby ubić interes z Wesem. Prawniki, pracujący w biurze, bez doświadczenia w sprawach o uszkodzenia ciała, dziwnym trafem został adwokatem ludzi ocalałych z potwornego wypadku na międzystanowej 55 niedaleko granicy z Luizjaną, w którym zginął pracownik przemysłu drzewnego. Według patrolu policji wypadek został spowodowany przez lekkomyślność kierowcy osiemnastokołowca należącego do wielkiej spółki. Świadek naoczny zdążył już zeznać, że ciężarówka minęła go w szalonym pędzie, a on wyciągał „około” setki na godzinę. Prawniki zawarł umowę, że otrzyma trzydzieści procent wyprocesowanego odszkodowania. Umówił się z Wesem, że podzielią to po równo. Miał trzydzieści sześć lat i zarabiał około

czterdziestu tysięcy dolarów rocznie. Łatwo obliczyć. Ugoda za milion dolarów była całkiem możliwa. Wes przygotował pozew w niecałą godzinę. Czuł się szczególnie usatysfakcjonowany, bo młody prawnik wybrał kancelarię Paytonów ze względu na jej świeżą sławę. Werdykt w sprawie Baker wreszcie przyciągnął wartościowego klienta.

Przygnębiające było wpłynięcie apelacji od Krane. Liczyła sto dwie strony - dwukrotnie przekraczała limit - i pod każdym względem wyglądała na świetnie przygotowany dokument, napisany przez cały zespół błyskotliwych prawników. Była za długa i spóźniona o dwa miesiące, ale sąd poszedł na ustępstwa. Jared Kurtin i jego ludzie bardzo elokwentnie argumentowali za wydłużeniem terminu i zwiększeniem liczby stron. Przekonywali, że to wyjątkowa sprawa.

Mary Grace miała dwa miesiące na odpowiedź. Kiedy w akta zajrzeli już pozostali członkowie kancelarii, zaniósła je na swoje biurko, do pierwszego czytania. Krane twierdził, że w rozprawie popełniono dwadzieścia cztery błędy, a każdy wart poprawki podczas apelacji. Zaczynało się dość przyjemnie, od wyczerpującego przeglądu wszystkich uwag i zaleceń sędziego Harrisona, które rzekomo ujawniały jego stronniczość na rzecz powódki. Potem podważano dobór przysięgłych. Atakowano biegłych powołanych na wniosek Jeannette Baker: toksykologa, który zeznawał w sprawie niemal rekordowego poziomu BCL, cartolyksu i akлару w wodzie pitnej w Bowmore; patologa, który opisywał niezwykle rakotwórcze działanie tych chemikaliów; lekarza naukowca, który przedstawiał zawyżoną liczbę przypadków raka w Bowmore i okolicy; geologa, który badał toksyczne wody w glebie i warstwę wodonośną pod studnią miejską; wiertacza, który wywiercił otwory próbne; lekarzy, którzy przeprowadzali sekcję zwłok Chada i Pete'a Bakera; naukowca, który badał pestycydy i mówił straszne rzeczy o pillamarze 5, i najistotniejszego z biegłych, profesora medycyny, który powiązał BCL i cartolyx z komórkami rakowymi znalezionymi w ciałach ofiar. Paytonowie skorzystali z zeznań czternastu biegłych. Każdego z nich poddano druzgoczącej krytyce i zakwestionowano kwalifikacje. Opisano ich jako szarlatanów. Sędzia Harrison co i rusz popełniał ten błąd, że pozwalał im zeznawać. Ich raporty, po długich bojach przyjęte jako dowody, zostały poszarpane na kawałki, przekłete uczoną mową i napiętnowane jako pseudonaukowe. Sam werdykt jasno wskazywał na bezprawną stronniczość części przysięgłych. Użyto ostrych, ale umiejętnie dobranych słów, żeby zaatakować część retorsyjną. Powód nie zdołał udowodnić, że Krane skaził wody gruntowe w wyniku rażącego zaniedbania albo celowego działania. Akta kończyły się ostrym apelem o nowy proces albo, lepiej, o całkowite oddalenie sprawy przez Sąd Najwyższy. „Ten rażący i nieuprawniony werdykt powinien zostać ponownie rozpatrzony i unieważniony”, brzmiało

podsumowanie. Innymi słowy, należy odrzucić go raz na zawsze.

Akta apelacji był sprawnie napisane, dobrze umotywowane i przekonujące. Po trzech godzinach czytania Mary Grace mocno rozboleła głowa. Wzięła trzy proszki i dała akta Shermanowi, który zerkał na nie ostrożnie, jakby zobaczył grzechotnika.

Trzecia i najbardziej alarmująca wiadomość dotarła przez telefon od pastora Otta. Wes odebrał po zmroku, poszedł do gabinetu żony i zamknął za sobą drzwi.

- To był Denny - powiedział.

Kiedy Mary Grace spojrzała na twarz męża, pomyślała, że umarł kolejny klient. Z Bowmore ciągle nadchodziły takie smutne wieści, więc mogła się tego spodziewać.

- Co się stało?

- Pastor rozmawiał z szeryfem. Pan Leon Gatewood zaginął.

Chociaż nie żywili najmniejszej sympatii dla tego człowieka, bardzo się przejęli tą informacją. Gatewood przez trzydzieści cztery lata pracował jako inżynier w zakładach Krane w Bowmore. Całkowicie oddany spółce, przeszedł na emeryturę, kiedy zarząd zdecydował się na ucieczkę do Meksyku. Podczas składania zeznań i potem, przesłuchiwany na sali sądowej, przyznał, że spółka wypłaciła mu odprawę w wysokości trzyletnich zarobków, czyli około stu dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów. Krane nie służyło z hojności. Paytonom nie udało się znaleźć innego pracownika, który dostałby równie wysoką sumkę.

Gatewood przeniósł się na małą owczą farmę w południowo - zachodniej części hrabstwa Cary, żeby znaleźć się możliwie daleko od Bowmore i jego wody. Podczas trwających trzy dni zeznań twardo zaprzeczał, że fabryka pozbywała się na miejscu odpadów. W trakcie procesu Wes, dysponując stosem dokumentów, przypiekał go bezlitośnie. Gatewood nazwał innych pracowników Krane kłamcami. Nie wierzył raportom, które wskazywały, że tony odpadów po prostu gdzieś ginęły. Wyśmiewał obciążające zdjęcia, przedstawiające część z sześciuset przedziewiałych pojemników z BCL wykopanych z jaru za fabryką.

- To oszustwo - odszczeknął Wesowi.

Jego zeznanie było tak ewidentnie fałszywe, że sędzia Harrison otwarcie mówił, w kancelarii, o krzywoprzysięstwie. Gatewood - arogancki, wojowniczy, wybuchowy - sprawił, że przysięgli zaczęli się odnosić do Krane Chemical z pogardą. Był doskonałym świadkiem dla powoda, chociaż stawił się dopiero, kiedy dostał sądowe wezwanie. Jared Kurtin miał ochotę go udusić.

- Kiedy to się stało? - zapytała.

- Dwa dni temu poszedł sam na ryby. Żona nadal na niego czeka.

Zniknięcie Earla Croucha w Teksasie, dwa lata wcześniej, nadal pozostawało zagadką.

Crouch był szefem Gatewooda. Obaj żarliwie bronili Krane i zaprzeczali faktom. Skarżyli się, że są szczeni i zastraszeni. Nie byli sami. Grożono wielu ludziom, którzy wytwarzali pestycydy i nielegalnie składowali truciznę. Większość wyjechała z Bowmore, żeby uciec przed zatrutą wodą, znaleźć sobie inną pracę i uniknąć nadciągającej burzy pozwów. Co najmniej czterech umarło na raka.

Inni zeznawali prawdę. Jeszcze inni, włączając w to Croucha, Gatewooda i Bucka Burlesona, kłamali. Obie grupy nienawidziły się z wzajemnością, a wszyscy byli znienawidzeni przez mieszkańców hrabstwa Cary.

- Myślę, że znowu maczali w tym palce Stonesowie - stwierdził Wes.

- Nie wiadomo.

- Oczywiście, ale cieszę się, że to nasi klienci.

- Nasi klienci się niepokoją - powiedziała. - Czas na zebranie.

- Najpierw obiad. Kto gotuje?

- Raniona.

- Tortille czy enchiladas?

- Spaghetti.

- Chodźmy do baru i napijmy się. Tylko my dwoje. Jest powód do świętowania, kochanie. Ta mała sprawa z Bogue Chitto może się skończyć szybką ugodą na milion dolarów.

- Wypiję za to.

OBJAZDOWA WYSTAWA TWARZE ZMARŁYCH skończyła się po dziesięciu występach Coleya. Impet straciła w Pascagoula, ostatnim z dużych miast południowego dystryktu. Choć Clete starał się, jak mógł, nie udało mu się sprowokować ponownego aresztowania. Zdołał jednak wywołać niezłą sensację na każdym postoju. Reporterzy za nim przepadali. Wielbiciele chwyтали jego ulotki i wypisywali czeki, chociaż nie na wielkie sumy. Miejscowi policjanci oglądali wystąpienia szalonego adwokata z milczącą aprobatą.

Ale po dziesięciu dniach Clete potrzebował odpoczynku. Wrócił do Natchez i szybko znalazł się w Lucky Jacku, na kartach u Iwana. Nie miał strategii wyborczej ani planu. W miejscach wystąpień nie zostawił po sobie nic poza przelotną popularnością. Nie było organizacji, nie licząc paru wolontariuszy, których wkrótce zignorował. Szczerze mówiąc, nie zamierzał poświęcać czasu ani pieniędzy na rozkręcenie poważnej kampanii. Nie miał ochoty tknąć gotówki od Marlina, w każdym razie nie na cele wyborcze. Wyda wszelkie donacje, jakie nakapia, ale nie traci pieniędzy na tę przygodę. Sława uzależnia, więc postanowił pokazać się, kiedy będzie trzeba i wygłosić mowę, zaatakować przeciwników, liberalnych sędziów wszelkiej maści, ale nie poza tym. Interesowały go hazard i alkohol. Clete nie marzył o zwycięstwie. Do diabła, nie podjąłby się pracy sędziego nawet, gdyby mu ją dawano. Zawsze nienawidził opasłych ksiąg prawniczych.

Tony Zachary poleciał do Boca Raton, dalej podwiózł go szofer. Już raz był w biurze pana Rineharta. Teraz mieli razem spędzić prawie dwa dni.

Przy wspianym lunchu, z cudownym widokiem na ocean świetnie się bawili, wspominając błżeństwa Clete'a Coleya. Barry Rinehart przeczytał każdy wycinek prasowy, obejrzał wszystkie reportaże telewizyjne. Ich wabik zadziałał doskonale.

Przeanalizowali wyniki pierwszego wielkiego badania opinii publicznej. Objęło pięciuset zarejestrowanych wyborców w dwudziestu siedmiu hrabstwach południowego dystryktu. Przeprowadzono je dzień po zakończeniu objazdu Coleya. Nie było zaskakujące, przynajmniej dla Barry'ego Rineharta, że sześćdziesiąt sześć procent nie potrafiło podać nazwisk ani jednego z trojga sędziów Sądu Najwyższego z południowego dystryktu. Sześćdziesiąt dziewięć procent nie wiedziało nawet, że członkowie Sądu Najwyższego są wybierani.

- A to jest stan, w którym wybiera się pełnomocników do spraw autostrad, służby komunalne, skarbnika stanowego, specjalistów od ubezpieczeń i rolnictwa, poborców

podatkowych, koronerów, wszystkich poza hyclami - zauważył kpiąco Barry.

- Głosowania są co roku - powiedział Tony, zerkając znad okularów. Przestał jeść, patrzył na wykresy.

- Rok w rok. Na poziomie władz miejskich, sądowniczych, stanowych i lokalnych albo federalnych. Idą do urn co roku. Cóż za marnotrawstwo. Nic dziwnego, że przychodzi mało ludzi. Do diabła, ludzie mają dość polityki.

Z trzydziestu czterech procent tych, którzy potrafili podać nazwisko sędziego Sądu Najwyższego, tylko połowa wspomniała Sheilę McCarthy. Gdyby wybory odbyły się tego dnia, osiemnaście procent wyborców głosowałoby na nią, piętnaście procent na Clete'a Coleya, a reszta była albo niezdecydowana, albo po prostu nie poszłaby głosować, bo nie znała uczestników kampanii.

Po kilku wstępnych pytaniach ankieta stawała się tendencyjna. Czy zagłosowałbyś na kandydata do Sądu Najwyższego, który jest przeciwny karze śmierci? Siedemdziesiąt trzy procent odpowiedziało, że nie.

Czy zagłosowałbyś na kandydata, który popiera legalne małżeństwa homoseksualistów? Osiemdziesiąt osiem procent odpowiedziało, że nie.

Czy zagłosowałbyś na kandydata, który jest za ściślejszymi zasadami kontroli posiadania broni palnej? Osiemdziesiąt pięć procent - nie.

Czy masz chociaż jedną sztukę broni palnej? Tak - dziewięćdziesiąt sześć procent.

Pytania były bardzo rozbudowane. Wyraźnie ułożono je tak, żeby poprowadziły wyborców wzdłuż ścieżki najeżonej drażliwymi problemami. Nie próbowano nawet wyjaśniać, że Sąd Najwyższy nie jest ciałem prawodawczym, więc nie ustanawia praw dotyczących tych zagadnień. Nawet nie zachowano pozorów bezstronności. Jak przy okazji wielu badań opinii, Rinehart umiejętnie wykorzystał ankietę do skrytego ataku.

Czy poparłbyś liberalnego kandydata do Sądu Najwyższego? Siedemdziesiąt procent odpowiedziało, że nie.

Czy wiesz, że sędzia Sheila McCarthy uważana jest za najbardziej liberalnego członka Sądu Najwyższego w Missisipi? Nie - osiemdziesiąt pięć procent.

Jeśli jest najbardziej liberalnym członkiem sądu, to czy głosowałbyś na nią? Sześćdziesiąt pięć procent odpowiedziało przecząco, ale większości ankietowanych nie podobało się to pytanie. I co z tego? Dla Barry'ego istotne było to, jak niewielu rozpoznawało nazwisko Sheili McCarthy po dziewięciu latach sprawowania przez nią urzędu, chociaż doświadczenie mówiło mu, że nie ma w tym niczego nadzwyczajnego. Prywatnie mógłby polemizować, że to najważniejszy powód, dla którego nie powinno się prowadzić wyborów

na stanowiska sędziów Sądu Najwyższego, a nazwiska przedstawicieli prawa nie muszą być powszechnie znane.

Ankieta odchodziła potem od spraw związanych z Sądem Najwyższym i skupiała się na samych ankietowanych. Były pytania o religię, wiarę w Boga, uczęszczanie do kościoła, dotowanie kościoła i tak dalej. Pojawiły się też kwestie dotyczące aborcji, badań komórek macierzystych i tym podobne.

Ankieta zawierała podstawowe dane - kolor skóry, status cywilny, liczba dzieci, przybliżone dochody, dotychczasowy udział w wyborach.

Ogólne wyniki potwierdzały przypuszczenia Barry'ego. Wyborcami byli w większości konserwatywni przedstawiciele klasy średniej, biali, którzy z łatwością mogli dać się nastawić przeciwko liberalnemu sędziemu. Sztuczka, rzecz jasna, polegała na tym, żeby zmienić Sheilę McCarthy z rozsądnej przedstawicielki centrum we wściekłego liberała. Analitycy Barry'ego uważnie przyglądali się każdemu uzasadnieniu, jakie napisała zarówno w sądzie okręgowym, jak i najwyższym. Nie mogła wyprzeć się własnych słów; żadnemu sędziemu to się jeszcze nie udało. I Barry zamierzał pokonać przeciwniczkę jej własną bronią.

Po lunchu podeszli do stołu konferencyjnego z makietami ulotek wyborczych Rona Fiska. Setki nowych zdjęć przedstawiały rodzinę Fisków w całej krasie - w drodze do kościoła, na werandzie, na stadionie bejsbolu, rodzice razem, bez dzieci, ociekający miłością.

Pierwsze ulotki propagandowe były jeszcze w opracowaniu, ale Barry potrzebował konsultacji. Fisków filmowała ekipa sprowadzona do Missisipi z Waszyngtonu. Najpierw Fisk stojący przy pomniku wojny secesyjnej na polu bitwy w Vicksburgu, zapatrzony w dal, jakby nasłuchiwał odległej kanonady artyleryjskiej. Słysząc jego łagodny, naznaczony mocnym akcentem głos: „Nazywam się Ron Fisk. Mój prapradziadek zginął tutaj w lipcu 1863 roku. Był prawnikiem, sędzią i członkiem stanowego ciała ustawodawczego. Marzył o służbie w Sądzie Najwyższym. Dzisiaj to moje marzenie. Jestem mieszkańcem Missisipi w siódmym pokoleniu i proszę was o poparcie”.

Tony był zaskoczony.

- Wspomniał o wojnie secesyjnej?

- O, tak. Oni to uwielbiają.

- A co z czarnymi wyborcami?

- Będziemy mieli trzydzieści procent z kościołów. Tyle nam wystarczy.

Następny spot został nakręcony w kancelarii. Ron bez marynarki, z podwiniętymi rękawami, za biurkiem ze starannie zaaranżowaną masą papierów. Patrząc szczerze w obiektyw, Ron mówił, że kocha prawo, dąży do prawdy, domaga się uczciwości od tych,

którzy zasiadają za stołem sędziowskim. Wypadło to dość mdło, ale miało w sobie ciepło i mądrość.

Razem przygotowano sześć spotów.

- Tylko te łagodne - zastrzegł się Barry. - Dwa pewnie nie przejdą kolaudacji i prawdopodobnie ekipa telewizyjna znów będzie musiała przyjechać.

- A co z tymi wrednymi? - zapytał Tony.

- Są jeszcze na etapie pisania scenariusza. Nie będą nam potrzebne przed Świętem Pracy.

- Ile wydaliśmy do tej pory?

- Ćwierć miliona. Kropla w morzu.

Spędzili dwie godziny z konsultantem internetowym. Jego firma zajmowała się wyłącznie gromadzeniem funduszy wyborczych. Zdażył już założyć e - mailową bazę danych z ponad czterdziestoma tysiącami nazwisk - osób, które już wcześniej przekazywały datki, aktywnych członków stowarzyszeń i ugrupowań, znanych działaczy politycznych szczebla lokalnego i mniejszej grupy ludzi spoza Missisipi na tyle życzliwych, żeby przesłać czeki. Liczył jeszcze na dziesięć tysięcy darczyńców i przewidywał, że suma datków zamknie się w granicach pięciuset tysięcy. Co najważniejsze, lista była już gotowa. Kiedy dostanie zielone światło, po prostu naciśnie guzik, prośby pójdą w sieć i czeki zaczną napływać.

Zielone światło stanowiło główny temat rozmowy przy długiej kolacji tego wieczoru. Ostateczny termin zgłoszenia kandydatury upływał za miesiąc. Chociaż jak zwykle krążyły różne pogłoski, Tony był pewien, że do wyścigów nie stanie już nikt inny.

- Wystartują tylko trzy konie - powiedział. - A my mamy dwa z nich.

- Co robi McCarthy? - zapytał Barry. Codziennie dostawał informacje o jej posunięciach, ale do tej pory niewiele z tego wynikało.

- Prawie nic. Wygląda na to, że przeżyła wstrząs. Jednego dnia nie ma konkurenta, a już następnego jakiś zwariowany kowboj o nazwisku Coley nazywają liberalną miłośniczką skazańców, co chętnie podchwytyją dziennikarze i puszczają w obieg. Jestem pewien, że McElwayne udziela jej porad. Został jej pomagierem, ale ona jeszcze nie skompletowała sobie sztabu wyborczego.

- Zbiera pieniądze?

- W ubiegłym tygodniu adwokaci występujący przed sądem wystosowali standardowy, paniczny apel mailowy, w którym błagają kolegów o pieniądze. Nie mam pojęcia, jak im to idzie.

- Seks?

- Tylko przyjaciel. Masz to w raporcie. Jak do tej pory żadnych świństw.

Wkrótce po otwarciu drugiej butelki doskonałego pinot noir z Oregonu postanowili zacząć kampanię Fiska za dwa tygodnie. Chłopak był gotów, szarpał uzdę, rwał się na tor. Czekał tylko na sygnał. Wziął półroczny urlop ze swojej kancelarii, a jego partnerzy byli zadowoleni. Właśnie znaleźli pięciu nowych klientów - dwie wielkie spółki obrotu drewnem, przedsiębiorstwo budowy rurociągów i dwie firmy wydobywające gaz ziemny. Ogromna koalicja grup lobbystycznych wzięła się do pracy, dysponowała gotówką i ludźmi. McCarthy bała się własnego cienia i najwyraźniej miała nadzieję, że Clete Coley zrezygnuje albo sam się unicestwi.

Stuknęli się kieliszkami i wzniesli toast za początek ekscytującej kampanii.

Zebranie, jak zawsze, odbywało się w sali wspólnoty kościoła w Pine Grove. I jak zwykle paru ludzi z zewnątrz próbowało się wkręcić, żeby usłyszeć ostatnie nowiny. Pastor Ott uprzejmie ich wyprowadził, wyjaśniając, że to bardzo poufne spotkanie prawników i ich klientów.

Poza sprawą Baker Paytonowie mieli jeszcze trzydzieści spraw z Bowmore. Osiemnaście dotyczyło osób już nieżyjących. Pozostałych dwanaście dotyczyło ludzi chorych na raka w różnych stadiach. Cztery lata temu Paytonowie podjęli taktyczną decyzję, żeby zająć się najlepiej rokującą sprawą - Jeannette Baker. Wychodziło to znacznie taniej niż wzięcie wszystkich trzydziestu jeden naraz. Jeanette była najbardziej godna współczucia. W ciągu ośmiu miesięcy straciła całą rodzinę. Decyzja okazała się genialna.

Wes i Mary Grace nie znosili tych zebrań. Trudno znaleźć smutniejszych, bardziej naznaczonych tragedią ludzi. Stracili dzieci, mężów, żony. Byli śmiertelnie chorzy i musieli walczyć z niewiarygodnym bólem. Zadawali w kółko, na różne sposoby, te same pytania. Niektórzy chcieli zrezygnować, inni zamierzali walczyć bez końca. Niektórym zależało na pieniądzach, inni pragnęli tylko, żeby uznano odpowiedzialność Krane. Zawsze były łyzy i szorstkie słowa, dlatego pastor Ott uczestniczył w spotkaniach, żeby łagodzić nastroje.

Teraz, kiedy sprawa Baker obrosła w legendę, nadzieje klientów znacznie wzrosły. Sześć miesięcy po werdykcie byli też bardziej zaniepokojeni. Częściej dzwoniли do kancelarii. Wysyłali więcej maili i listów.

Zebraniu towarzyszyło dodatkowe napięcie. Trzy dni wcześniej odbył się pogrzeb pogardzanego przez wszystkich człowieka, Leona Gatewooda. Jego ciało znaleziono w zaroślach, pięć kilometrów w dół rzeki od przewróconej do góry dnem łódki. Śladów przemocy nie było, ale to o niczym nie świadczyło. Szeryf gorączkowo prowadził śledztwo.

Na spotkanie przybyli przedstawiciele wszystkich trzydziestu rodzin. W notatniku,

który Wes puścił w obieg, znalazły się sześćdziesiąt dwa dobrze mu znane nazwiska. Na listę wpisał się też Frank Stone, kostyczny murarz, zazwyczaj bardzo małomówny. Przyjęto, bez jakichkolwiek dowodów, że jeśli ktoś przyczynił się do śmierci Leona Gatewooda, to Frank Stone coś o tym wie.

Mary Grace zaczęła od ciepłego przywitania. Podziękowała zebranych za przybycie i za cierpliwość. Mówiła o apelacji w sprawie Baker i dla uzyskania dramatycznego efektu uniosła gruby tom akt złożonych przez prawników Krane, jako dowód, że nad apelacją strawiono wiele godzin. Wszystkie akta spłyną do września, a potem Sąd Najwyższy zadecyduje, co zrobić z tą sprawą. Mógł przekazać ją do sądu niższej instancji, do sądu apelacyjnego, do ponownego rozpatrzenia, albo po prostu utrzymać wyrok w mocy. Mary Grace wyraziła przekonanie, że sprawa tej wagi będzie ostatecznie rozpatrywana przez Sąd Najwyższy i nie trafi do sądu niższej instancji. Gdyby tak miało się stać, to przedstawienie ustnych argumentów zostanie wyznaczone na koniec tego roku albo na początek przyszłego. Na ostateczne rozstrzygnięcie przyjdzie czekać około roku.

Jeżeli sąd zatwierdzi wyrok, istniało kilka możliwych scenariuszy. Krane znajdzie się pod ogromną presją, żeby zawrzeć ugodę w pozostałych sprawach, co rzecz jasna, byłoby bardzo pożądanym rozwiązaniem. Jeżeli Krane odmówi podpisania ugody, to sędzia Harrison prawdopodobnie skonsoliduje inne pozwy i będzie je rozpatrywał na jednej, wielkiej rozprawie. W tym przypadku ich kancelaria będzie dysponowała zasobami, żeby poprowadzić dalszą walkę. Wyjawiała klientom, że pożyczoną sumę, w wysokości czterystu tysięcy dolarów, wydali na doprowadzenie sprawy Baker przed ławę przysięgłych i po prostu nie są w stanie tego powtórzyć, dopóki pierwszy wyrok nie zostanie podtrzymany.

Klienci byli biedni, ale nie aż tak pogrążeni w długach jak ich adwokaci.

- A jeżeli sąd odrzuci werdykt w sprawie Baker? - zapytała Eileen Johnson. Głowę miała łysą po chemii, ważyła niecałe czterdzieści pięć kilogramów. Mąż trzymał ją za rękę podczas całego zebrania.

- Jest taka możliwość - przyznała Mary Grace. - Ale nie nastąpi. - Powiedziała to z przekonaniem, którego w głębi duszy nie miała. Paytonowie byli optymistami co do wyniku apelacji, ale każdy rozsądny prawnik czułby się w takiej sytuacji zdenerwowany. - Jeśli jednak tak się stanie, to sąd odeśle sprawę do ponownego rozpatrzenia. Albo we wszystkich punktach, albo tylko co do szkód. Trudno przewidzieć.

Przeszła do kolejnych tematów, żeby uniknąć dalszego rozpatrywania ewentualności przegranej. Zapewniła, że wszystkie sprawy nadal będą traktowane z całą powagą przez kancelarię Paytonów. Tydzień w tydzień sporządzają i wysyłają setki dokumentów.

Poszukują kolejnych biegłych. Znaleźli się w strefie wyczekiwania, ale pracują ciężko.

- A co z tym powództwem zbiorowym? - odezwał się Curtis Knight, ojciec nastoletniego chłopca, który zmarł przed czterema laty. Pytanie poruszyło zebranych. Inni, mniej zasługujący na względy, wkraczali na ich terytorium.

- Zapomnijcie o tym - powiedziała. - Tamci powodowie stoją na końcu kolejki. Wygrają tylko wtedy, kiedy będzie ugoda, a ugoda musi zaspokoić wasze roszczenia. My sprawujemy nad tym kontrolę. Nie współzawodniczycie z tamtymi ludźmi.

To była dobra odpowiedź.

Wes zaczął od ostrzeżenia. Ze względu na werdykt Krane Chemical znalazło się pod ogromną presją. Prawdopodobnie nasłali na okolicę detektywów, żeby obserwować powodów i zebrać informacje, które mogą się okazać szkodliwe. Uważajcie, z kim rozmawiacie. Strzeżcie się obcych. Zgłaszajcie wszystkie, nawet na pozór niewinne zdarzenia.

Dla ludzi, którzy cierpieli od tak dawna, nie były to dobre wiadomości. I tak mieli dość zmartwień.

Pytania zadawano jeszcze przez godzinę. Paytonowie bardzo starali się rozproszyć wątpliwości, okazać współczucie i pewność siebie, dać nadzieję. Ale ciężka próba, która ich czekała, tłumiała optymizm.

Jeśli ktokolwiek na sali martwił się o wynik wyborów do Sądu Najwyższego, nie wspominał o tym ani słowem.

RON FISK WYSZEDŁ PRZED LUDZI podczas wielkiego zebrania parafialnego w niedzielny poranek. Nie miał jeszcze pojęcia, za iloma kazalniami przyjdzie mu stać przez nadchodzące pół roku. Nie wiedział też, że kazalnica stanie się symbolem jego kampanii.

Podziękował pastorowi, potem parafianom, członkom kościoła baptystów pod wezwaniem św. Łukasza, do którego i on należał.

- Jutro, przed gmachem sądu hrabstwa Lincoln ogłoszę swoją kandydaturę do Sądu Najwyższego Stanu Missisipi. Razem z Doreen zmagaliśmy się z tym i modliliśmy już od paru miesięcy. Radziliśmy się pastora Rose'a. Omawialiśmy to z naszymi dziećmi, rodzinami i przyjaciółmi. Wreszcie podjęliśmy decyzję i chcemy podzielić się nią z wami przed jutrzejszym wystąpieniem. - Zerknął do notatek i trochę zdenerwowany mówił dalej. - Nie mam przeszłości politycznej. Szczerze mówiąc, nawet stroniłem od polityki. Razem z Doreen prowadziliśmy szczęśliwe życie tutaj, w Brookhaven, wychowywaliśmy dzieci, modliliśmy się z wami, braliśmy udział w życiu naszej wspólnoty. Uzyskaliśmy błogosławieństwo i codziennie dziękujemy Bogu za jego dobroć. Dziękujemy Bogu za ten kościół i za przyjaciół takich jak wy. Wy jesteście naszą rodziną. - Kolejna nerwowa pauza. - Pragnę sprawować służbę w Sądzie Najwyższym, bo umiłowałem wspólne dla nas wartości, oparte na Biblii i naszej wierze w Chrystusa. Świętość rodziny: mężczyzny i kobiety. Świętość życia. Wolność i prawo do radowania się życiem bez strachu przed zbrodnią i interwencją rządu. Jak i wy, jestem zirytowany erozją tych wartości. Atakowane są przez nasze społeczeństwo, zdeprawowaną kulturę i przez wielu polityków. Tak, również przez nasze sądy.

Widzę swoją kandydaturę jako samotną walkę przeciwko liberalnym sędziom. Z waszą pomocą mogę wygrać. Dziękuję.

Słowa Rona, miłosiernie krótkie - po nich niechybnie miało nastąpić kolejne rozgadane kazanie - były tak dobrze przyjęte, że kiedy wracał na miejsce przy swojej rodzinie, w sanktuarium rozległy się uprzejme oklaski.

Dwie godziny później, kiedy biali wierni z Brookhaven jedli lunch, a czarni wierni właśnie zaczęli się rozkręcać, Ron wkroczył po czerwonym chodniku na wielkie podium Góry Pisga Kościoła Boga w Chrystusie w zachodniej dzielnicy miasta i wygłosił dłuższą wersję porannego przemówienia. Pomiął tylko słowo „liberalny”. Dopiero dwa dni temu spotkał wielebnego z największej w mieście parafii czarnych. Przyjaciel pociągnął za sznurki i zorganizował zaproszenie.

Tego wieczoru, w połowie hałaśliwej świętej godziny zielonoświątkowej, chwycił za pulpit, poczekał, aż harmider przycichnie, przedstawił się i wygłosił apel. Nie patrzył w notatki i mówił dłużej. Znowu dobrał się do liberałów.

Jadąc potem do domu, dziwił się, że właściwie nie zna ludzi ze swojego miasteczka. Jego klientami były firmy ubezpieczeniowe, a nie zwykli okoliczni mieszkańcy. Rzadko zapuszczał się poza bezpieczne sąsiedztwo, kościół, własny krąg towarzyski. Szczerze mówiąc, wolałby, żeby tak już zostało.

W poniedziałek, o dziewiątej rano, stanął na stopniach do gmachu sądu. W towarzystwie Doreen, dzieci, kolegów z pracy, szerszego grona przyjaciół, pracowników sądu, wiernych zwolenników oraz większości członków Rotary Club ogłosił wszem wobec, że kandyduje. Nie zaplanowano tego jako wydarzenia medialnego. Pokazało się tylko kilku reporterów.

Barry Rinehart trzymał się strategii wyprowadzenia najmocniejszego natarcia w dzień wyborów, a nie wtedy, kiedy składane są oświadczenia.

Ron wygłosił starannie ułożoną i przećwiczoną mowę. Trwała piętnaście minut, było mnóstwo oklasków. Odpowiadał na wszystkie pytania reporterów, potem poszedł do małej, pustej sali rozpraw, gdzie z wielką chęcią udzielił półgodzinnego wywiadu na wyłączność komentatorowi politycznemu jednej z gazet z Jackson.

Później, trzy przecznice dalej Ron przeciął wstęgę przed drzwiami swojej oficjalnej kwatery wyborczej w starym, świeżo odmalowanym budynku, oblepionym plakatami wyborczymi. Przy kawie i herbatnikach rozmawiał z przyjaciółmi, pozował do zdjęć i udzielał wywiadu, tym razem dla gazety, o której nigdy nie słyszał. Tony Zachary nadzorował całą imprezę i patrzył na zegarek.

Oświadczenie wyborcze zostało rozesłane jednocześnie do wszystkich gazet w stanie i ważnych dzienników wychodzących na południowym wschodzie. Przesłano je także pocztą elektroniczną do sędziów Sądu Najwyższego, członków ciała ustawodawczego, wszystkich urzędników stanowych pochodzących z wyboru, oficjalnych lobbystów, tysięcy urzędników stanowych, licencjonowanych lekarzy i adwokatów dopuszczonych do palestry. W południowym dystrykcie było trzysta dziewięćdziesiąt tysięcy zarejestrowanych wyborców. Doradca internetowy Rineharta znalazł adresy e - mailowe około jednej czwartej z nich i ci szczęściarze dostali wiadomości online, kiedy Ron jeszcze wygłaszał mowę przed sądem. Za jednym zamachem wysłano razem sto dwadzieścia tysięcy e - maili.

Pocztą internetową wysłano też czterdzieści dwa tysiące próśb o pieniądze. Do tego dołączono informację, która przekonywała do cnót Rona Fiska i atakowała zarazem zło

społeczne wywołane przez „liberalnych, lewicujących sędziów, zastępujących program narodu własnymi poglądami”.

Z wynajętego magazynu w południowej dzielnicy Jackson, o którym Ron Fisk nic nie wiedział, wyniesiono dwieście tysięcy wypchanych kopert i zabrano na pocztę główną. W każdej była broszura wyborcza z mnóstwem uroczych fotografii, ciepłym listem od Rona, mniejszą kopertą, gdyby ktoś miał życzenie przysłać czek, i bezpłatną nalepką na samochód. Wszystkie materiały marketingowe były najwyższej jakości, wykonane przez profesjonalistów.

O jedenastej Tony przeniósł show na południe, do McComb, jedenastego co do wielkości miasta dystryktu; Brookhaven, z dziesięcioma tysiącami ośmiuset mieszkańców, było czternaste. Ron jechał wynajętym chevroletem suburban z wolontariuszem o imieniu Guy za kierownicą, nowym, a już niezastąpionym, pierwszym asystentem Montem na przednim fotelu, z telefonem przy uchu i z Doreen, która siedziała obok niego na dość szerokiej tylnej kanapie terenówki. Z zadowoleniem przyglądał się przemykającemu krajobrazowi. Rozkoszował się chwilą. Jego pierwsza wycieczka w świat polityki i to w tak wielkim stylu. Duże grono zwolenników, ich entuzjazm, prasa, kamery, oszałamiające wyzwania, ekscytacja zwycięstwem - wszystko w pierwszych dwóch godzinach kampanii. Silny przypływ adrenaliny był zaledwie próbką tego, co nadejdzie. Wyobrażał sobie wielkie zwycięstwo w listopadzie. Widział siebie, jak wspina się z anonimowego przeciętniactwa małomiasteczkowej praktyki prawniczej na szczyty Sądu Najwyższego. Przyszłość zapowiadała się wspaniale.

Tony trzymał się tuż za nim, pospiesznie przekazywał aktualne informacje Barry'emu Rinehartowi.

W ratuszu w McComb Ron ponownie wygłosił orędzie. Tłum był mały, ale hałaśliwy. Większość stanowili całkowicie obcy ludzie. Po dwóch szybkich wywiadach ze zdjęciami zawieziono pana Fiska na lotnisko miejskie, gdzie wszedł na pokład leara 55, eleganckiego odrzutowca, który wyglądał jak rakieta, chociaż - Ron nie mógł powstrzymać się od tego spostrzeżenia - był znacznie: mniejszy niż ten, którym leciał do Waszyngtonu. Doreen ledwie ukryła podniecenie wynikające z pierwszego w życiu kontaktu z prywatnym odrzutowcem. Na pokładzie dołączył do nich Tony. Guy pognął terenówką na miejsce następnego spotkania.

Kwadrans później lądowali w Hattiesburgu, czterdzieści osiem tysięcy ludności, trzecie miejsce w dystrykcie. O pierwszej Ron i Doreen byli gośćmi lunchu modlitewnego, zorganizowanego przez luźną koalicję pastorów fundamentalistów w starym hotelu Holiday Inn. Tony czekał w barze.

Przy źle przyrządzonym kurczaku i groszku na maśle Ron więcej słuchał, niż mówił. Kilku kaznodziejów, najwyraźniej zainspirowanych własnymi niedzielnymi kazaniami, uznało za konieczne podzielenie się swoimi poglądami na różne tematy. Mówili o złu. Hollywood, rap, kultura celebrytów, szalejąca pornografia, Internet, pijaństwo nieletnich, rozpasany seks i tak dalej, i tak dalej. Ron poważnie kiwał głową i marzył o ucieczce. Wreszcie powiedział kilka słów, odpowiednio dobranych na tę okazję. Razem z Doreen modlą się o wynik wyborów, a w swoich działaniach czują rękę Boga. Prawa tworzone przez człowieka powinny wzorować się na prawach boskich. Tylko ludzie o jasnych poglądach moralnych powinni osądzać sprawy innych. Natychmiast uzyskał jednomyślne poparcie.

Po wyplątaniu się z tego spotkania Ron przemawiał do grupy kilkudziesięciu zwolenników przez budynek sądu w hrabstwie Forrest. Wydarzenie transmitowała stacja telewizyjna z Hattiesburga. Po paru pytaniach przeszedł się Main Street: ścisnął rękę każdemu napotkanemu, rozdawał ilustrowane broszury, zaglądał do kancelarii prawnych, żeby się przywitać. O wpół do czwartej odrzutowiec wystartował na wybrzeże. Wspinając się na pułap dwóch i pół kilometra, przeleciał nad południowo - zachodnią częścią hrabstwa Raka.

Guy czekał w samochodzie na lotnisku Gulfport - Biloxi. Ron ucałował Doreen na do widzenia i samolot zabrał ją z powrotem do McComb. Stamtąd inny kierowca zawiezie ją do Brookhaven. W budynku sądu hrabstwa Harrison Ron ponownie przedstawił zgłoszenie, odpowiedział na te same pytania, potem udzielił długiego wywiadu dla „Sun Herald”.

Z Birm pochodziła Sheila McCarthy. Przylegało do Gulfport, największego miasta w południowym dystrykcie, liczącego sześćdziesiąt pięć tysięcy mieszkańców. Biloxi i Gulfport stanowiły centrum regionu nadbrzeżnego, obszaru składającego się z trzech hrabstw ciągnących się wzdłuż zatoki. Zamieszkiwało je sześćdziesiąt procent wyborców. Na wschodzie były Ocean Springs, Gautier, Moss Point, Pascagoula, a dalej Mobile. Na zachodzie Pass Christian, Long Beach, Waveland, Bay Saint Louis i oczywiście Nowy Orlean.

Tony zaplanował, że Ron spędzi tu przynajmniej połowę czasu przeznaczonego na kampanię. O szóstej kandydat został przedstawiony pracownikom swojego biura na wybrzeżu mieszającego się w odremontowanym barze szybkiej obsługi przy autostradzie numer 90, zapchanej nadbrzeżnej czteropasmówce. W okolicach kwatery głównej wisiało mnóstwo plakatów wyborczych. Zebrał się wielki tłum, żeby przywitać i wysłuchać kandydata. Ron nie znał tu nikogo. Tony też. Praktycznie rzecz biorąc, wszyscy byli pracownikami paru spółek, które pośrednio finansowały kampanię. Połowa z nich pracowała w regionalnym biurze ogólnokrajowej spółki ubezpieczeń komunikacyjnych. Kiedy Ron przyjechał, zobaczył

kwaterę główną, jej wystrój i tłum, zdumiał się zdolnościami organizacyjnymi Tony'ego Zachary'ego. Mogło pójść łatwiej, niż się spodziewał.

Gospodarka wybrzeża zatoki jest napędzana przez kasyna, więc zaniechał uwag na temat moralności i skupił się na konserwatywnym podejściu do sądownictwa. Mówił o sobie, o swojej rodzinie, niepokonanej drużynie małej ligi syna Josha. Po raz pierwszy wspominał o niepokojącym wzroście przestępczości w stanie i obojętnym podejściu władz do wykonywania egzekucji na skazanych zabójcach.

Clete Coley byłby z niego dumny.

Uroczysta kolacja odbyła się w Jacht Clubie Biloxi i stała się miłą okazją do zbierania funduszy. W przyjęciu brało udział mieszane towarzystwo: ludzie korporacji, bankowcy, lekarze i adwokaci broniący w sprawach o odszkodowania. Tony naliczył osiemdziesięciu czterech gości.

Później, tego samego wieczoru, kiedy Ron spał w pokoju obok, Tony zadzwonił do Barry'ego Rineharta i przedstawił mu podsumowanie wspaniałego dnia. Nie było tak wesoło, jak podczas szokujących występów Clete'a, ale wyniki okazały się znacznie lepsze. Ich kandydat dobrze się spisywał.

Dzień rozpoczął się o wpół do ósmej od śniadania modlitewnego w hotelu usytuowanym w cieniu kasyn. Sponsorem było nowe ugrupowanie Koalicja Bractw. Większość przybyłych stanowili pastory fundamentaliści reprezentujący różne odłamy chrześcijaństwa. Ron szybko uczył się strategii dostosowywania do publiczności. Mówił o swojej wierze i o tym, jak ona wpłynie na jego decyzje w Sądzie Najwyższym. Podkreślał długą służbę Panu w charakterze diakona i nauczyciela w szkółce niedzielnej i mało się nie rozplakał, kiedy wspominał chrzest syna. Znowu uzyskał natychmiastowe poparcie.

Przynajmniej połowa mieszkańców stanu po przebudzeniu przeczytała poranne gazety z całostronicowymi ogłoszeniami kandydata Rona Fiska. Ogłoszenie w „Clarion - Ledger” z Jackson zaopatrzone było w ładne zdjęcie, podpisane tłustym drukiem: „Reforma sądownictwa”. Drobniejszym drukiem podano kilka związanych z tematem danych biograficznych Rona. Nacisk położono na jego udział w życiu kościoła, organizacji obywatelskich i American Rifle Association. Jeszcze drobniejszym drukiem wyliczano imponującą listę organizacji wspierających kandydata: ugrupowania prorodzinne, konserwatywni działacze chrześcijańscy, komitety pastorów oraz stowarzyszenia, które najwyraźniej reprezentowały resztę ludzkości - lekarze, pielęgniarki, szpitale, dentyści, domy opieki, aptekarze, kupcy detaliczni, agenci obrotu nieruchomościami, banki, spółki ubezpieczeniowe (zdrowie, życie, medycyna, ogień, wypadki, błędy w sztuce),

budowniczości autostrad, architekci, producenci energii, spółki wydobywające gaz ziemny i trzy grupy „kontaktów rządowych”, reprezentujących wytwórców praktycznie wszystkich produktów dostępnych w sklepach.

Innymi słowy, w spisie znalazł się każdy, kto mógł zostać pozwany, i dlatego płacił składki ubezpieczeniowe. Lista cuchnęła pieniędzmi i głośno, że Ron Fisk, do tej pory nieznany, wystąpił w wyborach jako poważny kandydat.

Koszty ogłoszenia to dwanaście tysięcy w „Clarion - Ledger” z Jackson, dziewięć tysięcy w „Sun Herald” z Biloxi i pięć tysięcy w „Hattiesburg American”.

Dwudziestodwudniowa inauguracja działalności Fiska kosztowała w przybliżeniu czterysta pięćdziesiąt tysięcy, nie licząc wydatków na podróże, odrzutowiec i Internet. Przeważająca część pieniędzy została wydana na przesyłki skierowane bezpośrednio do wyborców.

Wtorek i środę Ron spędził na wybrzeżu. Każda minuta była precyzyjnie zaplanowana. Wystąpienia zazwyczaj zaczynają się późno, ale nie wtedy, gdy kieruje nimi Tony. Ron przemawiał przed budynkami sądów w hrabstwach Jackson i Hancock, modlił się z pastorami, odwiedzał dziesiątki kancelarii prawnych, spacerował po kilku ruchliwych ulicach, wręczając broszury i ściskając dłonie. Pocałował nawet niemowlę. A to wszystko nagrywała ekipa filmowa.

W czwartek Ron zjechał jeszcze do sześciu miejscowości na południu stanu, potem pospieszył z powrotem do Brookhaven, żeby szybko się przebrać. Mecz zaczynał się o szóstej. Doreen już czekała z dziećmi. Raidersi mieli rozgrzewkę, Josh był miotaczem. Drużyna słuchała w szatni asystenta, kiedy wpadł trener Fisk i przejął dowodzenie.

Na meczu zebrał się spory tłumek. Ron już poczuł się jak sława.

Zamiast zajmować się pracą, dwaj urzędnicy Sheili przez cały dzień szukali sprawozdań prasowych z objazdu Rona Fiska. Zebrali po egzemplarzu ogłoszeń z różnych gazet. Śledzili informacje online. Im grubsza robiła się teczka, tym niżej upadali na duchu.

Sheila próbowała wypełniać obowiązki, jakby nic się nie stało. Niebo spadało jej na głowę, ale ona udawała, że nie zwraca na to uwagi. Prywatnie - a to zazwyczaj znaczyło, na spotkaniach za zamkniętymi drzwiami z Dużym Makiem - była oszołomiona i kompletnie załamana. Fisk wydał już z milion dolarów, a ona nie potrafiła zebrać ani centa.

Clete Coley zdołał ją przekonać, że nie będzie miała poważnego konkurenta. Pułapka Fiska była tak genialnie zaplanowana, że Sheila już czuła się przegrana.

Rada dyrektorów Stowarzyszenia Adwokatów Stanu Missisipi późnym czwartkowym popołudniem zebrała się w Jackson na zebraniu nadzwyczajnym. Aktualnie prezesem był

Bobby Neal, wytrawny adwokat z wieloma werdyktami na koncie i długą historią prac na rzecz SASM. Na obecne spotkanie przybyło osiemnastu z dwudziestu dyrektorów, co dawało frekwencję najwyższą od lat.

Rada była zbiorem nerwowych i bardzo przywiązanych do swojego zdania prawników, pracujących według własnych zasad. Nieliczni mieli kiedykolwiek szefa. Większość wspięła się z niskich szczebli rzemiosła i osiągnęła poziom godny, przynajmniej w ich oczach, wielkiego szacunku. Największym powołaniem było dla nich reprezentowanie biednych, skrzywdzonych, niechcianych, tych, którzy znaleźli się w kłopotach.

Zebrania - zazwyczaj długie i hałaśliwe - zaczynały się od tego, że każdy chciał zabrać głos jako pierwszy. To także przebiegało typowo. Grupa znalazła się w trudnej sytuacji, bo nagle i niespodziewanie zawisła nad nią groźba utraty najlepszego sojusznika w Sądzie Najwyższym. Cała osiemnastka natychmiast zaczęła się kłócić. Każdy miał rozwiązanie. Barbara Mellinger i Skip Sanchez siedzieli, milcząc, w kącie. Nie podawano alkoholu. Żadnej kawy. Tylko woda.

Po pełnej wrzawy pół godzinie Bobby'emu Nealowi udało się zaprowadzić chociaż ogólny porządek. Zyskał uwagę kolegów, kiedy poinformował, że tego dnia spędził godzinę z sędzią McCarthy.

- Jest w świetnym nastroju - oznajmił, uśmiechając się jako jedyny z towarzystwa. - Ciężko pracuje i naprawdę nie da się oderwać od obowiązków. Mimo to rozumie politykę i powtórzyła parę razy, że poprowadzi ostrą kampanię i zamierza wygrać. Obiecałem nasze całkowite poparcie. - Przerwał, zmienił temat. - A jednak to zebranie niezbyt napawa optymizmem. Clete Coley zgłosił swoją kandydaturę cztery tygodnie temu, a Sheila nadal nie ma szefa kampanii. Zebrała parę dolców, ale nie chciała powiedzieć ile. Odniosłem wrażenie, że uspokoiła się po hecy z Coleyem i wmówiła sobie, że to po prostu niewiarygodny świr. Myślała, że zdoła zwyciężyć śpiewając. Teraz kompletnie zmieniła zdanie. Jak wiemy z doświadczenia, po naszej stronie jest bardzo mało pieniędzy, jeśli nie liczyć naszych.

- Trzeba będzie miliona dolców, żeby pokonać tego faceta. - Ta uwaga natychmiast utonęła w burzy drwin. Milion to znacznie za mało. Ci, którzy dążyli do zmiany prawa o odszkodowaniach za szkody, wydali dwa miliony przeciwko sędziemu McElwayne'owi i przegrali trzema tysiącami głosów. Tym razem wydadzą więcej, bo są lepiej zorganizowani i naprawdę wkurzeni. A przeciwnik McElwayne'a był nicponiem, który w życiu nie sporządził powództwa, a przez ostatnich dziesięć lat wykładał nauki polityczne w dwuletnim studium pomaturalnym. Fisk natomiast to prawdziwy prawnik.

Porozmawiali więc dłuższą chwilę o Fisku i przy stole powstały co najmniej cztery

ogniska burzliwej dyskusji.

Bobby Neal postukał w szklankę i powoli przywrócił porządek obrad.

- W tej radzie zasiada nas dwudziestu. Jeśli już teraz damy po dziesięć tysięcy, kampania Sheili przynajmniej nabierze rumieńców.

Momentalnie zapadła cisza. Głęboko nabierano tchu. Pito wodę. Zerkano na boki, szukano wzroku innych, czy się zgadzają z tą śmiałą propozycją.

- To śmieszne - warknął ktoś z odległego końca stołu. Światło zamigotało, klimatyzacja stanęła.

Wszyscy gapili się na Willy'ego Bentona, małego, ognistego irlandzkiego zawadiakę z Biloxi. Benton powoli wstał, rozłożył ręce. Słyszeli nieraz jego pełne pasji wypowiedzi i przygotowywali się na kolejną. Przysięgli nie byli w stanie mu się oprzeć.

- Proszę państwa, to początek końca. Nie oszukujmy się. Siły zła, które chcą zatrzaskać drzwi sal sądowych i odmówić naszym klientom ich praw, to lobby wspierające biznes, które metodycznie maszeruje przez kraj i zabiera w Sądzie Najwyższym jedno stanowisko po drugim. Ta sama banda dupków jest tutaj, dobija się do naszych drzwi.

Wdzieliście ich nazwiska w ogłoszeniach Fiska. To federacja osłów, ale nadzianych osłów. O ile się orientuję, dysponujemy w Sądzie Najwyższym jednym głosem dającym nam większość i oto siedzimy tutaj, jedyna grupa, która może stawić czoło tym opryszkom, i kłócimy się, ile mamy dać. Powiem wam, ile powinniśmy dać. Wszystko! Bo jeśli tego nie zrobimy, to prawo, jakie znamy i stosujemy, szybko odejdzie w przeszłość. Nie weźmiemy już spraw, bo nie zdołamy ich wygrać.

Nie będzie kolejnego pokolenia adwokatów. Dałem sto tysięcy dolarów sędziemu McElwayne'owi, bo więcej nie mogłem. To samo zrobię dla Sheili McCarthy. Nie mam samolotu. Nie zajmuję się powództwami zbiorowymi i nie zgarniam szokujących honorariów. Znacnie mnie.

Jestem ze starej szkoły, jedna sprawa naraz, jeden proces po drugim. Ale znowu zdobędę się na ofiarność. Wy też powinniście. Jeśli nie możecie zobowiązać się do wpłacenia po pięćdziesiąt tysięcy, to zakończmy zebranie i idźmy do domu. Albo: sprzedajcie mieszkanie, samochód, łódź, darujcie sobie parę wakacji. Zastawcie diamenty żony. Płacicie sekretarkom pięćdziesiąt kół rocznie. Sheila McCarthy jest ważniejsza niż sekretarka czy wspólnik.

- Willy, limit wynosi pięć tysięcy od osoby - wtrącił ktoś.

- Hm, czyżbyś nie był cwany sukinsynem? - odparował. - Mam żonę i czworo dzieci. To już jest trzydzieści kół. Do tego grona dołączą jeszcze dwie sekretarki i paru

zadowolonych klientów. Do końca tygodnia zgromadzę sto tysięcy dolców i każdy tutaj może to zrobić.

Usiadł, twarz miał czerwoną. Po długiej przerwie Billy Neal popatrzył na Barbarę Mellinger i zapytał:

- Ile daliśmy sędziemu McElwayne'owi?
- Milion dwieście od około trzystu adwokatów.
- Ile sam zebrał?
- Milion czterysta.
- Jak myślisz, ile potrzeba McCarthy, żeby wygrała?

Na ten temat Barbara i Skip Sanchez rozmawiali od trzech dni.

- Dwa miliony - odparła bez wahania.

Bobby Neal nachmurzył się, przypominając sobie wysiłki towarzyszące zbieraniu funduszy dwa lata wcześniej, dla Jimmy'ego McElwayne'a. Wrywanie zębów bez znieczulenia poszłoby lżej.

- Mamy więc do zebrania dwa miliony dolarów - zagrział.

Wszyscy poważnie pokiwali głowami. Wrócili do kłótni przy stole i rozgorzała ostra dyskusja, ile kto może zadeklarować. Ci, którzy dużo zarabiali, wydawali też dużo. Mniej zamożni bali się deklarować. Jeden przyznał, że przegrał trzy ostatnie procesy i w tej chwili praktycznie jest bankrutem. Inny, gwiazda powództw zbiorowych posiadająca własny odrzutowiec, obiecał sto pięćdziesiąt tysięcy.

Zakończyli, nie uzgadniając stałej stawki, co nikogo nie zdziwiło.

OSTATECZNY TERMIN ZGŁASZANIA KANDYDATUR minął bez dodatkowych fajerwerków. Sędzia Calligan z centralnego dystryktu i sędzia Bateman z północnego uniknęli konkurencji i byli bezpieczni na kolejnych osiem lat. Obaj cieszyli się sławą tych, którzy przejawiają niewiele współczucia dla ofiar wypadków, konsumentów i oskarżonych w sprawach kryminalnych, dlatego gorąco przyklaskiwała im społeczność biznesowa. Na szczeblu lokalnym tylko dwóch sędziów okręgowych miało konkurencję.

Jednym z nich był sędzia Thomas Alsobrook Harrison IV. Na godzinę przed upłynięciem ostatecznego terminu prawniczka z Hattiesburga, specjalistka od nieruchomości, Joy Hoover, złożyła wymagane dokumenty i zamieściła w gazetach kilka swoich zdjęć. Była lokalną działaczką polityczną, cenioną i dobrze znaną w hrabstwie. Jej mąż, popularny pediatra, prowadził bezpłatną przychodnię dla biednych matek.

Hoover została zwerbowana przez Tony'ego Zachary'ego i Wizję Sprawiedliwości. Była prezentem Barry'ego dla Carla Trudeau, który przy kilku okazjach, podczas cichych rozmów z Rinehartem wyrażał dużą niechęć wobec sędziego przewodniczącego procesowi Baker. Jedyne sto tysięcy, legalnie przekazane na rzecz Hoover, sprawi, że sędzia Harrison przestanie przeszkadzać, bo będzie musiał się zająć walką o stanowisko.

Rinehart intrygował na kilku frontach. Wybrał spokojny dzień, pod koniec czerwca, żeby oddać kolejną salwę.

Dwóch gejów, Al Meyerchec i Billy Spano, trzy miesiące wcześniej cichcem przybyło do Jackson. Wynajęli małe mieszkanie w pobliżu Millsaps College, zarejestrowali się jako wyborcy i uzyskali prawa jazdy stanu Missisipi. Stare były z Illinois. Twierdzili, że są ilustratorami, wolnymi strzelcami pracującymi w domu. Poprzestawali na własnym towarzystwie i nie spotykali się z ludźmi.

Dwudziestego czwartego czerwca poszli do urzędu stanu cywilnego hrabstwa Hinds i zażądali formularzy niezbędnych do zawarcia małżeństwa. Urzędnik odmówił i próbował im wyjaśnić, że prawo stanowe nie zezwala na małżeństwa osób tej samej płci. Nastąpiło spięcie, Meyerchec i Spano nie liczyli się ze słowami, wreszcie wyszli. Zadzwonili do reportera z „Clarion - Ledger” i przedstawili swoją wersję historii.

Następnego dnia wrócili z reporterem i fotografem do biura i ponownie zażądali dokumentów. Kiedy im odmówiono, zaczęli krzyczeć i grozić sądem. Kolejnego dnia ta historia trafiła na czołówkę gazety wraz ze zdjęciem dwóch mężczyzn besztających

bezradnego urzędnika. Wynajęli radykalnego adwokata, zapłacili mu dziesięć tysięcy i złożyli pozew. Nowy spór też trafił na pierwszą stronę.

Informacja wywołała szok. Opowieści o gejach, którzy pragną się pobrać, to normalka w takich miejscach jak Nowy Jork, Massachusetts i Kalifornia, ale nie w Missisipi. Do czego ten świat zmierza?

Kolejny reportaż ujawniał, że obaj mężczyźni całkiem niedawno przybyli do Jackson, nie znano ich w społeczności gejów i nie mieli oczywistych związków z żadnym biznesem, rodziną lub czymkolwiek innym w stanie Missisipi. Ostre słowa padły ze strony tych, po których można się było tego spodziewać. Jeden ze stanowych senatorów wyjaśnił, że sprawy małżeństw homoseksualistów są regulowane przez prawa stanu, które nie ulegną zmianie, przynajmniej dopóki on pełni urząd. Meyerchec i Spano byli niedostępni dla dziennikarzy. Ich prawnik poinformował, że często podróżują służbowo. W rzeczywistości wrócili do Chicago, gdzie jeden z nich pracował jako dekorator wnętrz, a drugi prowadził bar. Przeniosą się do Missisipi dopiero, kiedy wygrają proces.

Potem Jackson wstrząsnęła brutalna zbrodnia. Trzech członków gangu uzbrojonych w karabinki szturmowe wdarło się do wynajętego bliźniaka, zajmowanego przez dwudziestu nielegalnych imigrantów z Meksyku. Meksykanie zwykle pracują po osiemnaście godzin na dobę, oszczędzają każdego centa i raz w miesiącu wysyłają wszystko do domu. Takie najścia na mieszkania nie były w Jackson i innych miastach Południa czymś niezwykłym. Powstał chaos, Meksykanie wpadli w panikę, wyciągali pieniądze spod podłóg i zza boazerii, histerycznie wrzeszczeli po hiszpańsku, bandyci krzyczeli prostą angielszczyzną. Któryś z imigrantów sięgnął po pistolet i oddał kilka strzałów, ale nikogo nie trafił. Bandyci odpowiedzieli ogniem. Rozpętało się piekło. Kiedy strzelanina umilkła, czterech Meksykanów było martwych, trzech rannych. Bandyci uciekli. Ich łup szacowano na osiemset dolarów.

Barry Rinehart nie mógł się pochwalić, że to jego sprawka, ale i tak się ucieszył, kiedy o tym usłyszał.

Tydzień później na forum sponsorowanym przez Stowarzyszenie Wspierania Prawa Clete Coley lamentował nad wzrostem przestępczości i bez wytchnienia walczył swój ulubiony temat - liberalny sąd wstrzymuje egzekucje w Missisipi, przez co pozwala panoszyć się przemoc. Wskazywał na Sheilę McCarthy. Siedząc na podium obok Rona Fiska, ostro potępiał ją za niechęć do wykorzystywania komory śmierci w Parchman. Tłum był w nim zakochany.

Ron Fisk nie mógł wypaść gorzej od Coley. Łajał bandy, potępiał narkomanię i

bezprawie, krytykował Sąd Najwyższy, chociaż używał łagodniejszego języka. Potem przedstawił pięciostopniowy plan usuwania przeszkód w apelacjach od wyroków śmierci, a podczas przemówienia wolontariusze rozdawali ulotki na ten temat. Godna podziwu impreza. Tony, który usadowił się z tyłu, z zachwytem oglądał występy.

Zanim głos zabrała sędzia McCarthy, tłum gotów był obrzucić ją kamieniami. Spokojnie wyjaśniała złożoność apelacji od wyroków śmierci. Mówiła, że najwięcej czasu Sąd Najwyższy poświęca właśnie tym trudnym sprawom. Podkreślała, że trzeba je rozpatrywać ostrożnie i skrupulatnie, upewniać się, że prawa oskarżonego zostały w pełni zachowane. Najtrudniej bowiem chronić prawa tych, których społeczeństwo postanowiło uśmiercić. Przypomniła, że co najmniej sto dwadzieścia osób skazanych na śmierć zostało później całkowicie oczyszczonych z zarzutów, w tym dwie w Missisipi. Niektórzy z niesłusznie skazanych dwadzieścia lat czekali na śmierć. Podczas jej dziewięcioletniej pracy w Sądzie Najwyższym uczestniczyła w rozpatrywaniu czterdziestu ośmiu spraw zakończonych wyrokami śmierci. Wraz z większością głosowała za zatwierdzeniem w dwudziestu siedmiu, ale dopiero wtedy, kiedy przekonała się, że procesy były rzetelne. W pozostałych przypadkach głosowała za oddaleniem i przesłaniem sprawy do ponownego rozpatrzenia. Nie żałuje ani jednej decyzji. Nie uważa siebie za liberała, konserwatystę ani centrystę. Jest sędzią Sądu Najwyższego, która przysięgała, że będzie rzetelnie wypełniać swoje obowiązki. Owszem, osobiście jest przeciwna karze śmierci, ale nigdy nie myliła prywatnych przekonań z prawem stanowym.

Kiedy skończyła, tu i ówdzie rozległy się lekkie oklaski, ale tylko z uprzejmości. Trudno było nie podziwiać jej szczerości i odwagi. Niewielu, jeśli ktokolwiek, zagłosowałby na nią, ale ona wiedziała, o czym mówi.

Po raz pierwszy troje kandydatów pojawiło się razem, a Tony miał okazję widzieć Sheilę McCarthy w stresującej sytuacji.

- Nie da z siebie zrobić popychadła - raportował Barry'emu. - Zna się na rzeczy i zachowuje swoje zdanie.

- Owszem, ale jest bankrutem - powiedział Barry ze śmiechem. - To są wybory, tylko pieniądze się liczą.

McCarthy co prawda nie była bankrutem, ale jej start w kampanii wypadł fatalnie. Nie miała menedżera akcji, nikogo, kto skoordynowałby pięćdziesiąt spraw, które należało załatwić natychmiast, żeby potem zająć się tysiącem innych. Zaproponowała to zajęcie trzem ludziom. Pierwsi dwaj odmówili po dobie na zastanowienie. Trzeci powiedział tak, ale po tygodniu się wycofał.

Wybory to błaha rzecz robiona pod wielką presją, ze świadomością, że nie będzie ciągu dalszego. Ludzie harują całą dobę za marne pieniądze. Wolontariusze są nieoceniceni, ale nie zawsze można na nich polegać. Stanowczy i zdeterminowany szef kampanii jest niezbędny.

Sześć tygodni po oświadczeniu Fiska sędzi McCarthy udało się otworzyć biuro wyborcze w Jackson, niedaleko własnego apartamentu, i w Biloxi, w pobliżu domu. Oba prowadzili starzy przyjaciele, wolontariusze, którzy bezustannie werbowali kolejnych pracowników i dzwonili do potencjalnych darczyńców. Były stosy nalepek na samochody i plakatów do wywieszania na podwórkach, ale nie udało się znaleźć przyzwoitej firmy, która zajęłaby się ogłoszeniami, pocztą do wyborców, nie mówiąc o spotach telewizyjnych. W Internecie tylko zamieszczono stronę kandydatki. Sheila dostała trzysta dwadzieścia tysięcy dolarów datków, z czego trzydzieści tysięcy pochodziło od adwokatów. Bobby Neal i zarząd obiecali jej na piśmie, że członkowie stowarzyszenia dadzą co najmniej milion. Ale łatwiej obiecać, niż wypisać czek.

Poza tym Sheila miała mnóstwo obowiązków służbowych. Na wokandzie było dużo zaległych spraw. Ciągłe czuło się presję czasu. Apelacje napływały bez przerwy. Stawką było życie: kobiety i mężczyźni siedzieli w celach śmierci, małżonkowie w trakcie zawitych spraw rozwodowych wyrywali sobie dzieci, okaleczeni robotnicy czekali na ostateczne rozstrzygnięcia. Niektórzy sędziowie skupiali się wyłącznie na sprawach, nie na ludziach, ale Sheila tak nie potrafiła.

Przyszło lato, w pracy robiło się coraz luźniej. Sheila brała wolne w piątki i przez weekendy objeżdżała swój dystrykt. Od poniedziałku do czwartku sąd, potem polityka. Planowała, że spędzi najbliższy miesiąc, organizując kampanie i spotykając się z ludźmi.

Jej pierwszy konkurent, pan Coley, zazwyczaj próżnował od poniedziałku do piątku, poddając się rygorom stołu do black jacka. Hazard uprawiał tylko wieczorami, więc zostawało mu wiele czasu na kampanię, jeśli miał na to ochotę. Zazwyczaj nie miał. Pokazał się na kilku jarmarkach i wygłosił barwne przemówienia przed rozentuzjasmowanym tłumem. Jeśli jego wolontariusze z Jackson byli w dobrym nastroju, przyjeżdżali i ustawiali wystawę Twarze zmarłych, a Clete zabierał głos. Każde miasto dysponowało kilkunastoma klubami obywatelskimi, z których większość ciągle szukała mówców. Rozeszła się wieść, że kandydat Coley potrafi ożywić każdy lunch, więc co tydzień dostawał kilka zaproszeń. Korzystał z nich lub nie, w zależności od humoru i potęgi kaca. Do końca lipca na cele kampanii spłynęło dwadzieścia siedem tysięcy dolarów, więcej niż trzeba, żeby pokryć koszty wynajętej terenówki i pracujących na pół etatu ochroniarzy. Wydał też sześć tysięcy na ulotki. Każdy

polityk musi coś dawać.

Jednak drugi konkurent Sheili prowadził kampanię, która szła jak dobrze naoliwiony silnik. Ron Fisk ciężko pracował za biurkiem w poniedziałki i wtorki, potem wybierał się w trasę z dopracowanym w szczegółach rozkładem jazdy, który pomijał tylko najmniejsze miasteczka. Na pokładzie Leara 55 i King Aira razem ze sztabem szybko obleciał dystrykt. Do połowy lipca w każdym z dwudziestu siedmiu hrabstw działał już jego komitet, a Ron miał co najmniej jedno wystąpienie w każdym okręgu. Przemawiał w klubach obywatelskich, w ochotniczych strażach pożarnych, na herbatkach w bibliotekach, w radach adwokackich hrabstw, w klubach motocyklowych, na festiwalach muzyki folk, w kościołach, w kościołach i jeszcze raz w kościołach. Co najmniej połowę przemówień wygłaszał z kazalnicy.

Osiemnastego lipca Josh rozegrał swój ostatni mecz w sezonie i ojciec mógł więcej czasu poświęcić kampanii. Trener Fisk nie opuścił ani jednej rozgrywki, chociaż drużyna rozpadła się po ogłoszeniu jego kandydatury. Większość rodziców uznała, że te dwie sprawy nie idą ze sobą w parze.

W okręgach wiejskich przesłanie Rona zawsze było takie samo. Z winy liberalnych sędziów nasze wartości są atakowane przez tych, którzy wspierają małżeństwa gejów, chcą wzmoczonej kontroli posiadania broni, aborcji i nieograniczonego dostępu do internetowej pornografii. Tych sędziów trzeba zastąpić innymi. On jest lojalny przede wszystkim wobec Biblii. Prawa ludzkie są na drugim miejscu, ale jako sędzia Sądu Najwyższego pogodzi oba kodeksy. Każde przemówienie zaczynał od krótkiej modlitwy.

W bardziej zurbanizowanych okręgach, w zależności od widowni, często trochę odchodził od skrajnej prawicy i skupiał się na karze śmierci. Przekonał się, że słuchaczy fascynowały szczegółowe opisy brutalnych zbrodni dokonanych przez ludzi, którzy przed dwudziestu laty zostali skazani na śmierć. Wprowadził kilka takich opowieści na swoją listę.

Ale bez względu na to, gdzie był, w każdym przemówieniu dominował wątek złych liberalnych sędziów. Po stu wystąpieniach Ron sam uwierzył, że Sheila McCarthy to wściekła lewaczka, która odpowiada za wiele społecznych problemów stanu.

Jeśli chodzi o finanse, gdzie za sznurki po cichu pociągał Barry Rinehart, pieniądze napływały bez przerwy i pozwalały pokrywać wydatki na bieżąco. Do trzydziestego czerwca, pierwszego terminu składania raportów finansowych, na kampanię Fiska wpłynęło pięćsetdziesiąt tysięcy dolarów od dwóch tysięcy dwustu osób. Tylko trzydziestu pięciu spośród jego darczyńców ofiarowało maksymalną sumę pięciu tysięcy dolarów i wszyscy byli mieszkańcami Missisipi. Dziewięćdziesiąt procent ofiarodawców pochodziło z tego stanu.

Barry wiedział, że adwokaci przyjrzą się ofiarodawcom z nadzieją, że znajdą

pieniądze napływające od wielkiego biznesu spoza stanu. Już wcześniej miał z tym problem podczas wyborów i chciał go uniknąć teraz, w kampanii Fiska. Był pewien, że zbierze ogromne sumy poza stanem, ale te donacje miały napłynąć w wybranym momencie, na późnym etapie kampanii, kiedy łaskawe stanowe przepisy kontrolne nie pozwalają tego sprawdzić. Raporty McCarthy przeciwnie, ujawniały, że datki wpływają od adwokatów, a Barry wiedział, jak posłużyć się tym faktem na swoją korzyść.

Dysponował też ostatnimi badaniami opinii publicznej, o których nie powiedział swojemu kandydatowi. Jeszcze dwudziestego piątego czerwca połowa zarejestrowanych wyborców wiedziała, że trwa kampania wyborcza. Z tej liczby dwadzieścia cztery procent opowiadało się za Fiskiem, szesnaście za Sheilą McCarthy, a dziesięć za Clete'em Coleyem. Były to ekscytujące wyniki. W niecałe dwa miesiące Barry zdołał sprzedać nikomu nieznanego prawnika, który nigdy nie włożył czarnej togi, i wypchnąć go przed konkurentkę z dziewięcioletnią praktyką.

A jeszcze nie puścili ani jednego ogłoszenia w telewizji.

Pierwszego lipca Drugi Bank Stanowy został kupiony przez New Vista Bank, regionalną sieć z dyrekcją w Dallas. Huffy zadzwonił z tą nowiną do Wesa Paytona. Ogólnie, był nastrojony optymistycznie. Oddział w Hattiesburgu zapewniono, że nic poza nazwą się nie zmieni. Nowi właściciele dokonali przeglądu udzielonych kredytów. Wypyтали o Paytonów i zdawali się zadowoleni, kiedy Huffy obiecał, że pożyczka zostanie w końcu spłacona.

Przez cztery miesiące Paytonowie przesłali Huffy'emu jeden czek na dwa tysiące.

NATHANIEL LESTER BYŁ KIEDYŚ PEWNYM SIEBIE OBRONCĄ W sprawach karnych z niesamowitą umiejętnością wygrywania procesów o zabójstwa. Pewnego razu, przed dwudziestu laty, uzyskał jeden po drugim, dwanaście wyroków uniewinniających, wszystkie w małych miasteczkach rozsianych po Missisipi, w miejscach, gdzie oskarżeni o potworne zbrodnie z reguły uważani są za winnych już w momencie zatrzymania. Jego sława przyciągała klientów w sprawach cywilnych, a kancelaria adwokacka Lestera w Mendenhall rozkwitała.

Nat wygrywał w dużych sprawach i negocjował jeszcze większe ugody. Jego specjalnością stały się katastrofy na platformach wiertniczych, podczas których dochodziło do wypadków i okaleczeń. Ze względu na wysokie zarobki na pełnym morzu pracowało sporo mężczyzn z okolicy. Lester działał w wielu ugrupowaniach adwokackich, dawał duże sumy kandydatom do stanowisk politycznych, zbudował największy dom w mieście, zaliczył całą serię żon i się rozpił. Gorzała wraz z pasmem skarg i potyczek prawnych wreszcie go przyhamowały, a kiedy w końcu został pokonany, musiał oddać licencję, żeby uniknąć więzienia. Wyjechał z Mendenhall, znalazł sobie nową żonę, wytrzeźwiał i narodził się ponownie w Jackson. Przerzucił się na buddyzm, jogę, wegetarianizm i prosty styl życia. Jedną z kilku mądrych decyzji, które podjął u szczytu swoich osiągnięć, było odłożenie części pieniędzy.

Przez pierwszy tydzień sierpnia tak długo nękał Sheilę McCarthy, aż zgodziła się zjeść z nim szybki lunch. Wszyscy stanowi prawnicy słyszeli to i owo z jego barwnego życiorysu, nic więc dziwnego, że Sheila była zdenerwowana. Przy tofu z kiełkami zaproponował, że poprowadzi jej kampanię. Za darmo. Przez najbliższe trzy miesiące całą swoją niemałą energię poświęci tylko temu. Sędzia mocno się wahała. Długie siwe włosy opadały Natowi na ramiona. Kolczyki z diamentami, chociaż małe, i tak były widoczne. Na lewym ramieniu widniał tatuaż; nie chciała nawet myśleć o innych, ukrytych pod ubraniem. Nosił dzinsy, sandały i kolekcję kolorowych skórzanych bransoletek na obu nadgarstkach.

Ale Nat odnosił sukcesy w sali sądowej właśnie dlatego, że nie był nudny i miał dużą siłę perswazji. Poza tym znał dystrykt, miasta, sądy i sędziów. Z całego serca nienawidził wielkiego biznesu i kupowanych przez niego wpływów. W końcu powiedział: dość, i zaczął szukać zwady.

Ustała i zgodziła się na współpracę. Po drodze do domu zastanawiała się, czy nie

upadła na głowę, ale jednocześnie czuła, że Nathaniel Lester doda jej kampanii wigoru, którego tak bardzo brakowało. Obliczyła, że Fisk wyprzedzają o pięć punktów. Zaczynała wpadać w rozpacz.

Spotkali się znowu wieczorem, w jej sztabie, w Jackson. Zebranie trwało cztery godziny. Nat wziął sprawy w swoje ręce. Błyszczał, czarował, łajał i doprowadził ekipę niemal do szalonego entuzjazmu. Żeby dowieść swojej determinacji, zadzwonił do domów trzech adwokatów z Jackson i po wymianie uprzejmości zapytał dlaczego, do diabła, nie przysłali jeszcze pieniędzy na kampanię McCarthy. Rozmawiając przez telefon konferencyjny, zawstydział, namawiał, strofował i nie chciał się rozłączyć, dopóki każdy z rozmówców nie obiecał okazałych datków od siebie, swojej rodziny, klientów i przyjaciół. Niech nie przysyłają czeków pocztą, mówił, osobiście podjedźcie następnego dnia przed południem i weźmie pieniądze. Cała trójka obiecała łącznie siedemdziesiąt tysięcy. Od tego momentu Nat był szefem.

Następnego dnia odebrał czeki i zaczął wydzwaniać do wszystkich adwokatów w stanie. Skontaktował się ze związkami zawodowymi i przywódcami społeczności czarnych. Wyrzucił jednego z członków sztabu i zatrudnił dwóch innych. Zanim skończył się tydzień, Sheila zaczęła co rano dostawać od Nata wersję rozkładu jej dnia. Targowała się trochę, ale nie za bardzo. Nat pracował szesnaście godzin na dobę i oczekiwał tego samego od kandydatki oraz wszystkich pozostałych.

W Hattiesburgu Wes po cichu wpadł do sędziego Harrisona na lunch. Sędzia miał trzydzieści spraw z Bowmore na wokandzie i byłoby nierozsądne pokazywać się publicznie z adwokatem. Chociaż nie zamierzali dyskutować o zbliżających się rozprawach, nastrój nie sprzyjał miłym rozmowom. Tom Harrison wysłał zaproszenie do Wesa i Mary Grace, żeby wpadli, jak tylko znajdą trochę czasu. Mary Grace ze względu na obowiązki musiała odmówić.

Tematem rozmowy była polityka. W jurysdykcji sądu okręgowego Toma znajdowały się Hattiesburg, hrabstwo Forrest i trzy wiejskie hrabstwa, Cary, Lamar i Perry. Prawie osiemdziesiąt procent zarejestrowanych wyborców pochodziło z Hattiesburga, gdzie mieszkał i on, i jego rywalka. Kontrkandydatce zapewne pójdzie dobrze w niektórych miejskich okręgach wyborczych, ale sędzia Harrison nie wątpił, że jemu pójdzie jeszcze lepiej. Nie martwił się też o małe hrabstwa. Praktycznie nie bardzo wierzył w swoją przegraną. Wyglądało na to, że Hoover ma pieniądze, prawdopodobnie spoza stanu, ale sędzia Harrison znał swój okręg i lubował się w lokalnej polityce.

Z całej czwórki najmniejszą populację miało hrabstwo Cary. Zmniejszyła się ona

nieustannie nie bez wydatnej pomocy Krane Chemical i jego toksycznej legendy. Unikali tego tematu, rozmawiali o politykach z Bowmore i spoza Bowmore. Wes zapewnił sędziego, że Paytonowie, jak również ich klienci, przyjaciele, pastor Ott i rodzina Mary Grace zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby Harrison ponownie zasiadł za stołem sędziowskim.

Potem podjęli temat wyborów, w których kandydowała Sheila McCarthy. Gościła w Hattiesburgu przed dwoma tygodniami i pół godziny spędziła w kancelarii Paytonów. Kiedy zbierała zwolenników, z trudem udawało się jej unikać nawiązywania do sprawy z Bowmore. Paytonowie przyznali, że nie mają pieniędzy na donację, ale obiecali, że będą pracować społecznie na rzecz jej ponownego wyboru. Następnego dnia do kancelarii dostarczono ciężarówkę plakatów i innych materiałów wyborczych.

Sędzia Harrison załamywał ręce nad upolitycznieniem Sądu Najwyższego.

- To niestosowne - mówił - żeby musieli płaszczyć się przed wyborcami. Ty, jako adwokat reprezentujący klienta, którego sprawa czeka na rozpatrzenie, nie powinieneś kontaktować się z sędzią Sądu Najwyższego. Ale system sprawia, że sędzia sama przychodzi do twojego biura w poszukiwaniu pieniędzy i wsparcia. Dlaczego? Bo jakieś grupy interesu z mnóstwem kasy chcą mieć na własność jedno z miejsc w Sądzie Najwyższym. McCarthy na to reaguje, zbierając pieniądze na ulicy. Wes, to skorumpowany układ.

- Jakbyś to chciał naprawić?

- Albo usunąć prywatne pieniądze i finansować wybory z funduszy publicznych, albo przejść na system mianowania. W jedenastu stanach ten system się sprawdza. Nie wydaje mi się, żeby ich sądy miały przewagę nad naszymi pod względem talentów prawniczych, ale przynajmniej nie kontrolują ich grupy interesu.

- Znasz Fiska? - zapytał Wes.

- Kilka razy był w mojej sali sądowej. Miły facet, zupełnie zielony. Ładnie wygląda w garniturze, reprezentuje towarzystwa ubezpieczeniowe w typowych sprawach cywilnych. Przychodzi, składa wnioski, negocjuje ugodę, odchodzi z czystymi rękami. Nigdy nie prowadził obrony, nie był mediatorem, nie bronił przed sądem i nie wykazywał zainteresowania zawodem sędziowskim. Przemyśl to, Wes. Każde miasteczko czasem wymaga, żeby adwokat został miejskim sędzią, członkiem komisji porządkowej albo komisji do spraw wykroczeń drogowych i kiedy byliśmy młodszy, czuliśmy się zobowiązani do podejmowania tych zadań. Ale nie ten facet. W każdym hrabstwie prawnik musi czasem wziąć awaryjne zastępstwo w sądzie dla nieletnich, sądzie do spraw narkotykowych i tym podobnych. I ci z nas, którzy mają aspiracje, żeby zostać prawdziwymi sędziami, zgłaszają się na ochotnika. Od czegoś trzeba zacząć, rozumiesz? Ale idę o zakład, że ten facet nie widział miejskiej sali

sądowej w Brookhaven albo w sądzie dla nieletnich w hrabstwie Lincoln. I oto pewnego dnia budzi się i stwierdza, że nagle zaczęło go pasjonować sędownictwo i to, do diabła, sam szczyt hierarchii. To policzek dla tych z nas, którzy harują, żeby ten system działał.

- Wątpię, żeby przystąpienie do wyborów było jego pomysłem.

- Oczywiście, został zwerbowany. To jest tym bardziej haniebne.

Rozglądają się, wybierają żółtodzioba z ładnym uśmiechem, bez sprawek, które można by wyciągnąć, i sprzedają go, używając sprytnych sztuczek marketingowych. Chodzi o politykę. Ale nie powinno się brukać sędownictwa.

- Pobiliśmy ich dwa lata temu, kiedy startował McElwayne.

- Jesteś więc optymistą?

- Nie, sędzio. Jestem przerażony. Nie mogę spać, odkąd Fisk się objawił, i nie zasnę spokojnie, dopóki nie zostanie pokonany. Toniemy w długach, więc nie możemy wypisać czeku, ale wszyscy pracownicy naszej kancelarii postanowili, że godzinę dziennie poświęcą na dzwonienie, chodzenie po ludziach, rozdawanie ulotek, ustawianie tablic wyborczych. Napisaliśmy listy do naszych klientów. Naciskamy na przyjaciół. Zorganizowaliśmy Bowmore. Robimy wszystko, co możliwe, bo jeżeli przegramy, nie mamy przyszłości.

- Daleko zaszła sprawa apelacji?

- Akta zostały już wysłane. Wszystko w najlepszym porządku czeka, żeby sąd powiedział kiedy, jeśli w ogóle, chce wysłuchać argumentów ustnych. Prawdopodobnie na początku przyszłego roku.

- Nie ma szans na decyzję przed wyborami?

- Najmniejszych. To najważniejsza pozycja na wokandzie, ale tak mówi każdy adwokat o swojej sprawie. Sąd pracuje według własnego planu. Nikt nie może niczego przyspieszyć.

Oglądając mały ogródek warzywny sędziego, popijali mrożoną herbatę. Było ponad trzydzieści pięć stopni. Wreszcie uścisnęli sobie dłonie na werandzie. Wes odjeżdżając, martwił się o Harrisona. Sędzia bardziej przejmował się kampanią McCarthy niż własną.

Rozprawa dotyczyła wniosku hrabstwa Hinds. Przewodniczył sędzia Phil Shingleton. Salka była mała, ale dobrze rozplanowana, ze ścianami wykładanymi dębina i obowiązkowymi, wypłowiałymi portretami dawno zapomnianych sędziów. Nie umieszczono tu foteli dla przysięgłych, bo w sądzie kanclerskim* procesy nie odbywały się przed ławą.

* * Sądy kanclerskie zajmują się drobnymi sprawami, takimi jak: sprawy rodzinne, spadkowe, własności ziemi. Inaczej: sądy słuszności (przyj. red).

Rzadko schodziły się tłumy, ale podczas tego posiedzenia wszystkie miejsca były zajęte.

Meyerchec i Spano wrócili z Chicago i siedzieli za stołem ze swoim adwokatem radykałem. Przy drugim zasiadały dwie młode kobiety reprezentujące hrabstwo. Sędzia Shingelton przywołał wszystkich do porządku, powitał przybyłych, zauważył zainteresowanie mediów i spojrzął w akta. Dwaj rysownicy z prasy szkicowali Meyercheca i Spana. Wszyscy niecierpliwie czekali, a Shingelton kartkował akta, jakby ich nigdy wcześniej nie widział. W rzeczywistości przeczytał je wielokrotnie i już napisał orzeczenie.

- Tak z ciekawości - zaczął, nie podnosząc głowy. - Dlaczego stawiacie sprawę przed sądem słuszności?

Adwokat radykał wstał.

- Ponieważ to kwestia słuszności, Wysoki Sądzie - wyjaśnił. - Poza tym słusnie uważamy, że możemy się tutaj spodziewać rzetelnego procesu. - Jeśli miało to być, w założeniu, dowcipne, to nie zadziałało.

Tak naprawdę oddali sprawę do sądu słuszności dlatego, by jak najszybciej ją oddalono. Rozprawa przed sądem okręgowym potrwałaby dłużej. Pozew federalny to niekończące się korowody.

- Do dzieła - powiedział Shingelton.

Adwokat radykał natychmiast zaczął rzucać gromy na hrabstwo, stan i ogólnie, na społeczeństwo. Mówił krótkimi, pełnymi zaciekłości zdaniami, za głośno jak na tak małą salkę i zbyt skrzekliwie, żeby można go było słuchać dłużej niż dziesięć minut. Gadał i gadał. Prawa stanu są zacofane, niesprawiedliwe i dyskryminują jego klientów, bo nie pozwalają im się pobrać. Dlaczego dwóch dorosłych gejów, którzy się kochają i przyjmują na siebie odpowiedzialność i wszelkie obowiązki wynikające z małżeństwa, nie miałyby uzyskać tych samych przywilejów i praw, jakie ma dwoje heteroseksualistów? Udało mu się zadać to pytanie co najmniej na osiem różnych sposobów.

Przyczyna jest taka, wyjaśniała jedna z młodych dam reprezentujących hrabstwo, że nie zezwalają na to prawa stanowe. Proste i oczywiste. Konstytucja stanu deleguje na ciało ustawodawcze uprawnienia do uchwalania przepisów dotyczących małżeństwa, rozwodu i tak dalej i nikt inny nie ma takich kompetencji. Kiedy - o ile to nastąpi - ciało ustawodawcze zaaprobuje małżeństwa ludzi tej samej płci, wtedy panowie Meyerchec i Spano będą mogli zaspokoić swoje pragnienia.

- Czy spodziewa się pani, że ciało ustawodawcze wkrótce to zrobi? - zapytał Shingelton ze śmiertelną powagą.

- Nie - padła szybka odpowiedź, co wywołało lekki śmiech.

Adwokat radykał replikował mozolnie, że ciała ustawodawcze, szczególnie „nasza” legislatura, uchwalają co roku prawa, które obalane są przez sądy. Taka jest rola władzy sądowniczej! Po jasnym wyłożeniu tego argumentu wykoncypował kilka sposobów, żeby naświetlić go pod różnymi kątami.

Po godzinie Shingelton miał dość. Nie zrobił przerwy, spojrzął w notatki i wydał zwięzłe orzeczenie. Jego zadanie polega na przestrzeganiu praw stanu, a skoro prawo zabrania małżeństwa dwóch mężczyzn albo dwóch kobiet, albo dwóch mężczyzn i jednej kobiety albo jakiejś kombinacji innej niż jeden mężczyzna i jedna kobieta, to on, jako sędzia, nie ma wyboru i musi sprawę oddalić.

Adwokat radykał przed drzwiami sali sądowej, z Meyerchekiem i Spanem po bokach, skrzeczał dalej, tym razem przed reporterami. Jego klienci czuli się pokrzywdzeni, ale parę osób zauważyło, że wyglądali raczej na znudzonych tym wszystkim.

Będą natychmiast składać apelację do Sądu Najwyższego Stanu Missisipi. Tam właśnie idą domagać się sprawiedliwości. Poszli jednak do firmy, która po cichu płaciła rachunki pieniędzmi z Boca Raton.

PRZEZ PIERWSZE CZTERY MIESIĄCE Sheila McCarthy i Ron Fisk ścierali się w bardzo cywilizowany sposób. Clete Coley rzucił swoją porcję błota, ale jego ogólne zachowanie i niesforna osobowość sprawiały, że wyborcy z trudem widzieli w nim sędziego Sądu Najwyższego. I chociaż w badaniach zarządzonych przez Rineharta nadal uzyskiwał dziesięć procent poparcia, to coraz rzadziej udzielał się w wyborach. Badania opinii na zlecenie Nata Lestera dawały mu pięć procent, ale nie były tak szczegółowe jak Rineharta.

Po Święcie Pracy, na dwa miesiące przed wyborami, kiedy kandydaci zbliżali się do ostatniej prostej, kampania Fiska zrobiła pierwszy krok w stronę rynsztoka. Kiedy już weszła w te koleiny, nie było odwrotu.

Użyto taktyki, którą Barry Rinehart z powodzeniem wykorzystywał w innych wyborach. Zarejestrowanych wyborców zaczęto zalewać listami od instytucji o nazwie Ofiary Pozwów na rzecz Prawdy. Wykrzykiwano w nich jedno pytanie: „Dlaczego adwokaci finansują Sheilę McCarthy?” Czterostronicowa diatryba, która po nim następowała, nie zawierała odpowiedzi. Nie zostawiała natomiast suchej nitki na adwokatów.

Najpierw lekarz rodzinny twierdził, że adwokaci z ich niepoważnymi pozwami są odpowiedzialni za wiele problemów opieki zdrowotnej. Lekarze harujący pod groźbą nieuzasadnionego pozwu muszą wykonywać kosztowne badania i diagnozy, które windują cenę usług medycznych; płacić szalone składki ubezpieczeniowe od odpowiedzialności cywilnej za błędy w sztuce, żeby chronić się przed fałszywymi pozwami. Z niektórych stanów przepędzono lekarzy, którzy zostawili pacjentów bez opieki. Zacytowano pewnego lekarza, nie podając jego miejsca zamieszkania: „Nie mogłem sobie pozwolić na składki i miałem dosyć marnotrawienia czasu na stawanie przed sądami. Więc po prostu zrezygnowałem. Nadal martwię się o swoich pacjentów”. Szpital w Wirginii Zachodniej został zamknięty po oburzającym werdykcie. Wina leżała po stronie chciwych adwokatów.

Dalej w diatrybie poruszano kwestię finansów. Według pewnego opracowania wybujałe spory sądowe kosztują przeciętną rodzinę tysiąc osiemset dolarów rocznie. Ten wydatek jest bezpośrednim rezultatem wyższych składek ubezpieczeniowych za samochody i domy, wyższych cen za różne towary, których wytwórcy bez przerwy są pozywani. Lekarstwa, zarówno na receptę, jak i bez recepty, to doskonały przykład. Byłyby piętnaście procent tańsze, gdyby adwokaci nie zarzucili firm farmaceutycznych ogromną liczbą powództw zbiorowych.

Potem broszurka szokowała czytelnika zbiorem najbardziej błazeńskich werdyktów w kraju z wielokrotnie używanej listy pewniaków, które zawsze wywoływały oburzenie. Trzy miliony dolarów od sieci fast foodów za to, że rozlana kawa była za gorąca; dziesięć milionów od producenta samochodów za źle polakierowane auto; piętnaście milionów od właściciela basenu, bo otoczył go płotem i zamknął na kłódkę. Rozwścieczających przykładów było więcej. Świat oszalał i wpadł w ręce sprytnych adwokatów.

Trzystronicowa ognista tyrada kończyła się wielkim trach. Przed pięciu laty Missisipi zostało nazwane przez ugrupowanie probiznesowe „piekłem sądowym”. Tylko cztery inne stany uzyskały to samo miano, ale zapomniano by o tym, gdyby nie Rada Handlu. Podchwyciła tę wiadomość i rozpropagowała w gazetach. Teraz znowu opłacało się podnieść tę sprawę. Według Ofiar Pozwów na rzecz Prawdy adwokaci tak nadużyli system sądowy w Missisipi, że stan stał się obecnie zsympem wszelkich wielkich pozwów. Niektórzy z powodów mieszka gdzie indziej. Wielu adwokatów mieszka gdzie indziej. Rozglądają się, aż znajdą przyjazne hrabstwo z przychylnym sędzią i tam składają powództwa. Wynikiem tego są werdykty opiewające na kolosalne sumy. Stan zyskał sobie podejrzaną reputację i dlatego wiele przedsiębiorstw unika Missisipi. Dziesiątki fabryk spakowały manatki i wyniosły się stąd. Zlikwidowano tysiące miejsc pracy.

A wszystko to przez adwokatów, którzy oczywiście uwielbiają Sheilę McCarthy i jej łaskawość dla pozywających. Wydadzą wszystkie pieniądze, żeby tylko zatrzymać ją w sądzie.

Broszurka kończyła się apelem o zdrowy rozsądek. Nawet nie wspominała o Ronie Fisku.

Potem rozesłano e - maile na sześćdziesiąt pięć tysięcy adresów w dystrykcie. Po kilku godzinach znaleźli je adwokaci i puścili do wszystkich ośmiuset członków Stowarzyszenia Adwokatów Stanu Missisipi.

Ogłoszenie wstrząsnęło Natem Lesterem. Jako szef kampanii preferował szerokie poparcie różnych grup, ale w rzeczywistości głównymi darczyńcami byli adwokaci. Chciał, żeby się wściekli, żeby gryźli paznokcie, żeby dostawali piany, żeby stanęli do walki w starym stylu, na gołe pięści. Jak do tej pory dali niecałe sześćset tysięcy. Nat potrzebował dwa razy tyle, a jedynym sposobem, żeby to dostać, było obrzucenie całego towarzystwa granatami.

Do wszystkich adwokatów rozesłał e - mail, w którym wyjaśniał, jak pilnie potrzebna jest natychmiastowa odpowiedź na tę propagandę. Na negatywne wizerunki tworzone zarówno w prasie, jak i w telewizji należy reagować bezzwłocznie. Bezpośrednia poczta do

wyborców jest droga, ale bardzo skuteczna. Mailing Ofiar Pozwów na rzecz Prawdy szacował na trzysta tysięcy. Ponieważ sam chciał skorzystać z tego kanału komunikacji, kilkakrotnie wzywał do natychmiastowego przelania pół miliona dolarów i nalegał, żeby zobowiązania przysyłać zwrotną pocztą elektroniczną. Będzie na bieżąco informował przez Internet o nowych zobowiązaniach ze strony adwokatów. Dopóki nie zbierze się pół miliona, dopóki kampania będzie sparaliżowana. Jego taktyka graniczyła z wymuszeniem, ale przecież w głębi serca nadal był adwokatem i znał swój szczerp. Mailing podniesie im ciśnienie niemal do śmiertelnego poziomu. Ale przecież uwielbiali walkę, więc zobowiązania zaczną napływać.

Manipulował kolegami, a jednocześnie spotykał się z Sheilą i starał się ją uspokoić. Nigdy jeszcze tak jej nie zaatakowano. Była smutna, ale i zła. Zdjęto białe rękawiczki, pan Nathaniel Lester delectował się bojem.

W dwie godziny wysmażył odpowiedź i zamówił w drukarni niezbędną liczbę kopii. W dobę po apelu Ofiar Pozwów na rzecz Prawdy trzystu trzydziestu adwokatów zobowiązało się wpłacić pięćset piętnaście tysięcy.

Nat zaczął także polować na Adwokatów Ameryki, z których kilku zrobiło fortuny w Missisipi. Pocztą elektroniczną rozesłał pomstowania Ofiar Pozwów na rzecz Prawdy do czteremastu tysięcy członków stowarzyszenia.

Trzy dni później Sheila McCarthy oddała cios. Odmówiła ukrywania się za jakimś głupim ugrupowaniem, zorganizowanym tylko po to, żeby rozsyłać materiały propagandowe. Postanowiła - Nat postanowił - rozesłać pisma w ramach własnej kampanii. Przybrały formę listu z jej pochlebną fotografią na samej górze. Podziękowała każdemu z wyborców z osobna za poparcie; szybko przedstawiła swoje doświadczenie i kwalifikacje. Twierdziła, że szanuje konkurentów, ale żaden z nich nigdy nie nosił czarnej togi. Szczerze mówiąc, nawet nie interesował się sądownictwem.

Potem stawiała pytanie: „Dlaczego wielki biznes finansuje Rona Fiska?” Dlatego - wyjaśniała szczegółowo - że jest w trakcie ubijania interesu, kupuje miejsca w Sądach Najwyższych w całym kraju. Bierze na cel sędziów takich jak ona, pełnych współczucia prawników, budujących zgodę, odnoszących się ze zrozumieniem do praw pracowników, konsumentów, ofiar zaniedbań, biednych i oskarżonych. Bogaci zazwyczaj sami potrafią sobie poradzić.

Wielki biznes, za pośrednictwem niezliczonych grup i stowarzyszeń, koordynuje spisek, którego celem jest drastyczna zmiana systemu sądownictwa. Dlaczego? Żeby chronić swoje interesy. Jak? Blokując drzwi do sądów, ograniczając odpowiedzialność spółek wytwarzających wadliwe produkty, niesumiennych lekarzy, domów opieki stosujących

przemoc, aroganckich towarzystw ubezpieczeniowych. Smutna lista była bardzo długa.

List kończył się apelem, żeby wyborcy nie dali się nabrać sprytnemu marketingowi. Typowa kampania prowadzona przez wielki biznes stała się wyjątkowo ohydna. Błoto to ich ulubione narzędzie. Wkrótce zaczną się bezlitosne ataki. Wielki biznes wyda miliony, żeby ją pokonać, ale ona ufa swoim wyborcom.

Odpowiedź zrobiła wrażenie na Barrym Rinehartcie. Był też zachwycony, że adwokaci tak szybko zwarli szeregi i wydali tyle pieniędzy. Chciał, żeby wydawali. Szacował, że obóz McCarthy zbierze maksymalnie dwa miliony, z czego dziewięćdziesiąt procent spłynie od adwokatów.

Jego chłopak, Fisk, z łatwością pozyska dwa razy tyle.

Następne ogłoszenie, znowu wysłane bezpośrednio do wyborców, było ciosem w plecy. Barry odczekał tydzień, aż opadnie kurz po pierwszej ostrej potyczce.

Potem przygotowano list na firmowym papierze Rona i dołączono zdjęcie ładnej rodziny Fisków. Złowieszczy tytuł głosił: Sąd Najwyższy Missisipi rozstrzygnie sprawę gejów.

Po serdecznym powitaniu Ron nie tracił czasu na wdawanie się w szczegóły. Proces Meyercheca i Spana przeciwko hrabstwu Hinds dotyczył dwóch gejów, którzy chcieli się pobrać. Ron Fisk - chrześcijanin, mąż, ojciec, prawnik - był niezłomnym przeciwnikiem małżeństw ludzi tej samej płci, a swoje niezachwiane przekonania zabierze ze sobą do Sądu Najwyższego. Potępiał takie związki jako nienormalne, grzeszne, występujące przeciwko nauce Biblii, ze wszech miar szkodliwe społecznie.

W połowie listu przytaczał wyświechtane słowa czcigodnego Davida Wilfonga, znanego w całym kraju krzykacza, z dużym audytorium radiowym. Wilfong określał takie sprawy jako próby wypaczenia praw i nagięcia ich do pragnień zdemoralizowanej garstki odmieńców. Potępiał liberalnych sędziów, którzy własne przekonania wpychali do orzeczeń. Wzywał przyzwoitych, bogobojnych mieszkańców Missisipi, „serca i duszy Pasa Biblijnego”, żeby wsparli ludzi takich jak Ron Fisk, i czyniąc to, obronili święte prawa ich stanu.

Temat sędziów liberałów ciągnął się do końca listu. Fisk kończył kolejną obietnicą, że będzie pełnił urząd jako konserwatywny, zdroworozsądkowy głos ludu.

Sheila McCarthy przeczytała list wraz z Natem. Oboje nie wiedzieli, co dalej robić. Jej nazwisko nie zostało wymienione, ale co z tego. Fisk z pewnością nie oskarżałby Clete'a Coleya o liberalizm.

- To śmiercionośna zagrywka - stwierdził zrozpaczony Nat. - Żeby dać odpór takiemu stanowisku albo nawet zgodzić się z nim, musiałybyś walić w homoseksualistów mocniej niż

on.

- Nie zrobię tego.

- Wiem.

- Ani sędzia, ani kandydat na to stanowisko nie może mówić, jak będzie rozstrzygał w przyszłych sprawach. To niestosowne. Co za koszmar.

- To dopiero początek, kochana.

Siedzieli w ciasnym magazynku, który Nat nazywał swoim gabinetem. Drzwi były zamknięte, nikt nie słuchał. Kilkunastu wolontariuszy pracowało w przyległym pokoju. Telefony dzwoniły nieustannie.

- Sądzę, że nie powinniśmy na to reagować - stwierdził Nat.

- Dlaczego?

- A co powiesz? „Ron Fisk jest podły”? „Ron Fisk mówi rzeczy, których mówić nie powinien”? Wyjdiesz na złośliwca, co nie przeszkadzałoby kandydatowi mężczyźnie, ale nie może tego zrobić kobieta.

- To nie jest w porządku.

- Jedyłą odpowiedzią może być stwierdzenie, że nie popierasz małżeństw ludzi tej samej płci. Musiałabyś zająć stanowisko, czego...

- Czego nie zrobię. Nie podobają mi się małżeństwa homoseksualistów, ale widzę potrzebę jakiejś legalizacji takich związków. Zresztą, o czym my dyskutujemy? Przecież to władza ustawodawcza uchwała prawa. Nie sąd.

Nat miał czwartą żonę. Sheila szukała męża numer dwa.

- A poza tym - dodała po chwili - czy homoseksualiści mogą bardziej zbrukać świętość związku małżeńskiego niż heteroseksualiści?

- Obiecuję, że nigdy tego nie powiesz publicznie. Proszę.

- Oczywiście, że nie powiem.

Zatarł ręce, przejechał palcami po włosach.

- Musimy podjąć decyzję, tu i teraz - oznajmił jak zwykle konkretnie i stanowczo. - Nie wolno nam marnować czasu. Najmądrzej byłoby odpowiedzieć listami do wyborców.

- Jaki to koszt?

- Na upartego ze dwieście tysięcy.

- Możemy sobie na to pozwolić?

- Na dzisiaj? Nie. Ale przyjrzymy się temu za dziesięć dni.

- Zgoda, ale po co, czy nie moglibyśmy rozesłać maili z odpowiedzią?

- Już napisałem stosowne oświadczenie.

Składało się ono z dwóch akapitów, wysłano je tego samego dnia na czterdzieści osiem tysięcy adresów poczty elektronicznej. Sędzia McCarthy udzieliła ostrej nagany Ronowi Fiskowi za głosowanie w sprawie, z którą jeszcze się nie zapoznał. Gdyby był sędzią, zostałby dyscyplinarnie skarcony. Godność nakazuje, żeby sędziowie zachowywali pewne rzeczy w tajemnicy i powstrzymywali się od komentowania nierozstrzygniętych spraw. Ta, o której wspominał, jeszcze nie podlegała apelacji. Nie wysłuchano argumentów. Żadne dokumenty nie trafiły do sądu. Jak pan Fisk, czy ktokolwiek inny, nie znając faktów, może decydować o wyroku?

Niestety, to kolejny przykład żalostnego braku doświadczenia pana Fiska w kwestiach sądowniczych.

Przegrane Clete'a Coleya w Lucky Jacku były coraz większe. Marlin dowiedział się o tym pewnego wieczoru w barze Pod Wzgórzem. Wpadł tam na chwilę, szukając kandydata, który najwyraźniej zapominał o kampanii.

- Mam świetny pomysł - powiedział Marlin, przechodząc do prawdziwego celu wizyty. - Na wybrzeżu jest czternaście kasyn, wielkich, pięknych, w stylu Vegas...

- Wiem, widziałem.

- Właśnie. Znam właściciela Zatoki Pirata. Będzie cię zapraszał na trzy noce w tygodniu przez następny miesiąc, da ci apartament w penthausie ze wspaniałym widokiem na zatokę. Jedzenie na koszt firmy.

Będziesz mógł grać w karty całą noc, a za dnia poudzielasz się trochę w kampanii. Ludziska muszą posłuchać, co masz im do powiedzenia.

Do diabła, to właśnie tam są wyborcy. Mogę zwołać trochę słuchaczy. Ty będziesz politykował. Dasz wspaniałą mowę, ludzie to uwielbiają.

Clete'owi bardzo się ten pomysł spodobał.

- Trzy dni w tygodniu?

- Więcej, jeśli chcesz. W końcu to miejsce zacznie ci wychodzić uszami.

- O ile będę przegrywał.

- Zrób to, Clete. Słuchaj, sponsorzy chcą widzieć większą aktywność. Wiedzą, że to długa piłka, ale poważnie traktują swoje przesłanie.

Clete zamówił kolejny rum i zaczął pić za te piękne nowe kasyna na wybrzeżu.

MARY GRACE I WES WYSIEDLI Z WINDY na dwudziestym szóstym piętrze najwyższego budynku w Missisipi. Trafili prosto do luksusowej recepcji największej w stanie kancelarii adwokackiej. Mary Grace natychmiast zwróciła uwagę na tapety, meble, kwiaty, rzeczy, które kiedyś miały znaczenie.

Elegancko ubrana kobieta za biurkiem była dość uprzejma. Asystent w standardowym, granatowym garniturze i czarnych butach zaprowadził ich do sali konferencyjnej, gdzie sekretarka zapytała, czy chcieliby się czegoś napić. Nie chcieli. Przez wielkie okna widać było całe Jackson. Krajobraz zdominowała wielka kopuła kapitolu. Po lewej stał gmach Gartina, a tam, na jakimś biurku, leżały akta sprawy Jeannette Baker przeciwko Krane Chemical.

W drzwiach stanął Alan York z uśmiechem od ucha do ucha i wyciągniętą ręką. Dobiegał sześćdziesiątki, był niski, gruby i trochę niechlujny - nie nosił marynarki, koszulę miał wymiętą, buty znoszone - dziwne, jak na partnera w tak konserwatywnej kancelarii. Wrócił asystent; niósł dwie wielkie, podniszczone teczki. Po powitaniach i niezobowiązującej rozmowie zajęli miejsca wokół stołu.

Pozew w sprawie zmarłego robotnika przemysłu drzewnego, który Paytonowie złożyli w kwietniu, czekał na swoją kolej. Procesu można było się spodziewać najwcześniej za rok. Odpowiedzialność za wypadek bez wątpienia ponosił kierowca ciężarówki, który przekroczył dozwoloną prędkość. Dwoje naocznych świadków złożyło szczegółowe, druzgoczące zeznania na temat szybkości jazdy i lekkomyślności kierowcy ciężarówki. Sam sprawca zeznał, że wielokrotnie był karany za wykroczenia drogowe. Zanim usiadł za kółkiem, pracował jako monter przy rurociągach, ale wyrzucono go za palenie trawki. Wes znalazł dwa stare wyroki za prowadzenie pod wpływem alkoholu, a kierowca mówił, że mógł być jeszcze trzeci, ale nie pamiętał.

Generalnie sprawa nie powinna trafić przed ławę przysięgłych. W grę wchodziło zawarcie ugody. Cztery miesiące po rozpoczęciu energicznych czynności prawnych pan Alan York był gotów do negocjacji. Jego klient, Littun Casualty, chciał zamknąć sprawę.

Wes zaczął od przedstawienia trzydziestotrzyletniej wdowy i matki ze średnim wykształceniem, bez kwalifikacji zawodowych, i trojga dzieci, z których najstarsze miało dwanaście lat. Nie trzeba było dodawać, że śmierć męża i ojca zrujnowała życie rodziny pod każdym względem.

Kiedy mówił, York robił notatki i nieustannie zerkał na Mary Grace. Rozmawiali przez telefon, ale dopiero teraz spotkali się osobiście. Sprawą zajmował się Wes, York wiedział jednak, że Mary nie przyszła tutaj po to, żeby robić dobre wrażenie. Jednym z jego bliskich przyjaciół był Frank Sully, prawnik z Hattiesburga, wynajęty przez Krane Chemical, żeby robić tłok za stołem obrony. Jared Kurtin zepchnął Sully'ego w cień, co Sully przeżywał do tej pory. Opowiedział 'Yorkowi wiele historii z procesu Baker, wyraził przy tym zdanie, że zaprzęg Paytonów lepiej ciągnął, kiedy to Mary Grace przemawiała do przysięgłych. Podczas przesłuchań była twarda, bardzo bystra, a jej siła zjednywała ludzi, „wyciągała błyskotliwe, mocne i najwyraźniej bardzo przekonujące wnioski.

York bronił towarzystw ubezpieczeniowych od trzydziestu jeden lat. Większość spraw wygrywał, ale czasem zdarzały mu się te straszne chwile, kiedy przysięgli nie rozumieli sprawy tak jak on i dobijali go werdyktami, którymi przegrywał duże sumy. To było nieuniknione w tym interesie. Nigdy jednak nie zdarzyło mu się nawet otrzeć o zwycięstwo warte czterdzieści jeden milionów dolarów. Stało się ono legendą w prawniczych kręgach miasta. Do tego dochodził dramat Paytonów, którzy postawili na szalę wszystko, stracili dom, biuro, samochody i potężnie się zadłużyli, żeby przetrwać czteromiesięczny proces. Legenda jeszcze bardziej się rozrosła. Ich historia była dobrze znana i omawiana na spotkaniach w barach, na turniejach golfa, na koktajlach. Jeśli werdykt się utrzyma, będą wybierali spośród największych klientów. W przeciwnym razie pójdą na dno.

Wes mówił dalej, a York nie mógł powstrzymać uczucia podziwu dla nich obojga.

Po krótkim opisie kwestii odpowiedzialności Wes przeszedł do wyliczania strat, po czym dodał sporo na temat niedbalstwa spółki przewozowej.

- Uważamy, że dwa miliony wystarczą do ugody - zakończył.

- Ha, pewnie! - York zareagował jak typowy adwokat obrony, szokiem i przerażeniem. Z niedowierzania uniósł brwi. Oszołomiony, powoli kręcił głową. Podniósł dłoń do twarzy i ścisnął palcami policzki.

Nachmurzył się.

Wes i Mary Grace zareagowali apatią, chociaż serca im waliły.

- Żeby uzyskać dwa miliony... - York zajrzał w notatki - musicie uwzględnić element odszkodowania retorsyjnego. A szczerze mówiąc, mój klient nie jest skłonny, żeby je zapłacić.

- Och, przeciwnie - powiedziała chłodno Mary Grace. - Twój klient zapłaci tyle, ile zasądzą przysięgli. - Taki tekst też był typowy. York słyszał go już tysiąc razy, ale kiedy tak mówiła kobieta, która w ostatniej sprawie wyrwała ogromne odszkodowanie retorsyjne,

brzmiało to złowrogo.

- Rozprawa rozpocznie się nie wcześniej niż za rok. - York popatrzył na asystenta, szukając potwierdzenia, jakby ktokolwiek potrafił przewidzieć, co stanie się ze sprawą w tak odległej przyszłości. Mimo to asystent skwapliwie pokiwał głową. - Innymi słowy, jeśli ma dojść do procesu, miną miesiące, zanim dostaniecie chociaż centa honorarium. Nie jest tajemnicą, że wasza mała kancelaria tonie w długach i walczy o przetrwanie. Wszyscy wiedzą, że potrzebujecie dużej ugody i to szybko.

- Alan, podaliśmy ci sumę - odparł Wes. - Masz kontrofertę?

York nagle zamknął z trzaskiem swoje akta i przywołał na twarz wymuszony uśmiech.

- Słuchaj, to jest naprawdę proste. Littun Casualty jest bardzo dobre w redukowaniu swoich strat, a ta sprawa to strata. Mam upoważnienie, żeby ugodzić się na milion. Ani centa więcej. Bierzesz albo nie.

Prawnik, który do nich przyszedł, dostanie połowę z trzydziestu procent honorarium płatnego w przypadku wygranej. Paytonowie zgarną drugą połowę. Piętnaście procent to było sto pięćdziesiąt tysięcy, marzenie.

Spojrzeni po sobie, nachmurzeni. Oboje chcieli skoczyć przez stół i ucałować Yorka. Wes jednak pokręcił głową, a Mary Grace napisała coś w notatniku.

- Musimy zadzwonić do naszego klienta - sapnął Wes.

- Oczywiście. - York wypadł z pokoju, a jego asystent popędził za nim.

- Hm - szepnął Wes, jakby obawiał się podsłuchu.

- Próbuję nie płakać - odparła.

- Nie płacz. Nie śmiej się. Może zdołamy z niego trochę wycisnąć.

Kiedy York wrócił, Wes powiedział poważnym tonem:

- Rozmawialiśmy z panią Nolan. Jako dolną granicę wyznaczyła dwieście tysięcy.

York zrobił wydech, ramiona mu opadły, twarz posmutniała.

- Nie mam tyle, Wes - odparł. - Jestem z tobą całkowicie szczerzy.

- Zawsze możesz poprosić o więcej. Jeżeli twój klient płaci milion, to może dorzucić jeszcze dwieście tysięcy. Na procesie za tę sprawę zapłaci dwa razy tyle.

- Wes, Littun to twardziele.

- Jeden telefon. Spróbuj. Co masz do stracenia?

„York znowu wyszedł, dziesięć minut później wpadł do pokoju ze szczęśliwą miną.

- Dostałeś! Moje gratulacje!

Szok wywołany ugodą sprawił, że odrętwieli. Negocjacje zwykle ciągnęły się tygodniami, miesiącami strony kłóciły się, przybierały pozy, udawały. Mieli nadzieję, że

opuszczą biuro „Yorka z ogólnym pojęciem, w którą stronę będzie zmierzać ugoda. Tymczasem wyszli jak zaczadzeni i przez kwadrans krążyli po ulicach śródmieścia Jackson, niewiele mówiąc. Na chwilę zatrzymali się przed Capitol Grill, restauracją słynącą bardziej z klienteli niż z dań. Lobbyści chcieli, żeby ich tutaj widywano, pokrywali koszty wykwintnych posiłków z politykami wagi ciężkiej. Gubernatorzy zawsze lubili to miejsce.

A czemu nie zaszaleć i nie podjeść sobie z grubymi rybami?

Skręcili jednak do małej kafejki dwa budynki dalej i zamówili mrożoną herbatę. Nie mieli w tej chwili apetytu.

- Czy właśnie zarobiliśmy sto osiemdziesiąt tysięcy? - spytał Wes wciąż niedowierzając.

- Mhm - mruknęła, popijając herbatę przez słomkę.

- Tak mi się wydawało.

- Jedna trzecia pójdzie na podatki - zaczęła wyliczać Mary Grace.

- Chcesz zepsuć zabawę?

- Nie, po prostu jestem realistką.

Na białej serwetce napisała sumę stu osiemdziesięciu tysięcy.

- Już ją wydajemy? - stęknął Wes.

- Nie, dzielimy. Sześćdziesiąt tysięcy na podatki?

- Pięćdziesiąt.

- Dochodowy, stanowy, federalny. Podatki potrącane z pensji pracowników, socjalny, od bezrobocia.

- Pięćdziesiąt pięć - powiedział, ale zapisał sześćdziesiąt tysięcy.

- Premie?

- A może nowy samochód? - zasugerował.

- Nie. Premie dla pięciorga pracowników. Od trzech lat nie mieli podwyżki.

- Pięć tysięcy na głowę.

Zapisała dwadzieścia pięć tysięcy.

- Bank - rzucił Wes.

- Nowy samochód.

- Bank? Połowa honorarium już poszła.

- Dwieście dolarów.

- Daj spokój, Wes. Nie będziemy mieli życia, dopóki bank nie zejdzie nam z karku.

- Próbowałem zapomnieć o długu.

- Ile?

- Nie wiem. Jestem pewien, że już pomyślałaś.

- Pięćdziesiąt tysięcy dla Huffy'ego i dziesięć tysięcy dla Sheili McCarthy. Zostanie nam trzydzieści pięć tysięcy.

W tej chwili wyglądało to jak fortuna. Gapili się na serwetkę, zmieniali sumy, przesuwali priorytety. W końcu Mary Grace złożyła pod spodem podpis, potem Wes zrobił to samo. Włożyła serwetkę do torebki.

- Mógłbym chociaż nadprogramowo kupić sobie nowy garnitur?

- zapytał.

- Zależy, co będzie na wyprzedaży.

Trzy godziny później Paytonowie wkroczyli do biura i zaczęło się przyjęcie. Drzwi zamknięto, telefony wyłączono, polał się szampan. Sherman i Rusty wznosili długie toasty, które obmyślali naprędce. Tabby i Vicky, recepcjonistki, uluwały się po dwóch kieliszkach. Nawet Olivia, stara księgowa, dobrze się bawiła.

Pieniądze wydawano, dodawano, mnożono, aż wszyscy byli bogaci.

Kiedy szampan się skończył, wszyscy wyszli z biura. Paytonowie, z policzkami rozgrzаныmi alkoholem poszli do mieszkania, przebrali się i pojechali do szkoły po Macka i Lizę. Dzieci zasłużyły sobie na trochę rozrywki, choć jeszcze nie rozumiały, co to jest ugoda. W ogóle o niej nie mówiono.

Mack i Liza czekali na Ramonę i kiedy zobaczyli, że przed szatnią stoją ich rodzice, ciężki dzień natychmiast zrobił się lżejszy. Wes powiedział, że po prostu są zmęczeni i postanowili trochę się rozerwać. Najpierw mieli wpaść do Baskin - Robbins na lody. Potem poszli do galerii handlowej, gdzie ich uwagę przyciągnął sklep z butami. Paytonowie wybrali dla siebie po parze z pięćdziesięcioprocentową zniżką, a Maćkowi bezczelnie zachciało się butów bojowych marines. Pośrodku galerii znajdowało się kino z czterema ekranami. Załapali się na najnowsze Harry'ego Pottera o szóstej.

Kolację zjedli w rodzinnej pizzerii, w której był plac zabaw pod dachem i panował rozgardiasz. Wreszcie, około dziesiątej, dotarli do domu. Ramona oglądała telewizję i rozkoszowała się spokojem. Dzieci dały jej pozostałe kawałki pizzy i zaczęły, oboje naraz, opowiadać film. Obiecały dokończyć pracę domową rano. Mary Grace pozwoliła i cała rodzina usadowiła się na kanapie, żeby obejrzeć reality show o ratowaniu ludzi. Czas pójścia do łóżka został przesunięty na jedenastą.

Kiedy w mieszkaniu zaległa cisza, Wes i Mary Grace zrelaksowani rozłożyli się na kanapie z głowami po przeciwnych stronach. Przez ostatnie cztery lata ich finanse pikowały, jedna strata po drugiej, upokorzenie za upokorzeniem, strach stał się ich codziennym

towarzyszem. Strach przed utratą domu, potem biura, samochodów. Strach, że nie zdołają utrzymać dzieci. Strach przed jakąś poważną operacją medyczną, której cena przekroczy kwotę z ubezpieczenia. Przed przegraniem w sprawie Baker. Przed bankructwem, jeśli bank przycisnie za mocno.

Od momentu werdyktu strach stał się raczej natręctwem niż ustawiczną groźbą. Zawsze był obecny, ale powoli uzyskali nad nimi kontrolę. Przez ostatnie pół roku płacili bankowi dwa tysiące miesięcznie z ciężko zarobionych pieniędzy, które pozostały po uregulowaniu rachunków i wydatków. Spłaty ledwie pokrywały odsetki, co ciągle przypominało, jak potężny dług na nich ciąży. Ale wydobywali się z dołka, już widzieli światło.

Teraz, po raz pierwszy od wielu lat, mieli miękkie lądowanie, siatkę bezpieczeństwa, coś, czego można się chwycić w razie upadku. Wezmą swój udział z dzisiejszej ugody i głęboko go zakopią, a gdyby znów mieli się bać, będzie ich pocieszać myśl o ukrytym skarbie.

Następnego dnia o dziesiątej Wes wpadł do banku i zastał Huffy'ego za biurkiem. Kazał mu przysiąc, że zachowa milczenie, i wyszeptał do ucha dobrą wiadomość. Huffy prawie go uściskał. Pan Kutas od dziewiątej do piątej siedział mu na karku i domagał się działania.

- Pieniądze powinny spłynąć za kilka tygodni - oświadczył Wes z dumą. - Zadzwoń, jak tylko dotrą.

- Pięćdziesiąt kół, Wes? - powtórzył Huffy, jakby właśnie zrozumiał, że jego posada jest uratowana.

- Dobrze myślisz.

Stamtąd Wes pojechał do biura. Tabby przekazała mu telefoniczną informację od Alana Yorka. Prawdopodobnie trzeba uzgodnić jakieś szczegóły.

Ale w głosie Yorka brakowało zwyczajnego dla niego ciepła.

- Wes, pojawił się haczyk - powiedział powoli, jakby szukał słów.

- O co chodzi? - Wes poczuł skurcze żołądka.

- Nie wiem. Naprawdę mam mętlik w głowie. Nigdy coś podobnego mi się nie zdarzało, ale cóż, tak czy inaczej, Littun Casualty odrzuciło ugodę. W całości. Cholerne dupki. Całe rano na nich wrzeszczałem. No to mi odwrzaskiwali. Moja kancelaria reprezentowała ich firmę od osiemnastu lat i nigdy nie mieliśmy takich problemów. Ale od godziny szukają już innej kancelarii. Załatwili mnie na amen. Przykro mi, Wes. Brak mi słów.

Wes masował sobie nasadę nosa i starał się nie jęczeć. Najpierw był falstart, ale potem

udało mu się sformułować odpowiedź.

- Hm, Alan, jestem w szoku.

- A ja nie? Dobrze tylko, że nie wywinęli numeru na dzień przed rozprawą. Tam działają jakieś naprawdę czarne charaktery.

- Nie będą tacy mocni w sądzie.

- Jasne, Wes, psia krewa. Mam nadzieję, że wydobędziecie kolejne wysokie odszkodowanie, żeby ich przyszpilić.

- Wydobędziemy.

- Przykro mi, Wes.

- To nie twoja wina, Alan. Przeżyjemy i dopchniemy to do rozprawy.

- Uda wam się.

- Porozmawiamy później.

- Oczywiście, Wes. Masz przy sobie komórkę?

- Tak.

- Zapisz mój numer, odłóż słuchawkę i oddzwoń na telefon komórkowy.

Kiedy obaj nie korzystali już z linii stacjonarnych, York powiedział:

- Nie słyszałeś tego ode mnie, okay?

- Okay.

- Szefem prawników Littun Casualty jest Ed Larrimore. Przez dwadzieścia lat był partnerem nowojorskiej kancelarii Bradley & Backstrom. Jego brat też tam pracuje. Bradley & Backstrom zajmują się wielkim biznesem, a jednym z ich klientów jest KDN, firma wydobywająca ropę naftową, w której najwięcej udziałów ma Carl Trudeau.

Nigdy nie rozmawiałem z Edem Larrimore'em, ale ich prawnik, którego znam, szepnął mi na ucho, że decyzja o odrzuceniu ugody zapadła na najwyższym szczeblu.

- Mała zemsta, co?

- Tym to śmierdzi. Nie ma tu nic nielegalnego albo nieetycznego.

Towarzystwo ubezpieczeniowe postanawia nie zawierać ugody i iść do sądu. To się zdarza. Nic nie poradzisz, możesz ich tylko przysmażyć podczas rozprawy. Littun Casualty posiada aktywa warte dwadzieścia miliardów, więc nie przejmuje się przysięgłymi z hrabstwa Pike w Missisipi. Domyślam się, że będą przeciągali rzecz aż do rozprawy i wtedy spróbują się ugodzić.

- Nie wiem, co powiedzieć, Alan.

- Przykro mi, że tak wyszło, Wes. Ale pamiętaj, ode mnie niczego nie wiesz.

- Jasne.

Wes przez dłuższy czas patrzył na ścianę, potem zmobilizował się, żeby wstać, wyjść z biura i poszukać żony.

O SZÓSTEJ RANO w ŚRODĘ RON FISK, jak zaprogramowany, ucałował Doreen przed drzwiami, potem podał bagaż i teczkę Monty'emu. Guy czekał w terenówce. Obaj asystenci pomachali Doreen i wszyscy trzej odjechali. Była ostatnia środa września, dwudziesty pierwszy tydzień kampanii i kolejna, dwudziesta pierwsza środa, kiedy o szóstej rano Ron całował żonę na do widzenia. Tony Zachary nie mógłby znaleźć bardziej zdyscyplinowanego kandydata.

Na tylnej kanapie Monty wręczył Ronowi plan dnia. Jeden z ludzi Tony'ego w Jackson przygotowywał go przez noc i wysyłał e - mailem Monty'emu dokładnie o piątej rano. Na pierwszej stronie znajdował się rozkład spotkań. Na drugiej opis trzech ugrupowań, do których Fisk będzie przemawiał, razem z nazwiskami ważnych gości.

Trzecia strona przedstawiała najnowsze informacje z kampanii konkurentów. Były to głównie plotki, ale i tak stanowiły najciekawszą część planu. Clete'a Coleya widziano ostatnio jak przemawiał do grupki zastępców szeryfa w hrabstwie Hancock, potem wypoczywał przy stołach do black jacka w Zatoce Pirata. Dzisiaj McCarthy ma być w pracy i nie weźmie udziału w kampanii.

Na czwartej stronie był raport finansowy. Datki, jak do tej pory, opiewały na sumę miliona siedmiuset tysięcy, a siedemdziesiąt pięć procent pochodziło ze stanu. Wydatki to milion osiemset tysięcy. Tony nie martwił się deficytem. Wiedział, że wielkie pieniądze napłyną w październiku. McCarthy dostała milion czterysta tysięcy, praktycznie wszystko od adwokatów. Wydała połowę. W obozie Fiska panowało przekonanie, że adwokaci są splukani.

Przybyli na lotnisko. King air wystartował o wpół do siódmej, Fisk właśnie rozmawiał przez telefon z Tonym, który był w Jackson. Wszystko szło gładko. Fisk doszedł do wniosku, że kampanie wyborcze są prostą sprawą. Zawsze stawiał się na czas, świeży, wypoczęty, zasobny w finanse i gotów do kolejnego wystąpienia. Nie miał kontaktów z kilkunastoma ludźmi, którzy harowali pod wodzą Tony'ego.

Pomysł sędzi McCarthy na plan dnia polegał na wypiciu szklanki soku owocowego z Natem Lesterem w kwaterze w Jackson. Pojawiała się o ósmej trzydzieści każdego dnia. Do tego czasu Nat miał za sobą dwie godziny pracy i już ryczał na ludzi.

Nie interesowały ich sprawy konkurentów. Niewiele czasu spędzali nad danymi z badań opinii. Wskazywały one, że idzie łeb w łeb z Fiskiem, i to było niepokojące. Szybko

omówili najnowszą strategię zbierania funduszy i zaczęli rozmawiać o potencjalnych darczyńcach.

- Może być pewien problem - powiedziała tego ranka.

- Tylko jeden?

- Pamiętasz sprawę Frankiego Hightowera?

- Nie przypominam sobie.

- Pięć lat temu pewien policjant został zastrzelony w hrabstwie Grenada. Zatrzymał samochód za nadmierną prędkość. W środku siedziało trzech czarnych mężczyzn i jeden czarny nastolatek, Frankie Hightower. Ktoś otworzył ogień z karabinka szturmowego i policjant dostał osiem razy. Zostawili go na środku autostrady 51.

- Niech zgadnę. Sąd wydał jednomyślny wyrok.

- Owszem. A sześciu moich kolegów jest gotowych poprzeć werdykt.

- Ale ty zamierzasz zgłosić zdanie odrębne.

- Tak. Dzieciaka bronił jakiś dupek bez doświadczenia. Rozprawa to były kpiny. Trzech pozostałych obwiesiów walczyło o życie i pokazywało palcem na Hightowera, który wtedy miał szesnaście lat i siedział z tyłu, bez broni. Tak, chcę zgłosić zdanie odrębne.

Sandały Nata stuknęły o podłogę. Zaczął się przechadzać. Rozmowa o istocie sprawy byłaby stratą czasu. Dyskusja o polityce wymagała biegłości.

- Coley zwariuje ze szczęścia.

- Nie interesuje mnie Coley. To błazen.

- Błazny zbierają głosy.

- On się nie liczy.

- Fisk przyjmie to jak dar boży. Kolejny dowód, że jego kampania ma błogosławieństwo niebios. Manna z nieba. Już widzę jego enuncjacje.

- Zgłaszam zdanie odrębne. To proste.

- To nigdy nie jest takie proste. Niektórzy wyborcy może zrozumieją, co robisz, i będą podziwiać twoją odwagę. Ale pozostali zobaczą ogłoszenie Fiska z uśmiechniętą twarzą przystojnego policjanta zaraz obok zdjęcia Franka... jak mu tam?

- Hightower.

- Dziękuję. W tym ogłoszeniu będzie co najmniej dziesięć odniesień do liberalnych sędziów i prawdopodobnie ukaże się twoja podobizna. Mocna sprawa. Równie dobrze mogłabyś zrezygnować już teraz.

Mówił jakby od niechcienia, ale i tak brzmiała w tym gorycz. Przez dłuższy czas milczeli.

- To niezły pomysł. Zrezygnować - odezwała się w końcu Sheila.

- Złapałam się na tym, że czytam sprawozdania i pytam siebie: „Co pomyśleliby wyborcy, gdybym zasądziła tak albo inaczej?” Już nie jestem sędzią, Nat, tylko politykiem.

- Jesteś wielkim sędzią, Sheilo. Jednym z trzech, którzy nam zostali.

- Teraz liczy się polityka.

- Nie zrezygnujesz. Już napisałaś zdanie odrębne?

- Pracuję nad tym.

- Słuchaj, wybory są za pięć tygodni. Możesz trochę wolniej pisać?

Do diabła, ten sąd słynie z tego, że się nie spieszy. Na Boga, rozważaj sprawę, aż skończą się wybory. Co to jest pięć tygodni? Nic. Morderstwo zostało popełnione pięć lat temu. - Chodził w kółko, wymachiwał rękami.

- Mamy terminarz.

- Bzdura. Możesz przesunąć wyznaczoną datę.

- Dla polityki.

- Cholera, daj żyć. Narazamy dla ciebie tyłki, a ty postępujesz, jakbyś była za dobra na tę brudną robotę. To śmierdzący biznes, rozumiesz?

- Mów ciszej.

Zniżył głos o kilka tonów, ale nadal chodził. Trzy kroki w jedną stronę, trzy kroki z powrotem.

- Twoje zdanie odrębne niczego nie zmieni. Sąd cię przegłosuje w stosunku sześć do trzech, może nawet siedem do dwóch albo osiem do jednego. Nieważne. Skazanie jest pewne, nie uratujesz Frankiego.

Nie bądź głupia, Sheilo.

Bez słowa skończyła pić sok owocowy.

- Nie podoba mi się ten uśmieszek - powiedział Nat. Wysunął w jej stronę długi, kościsty palec. - Posłuchaj, jeżeli zgłosisz zdanie odrębne przed wyborami, wychodzę.

- Nie groź mi, Nat.

- Ja nie grożę. Ja obiecuję. Znajdziesz sposób, żeby posiedzieć nad sprawą jeszcze pięć tygodni. Do diabła, możesz ją schować na pół roku.

Wstała.

- Wracam do pracy - oznajmiła.

- Nie żartuj! - ryknął. - Rezygnuję!

Szarpnięciem otworzyła drzwi.

- Idź znaleźć dla nas trochę pieniędzy.

Trzy dni później zeszła umiejętnie zaaranżowana lawina. Tylko garstka ludzi wiedziała, co nadchodzi.

Ron Fisk nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo wsiąknął w całe przedsięwzięcie. Występował przed kamerami, zmieniał stroje, przedzierał się przez scenariusze, wciągał w to rodzinę i niektórych przyjaciół, martwił się o budżet, o udział mediów i rozmaitych stacji telewizyjnych w południowym Missisipi. W normalnej kampanii martwiłby się raczej się o finansowanie tak szeroko zakrojonego marketingu.

Ale machina, która nosiła jego nazwisko, składała się z wielu części, o których nic nie wiedział.

Na początek poszły łagodne spory wyborcze - ciepłe obrazki, które miały otworzyć drzwi i wpuścić jego eleganckich młodych ludzi do domów. Ron jako harcerzyk. Spoza planu głos starszego mężczyzny z mocnym akcentem, aktora grającego harcmistrza. „Jeden z najlepszych harcerzy, jakich mieliśmy. Zdobył wszystkie sprawności w niecałe trzy lata”. Ron w todze na zakończenie szkoły średniej, wzorowy uczeń. Ron z Doreen i dziećmi. Jego własny głos: „Rodzina to największe dobro”. Po trzydziestu sekundach spot kończy się hasłem wygłoszonym głębokim, natchnionym głosem: „Ron Fisk, sędzia, który podziela nasze wartości”.

Drugi spot, seria czarno - białych zdjęć, zaczynał się od Rona na stopniach kościoła, w pięknym czarnym garniturze, w trakcie rozmowy z pastorem, który mówi spoza kadru: „Ron Fisk został wyświęcony na diakona w tym kościele dwanaście lat temu”. Ron bez marynarki, nauczający w szkółce niedzielnej. Ron z Biblią wykładający przed grupą nastolatków pod drzewem. „Dziękujemy Bogu za takich ludzi, jak Ron Fisk”. Ron i Doreen witający ludzi na stopniach kościoła. I pożegnanie, z tymi samymi słowami: „Ron Fisk, sędzia, który podziela nasze wartości”.

Nie wspomniano o konflikcie, ani słowem nie napomknięto o kampanii, ani śladu błota, żadnego objawu masakry, która miała nastąpić. Po prostu pełne uroku pozdrowienia od niewiarygodnie przyzwoitego młodego diakona.

Spoty nadawano w południowej oraz środkowej części Missisipi, bo Tony Zachary płacił fenomenalne stawki, finansowane przez placówki w Jackson.

Trzydziesty września był istotną datą w kalendarzu Barry'ego Rineharta. Donacje zgłoszone w tym miesiącu zostaną zaksięgowane dopiero dziesiątego, sześć dni po wyborach. Do tego czasu nikt nie wykryje, że pieniądze są spoza stanu, a potem będzie już za późno. Przegrani wrzeszczeliby, ale tylko tyle mogliby zrobić.

Trzydziestego września Rinehart i spółka weszli na wysokie obroty. Zaczęli od listy

organizacji priorytetowych: grupy dążące do reformy odszkodowań, prawicowe organizacje religijne, lobbyści na rzecz biznesu, komitety akcji politycznej wspierane przez przedsiębiorców i setki konserwatywnych organizacji, począwszy od doskonale znanej American Rifle Association po małą grupę Zero Podatków, której celem było zniesienie krajowej służby podatkowej. Tysiąc sto czterdzieści ugrupowań we wszystkich pięćdziesięciu stanach. Rinehart przesłał każdemu szczegółowe memorandum i zażądał, żeby natychmiast złożyły datek na kampanię Fiska w wysokości dwóch tysięcy pięciuset dolarów, co stanowiło maksymalną stawkę dla osoby prawnej. Celem tej kwesty było zebranie pół miliona dolarów.

Jeśli chodzi o osoby fizyczne - maksymalny datek wynosił pięć tysięcy - Rinehart dysponował listą wysoko postawionych menedżerów i dyrektorów spółek wielkiego biznesu, które miały na pieńku z pozywającymi ich adwokatami. Dominowały towarzystwa ubezpieczeniowe. Z tych źródeł zamierzał uzyskać milion dolarów. Carl Trudeau dał mu nazwiska dwustu dyrektorów spółek kontrolowanych przez Trudeau Group, ale z Krane Chemical nie należało się spodziewać żadnego czeku. Gdyby pieniądze na kampanię Fiska przyszły z Krane, natychmiast pojawiłyby się artykuły na pierwszych stronach gazet. Fisk mógłby poczuć się zagrożony i uznać, że musi się ratować, a o takiej katastrofie Rinehart nie chciał nawet myśleć.

Spodziewał się miliona od chłopaków Carla, chociaż pieniądze nie trafiłyby bezpośrednio na konto kampanii Fiska. Żeby uchronić nazwiska przed wścibskimi reporterami i zamaskować zaangażowanie pana Trudeau, Rinehart kierował wpływy na rachunki bankowe Ofiar Pozwów na rzecz Prawdy. I Właścicieli Broni Palnej.

Na liście zapasowej znajdowały się nazwiska tysiąca darczyńców, którzy już od dawna wspierali kandydatów sprzyjających biznesowi. Stąd spodziewał się pół miliona.

Zamierzał zdobyć trzy miliony i wcale się nie przejmował, jak dotrze do tej granicy.

POD WPLYWEM CHWILI HUFFY POPEŁNIŁ KOSZMARNY BŁĄD. Nadzieja na pokaźną wpłatę w połączeniu ze stałym naciskiem ze strony pana Kutasa sprawiły, że mylnie ocenił sytuację.

Niedługo po tym, jak Wes obiecał pięćdziesiąt tysięcy, Huffy wmaszerował do wielkiego gabinetu i z dumą poinformował szefa, że dług Paytonów wkrótce się zmniejszy. Kiedy dwa dni później otrzymał złą wiadomość, był zbyt przerażony, żeby komukolwiek o tym powiedzieć.

Przez tydzień nie mógł zasnąć, wreszcie zmusił się, żeby znowu zmierzyć się z demonem. Stał przed wielkim biurkiem, przełknął z trudem i powiedział:

- Nie jest dobrze, sir.

- Gdzie pieniądze? - zapytał pan Kirkhead.

- Nie ma, sir. Ich ugoda upadła.

Pan Kutas pominął przekleństwa.

- Zażądaj zwrotu długu - wrzasnął. - Teraz.

- Co?

- Słyszałeś.

- Nie możemy tego zrobić. Płacili dwa tysiące miesięcznie.

- Świetnie. To nie pokrywa nawet odsetek. Mają oddać wszystko.

Natychmiast.

- Ale dlaczego?

- Znajdzie się parę drobnych powodów, Huffy. Po pierwsze, nie uiszczają należności co najmniej od roku. Po drugie, dług jest fatalnie zabezpieczony. Jako bankowiec z pewnością zrozumiesz te drobne powody.

- Ale się starają.

- Zażądaj zwrotu. I to już! A jeśli tego nie zrobisz, zostaniesz przeniesiony albo zdymisjonowany.

- To nie w porządku.

- Nie obchodzi mnie, co o tym myślisz. - Trochę złagodniał i dodał: - To nie jest moja decyzja, Huffy. Mamy nowego właściciela i kazano mi szybko odzyskać pieniądze.

- Ale dlaczego?

Kirkhead podniósł słuchawkę.

- Chcesz porozmawiać z człowiekiem z Dallas? - zapytał.

- To doprowadzi ich do bankructwa.

- Zbankrutowali już dawno temu. Teraz tylko to przypieczętują.

- Sukinsyn.

- Do mnie mówisz, chłopcze?

Huffy poparzył z wściekłością na łysą głowę.

- Ależ nie. Chodzi mi o tego faceta z Dallas.

- Na tym poprzestańmy, dobrze?

Huffy wrócił do swojego gabinetu, zatrzasnął drzwi i przez godzinę patrzył na ściany.

Kutas wkrótce przyjdzie, żeby się dowiedzieć, jak sprawy.

Wes był w śródmieściu. Mary Grace siedziała za biurkiem i to ona odebrała telefon.

Podziwiała Huffy'ego za odwagę. Dał znacznie większy kredyt, niż można by przypuszczać, ale jego głos nieodmiennie ją drażnił.

- Dzień dobry, Tom - powiedziała uprzejmie.

- To nie jest dobry dzień, Mary Grace - zaczął. - To zły dzień, okropny, jeden z najgorszych.

Przygniatająca cisza.

- Słucham.

- Bank, nie ten, z którym mieliście do czynienia, ale teraz już inny którego właścicielami są ludzie znani mi tylko z jednego spotkania, postanowił, że nie może dłużej czekać na spłatę. Bank, nie ja, żąda zwrotu pożyczki.

Mary Grace wydała dziwny, gardłowy dźwięk, jakby niewyartykułowane przekleństwo. Natychmiast pomyślała o swoim ojcu. Poza podpisami Paytonów jedynym zabezpieczeniem długu był jego dwustuakrowy pas ziemi rolnej. Leżał niedaleko Bowmore i nie obejmował czterdziestu akrów z domem rodzinnym. Bank zajmie ziemię.

- Jakież konkretne powody, Huffy? - zapytała chłodno.

- Żadnych. Decyzja nie zapadła w Hattiesburgu. Drugi Stanowy sprzedał się diabłu, jak pewnie wiesz.

- To nie ma sensu.

- Zgadzam się.

- Zmusicie nas do ogłoszenia bankructwa i bank nic nie dostanie.

- Nie licząc fermy.

- Więc zajmiecie fermę?

- Ktoś to zrobi. Mam nadzieję, że nie ja.

- Sprytne posunięcie, Huffy, bo jak ją zajmą, na schodach gmachu sądu w Bowmore może polać się krew.

- Oby dopadli starego Kutasa.

- Jesteś u siebie w biurze?

- Tak, a drzwi są zamknięte.

- Wes będzie u ciebie za kwadrans. Otwórz drzwi.

- Nie.

Kwadrans później Wes wpadł do gabinetu Huffy'ego, policzki płonęły mu z gniewu. Gotów był kogoś udusić.

- Gdzie Kutas? - zapytał.

Huffy natychmiast wstał i uniół ręce.

- Uspokój się, Wes.

- Gdzie jest Kutas?

- W tej chwili w swoim samochodzie, jedzie na pilne spotkanie, o którym dowiedział się dziesięć minut temu. Usiądź.

Wes głęboko odetchnął i powoli usiadł na krześle. Huffy popatrzył na niego i wrócił na swój fotel.

- To nie jego wina, Wes. Zalegacie ze spłatą długu prawie od dwóch lat. Mógł to zrobić wiele miesięcy temu, ale nie zrobił. Wiem, że go nie lubisz. Ja go nie lubię. Jego żona go nie lubi. Ale on był bardzo cierpliwy. Tę decyzję podjęto w centrali.

- Podaj mi nazwę.

Huffy popchnął do niego list, który otrzymał faksem. Był zaadresowany do Paytonów. Na górze widniał nagłówek New Vista Bank, na dole podpis pana F. Pattersona Duvalla, wiceprezesa.

- To przyszło pół godziny temu - powiedział Huffy. - Nie znam pana Duvalla. Dwa razy dzwoniłem do jego biura, ale był na bardzo ważnym zebraniu, które, jestem pewien, potrwa, dopóki nie przestaniemy dzwonić. To strata czasu, Wes.

W liście domagano się spłaty 414 656,22 dolarów z dziennym oprocentowaniem w wysokości 83,50. Stosownie do terminów umowy kredytowej, Paytonowie mają czterdzieści osiem godzin, żeby zapłacić, albo rozpoczną się procedury komornicze. Oczywiście, wynikające z tego honoraria adwokatów i koszty sądowe zostaną dodane do ogólnej sumy.

Wes powoli czytał i uspokajał się. Oparł się o biurko.

- Huffy, ten dług jest częścią naszego codziennego życia. Każdego dnia rozmawiamy z Mary Grace o dzieciach, o biurze, o tym, co będzie na kolację, i o długu. Zawsze z nami jest,

a my zaharowujemy się po łokcie, żeby go spłacić. W ubiegłym tygodniu planowaliśmy ci dać pięćdziesiąt tysięcy. Przysięgliśmy sobie, że będziemy orać w pocie czoła, dopóki nie uwolnimy się od zobowiązań wobec banku. A teraz jakiś bałwan z Dallas stwierdził, że nie chce już oglądać tego przeterminowanego długu w raportach dziennych. Wiesz co, Huffy...

- Co?

- Bank sam sobie chrzani sprawy. Ogłosimy upadłość, a jak tylko spróbujecie zająć nieruchomość mojego teścia, też ogłoszę jego upadłość. A kiedy znów staniemy na nogi, to zgadnij, kto nie dostanie pieniędzy?

- Bałwan z Dallas?

- Brawo. Bank zostanie na lodzie. Będzie cudownie, bo zatrzymamy sobie te czterysta tysięcy, kiedy je zarobimy.

Późniejszym popołudniem Wes i Mary Grace zwołali zebranie kancelarii w salce konferencyjnej. Nie licząc upokorzenia związanego z ogłoszeniem upadłości, co nie robiło na nikim wielkiego wrażenia, nie było czym się martwić. W istocie działania banku dawały kancelarii czas na dojście do siebie. Spłata dwóch tysięcy miesięcznie przestanie obowiązywać i gotówkę będzie można wykorzystać na inne cele.

Obawy dotyczyły tylko ziemi należącej do pana Shelby'ego, ojca Mary Grace. Wes miał plan. Znajdzie przyjaźnie nastawionego kupca, który pojawi się podczas przejęcia i wypisze czek. Tytuł własności przejdzie na niego i zostanie zatrzymany na słowo honoru, dopóki Paytonowie nie będą w stanie z powrotem odkupić ziemi. Zarówno Wesowi, jak i Mary Grace zabrakło odwagi, żeby poprosić ojca o wspólne wystąpienie do sądu z wnioskiem o upadłość.

Czterdzieści osiem godzin minęło i spłaty nie było. Bank złożył powództwo. Jego prawny pełnomocnik, dżentelmen dobrze znany Paytonom, zadzwonił wcześniej i przeprosił. Reprezentował ten bank od lat i nie mógł sobie pozwolić na stratę takiego klienta. Mary Grace przyjęła przeprosiny i dała mu błogosławieństwo, żeby ich pozywał.

Następnego dnia Paytonowie zgłosili upadłość indywidualną, a także jako Payton & Payton, Adwokaci. Spisali wspólnie posiadane aktywa, w sumie trzydzieści pięć tysięcy dolarów - dwa stare samochody, meble, wyposażenie biura - które podlegały ochronie. Podsumowali długi - czterysta dwadzieścia tysięcy dolarów. Ich wniosek skutecznie przeciwdziałał pozwowi i w rezultacie czynił go bezużytecznym. Następnego dnia „Hattiesburg American” zamieścił o tym tekst na drugiej stronie.

Carl Trudeau przeczytał artykuł online i głośno się roześmiał.

- Pozwijcie mnie jeszcze - powiedział z ogromną satysfakcją.

W ciągu tygodnia trzy kancelarie adwokackie z Hattiesburga poinformowały starego Kutasa, że wycofują swoje kapitały, zamykają rachunki i przenoszą interesy na sąsiednią ulicę. W mieście było co najmniej osiem banków.

Bogaty adwokat, Jim McCay, zadzwonił do Wesa i zaproponował pomoc. Przyjaźnili się od wielu lat i współpracowali przy sprawie o odszkodowanie za wadliwe produkty. McCay reprezentował cztery rodziny z Bowmore w sprawie przeciwko Krane, ale nie występował nazbyt agresywnie. Podobnie jak inni adwokaci pozywający Krane czekał na wynik sprawy Baker i miał nadzieję, że trafi wielką wygraną, kiedy - o ile tak się zdarzy - nastąpi ugoda.

Spotkali się na śniadaniu w Nanny's i nad grzanką z wiejską szynką McCay ochoczo zgodził się uratować dwieście akrów od przejęcia i zatrzymać tytuł własności, dopóki Paytonowie nie zdołają odkupić terenu. Ziemia orna w hrabstwie Raka nie była żyłą złota i Wes szacował, że posiadłość Shelby'ego przyniesie około stu tysięcy dolarów. Byłyby to jedyne pieniądze, jakie bank mógł wyciągnąć dzięki swojemu idiotycznemu ruchowi.

SHEILA MCCARTHY PODDAWAŁA SIĘ WŁAŚNIE PORANNEJ TORTURZE na bieżni. Nacisnęła przycisk stop i z niedowierzaniem popatrzyła w telewizor. Ogłoszenie szło o siódmej dwadzieścia dziewięć, dokładnie w połowie lokalnych wiadomości. Zaczynało się od prowokacyjnego ujęcia - dwóch elegancko ubranych młodych mężczyzn całowało się z pasją, za nimi stał kapłan jakiegoś wyznania. Ochryplý głos mówił: „Małżeństwa ludzi tej samej płci zalewają kraj. W Massachusetts, Nowym Jorku, w Kalifornii prawa poddano próbie. Zwolennicy małżeństw gejów i lesbijek mocno naciskają, żeby narzucić naszemu społeczeństwu swój styl życia”. Zdjęcie ślubne - mężczyzny i kobiety - przed ołtarzem zostało nagle przekreślone grubym, czarnym X. „Liberalni sędziowie sprzyjają małżeństwom homoseksualistów”. Zdjęcie zostało zastąpione nagraniem wideo przedstawiającym grupę szczęśliwych lesbijek, czekających na zawarcie związku podczas masowej ceremonii. „Nasze rodziny są atakowane przez działaczy homoseksualnych i liberalnych sędziów, którzy ich wspierają”. Potem szło krótkie ujęcie tłumu palącego amerykańską flagę. Głos mówił: „Liberalni sędziowie zatwierdzili palenie naszej flagi”. Szybkie ujęcie stoiska w sklepie zawalonego egzemplarzami „Hustlera”. „Liberalni sędziowie nie widzą niczego złego w pornografii”. Potem zdjęcie uśmiechniętej rodziny, matki, ojca i czworga dzieci. „Czy liberalni sędziowie zniszczą nasze rodziny?”, pytał złowieszczo narrator, pozostawiając mało wątpliwości, że tak, jeśli dać im szansę. Zdjęcie rodzinne zostało rozdarte na dwie postrzępione części. Nagle pojawiła się poważna twarz Rona Fiska. Patrzył surowo w obiektyw i mówił: „Nie w Missisipi. Jeden mężczyzna. Jedna kobieta. Nazywam się Ron Fisk. Jestem kandydatem do Sądu Najwyższego. To ja zatwierdziłem ten film”.

Ociekając potem, z mocno bijącym sercem, Sheila usiadła na podłodze i próbowała zmusić się do myślenia. Zapowiadacz pogody coś gadał, ale go nie słyszała. Położyła się na plecach, rozciągnęła ramiona i nogi, zaczęła głęboko oddychać.

Małżeństwa gejów nie miały szans w Missisipi. Nikt nie śmiał publicznie zaproponować, żeby zmienić prawo, a i tak żaden członek stanowej legislatury nie zezwoliłby na to. Tylko jeden sędzia na cały stan - Phil Shingelton - podniósł ten temat, a to on właśnie oddalił w rekordowym tempie powództwo Meyercheca - Spana. Sąd Najwyższy będzie się tym zajmował prawdopodobnie za rok, ale Sheila spodziewała się raczej krótkiego uzasadnienia i szybkiego głosowania w stosunku dziewięć do zera, zatwierdzającego wyrok sędziego Shingeltona.

Właściwie dlaczego przedstawiano ją jako liberalnego sędziego, który wspiera małżeństwa gejów?

Pokój zaczął wirować. Podczas przerwy na reklamy czekała w napięciu na następny atak, ale nic takiego się nie zdarzyło. Słysząc było tylko pokrzykiwanie sprzedawcy samochodów i dzikie wrzaski handlarza od tanich mebli.

Ale kwadrans później ogłoszenie wyborcze znów się pojawiło. Podniosła głowę i z niedowierzaniem patrzyła na te same obrazy, opatrzone tym samym komentarzem.

Zadzwoił telefon. Spojrzała na identyfikator numeru. Nie odebrała. Wzięła prysznic, pospiesznie się ubrała i o wpół do dziewiątej, z szerokim uśmiechem i ciepłym „dzień dobry” wkroczyła do swojego sztabu. Czterech wolontariuszy harowało jak woły. Telewizory były nastawione na trzy różne programy. Nat, w gabinecie, wrzeszczał na kogoś przez telefon. Trzasnął słuchawką o widelki, machnięciem zaprosił Sheilę do środka i zamknął za nią drzwi.

- Oglądałaś? - zapytał.

- Dwa razy - powiedziała po cichu, opanowana. Wszyscy byli roztrzęsieni, więc chciała przynajmniej zachowywać pozory spokoju.

- Zmasowany atak. Jackson, wybrzeże, Hattiesburg, Laurel, co kwadrans na każdym programie. Do tego radio.

- Jaki masz sok?

- Marchewkowy. - Otworzył lodóweczkę. - Sypią pieniędzmi, a to oczywiście znaczy, że zgarniają je łopatami. Typowa zasadzka. Poczekają do pierwszego października, naciśną guzik i zaczną drukować gotówkę. Tak zrobili poprzednim razem w Illinois i Alabamie. Dwa lata temu w Ohio i Teksasie. - Nalał sok do dwóch kubków.

- Usiądź i odpręż się, Nat.

Nie usiadł i nie odprężył się.

- Na zaczepne ogłoszenia trzeba jakoś zareagować - powiedział.

- I to szybko.

- Nie jestem pewna, czy to zaczepne ogłoszenie. Ani razu nie wymienił mojego nazwiska.

- Nie musiał. Iluż to liberalnych sędziów kandyduje przeciwko panu Fiskowi?

- Żaden, o którym bym wiedziała.

- Kochana, od dzisiaj rano jesteś oficjalnie liberalnym sędzią.

- Naprawdę? Nie czuję różnicy.

- Sheilo, musimy na to odpowiedzieć.

- Nie dam się wciągnąć w zapasy w błocie o małżeństwa gejów.

Nat wreszcie wpasował się w fotel i zamilkł. Pił sok, wpatrywał się w podłogę i czekał, aż oddech mu się wyrówna. Upiła trochę soku marchewkowego.

- Zabójczy, prawda? - zagadnęła z uśmiechem.

- Sok?

- Spot.

- Potencjalnie tak. - Sięgnął do stosu papierzysk leżącego obok biurka i wyciągnął cienką teczkę. Wyjął trzy kartki połączone spinaczem. - Posłuchaj. Panowie Meyerchec i Spano wynajęli mieszkanie pierwszego kwietnia tego roku. Mamy kopię umowy najmu. Oczekali ustawowy miesiąc i zarejestrowali się jako wyborcy. Następnego dnia, drugiego maja, wystąpili o prawa jazdy stanu Missisipi, poszli na egzamin i zdali. Wydział bezpieczeństwa publicznego wydał prawa jazdy czwartego maja. Minęło parę miesięcy. Nie mamy informacji o tym, żeby byli tu zatrudnieni, prowadzili interesy, niczego, co oficjalnie potwierdzałoby, że prowadzą jakąś działalność zarobkową. Według ich słów są ilustratorami pracującymi jako wolni strzelcy. - Przerzucał kartki, sprawdzał fakty. - W spisie ilustratorów na żółtych stronach nie ma Meyercheca ani Spana. Ich apartament mieści się w dużym kompleksie mieszkalnym. Mnóstwo sąsiadów, a żaden nie pamięta, żeby ich kiedyś widział. W kręgach gejowskich nikt, z kim się kontaktowaliśmy, nie nawiązał z nimi znajomości.

- Kto się kontaktował?

- Poczekaj. Potem próbują oficjalnie się pobrać, a reszta historii jest w gazetach.

- Kto się kontaktował?

Schował papiery i zamknął teczkę.

- I tutaj robi się interesująco. W ubiegłym tygodniu zadzwonił do mnie młody człowiek, gej, student prawa w Jackson. Podał mi swoje nazwisko i nazwisko partnera, innego studenta prawa. Nie kryją się, ale też nie szykują się do parady równości. Zaintrygowała ich sprawa Meyercheca - Spana i kiedy wybuchła jako temat kampanii wyborczej, zaczęli, a wraz z nimi paru innych łebskich gości, węszyć jakiś przekręt. Znają w mieście mnóstwo gejów, wypytywali o Meyercheca i Spana. Nikt o nich wcześniej nie słyszał. Społeczność gejów stała się jeszcze bardziej podejrzliwa, kiedy złożono pozew. Kim są ci faceci? Skąd pochodzą? Ci dwaj studenci prawa postanowili poszukać odpowiedzi. Dzwonili na numer telefonu Meyercheca i Spana pięć razy dziennie, o różnych godzinach. Bez skutku. Dzwonią tak już od trzydziestu sześciu dni. Żadnej odpowiedzi. Rozmawiali z sąsiadami. Nikt nigdy nie spotkał Meyercheca i Spana, nikt nie widział, żeby się wprowadzali. Pukali do drzwi, zaglądali do okien. Mieszkanie jest prawie nieumeblowane, na ścianach nic nie wisi. Żeby zyskać miano obywateli, Meyerchec i Spano zapłacili trzy tysiące dolarów za używanego saaba,

zarejestrowali go na oba nazwiska jak prawdziwa para małżeńska, a potem kupili tablice rejestracyjne z Missisipi. Saab tkwi przed ich blokiem od trzydziestu sześciu dni.

- Do czego to zmierza? - zapytała.

- Właśnie chcę powiedzieć. Wreszcie dwóch naszych studentów prawa znalazło tajemniczą parę w Chicago, gdzie Meyerchec jest właścicielem baru dla gejów, a Spano pracuje jako dekorator wnętrz. Studenci są skłonni, za niewielką gotówkę, polecieć do Chicago, spędzić tam kilka dni, pochodzić do baru, powęszyć, zebrać informacje.

- Po co?

- Pragną udowodnić, że ci dwaj nie są mieszkańcami naszego stanu; że ich obecność tutaj to lipa; ktoś ich po prostu wystawia, żeby podnieść temat małżeństw gejów; a może też, że i w Chicago nie stanowią pary. Jeżeli uda nam się tego dowieść, pójdę do „Clarion - Ledger”, „Sun Herald” w Biloxi i każdej gazety w stanie, żeby nadać temat. Nie wygramy sporu merytorycznego, ale możemy wyprowadzić kontratak jak diabli.

Opróżniła szklankę i pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Myślisz, że Fisk jest aż tak sprytny?

- Fisk to pionek, ale ci, którzy za nim stoją, owszem, są sprytni. To cyniczny i genialny plan. Nikt u nas nie myśli o małżeństwach gejów, bo ich nie ma i nie będzie, a tu, nagle, powstaje wokół tematu wielka wrzawa. Wiadomość na pierwsze strony. Wszyscy się boją. Matki ukrywają dzieci. Politycy plotą bzdury.

- Ale dlaczego ściągnęli gejów aż z Chicago?

- Nie wiem, czy tu znaleźliby kogoś, kto chciałby takiej sławy. Ponadto miejscowi geje zdają sobie sprawę, jak zareaguje świat heteroseksualny. Najgorsze, co mogliby wymyślić, to właśnie wystąpienie w stylu Meyercheca i Spana.

- To dlaczego ci dwaj zrobili coś, co zaszkodzi ich sprawie?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, nie mieszkają tutaj. Po drugie, dla pieniędzy. Ktoś wynajmuje im mieszkanie, daje na samochód, adwokata i wypłaca parę tysięcy baksów za czas i fatygę.

Sheili to wystarczyło. Spojrzała na zegarek.

- Ile potrzeba tym studentom? - zapytała.

- Na wydatki: przelot, hotel, utrzymanie. Dwa tysiące.

- Mamy tyle? - zaśmiała się.

- To idzie z mojej kieszeni. Nie zaksięgujemy tego. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, co robimy.

- Masz moją zgodę.

- A zdanie odrębne w sprawie Frankiego Hightowera?
- Ciężko pracuję. To jeszcze potrwa ze dwa miesiące.
- Teraz mówisz jak prawdziwy sędzia Sądu Najwyższego.

Przy porannej kawie w Babe's kolega pastor niezręcznie przekazał Ottowi zaproszenie na spotkanie. Nie wszyscy kaznodzieje z miasta zostali zaproszeni. Wykluczono specjalnie dwóch pastorów z kościołów metodystów i jednego od prezbiterian, ale wychodziło na to, że wszystkich innych zapraszano. W Bowmore nie było kościoła episkopalnego, a jeśli mieszkał tutaj chociaż jeden katolik, to do tej pory się nie ujawnił.

Spotkanie odbyło się w czwartkowe popołudnie, w sali wspólnoty kongregacji fundamentalistów, zwanej Świątynią Żniw. Moderatorem był pastor tego kościoła, zapalczywy młody człowiek, powszechnie znany jako brat Ted. Po krótkiej modlitwie przywitał kaznodziejów, razem sześćdziesięciu, w tym trzech czarnych. Spojrzał podejrzliwie na Denny'ego Otta, ale nie skomentował jego obecności.

Brat Ted szybko przeszedł do rzeczy. Wstąpił do Koalicji Bractw, nowo powstałego przymierza kaznodziejów fundamentalistów z południowego Missisipi. Ich celem było spokojnie i metodycznie robić, co tylko można, za pozwoleniem Pana, żeby wybrać Rona Fiska i w ten sposób zlikwidować wszelkie szansę na małżeństwa ludzi tej samej płci w Missisipi. Perorował o szkodliwości homoseksualizmu i wzrastającej akceptacji tego zła w społeczeństwie amerykańskim. Cytował Biblię, stosownie do okazji, podnosił z oburzeniem głos, kiedy należało. Podkreślał, jak pilna jest potrzeba wybierania pobożnych ludzi na wszystkie stanowiska publiczne, i obiecywał, że Bractwo stanie się w nadchodzących latach potęgą.

Denny słuchał z kamienną twarzą, ale i z coraz większym niepokojem. Przeprowadził kilka rozmów z Paytonami i wiedział, jakie prawdziwe motywy kryją się za wyborami. Manipulacja i marketing Fiska przyprawiały go o mdłości. Spoglądał na innych pastorów i zastanawiał się, w ilu pogrzebach ofiar Krane Chemical uczestniczyli. Hrabstwo Cary powinno być ostatnim miejscem, gdzie Ron Fisk zdobyłby poparcie.

Brat Ted przeszedł do kwestii kandydatury Sheili McCarthy. Była katoliczką z wybrzeża, co w wiejskich, religijnych okolicach znaczyło, że to kobieta lekkich obyczajów. Rozwódka. Lubiła imprezy i krążyły pogłoski, że ma różnych partnerów. Beznadziejna liberałka, przeciwniczka kary śmierci. Nie można było jej ufać, gdyby miała podejmować decyzję co do gejowskich małżeństw, nielegalnej imigracji i tym podobnych.

Kiedy skończył kazanie, ktoś zasugerował, żeby kościoły raczej nie mieszały się do polityki. Rozległ się pomruk ogólnej dezaprobaty. Brat Ted odpowiedział krótkim wykładem

na temat wojen kulturowych i odwagi, jaką trzeba mieć, żeby walczyć w imię Boga. Dla chrześcijan przyszedł czas, żeby wstać z ławki rezerwowych i wbiec na arenę. Doprowadziło to do gorączkowej dyskusji na temat erozji wartości. Winiono telewizję, Hollywood, Internet. Lista była długa i okropna.

Ktoś zapytał, jaką przyjąć strategię.

Zorganizować się! Na południu Missisipi kościelny luddek przeważał liczebnie nad poganami, trzeba zmobilizować siły. Zwerbować wolontariuszy, którzy będą pukać do drzwi, przeprowadzać ankiety. Rozpowszechnić przesłanie od kościoła do kościoła, od domu do domu. Do wyborów zostały zaledwie trzy tygodnie. Ruch rozprzestrzenia się jak burza ogniowa.

Po godzinie Denny Ott nie był już w stanie tego słuchać. Znalazł jakąś wymówkę, pojechał do swojego biura przy kościele i zadzwonił do Mary Grace.

Kierownictwo Stowarzyszenia Adwokatów Stanu Missisipi spotkało się na nadzwyczajnym zebraniu dwa dni po tym, jak w kampanii Fiska pojawiła się fala spotów przeciwko małżeństwom gejów. Panował ponury nastrój. Pytanie było oczywiste: jakim cudem temu zagadnieniu udało się zająć tak poczesne miejsce? I co powinna zrobić McCarthy żeby odparować cios.

Nat Lester przedstawił w skrócie plany na ostatnie trzy tygodnie. McCarthy ma do dyspozycji siedemset tysięcy, znacznie mniej niż Fisk. Połowa jej budżetu została już przeznaczona na spoty telewizyjne, które zaczną być nadawane następnego dnia. To, co pozostanie, będzie wydane na mailing i wystąpienia last minutę w radiu i telewizji. Na nic więcej nie starczy pieniędzy. Małe donacje spływają od związkowców, obrońców środowiska naturalnego, ugrupowań na rzecz dobrych rządów i bardzo niewiele od umiarkowanych organizacji lobbystycznych, ale dziewięćdziesiąt dwa procent funduszy wyborczych McCarthy zostało przesłanych przez adwokatów.

Potem Nat streścił wyniki ostatniego badania opinii publicznej. Najlepsi zawodnicy szli łeb w łeb, mieli po trzydzieści procent poparcia i tyle samo niezdecydowanych. Badanie zostało jednak przeprowadzone przed tygodniem i nie odzwierciedla przesunięć wywołanych spotem z gejami. Z tego powodu Nat zacznie nowe badania po weekendzie.

Nikogo nie zaskoczyło, że adwokaci zaczęli wygłaszać zwariowane i sprzeczne opinie, co robić dalej. Wszystkie te pomysły były kosztowne, co bez ustanku przypominał Nat. Przysłuchiwał się kłótni. Niektórzy proponowali sensowne rozwiązania, inni radykalne. Większość twierdziła, że na kampaniach wyborczych zna się najlepiej, a wszyscy uważali, że cokolwiek postanowią, natychmiast stanie się to elementem kampanii McCarthy.

Nat nie podzielił się z zebranymi pewną przygnębiającą pogłoską. Reporter z gazety wychodzącej w Biloxi zadzwonił rano z kilkoma pytaniami. Zajmował się nowym, sensacyjnym tematem - małżeństw osób tej samej płci. Podczas dziesięciminutowego wywiadu powiedział Natowi, że największa stacja telewizyjna na wybrzeżu sprzedała Fiskowi za milion dolarów najlepszy czas antenowy na najbliższe trzy tygodnie. Uważano, że to największa transakcja, jakiej dokonano podczas wyborów.

Wydanie miliona dolarów na wybrzeżu oznaczało wpuszczenie w pozostałą część rynku mniej więcej takiej samej sumy.

Wiadomość była tak rozstrajająca, że Nat zastanawiał się, czy przekazać ją Sheili. Na razie zatrzymał newsa dla siebie. A z pewnością nie uraczy nim adwokatów. Tak oszałamiające sumy mogłyby wpłynąć demoralizująco na opokę kampanii wyborczej Sheili.

Prezes SASM, Bobby Neal, wreszcie przedstawił rozsądny plan. Wyśle do ośmiuset członków stowarzyszenia pilny e - mail, w którym szczegółowo opisze sytuację, i będzie błagał o działanie. Każdy adwokat zostanie pouczony, żeby sporządził (1) listę co najmniej dziesięciu klientów, którzy zechcą wypisać czek na sto dolarów, oraz (2) drugą listę klientów i znajomych, którzy zgodzą się chodzić od drzwi do drzwi, a w dzień wyborów wezmą udział w badaniu opinii publicznej. Oddolne poparcie było najistotniejsze.

Pod koniec zebrania wstał Willy Benton, skupiając na sobie uwagę obecnych. Trzymał kartkę drobno zadrukowaną po obu stronach.

- To jest weksel linii kredytowej w Gulf Bank, w Pascagoula - oświadczył i niejedyn adwokat miał ochotę zanurkować pod stół. Benton był niegłupi i miał skłonność do teatralnych wystąpień. - Pół miliona dolarów - wycedził powoli. Suma odbiła się echem w sali. - Na rzecz kampanii wyborczej Sheili McCarthy. Ja już złożyłem podpis i zamierzam puścić weksel wokół stołu. Jest nas tutaj dwanaścioro. Żeby kredyt został zrealizowany, trzeba się podpisać. Każdy będzie winien pięćdziesiąt tysięcy.

Martwa cisza. Nerwowe, niepewne spojrzenia. Niektórzy już dali ponad pięćdziesiąt tysięcy, inni znacznie mniej. Jedni mieli wydać w nadchodzącym miesiącu pięćdziesiąt tysięcy na paliwo do odrzutowca, drudzy szamotali się ze swoimi kredytodawcami. Bez względu na bilanse bankowe w tej chwili każdy pragnął udusić tego małego sukinsyna.

Benton podał dokument zeszytniałemu nieszczęśliwcowi po swojej lewej, takiemu bez odrzutowca. Na szczęście podobne momenty w karierze zdarzają się rzadko. Podpisz i jesteś twardzielem gotowym zabić. Podaj dalej bez podpisu i możesz pójść do domu, a potem zająć się handlem nieruchomościami.

Podpisała cała dwunastka.

ZBOCZENIEC NAZYWAŁ SIĘ DARREL SACKETT. Kiedy widziano go ostatnim razem, miał trzydzieści osiem lat i przebywał w areszcie hrabstwa, czekając na kolejny proces za molestowanie dzieci. Wyglądał na winnego: wysokie, cofnięte czoło, wyblakłe, wylupiaсте oczy, powiększone grubymi okularami, niechlujny tygodniowy zarost, szeroka blizna na podbródku - typ twarzy, która zaalarmowałaby wszystkich rodziców, i w ogóle wszystkich. Pedofil z przeszłością. Po raz pierwszy aresztowano go, gdy miał szesnaście lat. Potem było wiele aresztowań, a co najmniej cztery razy skazywano go w czterech różnych stanach.

Sackett, z tą przerażającą twarzą i odrażającym rejestrem karnym, został przedstawiony wyborcom z południowego Missisipi w atrakcyjnej broszurce wysyłanej przez nową organizację o nazwie Bunt Ofiar. Dwustronicowy list zawierał zarówno biografię żalosego kryminalisty, jak i streszczenie godnych ubolewania porażek systemu sądownictwa.

„Dlaczego ten człowiek jest wolny?“, krzyczał list. Odpowiedź: bo sędzia Sheila McCarthy obaliła wyroki skazujące za szesnaście przypadków molestowania dzieci. Osiem lat wcześniej ława przysięgłych skazała Sacketta, a sędzia dał mu dożywocie bez prawa do zwolnienia warunkowego. Adwokat Sacketta - za pieniądze podatników - złożył apelację do Sądu Najwyższego i „tam Darrel Sackett znalazł współczucie u sędzi Sheili McCarthy”. Potępiła ona uczciwych, ciężko pracujących detektywów, którzy wydobyli z Sacketta przyznanie się do winy. Zbeształa ich za to, co uznała za niedozwolone metody policyjne.

Skrytykowała sędziego niższej instancji, ogólnie szanowanego i bezlitosnego dla zbrodni, bo przyjął wymuszone zeznania i materiały dowodowe nielegalnie zabrane z mieszkania Sacketta. Przysięgli byli wyraźnie wstrząśnięci, kiedy musieli przejrzeć stos dziecięcej pornografii skonfiskowanej przez policję podczas „legalnego” przeszukania. Twierdziła, że oskarżony wywołuje w niej niesmak, ale darowała mu karę, mówiąc, że nie ma wyboru i musi oddalić wyrok do ponownego rozpatrzenia.

Sacketta przeniesiono z więzienia stanowego z powrotem do aresztu hrabstwa Lauderdale, skąd uciekł tydzień później. Od tego czasu słuch po nim zaginął. Jest gdzieś wśród nas, „wolny człowiek”, który bez wątplenia nadal stosuje gwałt wobec niewinnych dzieci.

Ostatni akapit kończył się jak zwykle perorą przeciwko liberalnym sędziom. Drobnym drukiem zamieszczono standardową aprobatę Rona Fiska.

Pewne istotne fakty wygodnie pominięto. Po pierwsze, że sąd głosował osiem do jednego za oddaleniem sprawy Sacketta do ponownego rozpatrzenia. Działania policji były tak skandaliczne, że czterech innych sędziów napisało podobne opinie, jeszcze bardziej zjadliwie potępiające wymuszone zeznania i niekonstytucyjne przeszukanie bez nakazu. Jedyny sędzia, który nie podzielał tej opinii, Romano, był fałszywym typem, który nigdy nie głosował za oddaleniem skazania w sprawie kryminalnej, a prywatnie przysięgał, że w życiu tego nie zrobi.

Po drugie, Sackett nie żył. Cztery lata wcześniej został zabity podczas bójki w barze na Alasce. Informacja o jego zgonie dotarła do Missisipi, nie podnosząc wrzawy, a kiedy teczkę Sacketta złożono w archiwum hrabstwa Lauderdale, nie zainteresował się tym ani jeden reporter. Wyczerpujące badania przeprowadzone przez Barry'ego Rineharta doprowadziły do odkrycia prawdy, chociaż potem nikogo to za bardzo nie obchodziło.

Teraz cała kampania Fiska odeszła daleko od prawdy. Kandydat był za bardzo zajęty, żeby ślezczyć nad szczegółami. Całkowicie ufał Tony'emu Zachary'emu. Kampania przerodziła się w krucjatę, odwoływała się do najwyższego porządku rzeczy, a jeśli fakty z lekka naginano albo ignorowano, trudno - cel uświęcał środki. Polityka to brudna gra i można było mieć pewność, że przeciwnik też nie gra fair.

Barry'ego Rineharta prawda nigdy nie krępowała. Uważał tylko, żeby nie przyłapano go na kłamstwach. Jeśli taki wariat, jak Sackett, przebywał gdzieś na wolności i nadal popełniał zbrodnie, to opowieść wywierała wstrząsające wrażenie. Martwy Sackett też się nadawał do wykorzystania, ale Rinehartowi bardziej odpowiadała siła strachu. I wiedział, że McCarthy nie zdoła odpowiedzieć na ten atak. Oddaliła skazanie, proste i jasne. Wszelkie próby wyjaśniania dlaczego spełzłyby na niczym w realiach trzydziestosekundowych spotów i żwawych bitów.

Po szoku wywołanym spotem będzie starała się wymazać Sacketta z pamięci.

Gdy szok minął, musiała jednak wrócić do tej sprawy. Widziała spot online, na stronie Buntu Ofiar, po tym, jak zadzwonił do niej rozgorączkowany Nat Lester. Paul odnalazł zarchiwizowane akta. Przeczytali je w milczeniu. Ledwie pamiętała proces. W ciągu kolejnych ośmiu lat napisała setki opinii.

- Dobrze do tego podeszłaś - oznajmił Paul, kiedy skończyli.

- Owszem, ale dlaczego teraz tak źle to wygląda? - zapytała. Ciężko pracowała, na jej biurku piętrzyły się dokumenty kilku spraw. Była oszołomiona, zdumiona.

Nie odpowiedział.

- Ciekawe, co będzie dalej? - Zamknęła oczy.

- Zapewne sprawa z karą śmierci. I znowu dobiorą fakty.

- Dziękuję. Coś jeszcze?

- Oczywiście. Jesteś sędzią. Za każdym razem, kiedy podejmujesz decyzję, ktoś traci. Tym facetom nie zależy na prawdzie, więc mogą zrobić tak, żeby wszystko wyglądało źle.

- Zamknij się, proszę.

Zacząły iść jej pierwsze spoty. To trochę poprawiło nastrój Sheili. Nat postanowił zacząć od prostego kawałka. McCarthy w czarnej todze siedzi za stołem sędziowskim i uśmiecha się szczerze do kamery. Mówi o swoim doświadczeniu - osiem lat jako sędzia w hrabstwie Harrison, dziewięć lat w Sądzie Najwyższym. Nie znosi samochwalstwa, ale w ciągu ostatnich dwóch lat spośród sędziów apelacyjnych to ona dwukrotnie miała najwyższe notowania w roczniku stanowej palestry. Nie jest ani sędzią liberalnym, ani konserwatywnym. Zabrania przypinania sobie łątek. Jej zadanie polega na stosowaniu praw Missisipi, a nie wprowadzeniu nowych. Najlepsi sędziowie to ci bez programów, bez uprzednich sądów na temat, jak mogliby orzekać. Najlepsi sędziowie to ci z doświadczeniem. Żaden z jej konkurentów nie prowadził procesu, nie wydawał orzeczeń, nie studiował skomplikowanych akt sprawy, nie wysłuchiwał argumentacji ustnej, nie pisał uzasadnienia. Aż do tej chwili w ogóle nie interesował się pracą sędziego. Mimo to proszą oni wyborców, żeby wykatapultowali ich na same szczyty zawodu. Kończyła już bez uśmiechu: „Gubernator nominował mnie na stanowisko sędziego dziewięć lat temu, potem wybraliście mnie wy, naród. Jestem sędzią, a nie politykiem i nie mam pieniędzy, które inni wydają, żeby kupić sobie to stanowisko. Proszę was, wyborcy, jasno wyrażcie przesłanie: miejsca w Sądzie Najwyższym Missisipi wielki biznes sobie nie kupi. Dziękuję”.

Nat niewiele wydał na emisję w stacji telewizyjnej w Jackson. Znacznie więcej poszło na wybrzeżu. McCarthy i tak nie była w stanie zająć tyle czasu antenowego, ile Fisk. Nat obliczał, że Fisk i bogate typy, które za nim stały, przepuszczały co tydzień dwieście tysięcy na same spoty o małżeństwach gejów.

Pierwsza runda Sheili kosztowała około połowy tej kwoty, a reakcja była dość chłodna. Koordynator w hrabstwie Jackson nazwał spot „mało twórczym”. Hałaśliwy adwokat, bez wątpienia ekspert od polityki, wysłał gniewny e - mail, w którym gromił Natę za tak łagodne podejście. Trzeba bić wroga jego własną bronią, odpowiadać na ataki z nawiązką. Przypomniat Natowi, że jego kancelaria dała trzydzieści tysięcy dolarów i nie przekaże ani centa więcej, jeżeli McCarthy nie zdejmie białych rękawiczek.

Kobietom spot raczej się podobał. Mężczyźni byli krytyczniej nastawieni. Po przeczytaniu kilkunastu e - maili Nat zdał sobie sprawę, że marnuje czas.

Barry Rinehart niecierpliwie czekał na materiały telewizyjne od strategów McCarthy. Kiedy wreszcie zobaczył jej pierwszy spot, roześmiał się na głos. Cóż za staromodna, niedzisiejsza, żalosna ramota - sędzia w czarnej todze, za stołem sędziowskim, grube księgi prawnicze jako rekwizyty, nawet młotek do kompletu. Wyglądała poważnie, ale była sędzią, a nie osobowością telewizyjną. Poruszała oczami, czytając z telepromptera. Głowę trzymała sztywno jak jelen w światłach reflektorów.

Doprawdy, słaba riposta, ale należało na nią odpowiedzieć, przebić argumenty. Rinehart sięgnął do arsenału z materiałami wideo i wybrał następny granat.

Dziesięć godzin po pierwszej emisji spotu McCarthy dostała druzgoczący cios. Napaść wprowadziła w zdumienie nawet najbardziej znudzonych wyjadaczy politycznych. Zaczynało się od ostrego huku karabinowego wystrzału, potem szło czarno - białe zdjęcie sędzi McCarthy wzięte z oficjalnej strony internetowej Sądu Najwyższego. Mocny, zadziorny głos mówił: „Sędzia Sheila McCarthy nie lubi myśliwych. Siedem lat temu napisała, że myśliwi z tego stanu słabo dbają o bezpieczeństwo”. Ten tekst został nałożony na jej twarz. Pokazano kolejną fotografię, z reportażu prasowego, na której ściska ręce podczas wiecu. Głos kontynuował: „Sędzia Sheila McCarthy nie lubi także właścicieli broni krótkiej. Pięć lat temu napisała, że po czujnym lobby zwolenników nieograniczonego dostępu do broni zawsze można się spodziewać ataku na wszelkie przepisy, które w jakikolwiek sposób mogłyby ograniczyć używanie broni krótkiej na obszarach szczególnego znaczenia. Bez względu na treść proponowanego przepisu, lobby zwolenników broni rzuci się na niego z wściekłością”. To oświadczenie również rzucono, słowo w słowo, na ekran. Potem kolejny huk, tym razem strzelby strzelającej w niebo. Pojawia się Ron Fisk, ubrany jak prawdziwy myśliwy, którym przecież jest. Opuszcza lufę i przez kilka sekund gawędzi z wyborcami. Wspomnienia o dziadku, który polował w tych lasach jako dziecko, miłość do przyrody, przyrzeczenie, że będzie bronić świętych praw myśliwych i właścicieli broni. Na koniec Ron idzie skrajem lasu, a za nim podąża sfora psów.

Twórcy spotu wymienieni w małej, krótko wyświetlanej liście, powoływali się na organizację o nazwie Właściciele Broni Łączcie Się!

Prawda była taka: pierwsza sprawa przedstawiona w spocie dotyczyła nieszczęśliwego wypadku podczas polowania na jelenie. Myśliwy został śmiertelnie postrzelony. Wdowa po nim pozwała człowieka, który oddał strzał. Wynikł z tego paskudny proces. Przysięgli z hrabstwa Calhoun przyznali wdowie sześćset tysięcy odszkodowania, co było największą sumą zasądzoną na tej sali. Proces był plugawy jak rozwód, z pomówieniami o pijaństwo, palenie trawki, złe prowadzenie się. Obaj mężczyźni należeli do klubu myśliwskiego i przez

tydzień polowali na jelenie. Podczas procesu sprawą sporną była kwestia bezpieczeństwa. Kilku biegłych zeznawało na temat przepisów dotyczących broni palnej i szkoleń myśliwych. Chociaż ostro spierano się co do materiału dowodowego, z zeznań wynikało, że stanowe regulacje dotyczące bezpieczeństwa nie dorównują podobnym przepisom w innych rejonach kraju.

W drugiej sprawie miasto Tupelo, reagując na strzelaninę na podwórku szkolnym, w której nikt nie zginął, ale czworo zostało rannych, uchwaliło zarządzenie zabraniające noszenia broni w promieniu stu metrów od wszelkich szkół publicznych. Zwolennicy posiadania broni palnej zaskarżyli ten przepis, a American Rifle Association wmieszała się do sprawy, składając, jako przyjaciel sądu - amicus curiae - obszerną i rozdmuchaną opinię. Sąd odrzucił wyrok na podstawie drugiej poprawki, ale Sheila zgłosiła zdanie odrębne. Czyniąc to, nie mogła się powstrzymać, żeby nie uderzyć w ARA.

Teraz uderzenie wracało. Obejrzała najnowszy spot Fiska w swoim gabinecie. Była sama, czuła ucisk w dołku i myślała, że jej szansę słabną. Na wiecach miała czas, żeby wyjaśnić swoje decyzje i wykazać, jak nieuczciwe jest wrywanie jej słów z kontekstu. Ale w telewizji musiała przedstawić całą argumentację w trzydziści sekund. To było niemożliwe, a sprytni macherzy od Rona Fiska doskonale o tym wiedzieli.

Minał miesiąc w Zatoce Pirata i Clete Coley zaczął nadużywać gościnności. Właściciel miał dość darmowego wynajmowania apartamentu w penthausie i zaspokajania zdumiewającego apetytu Coleya. Kandydat dostawał trzy posiłki dziennie, wiele z nich przysyłano mu do pokoju. Przy stołach z black Jackiem pił rum jak wodę i skuwał się co wieczór. Zadręczał krupierów, obrażał innych gości, obmacywał kelnerki. Kasyno zarobiło na Coleyu prawie dwadzieścia tysięcy, ale wydało na niego co najmniej tyle samo.

Pewnego wieczoru Marlin znalazł go przy barze. Coley popijał, rozgrzewał się przed kolejną długą nocą przy stołach do gry. Po krótkiej, luźnej pogawędce Marlin przeszedł do rzeczy.

- Chcielibyśmy, żebyś zrezygnował z udziału w wyborach. A na odchodne poparł Rona Fiska.

Clete zmrużył moczy. Zmarszczki na czole pogłębiły się mu.

- Że co?

- Słyszałeś.

- Nie jestem pewien, czy cię zrozumiałem.

- Prosimy, żebyś wycofał się i poparł Fiska. To proste.

Coley przełknął rum, nie spuszczać oczu z Marlina.

- Mów dalej - powiedział.

- Nie ma o czym. Trudny z ciebie człowiek, ale zrobiłeś dobrą robotę, poruszając pewne sprawy, atakując McCarthy. Czas jednak się wycofać i pomóc wybrać Fiska.

- A jeśli nie lubię Fiska?

- Jestem pewien, że on też za tobą nie przepada. To nieistotne.

Zabawa skończona. Poszalałeś, zdobyłeś popularność w prasie, spotkałeś po drodze mnóstwo interesujących ludzi, ale wygłosiłeś ostatnią mowę.

- Karty do głosowania zostały już wydrukowane. Jest na nich moje nazwisko.

- To znaczy, że garstka twoich fanów będzie zawiedziona. Wielkie mi rzeczy.

Coley wziął kolejny długi haust rumu.

- Okay, sto tysięcy za wejście, ile za wyjście? - spytał.

- Pięćdziesiąt.

Pokręcił głową i spojrzał na stoły do black jacka.

- Nie wystarczy.

- Nie jestem tutaj, żeby negocjować. To pięćdziesiąt tysięcy w gotówce. Ta sama teczka, co poprzednio, tyle że już nie taka ciężka.

- Przykro mi. Moja stawka to sto.

- Wrócę tu jutro. O tej samej godzinie. - I Marlin zniknął.

O dziewiątej następnego ranka dwóch agentów FBI załomotało do drzwi apartamentu w penthausie. Clete wreszcie zwlókł się z łóżka.

- Kto tam, do diabła? - warknął.

- FBI. Otwierać.

Uchylił drzwi i wyjrzał zza łańcucha. Bliźniaki. Ciemne garnitury. Ten sam fryzjer.

- Czego chcecie?

- Przyszliśmy zadać panu kilka pytań i wolelibyśmy nie robić tego na korytarzu.

Clete otworzył i machnięciem ręki zaprosił ich do środka. Nosił T - shirt i szorty w stylu NBA opadające do połowy tyłka. Patrząc, jak sadowią się za małym stołem, szukał w zamulonym umyśle jakichś wspomnień o przepisach, które złamał. Nic nie przychodziło mu do głowy, przynajmniej z ostatnich dni, ale przecież o tak parszywej porze dnia niczego by sobie nie przypomniał. Wpasował w fotel swoje niezgrabne cielsko - ileż to kilogramów przytył przez ostatni miesiąc? - Zerknął na odznaki funkcjonariuszy.

- Czy zna pan Micka Runyuna? - zapytał jeden z nich.

Znał, ale nie miał ochoty na zwierzenia.

- Może.

- Dealer metamfetaminy. Bronił go pan trzy lata temu przed sądem federalnym. Ugoda na dziesięć lat, współpracował z rządem, na prawdę miły chłopiec.

- A, ten Mick Runyun.

- Tak, właśnie ten. Zapłacił panu honorarium?

- Moje księgi są w biurze, w Natchez.

- Świetnie. Mamy nakaz, żeby je przejrzeć. Moglibyśmy się tam jutro spotkać?

- Z miłą chęcią.

- Przy okazji, jesteśmy pewni, że pańskie księgi nie powiedzą nam wiele o honorariach wypłaconych przez pana Runyuna. Z dobrego źródła wiemy, że zapłacił panu w gotówce dwadzieścia tysięcy doków, co nie zostało zgłoszone.

- Gadanie.

- Ale jeśli to prawda, złamałby pan zasady RICO, federalnej ustawy o organizacjach przestępczych i skorumpowanych oraz paru innych ustaw federalnych.

- Stara, dobra RICO. Wy, chłopaki, nie daliście sobie bez niej rady.

- O której jutro?

- Jutro zamierzałem prowadzić kampanię. Wybory są za dwa dni.

Patrzyli na tego skacowanego bydlaka, rozczochanego, z oczami podbiegniętymi krwią i chciało im się śmiać, że kandydował do Sądu Najwyższego.

- W południe będziemy w pańskim biurze, w Natchez. Jeśli pan się nie zjawi, postaramy się o nakaz aresztowania. To powinno zrobić wrażenie na wyborcach.

Wymaszerowali z pokoju i zatrzasnęli za sobą drzwi.

Późnym wieczorem Marlin przyszedł tak, jak obiecał. Zamówił kawę, ale jej nie tknął. Clete poprosił o rum z napojem gazowanym. Śmierdziało od niego, jakby to nie był pierwszy kieliszek tego dnia.

- Możemy się ugodzić na pięćdziesiąt, Clete? - zapytał Marlin po długim wpatrywaniu się w biegające wokół kelnerki.

- Nadal się zastanawiam.

- Byli dla ciebie mili ci dwaj fedzie dzisiaj rano?

Clete przyjął to bez zmrużenia oka, niczym nie zdradził zaskoczenia.

- Mili chłopcy - odparł. - Widzę, że senator Rudd znowu działa.

Chce, żeby wygrał Fisk, bo są z tego samego plemienia. Oczywiście, wiemy, że Rudd jest wujem tutejszego prokuratora generalnego, prawdziwego imbecyla, który dostał stanowisko tylko dzięki układom. To pewne, jak wszyscy diabli, że nie dostałby pracy gdzie indziej. Rudd nacisnął na siostrzeńca, a ten nasłał na mnie FBI. Ja odpadam, wyśpiewując

peany na cześć Rona Fiska, a on ogłasza wielkie zwycięstwo. Jest szczęśliwy. Rudd jest szczęśliwy. Wielki biznes jest szczęśliwy. Czyż życie nie jest piękne?

- Trafiłeś prawie w dziesiątkę - powiedział Marlin. - Ale wziąłeś też dwadzieścia tysięcy w gotówce od dealera narkotyków i nie zgłosiłeś tego. Bardzo głupie, ale to nie koniec świata. Senator wszystko może naprawić. Będziesz współpracował, weźmiesz kasę, uklonisz się ładnie i więcej nie usłyszysz o fedziach. Sprawa zamknięta.

Clete popatrzył przekrwionymi oczami w błękitne oczy Marlina.

- Słowo?

- Słowo. Teraz podamy sobie ręce i możesz zapomnieć o spotkaniu w Natchez, w południe.

- Gdzie są pieniądze?

- Na zewnątrz, po prawej. Ten sam zielony mustang. - Merlin delikatnie położył kluczyki na barze. Clete chwycił je i zniknął.

DO WYBORÓW ZOSTAŁO PIĘTNAŚCIE DNI, Barry'ego Rineharta zaproszono na kolację do wietnamskiej knajpki na Bleecker Street. Pan Trudeau żądał uaktualnienia informacji.

Lecąc z Boca, Barry triumfalnie patrzył na wyniki najnowszych sondaży. Fisk był do przodu o szesnaście punktów i nie mógł już stracić prowadzenia. Sprawa z małżeństwem gejów dodała mu cztery punkty. Ataki zwolenników posiadania broni palnej na McCarthy dodały jeszcze trzy. Niezbyt udane pożegnanie Clete'a Coleya - kolejne trzy. Kampania przebiegała gładko. Ron Fisk był koniem pociągowym, który robił wszystko, co kazał mu Tony Zachary. Pieniądzy nie brakowało. Spoty telewizyjne trafiały na wszystkie rynki z doskonałą regularnością. Reakcja na mailing była wprost zaskakująca. Na cele kampanii, od osób ofiarujących małe sumy zebrano trzysta dwadzieścia tysięcy. McCarthy ledwie dawała sobie radę i zostawała coraz bardziej w tyle.

Pan Trudeau, smukły i opalony, zachwycał się najnowszymi wynikami. Szesnastopunktowe prowadzenie zdominowało konwersację przy kolacji. Carl bez przerwy wypytywał Rineharta o statystyki. Czy można im ufać? Jak je sporządzono? Jak się mają do statystyk z innych wyborów prowadzonych przez Barry'ego? W jakiej sytuacji można by stracić prowadzenie? Czy taka wielka przewaga kiedykolwiek spadła?

Barry gwarantował zwycięstwo.

Przez pierwsze trzy kwartały Krane Chemical notowało przygnębiające wyniki sprzedaży i marne dochody. Spółkę prześladowały problemy z produkcją w Teksasie i Indonezji. Zamknięto trzy fabryki, żeby przeprowadzić nieplanowane remonty. Zakład w Brazylii został zamknięty z nieujawnionych powodów, dwa tysiące zatrudnionych osób wyleciało z pracy. Wielkie zamówienia nie były wykonywane. Stali klienci odchodzili wściekli. Działy sprzedaży nie otrzymywały produktów. Konkurencja obniżała ceny i podbierała transakcje. Morale upadło, rozchodziły się plotki o wielkich redukcjach i zwolnieniach.

Carl Trudeau pogłębiał chaos i umiejętnie pociągał za sznurki. Nie robił niczego nielegalnego, ale twórcza księgowość była sztuką, którą opanował już przed wielu laty. Kiedy któraś z jego spółek wymagała słabych wyników, Carl potrafił je zapewnić. W ciągu jednego roku Krane odpisało wielkie sumy na badania i rozwój, przesunęło potężne pieniądze do rezerwy, zapożyczyło się po uszy, zmniejszyło sprzedaż, sabotując produkcję, rozděło

wydatki, sprzedało dwa dochodowe wydziały i z powodzeniem odstręczyło wielu klientów. Przez cały czas Carl koordynował przecieki do prasy. Odkąd zapadł werdykt, Krane nie schodziło z radaru dziennikarzy zajmujących się biznesem. Wszystkie złe wiadomości opisywano z rozmachem. Oczywiście w każdym artykule znajdowały się odniesienia do wielkich problemów prawnych, wobec których stanęła spółka. Po tym, jak Carl umiejętnie wprowadził wtyczkę do prasy, kilkakrotnie wspomniano o możliwym bankructwie.

Rok zaczął się od siedemnastu dolarów za akcję. Dziewięć miesięcy później osiągnięto dwanaście pięćdziesiąt. Na dwa tygodnie przed wyborami Carl gotów był do ostatniego ataku na zmaltretowane udziały Krane Chemical Corporation.

Telefon od Jareda Kurtina wydawał się snem. Wes słuchał z zamkniętymi oczami. To nie mogła być prawda.

Kurt wyjaśnił, że klient kazał mu sprawdzić, czy byłaby możliwa ugoda w sprawie Bowmore. Krane Chemical jest w opłakanym stanie i dopóki powództwo nie zniknie, firma nie stanie na nogach i nie zdoła efektywnie konkurować na rynku. Proponował, żeby wszyscy adwokaci zebrali się w jednym miejscu i rozpoczęli negocjacje. Sprawa jest zawikłana, bo występuje w niej wielu powodów i wiele wątków. Nalegał, żeby Wes i Mary Grace podjęli się kierowania grupą adwokatów, ale szczegóły można dopracować podczas pierwszego spotkania. Nagle okazało się, że czas jest bardzo ważny. Kurtin już zarezerwował salę konferencyjną w hotelu, w Hattiesburgu i chciał, żeby zaczęli obrady w piątek i prowadzili je, jeśli zajdzie taka potrzeba, przez cały weekend.

- Dziś jest wtorek. - Wes ścisnął słuchawkę, aż kostki mu zbieleły.

- Tak, wiem. Jak mówiłem, mojemu klientowi zależy, żeby zacząć jak najwcześniej. Zanim zakończymy, miną tygodnie albo miesiące, ale jesteśmy gotowi, żeby zasiąść za stołem.

Wes też był gotowy. Na piątek wyznaczono mu termin składania zeznań, ale to mógł bez trudu przesunąć.

- Jakie są warunki? - zapytał.

Kurtin korzystał z tej przewagi, że spędził całe godziny na planowaniu. Wes był zaskoczony i podniecony. Ponadto Kurtin miał już doświadczenie w tej materii, znacznie większe niż Wes. Parę razy negocjował już zbiorowe ugody. Wes mógł marzyć o tej jednej.

- Wysłałam list do wszystkich znanych mi adwokatów reprezentujących powodów - oznajmił Kurtin. - Niech pan rzuci okiem na listę i powie mi, czy kogoś nie przeoczyłem. Jak pan wie, ciągle wyskakują nowi. Zaproszeni są wszyscy, ale jeśli damy adwokatom dostęp do mikrofonu, spieprzymy konferencję. Pan i Mary Grace będziecie zabierać głos w imieniu

powodów. Ja w imieniu Krane. Pierwszym wyzwaniem jest ustalenie, kto wystąpił z roszczeniami. Według naszych danych, zgłosiło się około sześciuset osób, z zarzutami od spowodowania śmierci po krwotok z nosa. W liście proszę adwokatów, żeby podali nazwiska zarówno tych klientów, którzy już wystąpili z pozwem, jak i tych, którzy dopiero zamierzają to zrobić. Kiedy już się dowiemy, kto chce załapać się na kawałek placka, czeka nas następne wyzwanie - sklasyfikowanie roszczeń. W przeciwieństwie do niektórych ugod w sprawie spowodowania szkód, w których występuje dziesięć tysięcy ludzi, to da się załatwić, o ile będziemy rozmawiać o roszczeniach indywidualnych. Nasze bieżące informacje mówią o sześćdziesięciu ośmiu zmarłych, stu czterdziestu trzech ciężko, prawdopodobnie śmiertelnie chorych, reszta zapadła na różnego rodzaju schorzenia nie zagrażające życiu.

Kurtin podawał liczby jak korespondent wojenny przekazujący materiał prasowy o bitwie. Wes ograł niesmak, nie był w stanie stłumić w sobie kolejnej wulgarnej uwagi pod adresem Krane Chemical.

- Tak czy inaczej, zaczynamy procedury od przejrzania tych statystyk. Celem jest uzyskanie jednej liczby i zestawienie jej z gotówką, którą mój klient może wydać.

- A jaka to suma?

- Nie teraz, Wes. Poprosiłem wszystkich adwokatów, żeby wypełnili standardowy formularz dla każdego z klientów. Jeśli dostanę komplet dokumentów przed piątkiem, będziemy mogli zaczynać. Przychodzę z całą ekipą. Moi prawnicy procesowi, zespół pomocniczy, a nawet szycha z Krane. No i, oczywiście, jak zwykle, faceci z towarzystw ubezpieczeniowych. Może chciałbyś wynająć większą salę dla swojego sztabu?

Za co wynająć? - omal nie zapytał Wes. Kurtin z pewnością wiedział o jego bankructwie.

- Dobry pomysł - powiedział.

- Jeszcze jedno, Wes. Mojemu klientowi naprawdę bardzo zależy na tajemnicy. Nie ma powodu, żeby to rozgłaszać. Jeśli wycieknie informacja, powodowie, adwokaci i całe Bowmore dostaną białej gorączki. A co się stanie, kiedy negocjacje zakończą się fiaskiem? Zachowajmy to dla siebie.

- Jasne. - Śmieszne. Kurtin zamierzał wysłać listy do ponad dwudziestu kancelarii adwokackich i zachować to w tajemnicy. Babę z kawiarni w Bowmore będzie wiedziała o konferencji w sprawie ugody, zanim zaczną podawać lunch.

Następnego ranka w „Wall Street Journal”, na pierwszej stronie, poszła informacja o przygotowaniach Krane Chemical do ugody. Anonimowe źródło, ktoś, kto pracował dla spółki, potwierdził te pogłoski. Eksperti zaczęli głosić rozmaite opinie, ale ogólnie uznano to

za pozytywne posunięcie ze strony Krane. Wielkie ugody można kalkulować.

Wall Street rozumie tylko twarde statystyki i nie znosi tego, co nieprzewidywalne. Długa była lista zmaltretowanych spółek, które umocniły swoje przyszłe notowania wielkimi ugodami, kosztownymi, ale pozwalającymi wyjść z procesów.

Akcje Krane na otwarciu kosztowały dwanaście siedemdziesiąt pięć, po ciężkim dniu wzrosły o dwa siedemdziesiąt pięć.

Do wczesnego popołudnia w środę telefony dzwoniły bez przerwy, zarówno w Payton & Payton, jak i w innych kancelariach adwokackich. Wieść o ugodzie rozeszła się po mieście i popłynęła przez Internet.

Denny Ott zadzwonił, chciał porozmawiać z Mary Grace. Grupka mieszkańców Pine Grove zebrała się w kościele, żeby się modlić, wymienić plotkami i czekać na cud. To przypominało czuwanie, powiedział. Nic dziwnego, krążyły różne wersje wydarzeń. Wynegocjowano już ugodę i pieniądze są w drodze. Nie, uгода będzie dopiero w piątek, ale na pewno zostanie zawarta. Nie, w ogóle nie będzie ugody, tylko spotkanie adwokatów. Mary Grace wyjaśniła, co się dzieje, i poprosiła Denny'ego, żeby przekazał ludziom jej słowa. Szybko się okazało, że albo ona, albo Wes musi pospieszyć do kościoła i spotkać się z klientami.

W Babe's panował tłok. Uduchowieni amatorzy kawy czekali na ostatnie nowiny. Czy Krane uprzętnie toksyczne składowisko? Ktoś udający autorytet powiedział, że to będzie jeden z warunków ugody. Ile wyniosą odszkodowania w przypadkach śmierci? Ktoś słyszał, że pięć milionów na głowę. Rozpętała się kłótnia. Głos zabierali eksperci. Wkrótce ich zakrzykiwano.

F. Clyde Hardin przyszedł z biura i natychmiast zajął centralne miejsce. Wielu mieszkańców wyśmiewało jego powództwo grupowe. Uważali, że tylko doczepił się do Paytonów. On sam twierdził, że razem ze swoim dobrym kumplem, Sterlingiem Bintzem z Filadelfii, mają prawie trzystu „ciężko i nieodwracalnie poszkodowanych” klientów. Od złożenia pozwu w styczniu nic się nie działo. Jednak teraz F. Clyde momentalnie zyskał na ważności. Wszelkie ugody musiały uwzględniać „jego ludzi”. W piątek zasiądzie przy stole. Razem z Wesem i Mary Grace.

Jeannette Baker stała za ladą sklepu spożywczego na południowym skraju Bowmore, kiedy zadzwoniła Mary Grace.

- Nie podniecaj się - ostrzegła ją dość surowym głosem adwokatka. - To mogą być długie procedury i ewentualna uгода to odległa sprawa. - Jeannette chciała zapytać o wiele rzeczy, ale nie wiedziała, od czego zacząć. Mary Grace będzie o siódmej wieczorem w

kościół, w Pine Grove, żeby porozmawiać z klientami. Jeannette obiecała, że się pojawi.

Pierwsza pod dyskusję trafi sprawa Jeannette Baker warta czterdzieści jeden milionów.

Uгода była zbyt wielką sprawą, żeby Bowmore mogło sobie z nią poradzić. W małych śródmiejskich biurach sekretarki i pośrednicy w handlu nieruchomościami nie rozmawiali o niczym innym. Apatyczny ruch zamarł przy Main Street, bo znajomi i sąsiedzi musieli obok siebie przystanąć i wymienić się plotkami. Urzędnicy w gmachu sądu hrabstwa Cary zbierali pogłoski, jedne upiększali, inne dementowali i przekazywali dalej. W szkołach nauczyciele gromadzili się na przerwach, żeby przekazać sobie najnowsze informacje. Kościół w Pine Grove nie był jedyną świątynią w mieście, gdzie pełni nadziei wierni przychodzili na modlitwę i po poradę. Wielu pastorów w mieście spędziło popołudnie przy telefonie, wysłuchując ofiar Krane Chemical.

Uгода zamknie najstraszniejszy rozdział historii miasta i pozwoli na nowy początek. Napływ pieniędzy wynagrodzi straty tym, którzy ucierpieli. Gotówka trafi w obieg i wywinduje zdychającą gospodarkę. Krane z pewnością będzie musiało oczyścić po sobie teren i kiedy to się stanie, woda pewnie znów zacznie nadawać się do picia. Bowmore z czystą wodą - marzenie prawie niewiarygodne. Hrabstwo pozbędzie się rakowego przydomku.

Uгода była szybkim i ostatecznym końcem koszmaru. Nikt w mieście nie chciał długiego i obrzydliwego procesu. Każdego odstręczała druga rozprawa, taka jak w przypadku Jeannette Baker.

Nat Lester od miesiąca dręczył wydawców i reporterów. Wściekały go kłamliwe ogłoszenia wyborcze, które zalały południową część stanu Missisipi, ale jeszcze bardziej wkurzali go wydawcy, że nie wystąpili przeciwko nim. Przygotował i przeanalizował ogłoszenia Fiska - radiowe, z poczty do wyborców, z Internetu i telewizji. Wytknął każde kłamstwo, każdą półprawdę, manipulację słowami. Oszacował też, opierając się o koszty mailingu, ile pieniędzy wpłynęło na kampanię Fiska. Wyszło, że co najmniej trzy miliony. Uważał, że przeważająca większość gotówki napływa spoza stanu. Nie mógł jednak tego teraz zweryfikować. Trzeba było poczekać, aż skończą się wybory. W nocy raport wysłano pocztą elektroniczną do wszystkich gazet w dystrykcie, potem odbyły się ostre rozmowy telefoniczne. Uaktualniał dane codziennie i znowu przesyłał. Dochodziło do coraz ostrzejszej wymiany zdań. Wreszcie uzyskał efekty.

Ku jego zaskoczeniu i wielkiej satysfakcji, trzy największe gazety w dystrykcie poinformowały go, każda z osobna i oczywiście poufnie, że w najbliższym, niedzielnym

wydaniu zamierzają opublikować zjadliwe wstępniaki na temat kampanii Fiska.

To nie był koniec szczęścia Nata. Sprawa małżeństw osób tej samej płci zyskała uwagę „New York Timesa”. Do Jackson przybył reporter, żeby trochę poszperać. Nazywał się Gilbert i wkrótce trafił do biura wyborczego McCarthy, gdzie Nat poufnie udzielił mu informacji. Podał też Gilbertowi numery telefonów obu gejów studentów, którzy śledzili Meyercheca i Spana.

Zachowując anonimowość, powiedzieli wszystko Gilbertowi i pokazali mu teczkę. Spędzili cztery dni w Chicago i dowiedzieli się mnóstwa rzeczy. Spotkali Meyercheca w jego barze niedaleko Evanston. Skłámali, że są nowi w mieście i szukają przyjaciół. Przesiadali u niego całymi godzinami, upijali się ze stałymi klientami i słowa nie usłyszeli o pozwie w Missisipi. Na zdjęciach w gazetach z Jackson Meyercheck miał blond włosy i nosił śmieszne okulary. W Chicago wyglądał inaczej - ciemniejsze włosy, bez okularów. Jego uśmiechnięta twarz widniała na jednej ze zbiorowych fotografii, które zrobili w barze. Spana odwiedzili w centrum wzornictwa, gdzie pracował jako konsultant dla mniej zamożnych nabywców domów. Udawali, że są nowymi mieszkańcami pobliskiego starego budynku. Spędzili z nim dwie godziny. Spano zwrócił uwagę na ich akcent i zapytał, skąd są. Kiedy odpowiedzieli, że z Jackson, z Missisipi, nie wiedział, jak zareagować.

- Byłeś tam kiedyś?

- Parę razy przejeżdżałem - odparł Spano, zarejestrowany wyborca, kierowca ze stanowym prawem jazdy, człowiek składający apelację do stanowego Sądu Najwyższego. Chociaż Spano nigdy nie widział baru Meyercheca, wyglądało na to, że obaj rzeczywiście stanowią parę.

Mieli ten sam adres w parterowym domu na Clark Street.

Studenci prawa nadal dzwonili do pustego mieszkania w Jackson, składali tam wizyty. Czterdzieści jeden dni wcześniej wepchnęli pod drzwi trochę reklam w szczelinę przy klamce. Nadal tam były, drzwi nie otwierano. Stary saab nie ruszał się z miejsca. Jedną oponę miał przebitą.

Opowieść zafascynowała Gilberta, prześledził ją gorliwie. Próba zawarcia związku małżeńskiego w Missisipi zalatywała cynicznym manewrem, który miał wysunąć temat małżeństw osób tej samej płci na czoło kampanii McCarthy - Fisk. I tylko McCarthy na tym traciła.

Gilbert zadreczęwał adwokata radykała, który reprezentował Meyercheca i Spana, ale niczego się nie dowiedział. Przez dwa dni ścigał Tony'ego Zachary'ego, bez skutku. Na jego telefony do Rona Fiska i do sztabu wyborczego nie odpowiadano. Zadzwoił do dwóch

podstawionych gejów, ale rozmowa szybko się skończyła, kiedy zaczął ich naciskać w sprawie związków z Missisipi. Zebrał jeszcze parę wypowiedzi Nata Lestera i zweryfikował fakty wykopane przez studentów prawa.

Skończył pisać reportaż i przesłał go do redakcji.

PIERWSZY BÓJ ROZGORZAŁ O TO, KOGO MOŻNA WPUŚCIĆ DO SALI. Jared Kurtin, po stronie obrony, dysponował pełnią władzy nad swoim batalionem i tutaj nie było problemów. Awantura toczyła się u przeciwników.

Sterling Bintz przybył wcześniej i z hałasem. Towarzyszyła mu świta, w której skład wchodził młodzi ludzie wyglądający na opryszków. Twierdził, że reprezentuje ponad połowę ofiar z Bowmore i dlatego przysługuje mu rola przewodniczącego obrad. Mówił ostrym, nosowym głosem, z akcentem zupełnie obcym południowemu Missisipi. Wszyscy natychmiast zaczęli nim pogardzać. Wes go usadził, ale tylko na chwilę. F. Clyde Hardin przyglądał się temu z bezpiecznej odległości; kłótnia go bawiła, modlił się o szybką ugodę. Urząd skarbowy już rozsyłał listy polecane.

Ogólnokrajowy gwiazdor odszkodowań z Melbourne Beach na Florydzie przybył ze sztabem pomocników i dołączył się do debaty. On też twierdził, że reprezentuje setki poszkodowanych, a ponieważ jest znawcą ugod tego rodzaju, powinien objąć kierownictwo od strony powodów.

Obaj adwokaci od powództw zbiorowych natychmiast zaczęli się kłócić o podkradanie klientów.

Było też siedemnaście innych kancelarii adwokackich walczących o pozycję. Znalazło się kilka cenionych kancelarii zajmujących się odszkodowaniami, ale większość stanowili małomiasteczkowi prawnicy od wypadków samochodowych, którzy załapali się na parę spraw, wężąc po Bowmore.

Napięcie sięgało szczytu, zanim zdołano rozpocząć zebranie. Najpierw były wrzaski, potem pojawiło się prawdopodobieństwo bijatyki. Kiedy krzyk zrobił się nie do wytrzymania, Jared Kurtin łagodnie przywołał zebranych do porządku i oświadczył, że Wes i Mary Grace Paytonowie zadecydują, kto i gdzie zasiądzie. Jeśli komuś sprawałoby to problemy, to on, jego klient i towarzystwo ubezpieczeniowe wyjdą za drzwi ze wszystkimi pieniędzmi. Zapanował spokój.

Potem podjęto kwestię prasy. Co najmniej trzech reporterów czekało, żeby zdać relację z „tajnego” spotkania. Nie chcieli wyjść. Na szczęście Kurtin postarał się o uzbrojoną ochronę. W końcu reporterów wyprowadzono z hotelu.

Kurtin zaproponował również udział rozjemcy, niezaangażowanej osoby, dobrze znającej się na procedurach i ugodach. Zadeklarował, że za to zapłaci. Wes zgodził się i

Kurtin znalazł emerytowanego sędziego federalnego w Fort Worth, który pracował dorywczo jako mediator. Kiedy tylko adwokaci się uspokoili, sędzia Rosenthal bez problemu przejął kontrolę. Ustalanie kolejności zajmowania miejsc zajęło mu godzinę. On zasiadał na końcu długiego stołu. Po swojej prawej stronie wyznaczył miejsce panu Kurtinowi, jego partnerom, wspólnikom, Frankowi Sully'emu z Hattiesburga, dwóm garniturowym z Krane i jednemu z towarzystwa ubezpieczeniowego. Razem jedenastu z ramienia obrony i dwunastu ścieśnionych za nimi.

Po lewej, naprzeciwko Jareda Kurtina, zasiedli Paytonowie. Obok nich Jim McMay, adwokat z Hattiesburga z czterema przypadkami śmierci z Bowmore. McMay zarobił fortunę na pozwie o pigułki dietetyczne fenphen i uczestniczył w kilku ugodach w powództwach grupowych. Dołączył do niego adwokat z Gulfport, który miał podobne doświadczenie. Inne krzesła zajęli adwokaci ze stanu Missisipi, prowadzący sprawy z Bowmore. Chłopaki od powództw grupowych zostali zepchnięci na ostatnie miejsca. Sterling Bintz wyraził sprzeciw w kwestii rozlokowania obecnych, a Wes ze złością powiedział mu, żeby się zamknął. Kiedy opryszkowie groźnie zareagowali, Jared Kurtin oświadczył, że powództwo grupowe jest najmniej istotną sprawą na liście priorytetów Krane i jeśli Bintz ma nadzieję, że dostanie choćby centa, to niech cicho siedzi i nie przeszkadza.

- Tu nie Filadelfia - powiedział sędzia Rosenthal. - To prawnicy czy ochroniarze?

- I jedni, i drudzy - odszczeknął Bintz.

- Trzymaj ich pan w ryzach.

Bintz usiadł, mamrocząc coś i przeklinając.

Dochodziła dopiero dziesiąta rano, a Wes już czuł się zmęczony. Ale jego żona była gotowa do rozpoczęcia obrad.

Przez trzy godziny bez przerwy przekładali papiery. Sędzia Rosenthal kierował ruchem, kiedy przedstawiano wyciągi z akt klientów, kopiowano je w przyległym pokoju, przeglądano, potem klasyfikowano według arbitralnego systemu sędziego: śmierć to klasa pierwsza, potwierdzony rak - druga, wszystkie pozostałe - trzecia.

Sytuacja patowa powstała, kiedy Mary Grace zaproponowała, żeby Jeannette Baker uzyskała priorytet, a zatem więcej pieniędzy, bo tylko ona stanęła przed sądem. Adwokaci pytali: dlaczego jej sprawa ma być więcej warta niż inne przypadki śmierci?

- Bo stanęła przed sądem - powtórzyła Mary Grace, twardo na nich patrząc. Innymi słowy, prawnicy Baker mieli dość odwagi, żeby podnieść rękę na Krane, podczas gdy inni zwlekali i spokojnie się przyglądali. W miesiącach poprzedzających rozprawę Paytonowie zwracali się co najmniej do pięciu adwokatów obecnych teraz na sali, w tym do Jima

McMaya, i niemal błagali ich o pomoc. Wszyscy odmówili.

- Przyznajemy, że sprawa Baker jest więcej warta - oznajmił Jared Kurtin. - Szczerze mówiąc, trudno przeoczyć werdykt za czterdzieści jeden milionów.

Po raz pierwszy w tym roku Mary Grace uśmiechnęła się do tego człowieka. Mogłaby go nawet uściskać.

O pierwszej zrobili przerwę na dwugodzinny lunch. Paytonowie i Jim McMay schronili się w kącie hotelowej restauracji i spróbowali przeanalizować przebieg zebrania. Pochłaniała ich kwestia intencji Krane. Czy na poważnie chcą ugody? Czy też wykonali wolę, żeby poprawić notowania spółki? Fakt, że ogólnokrajowe gazety wiedziały tak dużo o tajnych rokowaniach w sprawie ugody, powodował, że prawnicy stali się podejrzliwi. Ale jak do tej pory, Kurtin robił jak najlepsze wrażenie człowieka oddanego swojemu posłannictwu. Nie uśmiechali się ani panowie w garniturach od Krane, ani chłopaki od ubezpieczeń. Może to znak, że będą musieli się rozstać z pieniędzmi.

O trzeciej po południu, w Nowym Jorku, Carl Trudeau szepnął słówko, że negocjacje w Missisipi gładko posuwają się do przodu. Krane było optymistycznie nastawione do ugody.

Na zamknięciu tygodnia jego akcje kosztowały szesnaście pięćdziesiąt, poszły o cztery dolary w górę.

O trzeciej po południu, w Hattiesburgu, negocjatorzy ponownie zajęli miejsca, a sędzia Rosenthal znów uruchomił biurokratyczny młyn. Trzy godziny później zakończono wstępne podliczenia. Przy stole reprezentowano roszczenia siedmiuset czworga ludzi. Sześćdziesięcioro ośmioro umarło na raka, a ich rodziny winały za to spółkę Krane. Sto czterdzieścioro troje cierpiało teraz na raka. Reszta miała rozmaite, mniej groźne dolegliwości, które ponoć zostały wywołane skażoną wodą pitną ze stacji pomp w Bowmore.

Sędzia Rosenthal pogratulował obu stronom ciężkiego i produktywnego dnia i odroczył zebranie do soboty rano.

Wes i Mary Grace pojechali prosto do biura i złożyli sprawozdanie w kancelarii. Sherman był w sali cały czas i potwierdził ich spostrzeżenia. Uznali, że Jared Kurtin na polecenie klienta wrócił do Hattiesburga, żeby zawrzeć ugodę w sprawie z Bowmore. Wes przestrzegał, że za wcześnie na radość. Pierwsze dolary były jeszcze daleko od stołu negocjacyjnego.

Mack i Liza prosili, żeby pójść do kina. W połowie seansu, który rozpoczął się o ósmej wieczór, Wes zaczął przysypiać. Mary Grace patrzyła pustym wzrokiem na ekran, żuła prażoną kukurydzę, a w myślach obracała liczbami opowiadającymi o wydatkach na lekarzy, bólu, cierpieniu, utracie bliskich, utracie zarobków, utracie wszystkiego. Nie śmiała

kalkulować w myślach honorariów adwokackich.

W sobotę rano za stołem zasiadło mniej garniturów i krawatów. Nawet sędzia Rosenthal wyglądał całkiem powszednio w czarnej koszuli polo i sportowej marynarce. Kiedy adwokaci wreszcie zajęli miejsca i zapanował spokój, odezwał się gromkim, starym głosem, który huczał kiedyś na wielu rozprawach.

- Proponuję, żebyśmy zaczęli od przypadków śmierci i omówili je do końca.

Z punktu widzenia ugody zgon zgonowi nierówny. Dzieci były warte znacznie mniej niż dorośli, bo nie zarabiali. Młodzi ojcowie byli warci więcej, bo rodzina traciła przyszłe zarobki. Niektórzy cierpieli latami, inni zeszli szybko. Każdy zostawił różną kwotę na rachunkach za lekarzy. Sędzia Rosenthal przedstawił kolejną skalę, była arbitralna, ale przynajmniej pozwalała od czegoś zacząć. Każda sprawa miała być oceniana według wartości. Najdroższe uzyskiwały pięć punktów, najtańsze (dzieci) - jeden. Kilkakrotnie domagano się przerw, bo prawnicy powodów zaczęli się targować. Kiedy wreszcie zapanowała zgoda, jako pierwszą rozpatrzono sprawę Jeannette Baker. Dziesięć punktów. Następna była sprawa pięćdziesięcioletniej kobiety, która pracowała na pół etatu w piekarni i umarła po trzyletniej walce z białaczką. Trzy punkty.

Przedzierali się przez listę, każdy adwokat przedstawiał własnego klienta i walczył o większą liczbę punktów. Przez cały czas Jared Kurtin nie dał po sobie poznać, ile jest skłonny zapłacić za poszczególne przypadki śmierci. Kiedy inni adwokaci dyskutowali, Mary Grace uważnie mu się przyglądała. Jego twarz i gesty nie ujawniały niczego poza głębokim skupieniem.

O wpół do trzeciej skończyli z przypadkami śmierci i przeszli do dłuższej listy powodów, którzy nadal żyli, ale walczyli z rakiem. Tutaj ocena okazała się bardziej skomplikowana. Nikt nie wiedział, ile ci ludzie pożyją i ile wycierpią. Trudno było przewidzieć prawdopodobieństwo śmierci. Szczęśliwcy przetrwają i pozbedą się raka. Dyskusja rozpadła się na kilka zażartych kłótni i od czasu do czasu sędzia Rosenthal tracił głowę, bo nie potrafił zaproponować kompromisu. Gdy dzień miał się ku końcowi, Jared Kurtin zaczął zdradzać oznaki napięcia i frustracji.

Kiedy zbliżała się siódma i sesja szczęśliwie zmierzała ku końcowi, Sterling Bintz nie wytrzymał.

- Nie wiem, czy długo tu jeszcze wysiedzę, żeby przyglądać się tym zabawom - oświadczył arogancko, idąc na swoje miejsce, daleko od sędziego Rosenthala. - Jestem tu od dwóch dni i ani razu nie dopuszczono mnie do głosu. A to oczywiście znaczy, że ignoruje się moich klientów.

Dość tego. Reprezentuję powództwo grupowe ponad trzystu poszkodowanych, a wszyscy jakbyście chcieli ich zrobić w konia.

Wes już chciał udzielić mu reprimendy, ale zrezygnował. Niech gładzi. Tak czy inaczej, mieli odroczyć obrady.

- Nie pozwolę, żeby ignorowano moich klientów - prawie krzyczał. Wszyscy zamarli.
- W jego głosie brzmiało szaleństwo, widać je było, całkiem wyraźnie, w oczach, więc niech się lepiej wygada. - Moi klienci bardzo ucierpieli i nadal cierpią. A was to nie obchodzi. Nie mogę się tu objąć bez końca. Jutro po południu muszę być w San Francisco na kolejnej ugodzie. Mam osiem tysięcy spraw przeciwko Schmeltzerowi o pigułki na wypróżnienie. Więc skoro wszyscy tutaj wydają się zadowoleni, że mogą pogadać o tym i owym, byle nie o pieniądzech, to ja wam powiem, co o tym sądzę.

Słuchali go. Jared Kurtin i chłopaki od pieniędzy wyprostowali się i troszkę zeszytnieli. Mary Grace obserwowała każdą zmarszczkę na twarzy Kurtina. Jeśli ten czubek Bintz zamierzał rzucić jakąś sumę, chciała zobaczyć, jak zareaguje adwersarz.

- Nie zawrę ugody poniżej stu tysięcy za każde powództwo - oświadczył Bintz z szyderczym uśmiechem. - A może i więcej, to zależy od klienta.

Kurtin miał martwą twarz, ale... jak zawsze. Jeden z jego wspólników pokręcił głową, drugi uśmiechnął się głupkowato. Dwóch dyrektorów z Krane zmarszczyło brwi, jakby uważali żądanie Bintza za absurd.

Uwaga o trzydziestu milionach krążyła po sali. Wes szybko podliczył, Bintz dostanie zapewne jedną trzecią, rzuci ochłapy F. Clyde'owi Hardinowi, a potem szybko przejdzie do kolejnej żyły złota z odszkodowaniami.

F. Clyde kulił się w kącie, gdzie siedział już od wielu godzin. W rękę miał papierowy kubek z sokiem pomarańczowym, pokruszonym lodem i setką wódki. W końcu była już prawie siódma i to w sobotę. A tak prostych obliczeń mógł dokonać nawet przez sen. Jego udział to pięć procent od całości honorarium albo pół miliona, jeśli przejdzie dość racjonalny plan, tak odważnie przedstawiony przez jego kolegę adwokata. Według umowy F. Clyde dostawał też po pół tysiąca od każdego klienta, więc przy trzystu powinien otrzymać sto pięćdziesiąt tysięcy. Nie otrzymał. Bintz dał jedną trzecią, ale nie palił się do rozmowy o reszcie należności. Był bardzo zajęтым adwokatem i nieuchwytnym telefonicznie. Pewnie zapłaci, tak jak obiecywał.

F. Clyde upił drinka, buńczuczne oświadczenie odbijało się rykoszetem po sali.

Bintz mówił dalej:

- Nie damy się wmanewrować - zapowiadał. - Chcę, żeby podczas tych negocjacji

sprawy moich klientów weszły pod obrady. A im szybciej, tym lepiej.

- Jutro rano, o dziewiątej - warknął nagle sędzia Rosenthal. - Do tego czasu odraczam zebranie.

„Żaloszna kampania” brzmiał tytuł wstępniaka w niedzielnym wydaniu „Clarion - Ledger”. Wykorzystując raport Nata Lestera, redaktorzy potępiali kampanię Rona Fiska za podstępną propagandę. Oskarżali go o branie milionów od wielkiego biznesu i wykorzystywanie prasy do wodzenia za nos opinii publicznej. Ogłoszenia wyborcze zawierały półprawdy i cytaty całkowicie wyrwane z kontekstu. Strach był jego bronią - strach przed homoseksualistami, przed utratą prawa do posiadania broni, przed seksualnymi drapieżcami. Został potępiony za przypinanie Sheili McCarthy łatki liberała, kiedy w istocie całe jej orzecznictwo, które redaktorzy przestudiowali, może być uważane wyłącznie za umiarkowane. Smagali Fiska za obietnice przyszłych orzeczeń w sprawach, z którymi najpierw musiałby zapoznać się jako sędzia.

„wstępniak potępiał także cały system wyborczy. Oboje kandydatów zebrało i wydało tyle pieniędzy, że uczciwa i bezstronna decyzja była zagrożona. Jak Sheila McCarthy, która do tej pory otrzymała półtora miliona od adwokatów, ma zapomnieć o tych pieniądzach, kiedy ci sami adwokaci pojawią się przed Sądem Najwyższym?

W zakończeniu wzywali do rezygnacji z wybierania sędziów i zastąpienia tego systemem, w którym bezstronne ciało mianuje ludzi zasługujących na to stanowisko.

„Sun Herald” z Biloxi był jeszcze bardziej nieprzyjemny. Oskarżał kampanię Fiska o proste oszustwo, a jako przykład podawał mailing dotyczący Darrela Sacketta. Sackett nie żyje od czterech lat, więc nie grasuje na wolności. Nat Lester dowiedział się tego po kilku szybkich telefonach.

„Hattiesburg American” opublikował apel, żeby kampania Fiska powściągnęła negatywną propagandę i oszukańcze ogłoszenia i przed dniem wyborów ujawniła donacje od wielkich darczyńców spoza stanu. Wzywała oboje kandydatów do prowadzenia czystej gry i uszanowania godności Sądu Najwyższego.

Na trzeciej stronie działu A „New York Timesa” znalazł się reportaż Gilberta ilustrowany zdjęciami Meyercheca i Spana oraz Fiska i McCarthy. Przedstawiał z grubsza kampanię wyborczą, potem skoncentrował się na małżeństwie gejów, problemie stworzonym i wrzuconym w tryby maszyny wyborczej przez dwóch ludzi z Illinois. Gilbert starannie zebrał dowody na to, że obaj mężczyźni byli od dawna mieszkańcami Chicago i nie mieli w rzeczywistości żadnych związków z Missisipi. Nie snuł domysłów, czy zostali wykorzystani przez konserwatywnych działaczy politycznych do sabotowania McCarthy. Nie musiał.

Puenta zawierała się w ostatnim akapicie. Zacytowano Nata Lestera. „Ci faceci to pionki wykorzystywane przez Rona Fiska i jego popleczników, żeby stworzyć nieistniejący problem. Ich celem jest podburzyć prawicowych chrześcijan i zagnać ich na wybory”.

Ron i Doreen Fiskowie siedzieli przy stole w kuchni. Zapomnieli o porannej kawie. Kolejny raz czytali wstępniaka z Jackson i wściekali się. Kampania szła zbyt gładko. Przdowali w badaniach opinii. Za dziewięć dni zwyciężą. To dlaczego, niespodziewanie, w największych gazetach stanu opisali Rona jako „oszusta bez honoru”? To był bolesny, upokarzający policzek, którego nikt się nie spodziewał. I z pewnością Ron, uczciwy, rzetelny, przyzwoity chrześcijanin, na niego nie zasłużył.

Zadzwoił telefon, Ron chwycił słuchawkę. Odezwał się zmęczony głos Tony'ego.

- Czytałeś gazetę z Jackson?

- Tak, właśnie mamy ją przed sobą.

- Widziałeś tę z Hattiesburga i „Sun Herald”?

- Nie, a co?

- Czytałeś „New York Timesa”?

- Nie.

- Przejrzyj je online. Zadzwoń do mnie za godzinę.

- Jest źle?

- Tak.

Czytali oburzeni przez kolejną godzinę, potem postanowili nie iść do kościoła. Ron czuł się zdradzony i zawstydzony, nie był w nastroju, żeby wychodzić z domu. „według ostatnich danych dostarczonych przez ankierów z Atlanty objął zdecydowane prowadzenie. Teraz jednak uważał, że klęska jest pewna. Żaden kandydat nie przetrwa takiego lania. Winił liberalną prasę. Winił Tony'ego Zachary'ego i tych, którzy prowadzili kampanię. Winił też siebie, za naiwność. Dlaczego tak bardzo zaufał obcym ludziom?

Doreen zapewniała męża, że to nie jego wina. Oddał się tak całkowicie prowadzeniu walki wyborczej, że miał za mało czasu, żeby doglądać innych spraw. Każda kampania jest chaotyczna. Nikt nie zdoła monitorować wszystkich pracowników i wolontariuszy.

Ron wyładował się na Tony'ego podczas długiej i nerwowej rozmowy telefonicznej.

- Upokorzyłeś mnie i moją rodzinę - powiedział. - Teraz boję się wychodzić z domu. Myślę o złożeniu rezygnacji.

- Nie możesz się wycofać, Ron. Za dużo zainwestowałeś. - Tony próbował opanować panikę i wesprzeć na duchu swojego chłopaka.

- W tym problem, Tony, że pozwoliłem wam zebrać za dużo pieniędzy i teraz nad

nimi nie zapanujecie. Wstrzymajcie wszystkie spoty telewizyjne.

- To niemożliwe, Ron. Są już na antenie.

- Więc nie mam kontroli nad własną kampanią, co, Tony?

- To nie takie proste.

- Nie wyjdę z domu. Natychmiast zdejmij wszystkie spoty. A ja zadzwonię do wydawców gazet. Przyznam się do pomyłki.

- Ron, daj spokój.

- To ja jestem szefem, Tony. To moja kampania.

- Tak, i wygrasz. Tylko nie spieprz niczego na dziewięć dni przed terminem.

- Wiedziałeś, że Darrel Sackett nie żyje?

- Hm, ja naprawdę nie mogę...

- Odpowiedz, Tony. Wiedziałeś?

- No... właściwie...

- Wiedziałeś i z rozmysłem puściłeś fałszywy spot, prawda?

- Nie ja...

- Zwalniam cię, Tony.

- Nie przesadzaj, Ron. Uspokój się.

- Jesteś zwolniony.

- Będę u ciebie za godzinę.

- Masz tu się zjawić jak najszybciej.

- Właśnie wychodzę. Nie rób niczego, zanim nie przyjadę.

- Natychmiast dzwonię do wydawców.

- Nie, Ron. Proszę. Poczekaj na mnie.

Adwokaci mieli mało czasu na czytanie gazet w niedzielny poranek. O ósmej rano zebrali się w hotelu na zapewne najważniejsze posiedzenie. Jared Kurtin nie sugerował, jak długo może negocjować, zanim wróci do Atlanty, ale było pewne, że pierwsza runda skończy się w niedzielne popołudnie. Poza trzydziestoma milionami sugerowanymi poprzedniego wieczoru przez Sterlinga Bintza nie rozmawiali jeszcze o pieniądzach. Teraz nadszedł czas, by to zmienić. Wes i Mary Grace zamierzali zakończyć ten dzień, mając ogólne pojęcie, ile warte są klasa pierwsza i klasa druga.

O wpół do dziewiątej wszyscy adwokaci powodów byli na miejscu. Większość zebrała się w grupki i prowadziła poważne rozmowy, wszyscy ignorowali Sterlinga Bintza, który z kolei ignorował całe towarzystwo. Jego świta nie zmieniła składu. Nie odzywał się do adwokata z Melbourne Beach ani do specjalisty od powództw grupowych. Sędzia Rosenthal

przybył za kwadrans dziewiąta i skomentował nieobecność strony pozwanej. Adwokaci wreszcie to zauważyli. Naprzeciwko nich nikt nie siedział. Wes wystukał numer telefonu Jareda Kurtina, ale wysłuchał tylko nagrania.

- Uzgodniliśmy spotkanie na dziewiątą, prawda? - zapytał Rosenthal za pięć dziewiątą.

Czekali, a czas płynął coraz wolniej.

O dziewiątej dwie Frank Sully, miejscowy adwokat reprezentujący Krane, wszedł do sali. Trochę zmieszany i jakby zawstydzony.

- Mój klient postanowił zawiesić negocjacje do odwołania - oznajmił. - Bardzo przepraszam za ten kłopot.

- Gdzie Jared Kurtin? - zapytał sędzia Rosenthal.

- Właśnie teraz leci do Atlanty.

- Kiedy pański klient podjął tę decyzję?

- Nie wiem, poinformowano mnie o tym godzinę temu. Bardzo przepraszam, panie sędzio. Proszę o wybaczenie wszystkich obecnych.

Sala zawirowała, jakby się przechyliła, jakby jedna strona powoli opadła pod ciężarem tego nagłego zwrotu wypadków. Adwokaci oszołomieni faktem, że wymyka im się łup, którym mieli się podzielić, rzucili pióra i wstrząśnięci gapili się na siebie. Rozlegało się sapanie.

Przeklinano pod nosem, ale wyraźnie. Ramiona opadały. Mieli ochotę rzucić czymś w Sully'ego, ale on był stąd i już od dawna wiedzieli, że nic od niego nie zależy.

F. Clyde Hardin wytarł twarz mokrą od potu i dzielnie zmusił się do powstrzymania wymiotów.

Nagle wszyscy rzucili się do wyjścia. Mogliby zwariować, gdyby zostali w sali, gapiąc się na puste krzesła, niedawno zajmowane przez mężczyzn będących obietnicą dużych pieniędzy. Szybko zebrali stosy akt, wypchali nimi teczki i szorstko się pożegnali.

Wes i Mary Grace nic nie mówili, jadąc do domu.

W PONIEDZIAŁKOWY RANEK „WALL STREET JOURNAL” OBWIEŚCIŁ NOWINĘ o załamaniu się negocjacji w Hattiesburgu. Artykuł na drugiej stronie napisał reporter, który dysponował jakimś bardzo dobrym źródłem z Krane Chemical - winą obciążono adwokatów powodów. „Ich żądania były po prostu nierealne. Poszliśmy tam w dobrej wierze i niczego nie osiągnęliśmy”. Inny anonimowy rozmówca powiedział: „To beznadziejna sprawa. Po werdykcie każdy adwokat myśli, że ugoda warta jest czterdzieści milionów dolarów”. Pan Watts, dyrektor generalny Krane, oświadczył: „Jesteśmy bardzo rozczarowani. Chcieliśmy mieć ten proces za sobą i pójść naprzód. Teraz nasza przyszłość stoi pod znakiem zapytania”.

Carl Trudeau przeczytał artykuł online o wpół do piątej rano, w swoim penthousie. Roześmiał się i zatarł ręce, oczekując bardzo zyskownego tygodnia.

Wes dzwonił całe rano do Jareda Kurtina, ale wielki człowiek był ciągle nieuchwytny. W jego komórce odzywała się poczta głosowa. W końcu sekretarka Kurtina zrobiła się niegrzeczna, ale Wes też. I on, i Mary Grace poważnie wątpili, żeby dzikie roszczenia ze strony Sterlinga Bintza wystraszyły Krane. Łagodnie mówiąc, ta jego sugestia - trzydzieści milionów - stanowiłaby częśćkę jakiegokolwiek akceptowalnej ugody.

Kiedy informacja dotarła wreszcie do Bowmore, została przyjęta jak kolejna plaga.

W sztabie McCarthy Nat Lester pracował przez całą noc i nadal był podminowany, kiedy Sheila przybyła jak zwykle o wpół do dziewiątej. Właśnie rozsyłał e - mailem artykuł z „Timesa” do wszystkich gazet w dystrykcie i obdzwaniał dziennikarzy, gdy weszła z wypoczętą miną i poprosiła o sok ananasowy.

- Dostało się błaznom! - oświadczył triumfalnie. - Wpadli we własne sidła.
- Moje gratulacje.
- Rozsyłamy wstępniaki i artykuł z „Timesa” do każdego zarejestrowanego wyborcy.
- Ile to kosztuje?
- Czy to ważne? Został nam tydzień, nie możemy liczyć każdego centa. Jesteś gotowa?
- Wychodzę za godzinę.

W ciągu najbliższego tygodnia miała objechać trzydzieści cztery miejscowości w dwudziestu hrabstwach, co było możliwe dzięki king airowi pożyczonemu przez jednego z adwokatów i małemu odrzutowcowi drugiego. Błyskawiczna kampania została

skoordynowana przez Nata i miała się odbyć z pomocą nauczycieli, szefów związków zawodowych, przywódców czarnych i oczywiście adwokatów. Do Jackson planowała powrót dopiero po wyborach. Podczas tych podróży, dystrykt zamierzano zalać ostatnią rundą jej spotów.

Do czasu zakończenia liczenia głosów miały być wydane wszystkie pieniądze. Modliła się, żeby nie wpaść w długi.

W poniedziałek rano Ron wreszcie wyszedł z domu, ale nie pojechał do biura. Udał się z Doreen do Jackson, do siedziby Wizji Sprawiedliwości na kolejne długie i stresujące spotkanie z Tonym Zacharym.

W niedzielne popołudnie cztery godziny wałkowali sprawę przez telefon i nie doszli do żadnych istotnych wniosków. Ron zawiesił kampanię do czasu, kiedy odzyska dobre imię. Wyrzucał Tony'ego co najmniej cztery razy, ale nadal rozmawiali.

Przez cały dzień, aż do niedzieli wieczór, Tedford w Atlancie zażarcie sondował opinię. Do poniedziałku rano były już wstępne wyniki. Mimo huraganowego ognia oskarżeń Ron Fisk nadal wyprzedzał Sheilę McCarthy o trzy punkty. Sprawa małżeństwa gejów przyciągnęła wyborców, z których większość nadal wołała bardziej konserwatywnego kandydata.

Ron nie wiedział, czy może ufać ludziom zatrudnionym przy jego kampanii, ale nowe badania opinii trochę poprawiły mu humor.

- Wygrywasz, Ron - powtarzał Tony. - Nie zepsuj tego.

Wreszcie doszli do porozumienia. Ron nalegał, żeby to spisać, jak wynegocjowany kontrakt. Po pierwsze, Ron nie rezygnuje z udziału w wyborach. Po drugie, Tony zachowuje stanowisko kierownika kampanii. Po trzecie, Ron spotka się z redaktorami gazet, przyzna się do błędów i obieca, że przez pozostałych osiem dni kampania będzie prowadzona zgodnie z zasadami przyzwoitości. Po czwarte, żadna literatura propagandowa, żadne ogłoszenie, spot telewizyjny, żaden list do wyborców, audycja radiowa, w ogóle nic nie ujrzy światła dziennego, dopóki nie zatwierdzi tego Ron.

Kiedy znowu zostali kumplami, zjedli szybki lunch w Capitol Grill, a potem Ron i Doreen odjechali do domu. Byli dumni z siebie i palili się do dalszych działań. Czuli już zapach zwycięstwa.

Barry Rinehart przybył do Jackson w poniedziałek, w południe i założył bazę w największym apartamencie śródmiejskiego hotelu. Postanowił, że nie wyjedzie z Missisipi do końca wyborów.

Czekał niecierpliwie na przybycie Tony'ego z wieścią, że nadal mają konia w tych

wyścigach. Jak na człowieka, który szczycił się, że pozostaje opanowany bez względu na okoliczności, przez ostatnią dobę był jednym kłębkim nerwów. Prawie nie spał. Gdyby Fisk zrezygnował, kariera Rineharta albo doznałaby poważnego uszczerbku, albo kompletnie by się załamała.

Tony wszedł do apartamentu szeroko uśmiechnięty. Obaj prawie się roześmiali. Zaraz zaczęli obliczać, ile czasu antenowego kupili w telewizji, i planować kampanię wyborczą. Mieli gotówkę, żeby zalać dystrykt ogłoszeniami, a skoro pan Fisk życzył sobie, żeby to była wyłącznie pozytywna kampania, proszę bardzo.

Reakcja rynku na wiadomość o ugodzie była szybka i obrzydliwa. Krane zaczął dzień z ceną piętnaście dwadzieścia pięć, a do południa sprzedawano jego akcje po dwanaście siedemdziesiąt pięć. Carl Trudeau przyglądał się spadkowi z radością. Wartość jego korporacji kurczyła się z minuty na minutę. Żeby podkreślić strach i szaleństwo, zorganizował zebranie dyrektorów Krane i adwokatów zajmujących się planami bankructwa spółki, potem przemycił tę wiadomość do prasy.

We wtorkowy poranek dział gospodarczy „New York Timesa” zamieścił artykuł, w którym prawnik spółki powiedział: „Prawdopodobnie jeszcze w tym tygodniu wystąpimy z wnioskiem o upadłość. Po raz pierwszy od dwudziestu lat akcje spadły poniżej dziesięciu dolarów i zaczęto je sprzedawać po około dziewięć pięćdziesiąt”.

We wtorek Meyerchec i Spano przylecieli do Jackson prywatnym odrzutowcem. Kierowca zawiózł ich do kancelarii adwokata, gdzie spotkali się z reporterem z „Clarion - Ledger”. Podczas godzinnego wywiadu, w którym ganili artykuł Gilberta, potwierdzali, że są nowymi obywatelami stanu i rozwodzili się nad tym, jak ważny jest ich pozew, teraz przesłany do Sądu Najwyższego Missisipi. Przez cały czas trzymali się za ręce i pozwali do zdjęć dla gazety.

Tymczasem Barry Rinehart i Tony Zachary ślęczeli nad wynikami ostatniego badania opinii. Szesnastopunktowe prowadzenie Fiska spadło do pięciu punktów. Takiego spadku w ciągu jednej doby Barry jeszcze nie widział. Ale był zbyt doświadczonym człowiekiem, żeby wpadać w panikę. Tony jednak już nie wytrzymał.

Postanowili zreorganizować kampanię telewizyjną. Zrezygnowali z napastliwego spotu o Darrelu Sacketcie i drugiego, o nielegalnych imigrantach. Przez kolejne trzy dni będą się trzymać małżeństwa gejów i chwały prywatnego oręża. Podczas weekendu przejdą do pozytywnych spotów, żeby wyborcy zaczęli żywić wobec Rona Fiska i jego prostolinijności przyjazne i ciepłe uczucia.

Tymczasem listonosze z południa Missisipi będą codziennie dostarczać tony literatury

propagandowej, aż do końca kampanii.

Wszystko, oczywiście, za aprobatą pana Fiska.

Po kilku szkicach Denny Ott zakończył pisanie listu i poprosił żonę, żeby przeczytała. Kiedy zaaprobowała treść, zaniósł go na pocztę. Pisał w nim:

„Szanowny Bracie Tedzie,

Wysłuchałem Twojej niedzielnej mszy nadawanej na żywo przez radiostację WBMR. Bardzo przypominała mowę wyborczą. Testem pewien, że potępienie homoseksualizmu to standard w Twoich kazaniach i nie będę tego komentować. Mimo to atak na liberalnych sędziów, na dziewięć dni przed wyborami był niczym innym jak diatrybą wymierzoną w Sheilę McCarthy, której oczywiście ani razu nie wymieniłeś z nazwiska. Atakując panią McCarthy, wsparłeś jej konkurenta.

Takich politycznych wystąpień prawo zakazuje wprost, szczególnie zaś nie pozwalają na to przepisy skarbowe. Kościół Żniw, jako organizacja charytatywna, nie ma prawa podejmować działalności politycznej. W przeciwnym razie można się narazić na utratę statusu organizacji non profit, co byłoby katastrofalne w skutkach dla każdego kościoła.

Z dobrych źródeł dowiedziałem się, że wszyscy miejscowi pastory, którzy należą do Twojej Koalicji Bractw, angażują swoje kościoły w kampanię wyborczą. Jestem pewien, że to fragment dobrze skoordynowanej kampanii, mającej na celu wybranie Rona Fiska. Nie wątpię, że w najbliższą niedzielę zarówno Ty, jak i inni wykorzystacie kazalnicę, żeby zachęcać swoich wiernych do głosowania na niego.

Pan Fisk jest narzędziem w rękach wielkiego biznesu, który chce wsadzić do naszego Sądu Najwyższego sędziów chroniących korporacyjnych złoczyńców i ograniczyć prawo do odszkodowań. Ucierpią tylko maluczcy - Twój i moi ludzie.

Ostrzegam Cię, że w tę niedzielę będę słuchał i patrzył. I bez wahania powiadomię urząd skarbowy, gdybyś kontynuował swoją nielegalną działalność.

W Chrystusie Twój,

Denny Ott”

W czwartek, w południe, pracownicy kancelarii Paytonów spotkali się na wspólnym lunchu, żeby dokonać przeglądu najnowszych wydarzeń kampanii. Na ścianie wspólnej salki Sherman powiesił w chronologicznej kolejności plakaty wyborcze wypuszczone do tej pory przez Rona Fiska. Było też sześć całostronicowych ogłoszeń z gazet i pięć listów do wyborców. Zbiór uzupełniano codziennie, bo drukarnie Fiska pracowały po godzinach.

Przegląd robił przygnębiające wrażenie.

Posługując się planem Hattiesburga i listą wyborców, Sherman wziął na siebie okolice

uniwersytetu. Będzie chodził od drzwi do drzwi z Tabby. Rusty pójdzie z Vicky, a Wes z Mary Grace. Przez pięć dni mieli do obejścia dwa tysiące mieszkań. Olivia postanowiła zostać przy telefonie. Trochę za bardzo dokuczał jej artretyzm, żeby mogła chodzić po ulicach.

Inne zespoły - wiele z nich zostało zorganizowanych przez kancelarie miejscowych adwokatów - miały zabiegać o głosy w innych dzielnicach Hattiesburga i na przedmieściach. Poza wręczaniem materiałów McCarthy większość wolontariuszy będzie rozdawać broszury sędziego Thomasa Harrisona.

Perspektywa pukania do setek drzwi została dobrze przyjęta, przynajmniej przez Wesa i Mary Grace. Od poniedziałku w biurze panował grobowy nastrój. Fiasko ugody odebrało im ducha. Ciągła gadanina o tym, że Krane złoży wniosek o upadłość, po prostu ich przerażała. Byli rozproszeni i nerwowi, oboje potrzebowali kilku dni wypoczynku.

Ostatni manewr koordynowany był przez Nata Lestera. Przypisano po jednym wolontariuszu do każdego obwodu w dwudziestu siedmiu hrabstwach, a Nat miał ich numery komórek. Zaczął do wszystkich wydzwaniać w czwartkowe popołudnie. Zamierzał prześladować ich aż do poniedziałkowego wieczoru.

List został dostarczony do kościoła w Pine Grove przez posłańca. Brat Tad pisał:

„Szanowny Pastorze,

Jestem wzruszony Twoją troską i zachwycony, że zainteresowały Cię moje kazania. Słuchaj ich uważnie, a pewnego dnia zrozumiesz, że Jezus Chrystus jest Twoim osobistym Zbawcą. Do tej chwili będę się nieustannie modlił za Ciebie i wszystkich, których wodzisz na manowce.

Bóg zbudował naszą świątynię czternaście lat temu, potem spłacił hipotekę. Doprowadził mnie do kazalnicy i co tydzień przemawia do swojej ukochanej trzódki moimi ustami.

Przygotowując kazania, słucham wyłącznie Jego. To On potępia homoseksualizm, tych, którzy go praktykują, i tych, którzy ich wspierają. Tak jest napisane w Biblii. Proponuję, żebyś poświęcił więcej czasu na jej czytanie.

Nie musisz tracić czasu i zamartwiać się o mnie i mój kościół. Z pewnością sam masz mnóstwo pracy w Pine Grove.

Będę nauczał o tym, co uznaję za stosowne. Złóż donos do urzędu skarbowego. Bóg jest po mojej stronie i nie mam się czego obawiać.

Chwała Panu,

Brat Ted”

DO PIĄTKU W POŁUDNIE BARRY RINEHART TAK PODKREŚCIŁ WYNIKI ANKIET, że mógł bez obaw zadzwonić do pana Trudeau. Fisk miał siedem punktów przewagi i chyba odzyskał impet. Barry nie miał skrupułów, żeby trochę zaokrąglić dane i podnieść na duchu wielkiego człowieka. Przecież i tak kłamał cały tydzień. Pan Trudeau nigdy się nie dowie, że mało brakowało, a kandydat straciłby całą szesnastopunktową przewagę.

- Prowadzimy dziesięcioma punktami - oznajmił Barry pewnym głosem. Dzwonił z apartamentu w hotelu.

- Więc po sprawie?

- Nie słyszałem o kampanii, w której prowadzący straciłby dziesięć punktów przez ostatni weekend przed wyborami. A przy tych pieniądzach, jakie wydajemy na media, sądzę, że jeszcze zyskamy.

- Dobra robota, Barry - pochwalił Carl i rozłączył się.

Kiedy Wall Street czekało na wiadomość, że Krane Chemical złożył wniosek o upadłość, Carl Trudeau w prywatnej transakcji kupił pięć milionów akcji spółki. Sprzedającym był menedżer funduszu zarządzającego portfelem emerytalnym pracowników publicznych z Minnesoty. Carl od miesiąca obniżał ceny akcji i menedżer w końcu dał się przekonać, że Krane to beznadziejny przypadek. Sprzedał akcje po jedenaście dolarów sztuka i czuł się szczęściarzem.

Potem Carl wprowadził w życie plan skupienia jeszcze pięciu milionów. Jego tożsamość jako nabywcy miała pozostać ukryta przez dziesięć dni, dopóki transakcja nie zostanie zgłoszona komisji giełdowej.

Do tego czasu, oczywiście, wybory już się odbędą.

Przez rok po werdykcie, w tajemnicy i metodycznie zwiększał liczbę swoich udziałów w spółce. Z pomocą zagranicznych trustów, panamskich banków, dwóch spółek marionetek w Singapurze i fachowej porady szwajcarskiego bankowca Trudeau Group weszła już w posiadanie sześćdziesięciu procent Krane. Nagły skok na kolejnych dziesięć milionów udziałów miały podnieść stan posiadania Carla do siedemdziesięciu siedmiu procent.

O wpół do trzeciej, w piątek, Krane wypuściło krótką informację dla prasy z oświadczeniem, że „wniosek o upadłość został odroczony na czas nieograniczony”.

Barry Rinehart nie śledził informacji z Wall Street. Niewiele interesowało go Krane

Chemical i jego finansowe działania. Przez najbliższe trzy doby na jego monitorze znajdują się co najmniej trzy istotne sprawy i żadnej z nich nie wolno mu zaniedbać. Ale po pięciu dniach spędzonych w pokoju hotelowym musiał się rozruszać.

Prowadził Tony, jechali z Jackson prosto do Hattiesburga. Tam Barry dokonał szybkiego przeglądu najważniejszych obiektów: budynku sądu okręgowego hrabstwa Forrest, gdzie zapadł werdykt, na w pół opuszczonego centrum handlowego, które Paytonowie nazywali swoim biurem - sąsiadowało ze sklepem sportowym Kenny's Karate i sklepem monopolowym - i paru dzielnic, gdzie plakaty Rona Fiska przewyższały liczbą plakaty Sheili McCarthy w stosunku dwa do jednego. Zjedli obiad w śródmiejskiej restauracji 206 Front Street, a o siódmej wieczór zaparkowali przed Red Green Coliseum na kampusie uniwersyteckim. Przez pół godziny siedzieli w samochodzie i przyglądali się, jak ludzie masowo zjeżdżają się furgonetkami, wynajętymi szkolnymi autobusami, autokarami wycieczkowymi, a na burtach każdego pojazdu dumnie widniała nazwa parafii. Byli z Purvis, z Poplarville, Lumberton, Bowmore, Collins, Mount Olive, z Brooklynu i z Sand Hill.

- Niektóre miasta są o godzinę drogi stąd - powiedział z satysfakcją Tony.

Wierni wysiadali na parkingu przed stadionem i pośpiesznie wchodzili do środka. Wielu niosło niebiesko - białe tablice z napisem „Ratujmy rodzinę”.

- Skąd je wzięłeś? - zapytał Tony.

- Z Wietnamu.

- Z Wietnamu?

- Kupiłem po dolarze dziesięć. Razem pięćdziesiąt tysięcy. Chińska spółka chciała dolca trzydzieści.

- Miło wiedzieć, że oszczędzamy.

O w pół do ósmej Rinehart i Zachary weszli na stadion i pośpieszyli na koronę, jak najdalej od podekscytowanego tłumu, siedzącego niżej. Przy końcu boiska ustawiono scenę z wielkimi transparentami „Ratujmy rodzinę”. Znany kwartet białych wykonawców gospel - cztery tysiące pięćset za wieczór, piętnaście tysięcy za weekend - zagrzewał tłum. Na parkiecie, w równych rzędach stały tysiące krzeseł. Ludzie, którzy na nich siedzieli, byli w radosnych nastrojach.

- Ile miejsc siedzących liczy stadion? - zapytał Barry.

- Osiem tysięcy - powiedział Tony, rozglądając się po arenie. Kilka sektorów za sceną było pustych. - Razem z miejscami na parkiecie około dziewięciu tysięcy ludzi.

Barry wyglądał na zadowolonego.

Mistrzem ceremonii był miejscowy kaznodzieja, który uciszył tłum długą modlitwą.

Pod koniec modłów wielu parafian machało wysoko wyciągniętymi rękami, jakby sięgali nieba. Modlili się żarliwie, mrużąc i szepcząc. Barry i Tony tylko patrzyli. Cieszyli się, że nie muszą w tym brać udziału.

Kwartet rozplomienił wiernych kolejną pieśnią, a potem miejsce zajęli czarni wykonawcy gospel - pięćset dolarów za wieczór - z hałaśliwą interpretacją Zrodzonego do modłów. Pierwszy głos zabrał Walter Utley z Waszyngtonu, przedstawiciel Ligi Amerykańskich Rodzin. Kiedy wszedł na podium, Tony przypomniał sobie pierwsze spotkanie z nim, sprzed dziesięciu miesięcy, kiedy z Ronem Fiskiem poznawali ludzi. Wydawało się, że minęły całe lata. Utley nie był kaznodzieją ani dobrym mówcą. Zanudził słuchaczy długą listą zła pichconego w Waszyngtonie. Gromił sądy, polityków i całe watahy podłych ludzi. Kiedy skończył, tłum klaskał i machał tablicami.

Znowu muzyka. Kolejna modlitwa. Gwiazdą wiecu był David Wilfong, działacz chrześcijański z talentem do wciskania się we wszystkie ważniejsze dyskusje o Bogu. Codziennie dwadzieścia milionów ludzi słuchało jego audycji radiowych. Wielu wysyłało mu pieniądze, kupowało jego książki i taśmy. Był wykształconym, wyświęconym kapłanem o płomiennym gorączkowym głosem. W kwadrans sprawił, że zgromadzeni urządzili mu owację na stojąco. Potępił niemoralność na każdym froncie, ale najcięższe działa wytoczył przeciwko gejom i lesbijkom pragnącym zawrzeć małżeństwa. Ludzie nie mogli usiedzieć spokojnie. Mieli szansę wyrazić sprzeciw, więc robili to bez skrępowania. Co trzy zdania Wilfong musiał czekać, aż oklaski ucichną.

Płacono mu pięćdziesiąt tysięcy dolarów od weekendu. Przed miesiącami te pieniądze wypłynęły z wnętrzości Trudeau Group. Ale żaden człowiek nie zdołałby odkryć ich pochodzenia.

Po dwudziestu minutach występów Wilfong przerwał, żeby dokonać specjalnej prezentacji. Stadion zatrząsł się, kiedy Ron i Doreen Fiskowie weszli na scenę. Ron przemawiał pięć minut. Prosił o głosy we wtorkowych wyborach i modlitwę. Rozszalała się gromka owacja na stojąco. Ron i Doreen machali rękami, triumfalnie potrząsali pięściami, potem poszli na drugą stronę sceny, a tłum aż tupał z zachwytu.

Barry Rinehart z trudem ukrywał rozbawienie. Z wszystkich jego dzieł Ron Fisk był najbliższy ideału.

Następnego dnia i w niedzielę w całym południowym Missisipi ratowano rodziny. Utley i Wilfong ściągali tłumy, oczywiście wielbiące Rona i Doreen.

Ci, którzy postanowili nie jechać kościelnym autobusem na wiec, byli bombardowani bezlitosną propagandą z telewizji, a listonosz obrzucał domy ulotkami wyborczymi.

Kiedy jawna część kampanii nabrała imponujących obrotów, Marlin zajął się krecią robotą. Kilkunastu agentów pod jego nadzorem rozeszło się po dystrykcie, żeby odnowić stare kontakty. Odwiedzali wiejskich nadzorców na fermach, czarnych pastorów w kościołach, gajowych w gajówkach. Przeglądali spisy rejestracyjne wyborców. Uzgadniali liczby. Worki z gotówką przechodziły z rąk do rąk. Taryfa wynosiła dwadzieścia pięć dolarów za głos. Niektórzy nazywali to pieniędzmi na benzynę, jakby chcieli wykazać uczciwy wydatek.

Agenci pracowali dla Rona Fiska, chociaż on sam nic nie wiedział o ich działaniach. Podejrzenia zaczęły się po przeliczeniu głosów, kiedy Fisk zdobył oszałamiającą ich liczbę w okręgach zamieszkałych przez czarnych, ale Tony uspokoił go, mówiąc, że to za sprawą paru mądrych ludzi, którzy znają się na rzeczy.

Czwartego listopada głosy oddało dwie trzecie wyborców zarejestrowanych w południowym dystrykcie. O siódmej wieczór, kiedy zamknięto lokale wyborcze, Sheila McCarthy pojechała prosto do Biloxi Rivera Casino, gdzie jej wolontariusze przygotowywali się do przyjęcia. Nie wpuszczono reporterów. Pierwsze wyniki były w miarę zadowalające. W rodzimym hrabstwie Harrison dostała pięćdziesiąt pięć procent głosów.

Kiedy Nat Lester zobaczył to w Jackson, w sztabie McCarthy, wiedział, że to już koniec. Fisk otrzymał prawie połowę głosów w najbardziej wyluzowanym hrabstwie dystryktu. Wkrótce było znacznie gorzej.

Ron i Doreen jedli pizzę w zatłoczonym biurze wyborczym w śródmieściu Brookhaven. Nieopodal, przy tej samej ulicy, liczono głosy z hrabstwa Lincoln. Kiedy nadeszła informacja, że sąsiedzi stawili się tłumnie i dali mu siedemdziesiąt pięć procent, zaczęło się przyjęcie. W sąsiednim hrabstwie Pike Fisk dostał sześćdziesiąt cztery procent.

Kiedy Sheila przegrała w hrabstwie Hancock, przyjęcie dla niej się skończyło, podobnie jak kariera w Sądzie Najwyższym. W ciągu dziesięciu minut straciła potem hrabstwo Forrest (Hattiesburg), hrabstwo Jones (Laurel) i hrabstwo Adams (Natchez).

Wszystkie okręgi zliczono do jedenastej wieczór. Ron Fisk wygrał bez problemów, pięćdziesięcioma trzema procentami głosów. Sheila McCarthy dostała czterdzieści cztery procent, a Clete'owi Coleyowi pozostało wielbicieli na pozostałe trzy procent. Było to solidne łanie. Fisk stracił tylko hrabstwa Harrison i Stone.

Pobił McCarthy nawet w hrabstwie Raka, chociaż nie w czterech okręgach miejskich Bowmore. Jednak na obszarach wiejskich, gdzie pastorki Bractwa w trudzie siali ziarno, Ron Fisk zdobył prawie osiemdziesiąt procent głosów.

Mary Grace rozplakała się, kiedy zobaczyła ostateczne wyniki z hrabstwa Cary: Fisk

2238; McCarthy 1870; Coley 55.

Jedynym pocieszeniem, że sędzia Thomas Harrison uszedł cało, choć niewiele brakowało.

W następnym tygodniu kurz opadł. W kilku wywiadach Sheila McCarthy zaprezentowała się jako elegancki przegrany. Powiedziała jednak:

- Ciekawe, ile pieniędzy pan Fisk zebrał i wydał.

Sędzia Jimmy McElwayne zachowywał się mniej elegancko. W kilku artykułach cytowano jego wypowiedź: „Niechętnie będę pracował z człowiekiem, który zapłacił trzy miliony za stanowisko w naszym sądzie”.

Kiedy jednak złożono raporty, trzy miliony wyglądały na dość marną cenę. Sztab wyborczy Fiska przedstawił rachunki na cztery miliony sto tysięcy, w tym oszałamiającą sumę dwa miliony dziewięćset tysięcy zebraną w trzydzieści jeden dni października. Dziewięćdziesiąt jeden procent sumy napłynęło spoza stanu. W raporcie nie znalazły się żadne wydatki na pokrycie kosztów dla takich grup, jak Ofiary Pozwów na rzecz Prawdy, Bunt Ofiar, Właściciele Broni Palnej. Ron Fisk podpisał raport, jak tego prawo wymagało, ale miał wiele pytań co do strony finansowej kampanii. Żądał, żeby Tony wyjaśnił mu, jak zbierał fundusze, a kiedy padły ogólnikowe odpowiedzi, rozgorzał ostry spór. Fisk oskarżył Zachary'ego o ukrywanie pieniędzy i wykorzystywanie jego braku doświadczenia. Tony odpowiadał wzburzony, że Fiskowi przyrzeczono nieograniczone środki, więc nie wypada uskarżać się po fakcie.

- Powinieneś mi podziękować, a nie handryczyć się o pieniądze - wrzasnął podczas długiego, burzliwego spotkania.

Wkrótce jednak, kiedy zaatakowali ich reporterzy, musieli zjednoczyć siły.

Na kampanię McCarthy zebrano milion dziewięćset tysięcy i wydano wszystko, co do centa. Weksel na pięćset tysięcy zrealizowany przez Willy'ego Bentona i podpisany przez dwunastu członków zarządu SASM miał być spłacany latami.

Kiedy ujawniono już ostateczne sumy, w mediach rozpętała się burza. Zespół dziennikarzy śledczych z „Clarion - Ledger” rzucił się na Tony'ego Zachary'ego, Wizję Sprawiedliwości, Rona Fiska i wielu darczyńców spoza stanu, którzy przysłali czeki po pięć tysięcy dolarów. Ugrupowania biznesowe i adwokaci wymieniali za pośrednictwem gazet ostre słowa. Wstępniaki burzliwie domagały się reformy. Sekretarz stanu żądał od Ofiar Pozwów na rzecz Prawdy, Buntu Ofiar i Właścicieli Broni Palnej takich szczegółów jak nazwiska członków i zestawienie sum wydanych na ogłoszenia wyborcze. Ale śledztwa napotkały twardy opór waszyngtońskich adwokatów z dużym doświadczeniem w kwestiach wyborczych.

Barry Rinehart obserwował to z bezpiecznej przystani wspaniałego biura w Boca Raton. Takie figle po meczu były regułą, nie wyjątkiem. Przegrani zawsze piszczele, że gra toczyła się nie fair. Za parę miesięcy sędzia Fisk zasiądzie za stołem sędziowskim i większość zapomni o kampanii, która go tam wprowadziła.

Barry działał dalej, negocjował z kolejnymi klientami. Sędzia apelacyjny w Illinois od wielu lat wyrokował przeciwko branży ubezpieczeniowej, nadszedł czas, żeby go zdjąć. Ale spierano się o honoraria Barry'ego, które drastycznie wzrosły po zwycięstwie Fiska.

Z ośmiu milionów przekazanych Barry'emu różnymi kanałami przez Carla Trudeau i powiązanych z nim „zespołów”, prawie siedem milionów nadal pozostawało nietkniętych, ukrytych.

Dzięki Bogu za demokrację, powtarzał sobie Barry wiele razy na dzień.

- Niech naród głośuje!

W PIERWSZYM TYGODNIU STYCZNIA RON FISK ZOSTAŁ ZAPRZYSIĘŻONY na sędziego Sądu Najwyższego Stanu Missisipi. Była to spokojna ceremonia, na którą z Brookhaven zaproszono Doreen z trojgiem dzieci oraz Tony'ego Zachary'ego, ośmiu członków sądu i niektórych urzędników. Prezes sądu, najstarszy sędzia, wygłosił krótką mowę powitalną, potem wszyscy pili poncz i jedli ciastka. Sędzia Jimmy McElwayne darował sobie poczęstunek i wrócił do gabinetu. Wiedział, że nie polubi Rona Fiska i nie rozczarował się. Fisk zachowywał się odrażająco. Zwolnił wszystkich urzędników Sheili i nawet przedtem się z nimi nie spotkał. Potem na początku grudnia zaczął nękać przewodniczącego sądu, żeby ten pokazał mu parę spraw z wokandy. W wieku czterdziestu lat Fisk był najmłodszym sędzią w całym sądzie, a harcerskim entuzjazmem zdążył już rozjątrzyć paru członków swojego bractwa.

Po zaprzysiężeniu miał prawo uczestniczyć w rozpatrywaniu każdej sprawy, w której jeszcze nie zapadły decyzje bez względu na to, od jak dawna sąd się nią zajmował. Rzucił się do pracy i wkrótce zaczął spędzać nad aktami długie godziny. Dziesięć dni po przybyciu głosował wraz z siedmioosobową większością - włączając McElwayne'a - za oddaleniem sprawy z hrabstwa DeSoto dotyczącej określenia przeznaczenia gruntu i zgłosił zdanie odrębne, wraz z trzema innymi, w kwestii sporu o bagna w hrabstwie Pearl River. Po prostu głosował, bez komentarza.

W każdej sprawie sędziowie mogli napisać opinię albo nie. Rona świerzbiło, żeby uzasadniać swoje stanowisko, ale mądrze siedział cicho. Lepiej nie wychodzić przed orkiestrę.

Pod koniec stycznia ludzie z Missisipi zobaczyli po raz pierwszy, jaki jest Sąd Najwyższy po odejściu McCarthy. Sprawa dotyczyła osiemdziesięcioletniej kobiety z alzheimerem, którą nagą i brudną znaleziono pod łóżkiem, w domu opieki. Znalazł ją tam syn, wściekł się i pozwał dom opieki. Chociaż relacje różniły się w szczegółach, a zeznania były niejednoznaczne, to podczas procesu udowodniono, że kobieta pozostawała bez nadzoru co najmniej przez sześć godzin. Właścicielem domu opieki była spółka z Florydy z długą i żalną historią zaniedbań w kwestii bezpieczeństwa i higieny. Przysięgli z wiejskiego hrabstwa Covington przyznali odszkodowanie w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, chociaż nie zdołano precyzyjnie określić zakresu obrażeń fizycznych. Kobieta miała siniaki na czole, ale biedaczka straciła rozum już dziesięć lat wcześniej i robiła dziwne

rzeczy. Interesującą częścią sprawy było odszkodowanie retorsyjne w wysokości dwóch milionów, co stanowiło rekord hrabstwa Covington.

Sprawę otrzymał sędzia Caligan. Razem z trzema kolegami napisał opinię, w której oddalał sprawę ćwierćmilionowego odszkodowania do ponownego rozpatrzenia. Należało zebrać więcej dowodów na temat obrażeń cielesnych. Odszkodowanie retorsyjne zostało oddalone i odrzucone raz na zawsze. Sędzia McElwayne napisał opinię podtrzymującą werdykt w całej rozciągłości. Rozpisywał się o paskudnej przeszłości domu opieki - brakach w zatrudnieniu, niewyszkolonym personelu, brudnych salach, pościeli i ręcznikach, trującym jedzeniu, niedostatecznej klimatyzacji, tłoku w pokojach i tak dalej. Do jego opinii dołączyło trzech sędziów, więc głosów było po równo. Nowy człowiek miał się stać języczkiem u wagi.

Sędzia Fisk nie wahał się. On też uznał, że dowody medyczne są za słabe, i stwierdził, że jest wstrząśnięty odszkodowaniem retorsyjnym. Jako adwokat broniący towarzystw ubezpieczeniowych czternaście lat strawił na odpieraniu beztrąsco rzuconych przez powodów dzikich roszczeń wyrażających się w odszkodowaniach retorsyjnych. Przynajmniej połowa jego spraw opierała się na fałszywych pozwach. Żądano astronomicznych sum, uzasadniając to „skandalicznym niedbalstwem” pozwanego.

Głosując pięć do czterech, sąd ogłosił nowy kurs i odesłał sprawę, w znacznie gorszym stanie, niż ją otrzymał, z powrotem do hrabstwa Covington.

Syn starszej pani, pięćdziesięciosześcioletni hodowca bydła, diakon w wiejskim kościele, mieszkał kilka kilometrów za miastem Mount Olive. Razem z żoną w wyborach gorąco poparli Rona Fiska, bo widzieli w nim pobożnego człowieka, który podziela ich wartości.

Dlaczego zatem pan Fisk wyrokował na korzyść jakiejś podejrzanego spółki spoza stanu?

Sprawy przyjmowane do rozpatrzenia przez Sąd Najwyższy rozdzielane są przez urzędników między dziewięciu sędziów, którzy nie kontrolują tego procesu. Każdy z nich wie, że co dziewiąta sprawa wyląduje na jego biurku. Pracują w trzyosobowych zespołach przez sześć tygodni, potem następuje rozszada sędziów.

W prawie wszystkich sprawach trafiających przed Sąd Najwyższy adwokaci żądają możliwości przedstawienia argumentów ustnych, ale to prawo przyznawane jest im rzadko. Zespoły wysłuchują adwokatów w niecałych pięciu procentach przypadków.

Ze względu na rozmiar werdyktu w sprawie Jeannette Baker przeciwko Krane Chemical Corporation było oczywiste, że adwokaci zabiorą głos. Zebrali się siódmego lutego - Jared Kurtin ze swoim gangiem oraz cała kancelaria Payton & Payton.

Sprawa została przydzielona sędziemu Albrittonowi wiele miesięcy wcześniej. Tego dnia Rona Fiska nie było w sądzie. Tony Zachary przyszedł z ciekawości, ale siedział w tylnym rzędzie i z nikim nie rozmawiał. Robił notatki, żeby po południu zadzwonić do Barry'ego Rineharta. Wiceprezes Krane też usiadł z tyłu i skrzętnie notował.

Każdej stronie przydzielono dwadzieścia minut, a cyfrowy zegar zaczął odmierzać sekundy. Jared Kurtin wystąpił jako pierwszy i szybko przeszedł do sedna apelacji. Krane zawsze twierdziło, że nie ma wiarygodnego, racjonalnego medycznego związku między BCL i cartolixem znalezionym na jego terenie a zachorowaniami na raka tak wielu mieszkańców Bowmore. Krane nigdy nie przyzna, że nielegalnie składowało odpady, ale ujmując rzecz hipotetycznie, nawet gdyby wymienione toksyczne substancje dostały się do gleby, a stamtąd do wody, nie było „medycznie potwierzonego wpływu” tych chemikaliów na stan zdrowia mieszkańców Bowmore. W powietrzu, żywności, napojach, produktach gospodarstwa domowego w ogóle jest mnóstwo substancji rakotwórczych. Kto może powiedzieć, że rak, który zabił małego Chada Bakera, rozwinął się na skutek picia wody, a nie wdychania zanieczyszczonego powietrza? Jak można wykluczyć substancje rakotwórcze znajdujące w żywności o wysokim stopniu przetworzenia, którą - jak przyznała pani Baker - jedli od lat?

Kurtin był w swoim żywiole. Trzej sędziowie pozwolili mu mówić przez dziesięć minut. Dwaj już się z nim zgadzali. Sędzia Albritton nie i wreszcie zapytał:

- Proszę pana, przepraszam, ale czy na tym obszarze znajdowały się jakieś inne fabryki lub zakłady wytwarzające pestycydy i środki owadobójcze?

- Według mojej wiedzy nie, Wysoki Sądzie.

- To znaczy tak czy nie?

- Odpowiedź brzmi nie, Wysoki Sądzie. W hrabstwie Cary nie było innych wytwórców.

- Dziękuję. A czy przy pomocy wszystkich swoich biegłych znaleźliście inny zakład, w którym wytwarzano i składowano albo tylko składowano bichloronylen, cartolix albo aklar?

- Nie, Wysoki Sądzie.

- Dziękuję. A kiedy pan mówi, że na innych obszarach kraju też zdarza się wysoka zachorowalność na raka, to czy sugeruje pan, że w którymś z tych miejsc jest piętnaście razy więcej tych przypadków niż wynosi średnia krajowa?

- Nie, nie sugeruję tego, ale my nie zgadzamy się z tą statystyką.

- Świetnie, czy zatem określiłby pan zachorowalność na raka jako dwunastokrotnie przewyższającą przeciętną krajową?

- Nie jestem pewien...

- To właśnie powiedział pański biegły podczas procesu. W Bowmore zachorowalność jest dwunastokrotnie wyższa od średniej krajowej.

- Tak, myślę, że Wysoki Sąd ma rację.

- Dziękuję.

Więcej mu nie przerywano i Kurtin zakończył wystąpienie kilka sekund po sygnale.

Mary Grace wyglądała świetnie. Chłopcy musieli zadowolić się czarnymi i granatowymi garniturami, białymi koszulami, krawatami w stłumionych kolorach i czarnymi półbutami - nudnym, codziennym ubraniem. Dla dziewczyn nie było reguł. Mary Grace miała na sobie jasną spódnicę przed kolana i pasujący do niej żakiet z rękawami do łokci. Czarne szpilki. Bardzo długie nogi, których trzech sędziowie nie widzieli z podium.

Zaczęła od tego, na czym sędzia Albritton skończył, i wyprowadziła atak na linie obronne Kurtina. Co najmniej od dwudziestu lat spółka nielegalnie składowała w ziemi tony najgroźniejszych substancji rakotwórczych. W bezpośredniej konsekwencji składowania woda pitna Bowmore została zanieczyszczona substancjami rakotwórczymi, których nie produkowano, nie składowano, a nawet nie znajdowano w znaczących ilościach gdziekolwiek indziej, w całym hrabstwie. Mieszkańcy Bowmore codziennie pili tę wodę, używali jej tak jak każdy z sędziów.

- Goliliście się, myliście zęby, braliście prysznic, z wody dostarczanej przez miasto robiliście kawę albo herbatę. Piliście ją w domu i w pracy. Czy kwestionowaliście jej jakość? Pytaliście, skąd pochodzi?

Czy jest bezpieczna? Czy choćby przez sekundę, dzisiaj rano, zastanawialiście się, czy woda zawiera substancje rakotwórcze? Zapewne nie.

Ludzie z Bowmore nie postępowali inaczej. Bezpośrednim następstwem picia wody było to, że mieszkańcy Bowmore zapadali na zdrowiu. Miasto nawiedziła fala raka nigdy niewidziana w tym kraju. I jak zwykle, ta wspaniała, uczciwa nowojorska korporacja - tu odwróciła się i machnęła ręką w stronę Jareda Kurtina - zaprzeczyła wszystkiemu: składowaniu, ukrywaniu, kłamstwom... zaprzeczyła nawet własnym zaprzeczeniom. A co najważniejsze, zaprzeczyła wszelkim związkom przyczynowo - skutkowym między produkowanymi przez nią substancjami rakotwórczymi a rakiem. Jak usłyszeliśmy, Krane Chemical wini powietrze, słońce, środowisko, masło orzechowe, indyka w plastrach, którego Jeannette Baker dawała rodzinie do jedzenia. Krane składowało tony toksycznych chemikaliów w naszej ziemi i naszej wodzie, ale hejże, zrzućmy winę na masło orzechowe od Jifa.

Może z szacunku dla kobiety, a może nie chcąc przerywać tak emocjonalnej tyrady albo z jeszcze innych powodów, trzech sędziowie się nie odzywali.

Mary Grace zakończyła krótkim wykładem z prawa. Prawo nie wymaga od nich, żeby udowodnili, że BCL znalezione w komórkach tkanki Pete'a Bakera pochodziło bezpośrednio z zakładów Krane. Gdyby tak było, standard dowodzenia zostałby podniesiony do poziomu jasnego i jednoznacznego dowodu. Prawo wymaga tylko wyższości dowodu, stanowiąc niższy standard.

Czas Mary Grace się skończył. Usiadła obok męża. Sędziowie podziękowali adwokatom i wywołali następną sprawę.

Na zimowym zebraniu SASM panował smutek. Przybyło znacznie więcej osób niż zazwyczaj. Adwokaci byli zaniepokojeni, głęboko zatroskani, nawet wystraszeni. Nowy sąd oddalił dwa werdykty, które w tym roku stanęły na wokandzie. Czy to początek jakiegoś koszmaru? Czy należy wpadać w panikę, czy może już na to za późno?

Adwokat z Georgii jeszcze bardziej pogрузzył wszystkich w złym nastroju, przedstawiając żalony stan rzeczy w jego stanie. Sąd Najwyższy Georgii też składa się z dziewięciu członków, z których ośmiu jest lojalnych wobec wielkiego biznesu i konsekwentnie oddała werdykty dotyczące poszkodowanych albo zmarłych. Z ostatnio rozpatrywanych dwudziestu pięciu dwadzieścia dwa zostały oddalone. W rezultacie towarzystwa ubezpieczeniowe nie mają już ochoty iść na ugodę, bo i po co? Już nie boją się przysięgłych, bo Sąd Najwyższy należy do nich. Kiedyś, w większości przypadków, zawierano ugody, zanim doszło do procesu. Teraz nie zawiera się już ugod i adwokat powoda musi każdą sprawę doprowadzać do sądu. I nawet kiedy uzyska werdykt, to ten upada w apelacji. W rezultacie adwokaci biorą mniej spraw i mniej osób, które odniosły obrażenia, dostaje rekompensaty.

- Drzwi do sal sądowych zamykają się błyskawicznie - powiedział na koniec.

Była dopiero dziesiąta, ale wielu obecnych już rozglądało się za barem.

Następny mówca podniósł nastroje. Przedstawiono byłą sędzię Sheilę McCarthy. Została ciepło przywitana. Podziękowała adwokatom za niezawodne poparcie i napomknęła, że być może nie skończyła z polityką. Zaatakowała tych, którzy knuli, żeby ją pokonać. Pod koniec urządzono jej owację na stojąco. Oświadczyła bowiem, że rozpoczęła prywatną praktykę, wpłaciła składkę i została, z dumą, członkiem Stowarzyszenia Adwokatów Stanu Missisipi.

Sąd Najwyższy Stanu Missisipi rozstrzyga, średnio, około dwustu pięćdziesięciu spraw rocznie. Większość to rzeczy proste, rutynowe. Bywają jednak zagadnienia oryginalne,

z którymi sąd jeszcze nie miał do czynienia. Praktycznie wszystkie są załatwiane spokojnie, elegancko. Od czasu do czasu jednak stają się przyczyną wojny.

Sprawa dotyczyła wielkiej, profesjonalnej kosiarki do trawy, powszechnie nazywanej odyńcem. Egzemplarz, o którym mowa, ciągnięty był przez traktor marki John Deere i zaczepił o wąż do kanalizacji ukryty w krzakach na pustej działce. Odłupany z wirującego ostrza kawał poszarpanej stali wystrzelił w powietrze, przeleciał kilkadziesiąt metrów i uderzył w skroń sześciolatka. Chłopiec miał na imię Aaron i razem z matką, którą trzymał za rękę, szedł do oddziału banku w mieście Horn Lake. Aaron został ciężko ranny, kilkakrotnie był na granicy śmierci i w ciągu czterech lat, które minęły od wypadku, przeszedł jedenaście operacji. Rachunki za leczenie mocno przekroczyły rodzinne ubezpieczenie medyczne wynoszące pół miliona dolarów. Wydatki na pielęgnację w przyszłości szacowano na siedemset pięćdziesiąt tysięcy.

Adwokat Aarona ustalił, że kosiarka wyprodukowana została przed piętnastu laty i nie wyposażono jej w fartuch zatrzymujący odpadki lub inne urządzenia zabezpieczające, które większość wytwórców stosuje od co najmniej trzydziestu lat. Złożyli pozew. Przysięgli z hrabstwa DeSoto przyznali Aaronowi siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Później sędzia prowadzący proces podniósł odszkodowanie, żeby pokryło także koszty leczenia. Uznał, że skoro przysięgli zaakceptowali roszczenia, to Aaron ma tytuł do pokrycia wszelkich strat.

Sądowi Najwyższemu przedstawiono kilka opinii: (1) zatwierdzić odszkodowanie w wysokości siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy przyznanych przez ławę przysięgłych; (2) zatwierdzić odszkodowanie podniesione przez sędziego do sumy miliona trzystu tysięcy; (3) oddalić zarówno w kwestii odpowiedzialności, jak i poniesionych szkód i odesłać do ponownego rozpatrzenia; (4) oddalić i umorzyć. Odpowiedzialność wydawała się oczywista, więc problem stanowiły raczej pieniądze.

Sprawę przydzielono sędziemu McElwayne'owi. We wstępnym memoriale zgodził się z sędzią prowadzącym proces i nalegał na przyznanie podwyższonego odszkodowania. Gdyby mógł, wystąpiłby o jeszcze większe pieniądze. I tak żadna suma nie zrekompensowałaby dziecku potwornego bólu, które wycierpiało i który wycierpi w przyszłości. Nie było też odszkodowania za utracone przyszłe zarobki. Dziecko zostało okaleczone na całe życie przez niebezpieczny przedmiot wyprodukowany bez należytej staranności.

Sędzia Romano, z dystryktu centralnego, widział to inaczej. Rzadko zdarzało mu się rozpatrywać werdykt z dużym odszkodowaniem, którego nie byłby w stanie zaatakować. Ale tym razem miał do czynienia z wyzwaniem. Uznał, że kosiarka została racjonalnie zaprojektowana i rzetelnie skonstruowana w fabryce, ale w późniejszych latach jej

zabezpieczenia zostały usunięte przez kolejnych użytkowników. Łańcucha właścicieli nie udało się w pełni odtworzyć. Cóż, kosiarki nie są ładnymi, czystymi, eleganckimi produktami. Zostały stworzone do jednego - ścinania gęstej trawy i krzaków za pomocą ostrzy wirujących z ogromną szybkością. To niezwykle niebezpieczne urządzenia, ale wydajne i potrzebne.

Sędzia McElwayne zebrał w końcu trzy głosy. Sędzia Romano przez kilka tygodni urabiał swoich kolegów, zanim zdołał zdobyć poparcie trzech.

Sędzia Fisk zmagał się ze sprawą. Przeczytał akta wkrótce po zaprzysiężeniu i z dnia na dzień zmieniał opinię. Szybko doszedł do wniosku, że wytwórca mógł zasadnie spodziewać się modyfikowania swojego produktu, zwłaszcza że kosiarka była narzędziem niebezpiecznym. Ale materiał dowodowy nie wskazywał jasno, czy fabryka zastosowała wszystkie przepisy federalne. Ron bardzo współczuł dziecku, ale nie mógł pozwolić, żeby powodowały nim emocje.

Z drugiej strony wygrał wybory pod hasłem ograniczonej odpowiedzialności cywilnej. Atakowali go adwokaci, a wspierali ludzie, których prawnicy z zamiłowaniem pozywali.

Sąd czekał na decyzję. Ron zmieniał zdanie tak często, że wreszcie zupełnie stracił rozeznanie. Kiedy wreszcie oddał głos za Romano, poczuł mdłości i szybko wyszedł z biura.

Sędzia McElwayne przejrzał jego opinię i podczas burzliwej debaty zarzucił większości sędziów nadinterpretację faktów, psucie standardów prawnych i ignorowanie ustaleń dokonanych przez przysięgłych po to, żeby narzucić własną wizję reformy prawa o odszkodowaniach cywilnych. Większość parokrotnie ripostowała - Ron nie - i kiedy wreszcie ogłoszono opinię, więcej mówiła o wewnętrznych sporach w Sądzie Najwyższym niż o trudnej sytuacji małego Aarona.

Takie złośliwości w cywilizowanym środowisku prawniczym zdążyły się rzadko, ale podrażniona próżność i urażone uczucia tylko pogłębiły rozłam. Zabrakło środka, nie było miejsca na kompromis.

Kiedy przed Sąd Najwyższy trafiały sprawy z wysokimi odszkodowaniami przyznawanymi przez przysięgłych, towarzystwa ubezpieczeniowe mogły czuć się bezpiecznie.

OSTRE SPRZECIWY ZE STRONY SĘDZIEGO MCELWAYNE'A trwały aż do wiosny. Ale po sześciu kolejnych przegranych, przy następnym głosowaniu pięć do czterech, stracił trochę ikry. Sprawa dotyczyła karygodnego zaniedbania ze strony niekompetentnego lekarza i kiedy sąd oddalił werdykt, McElwayne zrozumiał, że jego bracia w togach odeszli tak daleko na prawo, że nie było już dla nich drogi powrotnej.

Chirurg ortopeda z Jackson schrzanił rutynową operację wypadnięcia dysku. Pacjent został sparaliżowany i w końcu złożył pozew. Lekarza pozywano już pięciokrotnie, stracił prawo do wykonywania zawodu w dwóch innych stanach i przynajmniej trzy razy poddawał się terapii w związku z uzależnieniem od środków przeciwbólowych. Przysięgli zasądzi na rzecz sparaliżowanego milion osiemset tysięcy dolarów za uszczerbek na zdrowiu, a lekarzowi i szpitalowi dołożyli pięć milionów odszkodowania retorsyjnego.

Sędzia Fisk w pierwszej pisemnej opinii, wyrażającej zdanie większości, uznał odszkodowanie za uszczerbek na zdrowiu za przesadne, a odszkodowanie retorsyjne za niedorzeczne. Sprawę oddalono do ponownego rozpatrzenia w kwestii odszkodowania dla pacjenta. Zapomnijcie o retorsji.

Sędzia McElwayne dostał apopleksji. Jego zdanie odrębne najeżone było dwuznacznymi sugestiami, że specjalne interesy stanu mają większy wpływ na Sąd Najwyższy niż czterej jego członkowie. Ostatnie zdanie projektu opinii brzmiało niemal jak oszczerstwo: „Autor opinii większości udaje, że wstrząsnęła nim wysokość odszkodowania retorsyjnego. Tymczasem powinien raczej być zadowolony z sumy pięciu milionów. Tyle kosztowało stanowisko, które teraz zajmuje”. Dla żartu przesłał mailem projekt Sheili McCarthy. Rzeczywiście, żart jej się spodobał, ale wyblagała, żeby McElwayne usunął to zdanie. W końcu ustąpił.

Pełne wściekłości zdanie odrębne McElwayne'a zajmowało cztery kartki. Albritton zgadzał się z jego opinią na kolejnych trzech. Prywatnie zastanawiali się, czy znajdą szczęście w pisaniu bezużytecznych zdań odrębnych przez resztę zawodowego życia.

Ich nieskuteczna opozycja była jak muzyka dla uszu Barry'ego Rineharta. Starannie studiował wszystkie decyzje przychodzące z Missisipi. Jego zespół analizował opinie, czekające na rozpatrzenie sprawy i ostatnie werdykty przysięgłych, które pewnego dnia mogły zostać przesłane do Sądu Najwyższego. Barry jak zwykle, na wszystko miał oko.

Wybór przyjaznego sędziego istotnie był zwycięstwem, ale nie całkowitym, dopóki

nie pojawią się owoce tego triumfu. Do tej pory sędzia Fisk zbierał w głosowaniach doskonale wyniki. Sprawa Baker przeciwko Krane Chemical dojrzała do podjęcia decyzji.

Lecąc do Nowego Jorku na spotkanie z panem Trudeau, Barry pomyślał, że ich chłopakowi trzeba dodać otuchy.

Kolacja odbywała się w University Club, na ostatnim piętrze najwyższego budynku w Jackson. Była to cicha, prawie utajniona okazja. Około osiemdziesięciorga gości zostało zaproszonych telefonicznie. Wieczór zorganizowano ku czci sędziego Rona Fiska. Doreen była obecna. Spotkał ją zaszczyt, siedziała obok senatora Myersa Rudda, który dopiero co przyleciał z Waszyngtonu. Podano steki i homary. Pierwszy zabrał głos prezes stanowego zrzeszenia lekarzy, dostojny chirurg z Natchez. Był bliski łez, kiedy mówił o ogromnej uldze, która ogarnęła środowisko medyczne. Przez lata lekarze harowali ogarnięci strachem przed pozwami. Płacili ogromne składki ubezpieczeniowe. Lekkomyślnie ich pozywano. Krzywdzono przy składaniu zeznań i podczas procesów. Ale teraz wszystko się zmieniło. Nowa polityka Sądu Najwyższego sprawiła, że mogą bez obaw zajmować się pacjentami. Podziękował Ronowi Fiskowi za odwagę, mądrość i oddanie sprawie obrony lekarzy, pielęgniarek i szpitali stanu Missisipi.

Senator Rudd był już przy trzecim scotch. Gospodarz wiedział z doświadczenia, że przy czwartym zaczną się kłopoty. Poprosił więc senatora, żeby wygłosił kilka słów. Pół godziny później po stoczeniu bitew na całym świecie i rozwiązaniu wszystkich problemów poza konfliktem na Bliskim Wschodzie Rudd wreszcie przypomniał sobie, po co tu jest. Nigdy nie korzystał z notatek, nie pisał przemówień, nie marnował czasu na myślenie. Sama jego obecność wystarczała, żeby wszyscy dygotali. Och, tak, Ron Fisk. Wspominał pierwsze z nim spotkanie, w Waszyngtonie, rok wcześniej. Co najmniej trzy razy nazwał go Ronny. Kiedy zobaczył, że gospodarz wskazuje na zegarek, wreszcie usiadł i zażądał scotcha numer cztery.

Następnym mówcą był dyrektor wykonawczy Rady Handlu, weteran wielu starć z adwokatami. Mówił wylewnie o ogromnej zmianie w warunkach rozwoju gospodarczego stanu. Spółki stare i nowe nagle zaczęły snuć śmiałe plany, nie bojąc się już podejmowania ryzyka, które mogłoby doprowadzić do wytoczenia pozwu. Firmy zagraniczne zaczęły się teraz interesować lokalizowaniem inwestycji w stanie. Dzięki tobie, Ronie Fisku.

Reputacja Missisipi jako piekła prawnego, jako śmietniska z tysiącem lekkomyślnych pozwów, jako raj beztróskich adwokatów zmieniła się z dnia na dzień. Dzięki tobie, Ronie Fisku.

Kiedy już sędzia Fisk został obsypany pochwałami, niemal do granic przyzwoitości,

poproszono go, żeby sam powiedział parę słów. Podziękował wszystkim za wsparcie podczas kampanii. Wyraził zadowolenie z pierwszych trzech miesięcy w sądzie i pewność, że większość sędziów będzie się trzymać razem w kwestiach odpowiedzialności cywilnej i odszkodowań za straty. Huczne oklaski. Jego koledzy to ludzie utalentowani i ciężko pracujący, a on sam jest zachwycony intelektualnym wyzwaniem, jakie stanowią spory sądowe. Nie czuje się ani trochę skrępowany brakiem doświadczenia.

W imieniu Doreen i swoim podziękował za wspaniałe przyjęcie.

W piątkowy wieczór jechali do domu, do Brookhaven. Jeszcze nie otrząsnęli się z komplementów, którymi ich uraczono. Kiedy dotarli na miejsce, dzieci już spały.

Ron przespał sześć godzin i obudził się z przerażeniem, że musi znaleźć zawodnika. Był początek sezonu bejsbolowego. Próby dla jedenastolatków i dwunastolatków zaczynały się o dziewiątej. Josh, w wieku jedenastu lat, szedł do góry i wszystko wskazywało, że zostanie najlepszym nowym zawodnikiem ligi. Ze względu na pracochłonne stanowisko Ron nie mógł nadal pełnić funkcji głównego trenera. Nie był w stanie uczestniczyć we wszystkich treningach, ale postanowił, że nie opuści ani jednego meczu i zajmie się tylko niektórymi zawodnikami. Jeden z jego byłych partnerów z kancelarii prawnej zostanie głównym trenerem. Inny ojciec zorganizuje treningi.

W pierwszą sobotę kwietnia powietrze było przyjemne i rześkie w całym stanie. Zdenerwowana grupa zawodników, rodziców i trenerów zebrała się w parku miejskim, żeby rozpocząć sezon. Dziewięciolatków i dziesięciolatków wysłano na jedno boisko, a jedenastolatków i dwunastolatków na drugie. Wszystkich zawodników należało ocenić, przyznać im kategorię i umieścić na liście.

Trenerzy zgromadzili się w rogu boiska, żeby wszystko zorganizować. Jak zwykle zaczęła się nerwowa pogawędka, pełna uszczypliwości i niewinnych złośliwości. Większość mężczyzn była trenerami tej samej ligi już w ubiegłym roku. Ron cieszył się popularnością - jeszcze jeden ojciec, któremu chce się spędzać całe godziny na dworze od kwietnia do lipca. Teraz jednak czuł się trochę wywyższony. Zorganizował wspaniałą kampanię i rekordową liczbą głosów wygrał ważne wybory polityczne. To sprawiało, że był kimś wyjątkowym pośród równych sobie. W końcu, w mieście Brookhaven mieszkał tylko jeden sędzia Sądu Najwyższego. Zauważył, że ludzie odnoszą się do niego z pewnym dystansem. Raczej mu się to nie podobało, chociaż zarazem... może właśnie mu się podobało.

Już mówili do niego „panie sędzio”.

Sędzia Fisk wyciągnął z czapki pierwsze nazwisko. Jego drużyna to Rockies.

W ciągu tygodnia w mieszkaniu było tak ciasno, że w soboty z niego uciekali.

Paytonowie wywabili Macka i Lizę z łóżek propozycją zjedzenia śniadania w pobliskiej naleśnikarni. „Wyjechali z Hattiesburga i dotarli przed dziesiątą do Bowmore. Pani Shelby, matka Mary Grace, obiecała im długi lunch pod dębem - morską rybą, a potem lody domowej roboty. Pan Shelby już przygotował łódkę. Razem z Wesem zabrali dzieciaki na jeziorko, na ryby.

Mary Grace siedziała z matką przez godzinę na werandzie. Rozmawiały o zwyczajnych sprawach, jak ognia unikając wszystkiego, co miało związek z prawem. Nowinki rodzinne, plotki z kościoła, wesela i pogrzeby, ale ani słowa o raku, który latami dominował we wszystkich rozmowach w hrabstwie Cary.

Na długo przed lunchem Mary Grace pojechała do Pine Grove i spotkała się z Dennyem Ottem. Powiedziała mu, co myśli na temat nowego składu Sądu Najwyższego. Było to raczej smutne podsumowanie. Nie po raz pierwszy przestrzegła Denny'ego, że prawdopodobnie przegrają. Przygotowywał na to parafian. Wiedział, że jakoś to zniosą. I tak stracili już wszystko.

Pojechała dwie przecznice dalej i zaparkowała na zwirowanym podejździe do przyczepy Jeannette. Usiadły na dworze, pod drzewem, popijały wodę z butelek i rozmawiały o mężczyznach. Aktualnym partnerem Jeannette był pięćdziesięcioletni wdowiec. Miał niezłą pracę, ładny dom i niezbyt się interesował losami jej pozwu. Co prawda teraz pozew nie przyciągał uwagi w takim stopniu, jak kiedyś. Werdykt postarzał się już o siedem miesięcy. Pieniądze nie przeszły z rąk do rąk i nikt już się tego nie spodziewał.

- Oczekujemy rozstrzygnięcia w tym miesiącu - powiedziała Mary Grace. - Zdarzyłoby się cud, gdybyśmy wygrali.

- Modłę się o cud, ale jestem gotowa na wszystko - odparła Jeannette. - Po prostu chcę, żeby to się już skończyło.

Po długiej rozmowie i szybkim pożegnaniu Mary Grace wyszła. Jechała ulicami rodzinnego miasta, obok liceum, domów przyjaciół z lat szkolnych, sklepów na Main Street. Zatrzymała się w sklepie Treadway's, kupiła wodę sodową i przywitała się ze sklepową, którą znała od zawsze.

Kiedy wracała do domu rodziców, mijala ochotniczą straż pożarną Barrysville, mały metalowy budynek z motopompą, którą chłopcy wytaczali i myli w dniach wyborów. Stacja służyła również jako punkt wyborczy, gdzie pięć miesięcy wcześniej siedemdziesiąt cztery procent dobrych ludzi z Barrysville głosowało za Bogiem i spluwami, a przeciwko gejom i liberałom. Zaledwie siedem kilometrów za granicami Bowmore Ron Fisk przekonał ludzi, że jest ich obrońcą.

Może i był. Może sama jego obecność w składzie sądu odstraszała niektórych.

Urzędnik odłożył do akt sprawę Meyercheca i Spana ze względu na brak dalszych czynności prawnych. Nie przedstawili wymaganych dokumentów, a po monitach ze strony sądu ich adwokat powiedział, że nie mają życzenia dalej się procesować. Nie można było ich znaleźć, żeby to skomentowali, a adwokat nie odbierał telefonów od reporterów. I W dniu odłożenia sprawy ad acta sąd dotarł do nowej granicy w krucjacie o ograniczenie odpowiedzialności korporacji. Prywatna spółka farmaceutyczna Bosk wytwarzała szeroko reklamowany środek przeciwbólowy rybadell. Okazało się, że lek koszmarnie uzależnia i w ciągu paru lat i Bosk został zalany pozwami. Podczas jednej z pierwszych rozpraw kierownictwo Boska zostało przyłapane na kłamstwach. Prokurator federalny z Pensylwanii wdrożył dochodzenie. Były przesłanki do postawienia zarzutów, że spółka wiedziała o uzależniających właściwościach rybadellu, ale usiłowała ukryć tę informację. Lek przynosił duży dochód.

Były policjant z Jackson, Dillman, został ranny w wypadku motocyklowym i podczas terapii uzależnił się od rybadellu. Walczył z nałogiem dwa lata. Stracił zdrowie, zrujnował sobie życie. Dwukrotnie zatrzymywano go za kradzieże sklepowe. Wreszcie pozwał Bosk i złożył sprawę do sądu okręgowego w hrabstwie Rankin. Przysięgli uznali winę spółki i przyznali Dillmanowi odszkodowanie w wysokości dwustu siedemdziesięciu pięciu tysięcy. Było to najniższe odszkodowanie za rybadell w skali kraju.

W apelacji Sąd Najwyższy oddalił sprawę stosunkiem głosów pięć do czterech. Głównym powodem, przedstawionym w opinii większości przez sędziego Romano, było to, że Dillmanowi nie należy się odszkodowanie, bo jest narkomanem.

Sędzia Albritton zgłosił pełne gorczy zanie odrębne, w którym błagał większość, żeby pofatygowała się i znalazła chociaż cień dowodu na to, że powód był narkomanem, „zanim uzależnił się od rybadellu”.

Trzy dni po tej decyzji czterej dyrektorzy Boska zostali uznani za winnych ukrywania informacji przed Agencją do spraw Żywności i Leków i wprowadzenia w błąd śledczych federalnych.

DOCHODY KRANE CHEMICAL W PIERWSZYM KWARTALE BYŁY WYŻSZE, niż oczekiwano. Zdumiały analityków, którzy spodziewali się, że w najlepszym razie nastąpi wzrost o dolara dwadzieścia pięć centów za akcję. Kiedy Krane ogłosiło wzrost o dwa dolary pięć centów, triumfalny powrót spółki przyciągnął jeszcze więcej zainteresowania ze strony pism zajmujących się finansami.

Wszystkich czternaście fabryk działało na pełnych obrotach. Obniżono ceny, żeby ponownie wejść na rynek. Działy sprzedaży pracowały po godzinach, by sprostać zamówieniom. Długi zostały zredukowane. Nagle zniknęła większość problemów, które prześladowały spółkę w poprzednim roku.

Akcje przekroczyły w szalonym tempie poziom jednocyfrowy i zaczęły się sprzedawać po dwadzieścia cztery dolary. Skoczyły do trzydziestu, kiedy na giełdę dotarły informacje o dochodach spółki. Ostatnim razem kosztowały tyle w dzień po wyroku w Hattiesburgu, kiedy to zaczął się spadek.

Trudeau Group była teraz właścicielem osiemdziesięciu procent Krane, czyli około czterdziestu ośmiu milionów akcji. Od czasów pogłosek o bankructwie, tuż przed wyborami, w listopadzie, wartość netto interesów pana Trudeau wzrosła o osiemset milionów. A on bardzo się starał, żeby podwoić tę sumę.

Zanim Sąd Najwyższy ogłosi ostateczną decyzję, sędziowie całe tygodnie poświęcają lekturze memoriałów kolegów i opinii wstępnych. Czasem, prywatnie, się kłócą. Prowadzą lobbying, żeby uzyskać wsparcie w głosowaniu. Wyręczają się swoimi urzędnikami, żeby rozsiewać sprzyjające im plotki. Niekiedy miesiącami nie można wyjść z pata.

Ostatnią rzeczą, jaką sędzia Fisk przeczytał w piątkowe popołudnie, było zdanie odrębne McElwayne'a w sprawie Jeannette Baker przeciwko Krane Chemical. Powszechnie uważano, że zgadza się z nim trzech innych sędziów. Sędzia Calligan napisał opinię większości. Romano przychylił się do niej i pracował nad własnym tekstem. Istniało prawdopodobieństwo, że Albritton będzie przeciwnego zdania. Chociaż szczegóły jeszcze nie były dopracowane, przypuszczano, że ostatecznie werdykt zostanie oddalony stosunkiem głosów pięć do czterech.

Fisk przeczytał zdanie odrębne i postanowił, że jak tylko wróci w poniedziałek, poprze Calligana. Potem sędzia Fisk przebrał się i stał się trenerem Fiskiem. Czas na mecz.

Rockies otwierali sezon weekendowym jamboree w Russburgu, mieście leżącym w

delcie Missisipi, godzinę jazdy na północny zachód od Jackson. W piątkowy wieczór rozegrają jeden mecz, w sobotę co najmniej dwa i może jeden w niedzielę. Mecze składały się tylko z czterech części, a zawodników nakłaniano, żeby grali na różnych pozycjach. Nie było trofeów i rozgrywek pucharowych - tylko czysto sportowe współzawodnictwo, kilka rund, żeby zacząć sezon. W przedziale wiekowym jednaście - dwanaście lat zgłosiło uczestnictwo trzydzieści drużyn, w tym dwie z Brookhaven.

Rockies pierwszy mecz grali z drużyną z małego miasteczka Roiling Fork. Wieczór był chłodny, powietrze klarowne, boiska pełne zawodników i rodziców ekscytujących się pięcioma meczami naraz.

Doreen została w Brookhaven z Clarissą i Zekiem, który grał w sobotę, o dziewiątej rano.

W pierwszej części meczu Josh grał na drugiej bazie, a gdy przyszła jego kolej na odbicie piłki kijem, ojciec stał przy trzeciej bazie. Kiedy syn odbijał, ojciec krzyczał, dodawał mu ducha i przypominał, że żaden zawodnik nie trafi w piłkę, jeżeli będzie trzymał kij na ramieniu. W drugiej części Josh szybko pokonał pierwszych dwóch zawodników, którym musiał stawić czoło. Trzecim był krępy dwunastolatek. Odbijał piłkę bardzo mocno.

- Rzucaj nisko i daleko - ryknął Ron z ławki rezerwowych.

Drugi rzut nie był ani niski, ani daleki. Piłka odbiła się od aluminiowej pałki znacznie szybciej, niż nadleciała. Josh zamarł i zanim zdążył zareagować, piłka uderzyła go w głowę. Wzdrygnął się tylko lekko, kiedy dostał cios w prawą skroń. Piłka upadła i potoczyła się po boisku.

Miał otwarte oczy, kiedy podbiegł do niego ojciec. Oszołomiony leżał na ziemi, jęczał.

- Powiedz coś, Josh. - Ron delikatnie dotykał rany.

- Gdzie jest piłka? - zapytał Josh.

- Tym się nie przejmuj. Widzisz mnie?

- Chyba tak. - Łzy płynęły mu z oczu. Zaciskał zęby, żeby się nie rozbeczeć. Skórę miał tylko zadrapaną, we włosach trochę krwi. Już zaczął mu rosnać guz.

- Dajcie lodu - zawołał ktoś.

- Wezwijcie pogotowie.

Inni trenerzy zgromadzili się wokół Fisków. Dzieciak, który odbił piłkę, stał w pobliżu, sam ledwie wstrzymywał się od płaczu.

- Nie zamykaj oczu - powiedział Ron.

- Okay, okay - powtarzał Josh, szybko oddychając.

- Kto gra na trzeciej bazie u Bravesów?

- Chipper.

- A w środku pola?

- Andrew.

- Zuch!

Po kilku minutach Josh usiadł, a widzowie przyjęli to oklaskami. Potem wstał i podtrzymywany przez ojca poszedł na trybunę, gdzie położył się na ławce. Ron, któremu serce nadal biło jak młotem, ostrożnie położył woreczek z lodem na guzie. Mecz znowu powoli zaczął nabierać tempa.

Przyjechał lekarz, zbadał Josha, który reagował całkiem dobrze. Widział, słyszał, pamiętał szczegóły, nawet mówił o powrocie do gry. Lekarz nie zgodził się, trener Fisk też.

- Może jutro - powiedział Ron, ale tylko po to, żeby pocieszyć syna. Sam ledwie zdołał się uspokoić. Po meczu zamierzał zabrać chłopca do domu.

- Dobrze wygląda - stwierdził lekarz. - Ale powinien mu pan zrobić prześwietlenie.

- Teraz? - zapytał Ron.

- Nie ma pośpiechu, nie zwlekałbym jednak dłużej niż do wieczoru.

Pod koniec trzeciej części meczu Josh już siedział i żartował sobie z kolegami z drużyny. Ron wrócił na stanowisko trenera przy trzeciej bazie i właśnie szeptał coś do zawodnika, kiedy jeden z Rockiesów” krzyknął:

- Josh wymiotuje!

Sędziowie znów przerwali grę i kazali zawodnikom opuścić ławy dla rezerwowych. Josh był zdezorientowany, bardzo się pocił i wymiotował. W pobliżu był lekarz, w kilka minut przybyli dwaj sanitariusze. Ron trzymał syna za rękę, kiedy toczyli wózek z noszami na parking.

- Josh, nie zamykaj oczu - powtarzał. - Mów do mnie.

- Tato, boli mnie głowa.

- Nic ci nie jest. Tylko nie zamykaj oczu.

Wsunęli nosze do karetki, zamknęli drzwi, a Ronowi pozwolili ukucnąć obok syna. Pięć minut później wtoczyli wózek do izby przyjęć szpitala hrabstwa Henry. Josh był ożywiony, nie wymiotował odkąd opuścił stadion.

Godzinę wcześniej doszło do karambolu z udziałem trzech samochodów i w izbie przyjęć panowało zamieszanie. Pierwszy lekarz, który badał Josha, kazał przeprowadzić badanie tomografem komputerowym. Ronowi zabronił wchodzić dalej do szpitala.

- Myślę, że z chłopcem jest wszystko w porządku - powiedział.

Ron znalazł sobie krzesło w zatłoczonej poczekalni. Zadzwoił do Doreen i jakoś udało mu się przebrnąć przez trudną rozmowę. Czas się zatrzymał, minuty wlokły się niemiłosiernie.

Nagle pojawił się główny trener Rockiesów, były partner Rona z kancelarii prawnej, i poprosił Rona na zewnątrz. Chciał mu coś pokazać. Z tylnego siedzenia swojego samochodu wziął aluminiowy kij do bejsbolu.

- Zobacz - powiedział ponuro. Trzymał screamera, powszechnie używany kij, produkowany przez Win Rite Sporting Goods, jeden z kilkunastu rodzajów, jakie można zobaczyć na każdym stadionie.

- Przypatrz się dobrze. - Potarł kij w miejscu, z którego ktoś próbował spiłować napis.
- To minus siedem, zakazany wiele lat temu.

Minus siedem oznaczało różnicę pomiędzy ciężarem a długością. Kij miał sześćdziesiąt siedem centymetrów, ale ważył tylko pół kilograma. Łatwo można było zamachnąć się nim i mocno odbić piłkę, nie wkładając w to dużego wysiłku. Kij wyprodukowano co najmniej pięć lat temu. Ron gapił się na niego jak na dowód rzeczowy przestępstwa.

- Skąd to masz?

- Sprawdziłem, kiedy tamten dzieciak znowu wszedł na boisko.

Pokazałem sędziemu, a on wyrzucił kij i nawrzeszczał na trenera. Ja też go opieprzyłem, ale szczerze mówiąc, facet nie miał o tym pojęcia. Dał mi to cholerstwo.

Przyjechało więcej rodziców Rockiesów, potem przybyli niektórzy zawodnicy. Usiedli w gromadce na ławce przy wejściu na izbę przyjęć i czekali. Minęła godzina, zanim zjawił się lekarz.

- Wynik skanowania jest negatywny - poinformował Rona. - Myślę, że wszystko będzie w porządku; syn ma tylko lekkie wstrząśnienie mózgu.

- Dzięki Bogu.

- Gdzie pan mieszka?

- W Brookhaven.

- Może go pan zabrać do domu, ale przez następnych kilka dni potrzebuje spokoju. Żadnych wyczynów sportowych. Jeśli zdarzą się zawroty, bóle głowy albo syn zacznie widzieć podwójnie, nieostro, będzie słyszał dzwonięcie w uszach, miał niesmak w ustach, stanie się markotny albo ospały, musi pan go zaprowadzić do miejscowego lekarza.

Ron pokiwał głową i chciał to sobie zapisać.

- Dostanie pan te informacje razem z wypisem i wynikami z tomografu.

- Świetnie, jasne.

Lekarz zatrzymał się i dokładniej przyjrzał Ronowi.

- Gdzie pan pracuje? - spytał.

- Jestem sędzią. W Sądzie Najwyższym.

Lekarz uśmiechnął się i podał mu rękę.

- W ubiegłym roku przesłałem panu czek. Dziękuję za to, co pan tam robi.

- Dziękuję, panie doktorze.

Godzinę później, dziesięć minut przed północą, wyjechali z Russburga. Josh siedział na przednim fotelu z woreczkiem lodu przyklepionym do głowy i słuchał w radiu meczu Bravesów z Dodgersami. Ron spoglądał na niego co dziesięć sekund, gotów rzucić się z pomocą na pierwszy sygnał ostrzegawczy. Sygnałów nie było. Aż do przedmieść Brookhaven.

- Tato, trochę boli mnie głowa - jęknął Josh.

- Pielęgniarka powiedziała, że jak trochę boli, to nic takiego. Ale jak bardzo boli, to źle. Na skali od jednego do dziesięciu, ile to będzie?

- Trzy.

- Okay, chcę wiedzieć, kiedy dojdzie do pięciu.

Doreen czekała w drzwiach z mnóstwem pytań. Czytała wypis przy kuchennym stole, a Ron i Josh jedli kanapki. Po dwóch kęsach Josh powiedział, że nie jest głodny. Kiedy wyjeżdżali z Russburga, bardzo chciało mu się jeść. Nagle zrobił się marudny ale przecież od kilku godzin powinien być już w łóżku. Kiedy Doreen zaczęła go po swojemu badać, burknął na nią i poszedł do łazienki.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Ron.

- Wygląda dobrze - odparła. - Jest tylko trochę marudny i śpiący.

O pójście do łóżka rozegrała się wielka batalia. Josh miał jedenaście lat i nie zamierzał spać z matką. Ron wyjaśnił mu, raczej stanowczo, że w tę konkretną noc, w tych niezwykłych okolicznościach, musi spać z matką. On sam zdrzemnie się na fotelu przy łóżku.

Pod czujnym okiem obojga rodziców Josh szybko zasnął. Potem Ron uciął sobie drzemkę na fotelu, a Doreen około wpół do czwartej też zamknęła oczy.

Otworzyła je godzinę później, na krzyk Josha. Znów zwymiotował, głowa mu pękała. Miał zawroty, belkotał, płakał, mówił, że wszystko widzi jak przez mgłę.

Lekarzem rodzinnym był bliski przyjaciel, Calvin Treet. Ron zadzwonił do niego, a Doreen pobiegła po sąsiadkę. W niecałe dziesięć minut dotarli do szpitala w Brookhaven. Ron wniósł Josha do izby przyjęć. Lekarz przeprowadził pobieżne badanie i wszystko okazało się

złe - za wolny puls, nierówne źrenice, ospałość. Przybył doktor Treet i przejął chłopca, a lekarz ze szpitala przeglądał wypis.

- Kto oglądał skan? - zapytał Treet.

- Lekarz w Russburgu - odparł Ron.

- Kiedy?

- Wczoraj, około ósmej wieczorem.

- Osiem godzin temu?

- Coś koło tego.

- Niewiele tu widać. Powtórzymy badanie.

Lekarz z izby przyjęć i pielęgniarka zabrali Josha do gabinetu.

- Musisz tutaj poczekać. Zaraz wrócę - powiedział Treet do Fiska.

Chodzili po izbie przyjęć jak lunatycy, zbyt odrętwiali i przerażeni, żeby rozmawiać. Sala była pusta, ale miało się wrażenie, że w nocy musiało tu być ciężko - puste puszki po napojach gazowanych, gazety na podłodze, papierki od cukierków na stole. Ilu innych przerażonych ludzi siedziało tu i czekało, aż lekarze przyniosą złe wiadomości?

Trzymali się za ręce i modlili przez dłuższą chwilę, najpierw w milczeniu, potem krótkimi zdaniem. Kiedy skończyli, poczuli lekką ulgę. Doreen zadzwoniła do domu, porozmawiała z sąsiadką, która pilnowała dzieci, i obiecała, że znowu zadzwoni, jak tylko czegoś się dowie.

Kiedy Calvin Treet wszedł do sali, wiedzieli, że nie jest dobrze. Usiadł naprzeciwko nich.

- Według naszego badania Josh ma pękniętą czaszkę. Skan, który przywiozłeś z Russburga, na nic się nie zda, bo należy do innego pacjenta.

- Jak to, do cholery?! - wrzasnął Ron.

- Lekarz w tamtym szpitalu obejrzał nie ten skan. Dane pacjenta są ledwie widoczne na dole, ale to nie Josh Fisk.

- Niemożliwe - powiedziała Doreen.

- Możliwe, ale tym będziemy się martwić później. Posłuchajcie uważnie, jak sprawy się mają. Piłka uderzyła Josha dokładnie tutaj. - Wskazał prawą skroń. - To najcieńsza część czaszki. Powstało pęknięcie, które nazywa się Unijnym złamaniem kości. Ma jakieś pięć centymetrów długości. Tuż pod czaszką jest błona otaczająca mózg. Krwi dostarcza tętnica oponowa środkowa. Kiedy kość pękła, tętnica została rozdarta, a krew zaczęła się gromadzić między kością a błoną. Uciska mózg. Zakrzep, nazywany krwiakiem nadtwardówkowym, rośnie i zwiększa ciśnienie wewnątrz czaszki. Jedynym ratunkiem jest teraz kraniotomia, czyli

usunięcie krwaka po otwarciu czaszki.

- O mój Boże! - Doreen zakryła oczy.

- Słuchajcie, proszę - kontynuował Treet. - Musimy zawieźć Josha do Jackson, na oddział urazowy uniwersyteckiego centrum medycznego. Proponuję, żebyśmy wezwali śmigłowiec ratunkowy.

Szybkim krokiem nadszedł lekarz z izby przyjęć.

- Pacjentowi się pogarsza. Musi pan na niego rzucić okiem - zwrócił się do Treeta.

Doktor Treet chciał odejść, ale Ron wstał i chwycił go za ramię.

- Calvin, powiedz mi, czy to poważne?

- Bardzo poważne. Może zagrozić życiu.

Josha wsadzono do helikoptera i odwieziono. Doreen i Calvin Treet polecili razem z nim, a Ron pognął do domu, sprawdził, co z Zekiem i Clarissą, i wrzucił parę niezbędnych rzeczy do torby podróżnej. Potem pojechał na północ międzystanową drogą 55; gnał ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Kusił policję, żeby go zatrzymała. Na przemian zawierał ugodę z sądem bożym i przeklinał lekarza z Russburga, który obejrzał niewłaściwy skan. Od czasu do czasu oglądał się za siebie i patrzył na źle zaprojektowany i niebezpieczny w użyciu produkt na tylnym siedzeniu.

Nigdy nie lubił aluminiowych kijów.

DZIESIĘĆ PO ÓSMEJ, W SOBOTĘ RANO, około trzynastu godzin po uderzeniu piłką, Josh przeszedł operację w centrum medycznym uniwersytetu Missisipi w Jackson.

Ron i Doreen czekali w szpitalnej kaplicy z przyjaciółmi, którzy zjechali się z Brookhaven. Towarzyszył im znajomy pastor. W kościele św. Łukasza trwało modlitewne czuwanie. W południe przyjechał brat Rona z Zekiem i Clarissą. Dzieci były równie wystraszone i zaszokowane, jak rodzice. Mijały godziny i nie było żadnych wieści od chirurgów. Doktor Treet znikał od czasu do czasu, żeby sprawdzić, co się dzieje, ale rzadko przynosił jakąś użyteczną informację. Jedni przyjaciele odchodzili, zastępowali ich inni. Dziadkowie, wujowie, ciotki i kuzyni przybywali, czekali, modlili się, a potem wychodzili i krążyli wokół rozległego szpitala.

Po czterech godzinach, odkąd Fiskowie po raz ostatni widzieli syna, pojawił się główny chirurg i skinął, żeby poszli za nim. Kiedy przemierzali korytarz, z dala od tłumu, dołączył do nich Treet. Zatrzymali się obok drzwi do sali pooperacyjnej. Ron i Doreen przytulali się do siebie, czekali na najgorsze. Chirurg mówił zmęczonym, ponurym głosem.

- Przeżył operację i jest z nim dobrze, czego można było się spodziewać. Usunęliśmy wielkiego krwiaka, który uciskał mózg. Ciśnienie wewnątrzczaszkowe zostało zredukowane. Ale nadal występuje obrzęk mózgu, i to duży. Prawdopodobnie zostaną jakieś trwałe uszkodzenia.

Życie, śmierć, to łatwo zrozumieć. Ale słowo „uszkodzenie” wywołuje lęki, które trudniej zdefiniować.

- Więc nie umrze - wyszeptwała Doreen.

- Rokowania są dobre. Ma dziewięćdziesiąt procent szans na przeżycie. Najistotniejsze będą najbliższe trzy doby.

- Jakie to uszkodzenia? - zapytał Ron, przechodząc do istoty sprawy.

- Na razie trudno stwierdzić. Niektóre mogą się cofnąć z czasem, pod wpływem terapii. Ale naprawdę tę rozmowę należy przełożyć na później. Teraz módlmy się, żeby w ciągu najbliższych trzech dni następowała poprawa.

W późny sobotni wieczór Josh leżał na oddziale intensywnej terapii. Ronowi i Doreen pozwolono zajrzeć do niego na dziesięć minut, chociaż chłopiec był pod działaniem narkozy. Nie udało im się zachować zimnej krwi, kiedy go zobaczyli. Głowę miał obandażowaną jak mumia, z ust sterczała mu rurka respiratora. Doreen bała się dotknąć jego ciała, nawet stopy.

Współczująca pielęgniarka przyniosła pod pokój krzesło i pozwoliła jednemu z rodziców zostać na noc. Ron i Doreen odesłali wspierający ich zespół z powrotem do Brookhaven i zaczęli wymieniać się między poczekalnią a OIOM - em. Żadne z nich nie zmrużyło oka, chodzili po korytarzach, aż wstało niedzielne słońce.

Lekarze byli zadowoleni z pierwszej nocy Josha. Po porannym obchodzie Ron i Doreen znaleźli w pobliżu motel. Wzięli prysznic i zdrzemnęli się trochę, zanim wrócili na swoje stanowiska. Znow rozpoczął się rytuał czekania w szpitalu i czuwania modlitewnego w domu. Przepływ gości stał się trudny do zniesienia. Ron i Doreen chcieli zostać sami z synem.

W niedzielę, późnym wieczorem Doreen siedziała na OIOM - ie, a Ron spacerował po korytarzach, żeby rozprostować nogi i nie zasnąć. Znalazł inną poczekalnię, dla rodzin pacjentów nieznajdujących się w stanie krytycznym. Była znacznie bardziej atrakcyjna, ładniej umeblowana, z większym wyborem automatów z artykułami spożywczymi. Na kolację wypił napój gazowany i zjadł paczkę precli. Kiedy żuł je bezmyślnie, podszedł chłopczyk, jakby chciał dotknąć jego kolana.

- Aaronie - warknęła matka z drugiego końca sali. - Chodź tutaj.

- Jest grzeczny. - Ron uśmiechnął się do dziecka, które szybciotko odeszło.

Aaron. To imię przywołało wspomnienia. Chłopiec uderzony w głowę kawałkiem metalu odłupanym od kosiarki. Rana głowy, trwałe uszkodzenie mózgu, finansowa ruina rodziny. Przysięgli uznali odpowiedzialność producenta. Proces przeprowadzono rzetelnie. Ron nie potrafił przypomnieć sobie, dlaczego tak łatwo przyszło mu głosować wraz z większością za oddaleniem wyroku.

Wtedy, zaledwie dwa miesiące temu, nie rozumiał bólu rodzica, który ma ciężko poszkodowane dziecko. Ani strachu, że dziecko umrze.

Teraz, kiedy koszmar dotyczył jego, inaczej myślał o Aaronie. Wtedy czytał dokumentację medyczną w wygodnym gabinecie, z dala od realnego życia. Dzieciak odniósł poważne obrażenia, to przykre, ale wypadki zdarzają się codziennie. Czy można było zapobiec temu właśnie wypadkowi? Tak sądził - i wtedy, i teraz.

Mały Aaron wrócił, patrzył na torebkę z preclami.

- Aaronie, daj panu spokój - wrzasnęła matka.

Ron popatrzył na torebkę, którą trzymał w trzęsącej się ręce.

Wypadkowi można było zapobiec. I trzeba było. Gdyby producent trzymał się przepisów, lepiej zabezpieczyłby kosiarkę. Dlaczego tak gorliwie bronił producenta?

Sprawa należała do przeszłości, została na zawsze utracona przez pięciu na pozór mądrych mężczyzn, z których żaden nigdy nie okazał współczucia cierpiącym. Ron

zastanawiał się, czy któryś z pozostałej czwórki - Calligan, Romano, Bateman i Ross - kiedykolwiek krążył po korytarzach szpitala, dzień i noc, czekając, czy dziecko przeżyje, czy umrze.

Nie, to niemożliwe. Inaczej nie byłiby tacy.

Niedziela powoli przeszła w poniedziałek. Zaczął się kolejny tydzień, inny niż wszystkie poprzednie tygodnie. Ron i Doreen nie opuszczali szpitala na dłużej niż parę godzin. Josh nie reagował, jak należy. Bali się, że każda wizyta przy jego łóżku może okazać się ostatnią. Przyjaciele przynosili ubrania, jedzenie i gazety. Proponowali, że zostaną i posiedzą, gdyby Fiskowie chcieli choć na trochę wpaść do domu. Ale Ron i Doreen trzymali się mocno. Brnęli dalej z uporem i determinacją, jak zombi, przekonani, że Josh wydobrzeje, jeśli przy nim zostaną. Zmęczeni i zestresowani, zaczęli tracić cierpliwość do tej defilady gości. Ukrywali się przed nimi w zakamarkach szpitala.

Ron zadzwonił do biura i powiedział sekretarce, że nie ma pojęcia, kiedy wróci. Doreen poprosiła o urlop okolicznościowy. Kiedy szef delikatnie wyjaśnił, że umowa o pracę nie daje jej takiej możliwości, uprzejmie go poinformowała, że w takim razie najwyższy czas zmienić umowę. Zgodził się natychmiast.

Szpital znajdował się kwadrans drogi od gmachu Gartina i we wtorek rano Ron wpadł do biura, żeby zobaczyć, co położono mu na biurku. Zgromadziło się kilka stosów papierów. Szef jego kancelarii przeczytał listę zaległych spraw, ale Ron nie słuchał.

- Myślę o tym, żeby wziąć zwolnienie. Przekaż to szefowi - powiedział do urzędnika. - Na miesiąc, może dwa. Nie jestem w stanie skoncentrować się teraz na pracy.

- Oczywiście, zaraz to zrobię. Dziś rano miał pan zająć się sprawą Baker przeciwko Krane.

- To może poczekać. Wszystko może poczekać.

Udało mu się wyjść z budynku, nie spotykając się z innymi sędziami.

We wtorkowym wydaniu „Clarion - Ledger” zamieszczono artykuł o Joshu i jego nieszczęściu. Sędzia Fisk nie był dostępny, żeby dać komentarz, ale anonimowy rozmówca podał prawidłowo większość faktów. Lekarze usunęli wielki skrzep, który uciskał mózg. Rokowania są dobre, ale jest za wcześnie, żeby przewidzieć wszystkie skutki. Nie było wzmianki o roztargnionym lekarzu.

Mimo to dyskusja online szybko uzupełniła luki. Rozeszły się plotki o nieprzepisowym kiju bejsbolowym, który przyczynił się do nieszczęścia, spekulacje na temat ciężkiego uszkodzenia mózgu i informacja od kogoś, kto znał szpital w hrabstwie Henry, że to lekarze spieprzyli sprawę. Pojawiły się szalone teorie, że sędzia Fisk doznał dramatycznego

nawrócenia jako prawnik. Ktoś utrzymywał, że Fisk zamierza złożyć rezygnację.

Wes Payton uważnie to wszystko czytał. Jego żona nie. Zbyt ciężko pracowała, żeby rozpraszać się innymi sprawami, ale Wesa wciągnęła historia Josha. Jako ojciec nie potrafił wyobrazić sobie horroru, jaki przeżywał Fisk. I nie zdołał pozbyć się myśli, że może to wpłynie na sprawę Baker. Nie spodziewał się radykalnej zmiany poglądów, ale była przecież i taka możliwość.

Modlili się już tylko o cud. Czyżby miał się zdarzyć?

Czekali. Decyzja mogła zapaść w każdej chwili.

We wtorek, wczesnym popołudniem Joshowi zaczęło się poprawiać. Obudził się, był rażny, reagował na polecenia. Nie mógł mówić ze względu na rurkę do oddychania, ale wydawał się zniecierpliwiony, a to był dobry znak. Nacisk na mózg został zredukowany niemal do normalnego poziomu. Lekarze wyjaśniali kilkakrotnie, że zanim wystawią długoterminową prognozę, muszą poczekać kilka dni albo nawet tygodni.

Kiedy Josh się obudził, Fisk postanowił spędzić noc w domu. Bardzo go do tego zachęcali lekarze i pielęgniarki. Siostra Doreen zgodziła się posiedzieć na OIOM - ie, pięć metrów od łóżka siostrzeńca.

Wyjechali z Jackson, zadowoleni, że wreszcie opuścili szpital. Pragnęli spotkać się z Zekiem i Clarissą. Rozmawiali o domowym posiłku, długiej kąpieli i wygodnym łóżku. Przyrzekli sobie, że będą się rozkoszować najbliższymi dziesięcioma godzinami, bo jeszcze czekała ich niejedna ciężka próba.

Ale o wypoczynku trudno było mówić. Na przedmieściach Jackson zadzwonił telefon Rona. To sędzia Calligan. Rozmowę zaczął od rozwlekłych pytań o zdrowie Josha. Przekazywał wyrazy współczucia od wszystkich kolegów. Obiecał, że wpadnie do szpitala. Ron dziękował, ale wkrótce wyczuł, że telefon podyktowany był jakimś interesem zawodowym.

- Tylko dwie rzeczy, Ron - powiedział Calligan. - Wiem, że teraz jesteś bardzo zajęty.

- Istotnie.

- Nie ma niczego strasznie pilnego, poza tymi dwoma kwestiami.

Wygląda na to, że sprawa o substancje toksyczne z Bowmore podzieliła sąd cztery do czterech. To nie jest dla mnie zaskoczenie. Miałem nadzieję, że poprosz moje stanowisko.

- Myślałem, że Romano też pisze opinię.

- Tak. Już skończył, podobnie Albritton. Wszystkie są gotowe, potrzebna jest nam tylko twoja zgoda.

- Pozwól mi się z tym przespać.

- Doskonale. W tej drugiej sprawie chodzi o dom opieki z hrabstwa Webster. Znowu podział cztery do czterech.

- Paskudna historia - burknął Ron prawie z obrzydzeniem. W kolejnej sprawie dotyczącej domu opieki chodziło o odszkodowanie dla pacjenta, który został całkowicie zaniedbany przez personel. Znalaziono go głodnego, leżącego we własnych odchodach, z odparzeniami, nieleczzonego, w gorączce. Spółka będąca właścicielem domu opieki miała ogromne zyski, co zaskoczyło przysięgłych, bo udowodniono, jak mało wydawano na pielęgnację pacjentów. Wina domu opieki była tak rażąca, że Ronowi robiło się niedobrze, kiedy o tym czytał.

- Owszem. Wielka tragedia - przyznał Calligan, jakby był zdolny do współczucia.

- Domyślam się, że dążysz do oddalenia?

- Nie widzę odpowiedzialności, a odszkodowanie jest wyśrubowane.

Przez trzy i pół miesiąca, odkąd Fisk pracował w sądzie, sędzia Calligan ani razu nie dostrzegł odpowiedzialności w sprawach o spowodowanie śmierci albo obrażeń fizycznych.

Uważał, że przysięgli są głupi i łatwo dają się wodzić za nos sprytnym adwokatom. Twierdził też, że jego świętym obowiązkiem jest naprawiać błędy wymiaru sprawiedliwości - miał na myśli wyroki na korzyść powoda - korzystając z luksusu, jaki daje dystans do sprawy.

- Pozwól mi się z tym przespać - powtórzył Ron. Doreen zaczęła się irytować tą długą rozmową telefoniczną.

- Tak, dobry pomysł. Gdyby udało nam się zakończyć te dwie sprawy, Ron, to krótki urlop byłby możliwy.

Krótki czy długi urlop zależał wyłącznie od woli każdego z sędziów. Ron nie potrzebował zgody Calligana. Podziękował mu jednak i rozłączył się.

W kuchni Fisków było mnóstwo jedzenia przyniesionego przez przyjaciół, głównie ciast, placków i zapiekanek. Ron i Doreen zjedli posiłek z Zekiem, Clarissą, dwiema sąsiadkami i rodzicami. Przespali sześć godzin i wrócili do szpitala.

Kiedy przybyli, Josh przechodził długi napad choroby, drugi w ciągu godziny. Potem wróciły oznaki normalności, ale generalnie nastąpiło pogorszenie w powolnym procesie rekonwalescencji. W czwartkowy poranek znów odzyskał przytomność, ale łatwo się irytował, nie potrafił się skoncentrować, nie pamiętał samego wypadku i był mocno pobudzony. Jeden z lekarzy wyjaśnił, że to typowe objawy po wstrząsie.

W czwartek wieczorem trener Rockiesów przyjechał do Jackson z kolejną wizytą. Razem z Ronem zjedli kolację w szpitalnej stołówce. Nad zupą i sałatką trener wyciągnął notatki.

- Trochę poszperałem - powiedział. - Win Rite przestało produkować lżejsze kije sześć lat temu, prawdopodobnie w związku ze skargami o uszkodzenia ciała. W zasadzie cała branża przeszła na produkcję minus cztery. Propagatorzy bezpiecznego sportu pomstowali na te poprzednie kije od dziesięciu lat. Przeprowadzono mnóstwo badań. Podczas jednego z testów maszyna miotająca wyrzuciła piłkę z szybkością około stu dwudziestu kilometrów na godzinę, a piłka odbiła się od kija z szybkością ponad stu pięćdziesięciu kilometrów. Zanotowano dwa wypadki śmiertelne, jeden w szkole średniej, jeden w college'u, ale są setki obrażeń we wszystkich grupach wiekowych. Mała liga i kilka innych organizacji młodzieżowych zjednoczyły się i zakazały posługiwania się sprzętem ponad minus cztery. Ale problem pozostaje. W użyciu są miliony starych kijów Win Rite i innych producentów. Jeden z nich widzieliśmy podczas meczu w ostatni piątek.

- Nie wycofali wszystkich?

- Ani jednego. A wiedzą, że te przeklęte kije są niebezpieczne. Sami robili testy.

Ron skubał sałatkę, wiedział, do czego rzecz zmierza.

- Odpowiedzialność spada prawdopodobnie na drużynę z Rolling Fork, ale szkoda zachodu. Można pozwać miasto Russburg, bo sędzia, tak na marginesie, zatrudniony przez miasto, nie sprawdził wyposażenia. Ale najsmaczniejszy kąsek to oczywiście Win Rite. Aktywa rzędu dwóch miliardów. Tony ubezpieczeń. Bardzo dobra okazja do wytoczenia powództwa. Szkody, chociaż nieokreślone, są pokaźne. Razem wzięwszy, mocna rzecz. Tylko jeden mały problem. Nasz Sąd Najwyższy.

- Mówisz jak adwokat.

- Oni nie zawsze się mylą. Moim zdaniem powinieneś rozważyć złożenie pozwu.

- Nie pytałem cię o zdanie. I nie mogę złożyć pozwu. Wyśmianoby mnie tak, że musiałbym uciekać ze stanu.

- Ron, a co z innymi dziećmi? Z rodzinami, które przejdą przez ten sam koszmar? Pozwy oczyściły kraj z wielu złych produktów i ochroniły mnóstwo ludzi.

- Nie da rady.

- A czemu to ty i stan Missisipi macie wybulić milion doków na rachunki za lekarzy? Win Rite jest warte miliardy. Wypuszczają gówniany towar, niech zapłacą.

- Ty jesteś adwokatem.

- Nie. Byłem twoim partnerem. Przez czternaście lat razem prowadziliśmy praktykę, a ten Ron Fisk, którego pamiętam, miał ogromny szacunek dla prawa. Sędzia Fisk, zdaje się, chce to wszystko zmienić.

- Okay, okay. Dość się nasłuchałem.

- Przepraszam, Ron. Nie powinienem...

- W porządku. Chodźmy, zobaczmy, co u Josha.

Tony Zachary wrócił do Jackson w piątek i dowiedział się o Joshu Fisku. Poszedł prosto do szpitala i w końcu znalazł Rona drzemiącego na kanapie w poczekalni. Przez godzinę rozmawiali o wypadku, o operacji, a także o wyprawie wędkarskiej Tony'ego do Belize.

Tony bardzo martwił się o małego Josha. Miał ogromną nadzieję, że dzieciak wyjdzie z tego szybko i bezproblemowo. Ale interesowało go tylko jedno, chociaż nie śmiał zapytać: „Kiedy skończysz apelację w sprawie Krane?”

Gdy tylko wsiadł do samochodu, zadzwonił do Barry'ego Rineharta z niepokojącą informacją.

Tydzień po przyjeździe do szpitala Josha przeniesiono z OIOM - u do prywatnej salki, która natychmiast utonęła w kwiatach, pluszowych zwierzątkach, kartkach od kolegów z piątej klasy, balonach i stosach słodczy. Dostawiono kozetkę, żeby jedno z rodziców mogło nocować obok łóżka syna.

Chociaż pokój wywoływał wesołe wrażenie, nastrój prawie natychmiast zrobił się ponury. Zespół neurologów rozpoczął dokładne badania. Nie stwierdzono paraliżu, ale nastąpiło zdecydowane pogorszenie zdolności motorycznych i koordynacji, a wielkie ubytki pamięci łączyły się z niezdolnością do koncentracji. Josh łatwo się rozpraszał, z trudem rozpoznawał przedmioty. Rurki już zabrano, ale i tak mówił znacznie wolniej. W nadchodzących miesiącach mogło mu się trochę poprawić, ale istniało duże niebezpieczeństwo, że zmiany okażą się permanentne.

Grube bandaże na głowie zastąpiono znacznie cieńszymi. Chłopcu pozwolono chodzić do świetlicy. Serce krwawiło, kiedy niezgrabnie włókł się krok za krokiem. Ron pomagał mu i łykał łzy.

Jego mały gwiazdor bejsbolu rozegrał swój ostatni mecz.

DOKTOR CALVIN TREET POJECHAŁ DO RUSSBURGA i umówił się na spotkanie z lekarzem z izby przyjęć. Obejrzeni oba skany, Josha i tego drugiego pacjenta. Po krótkiej sprzeczce lekarz z izby przyjęć przyznał, że tamtego wieczoru w szpitalu panował chaos, brakowało personelu i, owszem, popełniano błędy. Fakt, że schrzanił leczenie syna sędziego Sądu Najwyższego, bardzo go przytłaczał.

- Czy rodzina złoży pozew? - zapytał wstrząśnięty.

- Nie wiem, ale powinien pan poinformować swoje towarzystwo ubezpieczeniowe.

Treet zabrał kartę pacjenta do Jackson i porozmawiał z Ronem i Doreen. Objął im standardowe procedury użycia tomografu komputerowego, potem powtórzył słowa lekarza z izby przyjęć.

- Co należało zrobić? - zapytała Doreen.

Treet spodziewał się tego pytania. Wiedział, że przyjaciele poproszą go o opinię na temat działań innego lekarza. Już wiele dni wcześniej postanowił zachować się jak najbardziej zgodnie z nakazami uczciwości.

- Powinni natychmiast go zatrzymać i usunąć zakrzep. To chirurgia mózgu, ale procedury nie są skomplikowane. Josh wróciłby do domu dwa dni po operacji całkowicie wyleczony, bez uszczerbku na zdrowiu.

- Tomografię przeprowadzono w piątek, o ósmej wieczór - powiedział Ron. - Badałeś Josha w Brookhaven dziewięć godzin później.

- Mniej więcej.

- Więc przez dziewięć godzin ciśnienie wewnątrz czaszki rosło?

- Tak.

- A ucisk wywierany przez skrzep uszkadza mózg?

- Zgadza się.

Zapadła cisza, krążyli wokół ostatecznego wniosku. Wreszcie Ron zapytał:

- Calvin, co zrobiłbyś, gdyby to było twoje dziecko?

- Pozwałbym drania. To rażące zaniedbanie.

- Nie mogę go pozwać. Stałbym się pośmiewiskiem.

Po meczu squasha, prysznicu i masażu w siłowni Senatu Myers Rudd wślizgnął się do limuzyny i cierpiał w popołudniowym korku jak wszyscy ludzie. Godzinę później dotarł na międzynarodowy port lotniczy Waszyngton - Dulles i wsiadł na pokład gulfstreama 5,

najnowszego nabytku floty należącej do pana Carla Trudeau. Senator nie wiedział, do kogo należy odrzutowiec, nigdy nawet nie spotkał pana Trudeau, co w większości kultur wyglądałoby dziwnie, skoro wziął od niego tyle pieniędzy. Ale w Waszyngtonie pieniądze płyną miriadami mglistych kanałów. Często ten, kto je bierze, ma tylko niejasne wyobrażenie, skąd pochodzą; a czasem nawet tego nie wie. W większości demokratycznych krajów transfer tak wielkich ilości gotówki uznany zostałby za rażącą korupcję, ale w Waszyngtonie korupcja została zalegalizowana. Senator Rudd nie wiedział, że ktoś go kupił, i zupełnie go to nie interesowało. Miał w banku ponad jedenaście milionów. Mógłby te pieniądze zatrzymać dla siebie, gdyby nie musiał ich wydawać na bezsensowne kampanie wyborcze. W zamian za te inwestycje głosował tak jak trzeba w kwestiach dotyczących farmaceutyków, chemikaliów, ropy naftowej, energii, ubezpieczeń, banków i tak dalej, i tak dalej.

Ale był mężem zaufania.

Tego wieczoru leciał sam. Dwie stewardesy przynosiły mu koktajle, homary, wino. Ledwie skończył posiłek, a gulfstream zaczął zniżać lot nad portem lotniczym Jackson International. Tam czekała kolejna limuzyna. Jechali dwadzieścia minut. Senator wysiadł przy bocznym wejściu do szpitala uniwersyteckiego. Rona i Doreen znalazł w salce na drugim piętrze. Pustym wzrokiem patrzyli w telewizor, ich syn spał.

- Jak się miewa chłopiec? - zapytał z wielkim uczuciem, kiedy zaczęli wstawać. Byli oszołomieni, oto wielki człowiek, we własnej osobie, nagle pojawił się znikąd, o wpół do dziesiątej, we wtorkowy wieczór. Doreen nie mogła znaleźć butów.

Porozmawiali szeptem o Joshu i jego rekonwalescencji. Senator twierdził, że przejeżdżał tędy po drodze do Waszyngtonu, ale usłyszał o wypadku i poczuł się zobowiązany, żeby wpaść na chwilę z pozdrowieniami. Byli zaszczyceni jego obecnością. W rzeczywistości byli roztrzęsieni i nie wierzyli własnym oczom.

Przerwała im pielęgniarka - oświadczyła, że czas gasić światło. Senator uściskał Doreen, cmoknął ją w policzek, uściskał rękę, powiedział, że zrobi wszystko, co w jego mocy, i wyszedł z salki z Ronem. Co dziwne, w korytarzu nie czyhała świta. Ani jednego asystenta, gońca, ochroniarza, kierowcy. Nikogo.

Senator przyszedł sam z wizytą. Gest był, w oczach Rona, tym cenniejszy.

Kiedy szli korytarzem, Rudd pozdrawiał wszystkich i obdarowywał plastikowym uśmiechem. To był jego lud. Wiedział, że go uwielbiają. Paplał coś o jakichś przyziemnych sporach w Kongresie, a Ron udawał, że jest zasłuchany, chociaż chciałby, żeby Rudd wreszcie sobie poszedł. Przy drzwiach Rudd życzył mu wszystkiego najlepszego, obiecał, że będzie się modlił za jego rodzinę i zaproponował pomoc pod każdym względem. Uścisnęli

sobie ręce.

- Przy okazji, sędzio - powiedział senator, jakby właśnie sobie przypomniał. - Warto byłoby zakończyć wreszcie sprawę Krane.

Ronowi opadły ręce. Próbował wymyślić jakąś odpowiedź. Gdy się zastanawiał, senator wypalił:

- Wiem, że zrobisz, co należy. Te werdykty dobijają nasz stan.

Złapał go za ramię, pobłogosławił kolejnym plastikowym uśmiechem i zniknął za drzwiami.

Kiedy już siedział w limuzynie, kazał kierowcy zawieźć się na przedmieścia, na północ od miasta. Tam spędzi noc z kochanką z Jackson, potem popędzi z powrotem do Waszyngtonu. Gulfstream będzie rano na niego czekał.

Ron leżał na kozetce i starał się uspokoić przed kolejną długą nocą. Sen Josha stał się tak nieprzewidywalny, że każda noc stanowiła odrębną przygodę. Kiedy pielęgniarka robiła o północy obchód, syn i ojciec nie spali. Doreen szczęśliwie nocowała w motelu i szybko zasnęła dzięki małym zielonym pigułkom, które pielęgniarki po cichu im dawały. Ron wziął jeden proszek, a Josh dostał swoje środki uspokajające.

W strasznej ciemności Ron zmagał się z wizytą senatora Rudda. Czy to po prostu jeszcze jeden arogancki polityk przekroczył granicę tego, co wolno wobec wielkich darczyńców? Rudd niezmordowanie brał pieniądze od każdego, kto chciał je dać. Legalnie. Więc dlaczego miałyby nie wziąć koperty od Krane?

A może sprawa była bardziej skomplikowana? Krane nie dał ani centa na kampanię Fiska. Ron przejrzał rachunki po wyborach - wstrząsnęły nim zebrane i wydane sumy. Kłócił się i walczył z Tonym Zacharym, żeby dowiedzieć się, skąd pochodziły pieniądze. Tony powtarzał w kółko, że wszystko jest w raportach. Więc Ron przestudiował raporty. Darczyńcami byli dyrektorzy spółek, lekarze, adwokaci broniący pozwanych o odszkodowania, grupy lobbystyczne, wszyscy, którym zależało na ograniczeniu odpowiedzialności cywilnej. Wiedział o tym od samego początku kampanii.

Węszył spisek, ale w końcu pokonało go zmęczenie.

Gdzieś w głębi sprowadzonego przez chemię snu Ron usłyszał równomierne tykanie. Nie potrafił zidentyfikować jego źródła. Tyk, tyk, tyk, tyk, ciągle ten sam dźwięk, bardzo szybki. Tuż obok niego.

Sięgnął ręką w ciemności, pomacał łóżko Josha i zerwał się z kozetki. W słabym świetle z łazienki zobaczył syna w groteskowych skurczach. Całe ciało chłopca dygotało gwałtownie. Twarz miał wykrzywioną, usta otwarte, dziki wyraz oczu. Tykanie i grzechot

zrobiły się głośniejsze. Ron nacisnął guzik, żeby wezwać pielęgniarki, potem chwycił Josha za ramiona i próbował uspokoić. Zaskoczyła go potęga ataku. Wbiegły dwie siostry i wzięły sprawy w swoje ręce. Tuż za nimi wpadła trzecia, potem lekarz. Niewiele można było zrobić. Tylko wepchnęli Joshowi łopatkę do ust, żeby nie pokaleczył sobie języka.

Kiedy Ron nie mógł już na to patrzeć, wycofał się do kąta i przyglądał surrealistycznemu obrazowi: ciężko chory syn otoczony ratownikami, na trzęsącym się łóżku z grzechoczącymi barierkami. Wreszcie atak zaczął ustępować, pielęgniarki przemywały Joshowi twarz chłodną wodą i przemawiały do niego dziecięcymi głosami. Ron wyszedł z salki na kolejną bezsensowną włóczęgę po korytarzach.

Ataki ciągnęły się, z przerwami, jeszcze dobę, potem nagle ustały. Do tego czasu Ron i Doreen byli zbyt skonani, żeby cokolwiek zrobić. Patrzyli tylko na syna i modlili się, żeby leżał spokojnie. Przybyli inni lekarze, wszyscy mieli ponure miny, rzucali fachowymi terminami. Zarządzili kolejne testy. Josha zabrano na parę godzin. Potem wrócił do salki.

Dni mijały, łączyły się w jedną zamazaną całość. Czas przestał mieć znaczenie.

W sobotę rano Ron wszedł cicho do swojego biura w gmachu Gartina. Na jego prośbę stawili się tam już obaj urzędnicy. Dwanaście spraw czekało na rozpatrzenie. Ron przeczytał krótkie streszczenia akt i rekomendacje. Urzędnicy przygotowali prowizoryczną wokandę i byli gotowi do pracy.

Skazanie za gwałt w hrabstwie Rankin. Jednomyślnie zatwierdzone przez sąd.

Spór wyborczy w hrabstwie Bolivar. Zatwierdzone większością głosów.

Koszmarne nudny harmider wokół transakcji z zabezpieczeniem z hrabstwa Panola. Jednomyślnie zatwierdzone przez sąd.

I tak dalej. Ron myślał o czymś innym, nie miał głowy do pracy. Pierwszych dziesięć spraw załatwił w dwadzieścia minut.

- Baker przeciwko Krane Chemical - obwieścił urzędnik.

- W czym problem? - zapytał Ron.

- Podział głosów cztery do czterech, wszyscy chodzą z nożami w zębach. Calligan i spółka bardzo się denerwują na pana. McElwayne i jego stronnictwo są zaciekawieni. Każdy patrzy i czeka.

- Myślą, że cierpię na zanik pamięci?

- Kto wie? Uważają, że znalazł się pan pod wpływem wielkiego stresu i mówią o nagłej przemianie ze względu na to, co się stało.

- Niech mówią. Poczekam ze sprawą Baker i tego domu opieki.

- Rozważa pan oddanie głosu za podtrzymaniem werdyktu? - zapytał drugi urzędnik.

Ron zdążył się już dowiedzieć, że większość sądowych plotek jest tworzona i rozpowszechniana przez urzędników.

- Nie wiem - mruknął. Pół godziny później znów był w szpitalu.

OSIEM DNI PÓŹNIEJ, W DESZCZOWY, NIEDZIELNY PORANEK wsadzono Josha Fiska do karetki, żeby zawieźć go do Brookhaven. Miał zostać umieszczony w szpitalnej salce, pięć minut drogi od domu. Przez tydzień będzie poddawany dokładnej obserwacji. Potem, przy pewnej dozie szczęścia, wypiszą chłopca.

Doreen towarzyszyła synowi w karetce.

Ron przyjechał do gmachu Gartina i poszedł do biura na trzecim piętrze. Nikogo nie było, a właśnie na tym mu zależało. Po raz trzeci czy czwarty przeczytał opinię Calligana odrzucającą werdykt w sprawie Baker przeciwko Krane Chemical i chociaż kiedyś zgadzał się z kolegą całkowicie, to teraz naszły go wątpliwości. To mógłby napisać osobiście Jared Kurtin. Calligan znalazł błędy praktycznie we wszystkich zeznaniach biegłych. Skrytykował sędziego Harrisona za zaaprobowanie większości zeznań. Najostrzej odniósł się do biegłego, który powiązał rakotwórcze odpady z rzeczywistymi przypadkami raka. Wprowadził niewykonalne standardy - wymagałyby one jednoznacznych dowodów, że toksyny w wodzie z Bowmore spowodowały raka, który zabił Pete'a i Chada Bakerów. Jak zwykle, naszczeakał na ogrom samego odszkodowania i zwałił winę na przesadne namiętności wywołane w przysięgłych przez adwokatów pani Baker.

Ron przeczytał ponownie opinię McElwayne'a i ona też brzmiała teraz inaczej.

Przyszedł czas na oddanie głosu, na podjęcie decyzji, a on po prostu nie miał do tego głowy. Był zmęczony tą sprawą, naciskami, gniewem, że nie poznał się na tym, iż jakieś potężne siły poruszają nim jak marionetką. Teraz chciał tylko wrócić do domu. Nie miał zaufania do słuszności własnych decyzji, nie był już pewien, co to w ogóle jest słuszność. Modlił się, aż modlitwa go zmęczyła. Próbował wytłumaczyć swoje obawy Doreen, ale ona też, rozkojarzona i chwiejna, żyła jakby w innym świecie.

Jeśli odrzuci werdykt, wyjawi swoje prawdziwe uczucia. Ale żywił przecież zmienne uczucia. Jak mógłby on, prawnik potrafiący zachować dystans, nagle zmieniać stanowisko ze względu na rodzinną tragedię?

Jeśli podtrzyma werdykt, zdradzi tych, którzy go wybrali. Pięćdziesiąt trzy procent wyborców oddało głosy na Rona Fiska, bo uwierzyli w jego program. Czyżby? Może głosowali na niego, bo miał dobry marketing?

Czy byłoby fair wobec wszystkich małych Aaronów tak samolubnie zmieniać swoją filozofię prawa ze względu na własnego syna?

Nie cierpiał tych wątpliwości. Wyczerpywały go coraz bardziej. Chodził w kółko po gabinecie, miał coraz większy mętlik w głowie. Myślał, żeby po prostu uciec. Ale znużyło go już uciekanie, chodzenie w kółko, przemawianie do ścian.

Napisał na maszynie opinię: „Zgadzam się z sędzią Calliganem, ale czynię to z ogromnymi wątpliwościami. Ten sąd, z moim udziałem, a szczególnie ze względu na moją obecność, nagle stał się ślepym obrońcą tych, którzy chcieliby silnie ograniczyć odpowiedzialność cywilną we wszelkich obszarach prawa dotyczącego odszkodowań za uszczerbki na zdrowiu. To niebezpieczny kurs”.

W kwestii domu opieki napisał: „Zgadzam się z sędzią Albrittonem i podtrzymuję werdykt wydany w sądzie okręgowym hrabstwa Webster. Działania domu opieki nie spełniają standardów, których wymaga nasze prawo”.

Potem skierował kolejne pismo do sądu: „Przez najbliższy miesiąc będę na urlopie okolicznościowym. Potrzebują mnie w domu”.

Sąd Najwyższy Missisipi zamieszcza decyzje na swojej stronie internetowej w każdy czwartek, w południe.

I w każdy czwartek, w południe niejedynemu adwokat albo zasiadał przed komputerem i nerwowo czekał na to, co się pojawi, albo upewniał się, że ktoś zrobi to za niego. Jared Kurtin zostawił na straży asystenta. Sterling Bintz zaglądał w ekranik telefonu o konkretnej godzinie bez względu na to, gdzie przebywał. F. Clyde Hardin, jaskiniowiec w kwestiach technologii, siedział w ciemności zamkniętego biura, pił i czekał. Czuwali wszyscy adwokaci w Bowmore.

Niecierpliwili się też kilka osób, które nie były prawnikami. Tony Zachary i Barry Rinehart mieli dzwonić do siebie, jak tylko pojawią się opinie. Carl Trudeau od tygodni liczył każdą minutę. Na dolnym i środkowym Manhattanie dziesiątki analityków od ubezpieczeń monitorowało internetowe strony. Denny Ott jadł z żoną kanapki w biurze przy kościele. Na plebanii nie było komputera.

Ale nigdzie tak się nie bano i tak nie czekano na tę magiczną godzinę, jak w obskurnych pomieszczeniach firmy Payton & Payton. Cała kancelaria zebrała się w głównej sali, przy stole jak zwykle zavalonym papierami. Jedli lunch, a Sherman wpatrywał się w laptop.

- Jest - powiedział wreszcie, w pierwszy czwartek maja, kwadrans po dwunastej.

Jedzenie poszło na bok. Powietrze zrobiło się rzadsze, trudniej było oddychać. Wes bał się nawet zerknąć na Mary Grace, ona odwróciła wzrok. Nikt z obecnych nie chciał spojrzeć w oczy innym.

- Opinia napisana przez sędziego Arlona Calligana - kontynuował Sherman. - Przeczytam tylko najważniejsze. Pięć stron, dziesięć, piętnaście. Popatrzmy, opinia większości liczy dwadzieścia jeden stron.

Napisali ją Romano, Bateman, Ross, Fisk. Uchylić i oddalić. Wyrok na korzyść pozwanego, Krane Chemical. - Po chwili ciszy Sherman czytał dalej: - Romano popiera oddalenie na czterech stronach, jak zwykle pełnych bzdur. Fisk popiera w krótkim piśmie. - Przerwał i przewinał obraz. - A potem dwunastostronicowe zdanie odrębne Mc.Elwayne'a poparte przez Albrittona. Tyle chciałem wiedzieć. Nie będę czytał tego główna co najmniej przez miesiąc.

- Właściwie to nie jest niespodzianka - powiedział Wes. Nikt się nie odezwał.

F. Clyde Hardin szlochał za biurkiem. Ta katastrofa zapowiadała się od miesiący, ale i tak czuł się nią przytłoczony. Jedyna szansa, żeby się wzbogacić, przeszła mu koło nosa, a wraz z nią rozwiały się wszystkie marzenia. Przeklinał Sterlinga Bintza i jego zwariowane powództwo grupowe. Przeklinał Rona Fiska i pozostałych czterech błaznów z większości. Przeklinał baranów z hrabstwa Cary i całej południowej części Missisipi, że dali się nabrać i głosowali przeciwko Sheili McCarthy. Nalał sobie kolejną wódkę, zaklął, wypił, znów zaklął, wypił, aż zasnął z głową na biurku.

Siedem domów dalej Babę odebrała telefon i usłyszała nowinę. Do jej kawiarni zeszło się mnóstwo ludzi z Main Street. Czekali na odpowiedzi, plotki, wyrazy współczucia. Dla wielu informacja okazała się niemal śmiertelnym ciosem. Nie będzie oczyszczania składowiska, rekultywacji, rekompensat, przeprosin. Krane Chemical odeszło wolne i zagrało na nosie miastu i swoim ofiarom.

Denny Ott odebrał telefon od Mary Grace. Szybko streściła sprawę i podkreśliła, że sprawa została w zasadzie zakończona. Została tylko jedna droga, apelacja do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych i oczywiście złożą odpowiednie dokumenty. Ale nie ma szans, żeby sąd przyjął taką sprawę do rozpatrzenia. Razem z Wesem zajadą do kościoła za kilka dni, żeby spotkać się z klientami.

Denny z żoną otworzyli salę wspólnoty, wystawili trochę ciastek i butelkowanej wody. Czekali, aż parafianie przyjdą po pocieszenie.

Później, tego samego popołudnia Mary Grace weszła do gabinetu Wesa i zamknęła za sobą drzwi. Przyniosła dwie kartki, jedną mu wręczyła. Był to list do klientów z Bowmore.

- Zerknij - poprosiła i usiadła. List brzmiał:

„Szanowni Klienci,

Dzisiaj Sąd Najwyższy wydał wyrok na korzyść Krane Chemical. Apelacja Jeannette

Baker została uchylona i oddalona, co znaczy, że nie można ponownie przeprowadzić procesu w tej sprawie. Mamy zamiar poprosić sąd o ponowne wysłuchanie argumentów ustnych, co czyni się zwyczajowo, ale to tylko strata czasu. Złożymy także apelację do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, ale to też właściwie jest formalność. Sąd Najwyższy rzadko rozpatruje tego typu sprawy z sądów stanowych.

Dzisiejszy wyrok - jego pełną treść prześlemy w przyszłym tygodniu - uniemożliwia prowadzenie sprawy przeciwko Krane. Sąd ustalił standard dowodu, który uniemożliwia przypisanie odpowiedzialności tej spółce. Jest boleśnie oczywiste, co stanie się z następnym werdyktem, przedstawionym do rozpatrzenia temu samemu składowi.

Słowa nie są w stanie oddać naszego rozczarowania i rozgoryczenia. Toczyliśmy ten bój przez pięć lat wbrew ogromnym przeciwnościom i przegraliśmy na wiele sposobów.

Ale nasza przegrana jest niczym w stosunku do Waszej. Będziemy nadal o Was myśleć, modlić się i rozmawiać z każdym, kiedy tylko zechcecie. Wasze zaufanie to dla nas zaszczyt. Niech Bóg Was błogosławi”.

- Bardzo ładne - powiedział Wes. - Roześlijmy to pocztą.

Podczas popołudniowej sesji giełdy Krane Chemical dziarsko stanęło na nogi. Zyskało cztery siedemdziesiąt pięć na akcji i zamknęło dzień z wynikiem trzydzieści osiem pięćdziesiąt. Pan Trudeau odzyskał teraz miliard, który stracił, a czekało na niego więcej.

Wezwał Bobby'ego Ratzlaffa, Feliksa Barda i jeszcze dwóch zaufanych ludzi do swojego gabinetu na małe przyjęcie. Popijali szampana Cristal, palili kubańskie cygara i gratulowali sobie oszałamiającego sukcesu. Teraz patrzyli na Carla jak na prawdziwego geniusza, wizjonera. Nawet w najtrudniejszych dniach nie zwątpił. Jego mantra brzmiała: „Kupować akcje. Kupować akcje”.

Przypomniał Bobby'emu, co obiecał w dniu, kiedy zapadł werdykt. Ani cent z ciężko zapracowanych zysków nie przejdzie w ręce tych ignorantów i ich oślizłych adwokatów.

GRONO ZAPROSZONYCH BYŁO ZRÓŻNICOWANE, od grubych ryb z Wall Street, takich jak sam Carl, aż po fryzjerkę Brianny i dwóch pracujących dorywczo aktorów z Broadwayu. Byli bankierzy z podstarzałymi, ale ładnie zoperowanymi żonami i potentaci ze swoimi wychudzonymi zdobyczami. Stawili się dyrektorzy Trudeau Group, którzy woleliby być gdziekolwiek indziej, i malarze ze środowiska Muzeum Sztuki Nowoczesnej - tych podniecała szansa na otarcie się o towarzystwo z prywatnych odrzutowców. Przyszło kilka modelek, był numer 388 z listy czterystu „Forbesa”, zawodnik Jetsów, reporter z „Timesa” wraz z fotoreporterem, żeby to wszystko zrelacjonować, i reporter z „Journal”, który niczego nie relacjonował, tylko nie chciał przepuścić okazji. Około setki gości, tłumek całkiem majątny, ale nikt nie widział jeszcze takiego jachtu jak „Brianna”.

Zakotwiczonego na wodach rzeki Hudson przy nabrzeżu Chelsea, a w okolicy jedynym statkiem większym od niego był wycofany ze służby lotniskowiec stojący dwieście metrów dalej, na północ. W ekskluzywnym światku skandalicznie drogich jachtów „Brianna” zaklasyfikowana została jako megajacht, to znaczy, że była większa niż superjacht, ale nie należała do tej samej ligi, co gigajacht. Te ostatnie, jak na razie, stanowiły wyłączną domenę kilkunastu multimiliarderów od software'u, saudyjskich książąt i rosyjskich mafiosów naftowych.

Zaproszenie głosiło: „Państwo Trudeau zapraszają na dziewiczy rejs megajachtem »Brianna«. Odbijają w środę, 25 maja, o szóstej po południu, od Nabrzeża 60”.

Jacht miał prawie sześćdziesiąt metrów długości, co dawało mu dwudzieste pierwsze miejsce na liście największych jachtów zarejestrowanych w Ameryce. Carl zapłacił za niego sześćdziesiąt milionów dolarów dwa tygodnie po tym, jak Ron Fisk został wybrany na sędziego, i kolejne piętnaście milionów na remonty, poprawki i zabawki.

Przyszedł czas, żeby się pokazać, dokonać jednego z najbardziej wstrząsających powrotów w korporacyjnej historii najnowszej. Osiemnastoosobowa załoga zaczęła oprowadzać gości, kiedy tylko weszli na pokład i wzięli po kieliszku szampana. Cztery pokłady nad wodą mogły bez trudu dać na miesiąc schronienie trzydziściorgu rozpieszczonych przyjaciół, ale Carl nie miał zamiaru dopuścić, żeby tyle osób mieszkało tak blisko niego. Szczęściarzom, których wybrano na długi rejs, udostępniono siłownię z trenerem, centrum odnowy biologicznej z masażystką, sześć jacuzzi i kuchnię czynną przez całą dobę. Posiłki podawano na czterech stołach rozstawionych na statku; najmniejszy był na

dziesięć miejsc, największy na czterdzieści. Kiedy mieli ochotę się rozerwać, mogli skorzystać ze sprzętu do nurkowania, kajaków z przezroczystym dnem, dziesięciometrowego katamaranu, skuterów wodnych, oprzyrządowania wędkarskiego i oczywiście z helikoptera, bez którego nie obyłyby się żaden megajacht. Do innych luksusów zaliczało się kino, cztery kominki, kajuta widokowa, podgrzewane posadzki w łazienkach, prywatny basen, żeby móc brać nago kąpiele słoneczne, i całe metry mahoni, brązu i włoskiego marmuru. Kajuta państwa Trudeau była większa niż sypialnia na łodzi. I wreszcie - w jadalni na trzecim poziomie Carl znalazł stałe miejsce dla Znieważonej Imeldy, już nigdy nie przywita go w korytarzu penthouse'u po ciężkim dniu w biurze.

Kwartet smyczkowy grał na głównym pokładzie, kiedy „Brianna” odbiła i skręciła na południe. Zapadał zmierzch, zachód słońca był piękny, a widok dolnego Manhattanu z rzeki zapierał dech w piersiach. Miasto emanowało szaloną energią - jakże cudownie patrzeć na to z pokładu tak wspaniałej łodzi. Szampan i kawior uświetniały imprezę. Ludzie z promów i mniejszych statków mimowolnie gapili się na sunącą obok nich „Briannę”, której bliźniacze silniki diesla o mocy dwóch tysięcy koni mechanicznych cicho ubijały wodę kilwatu.

Mała armia kelnerów w smokingach poruszała się zręcznie po pokładach, roznosząc na srebrnych tacach drinki i potrawy do jedzenia rękami, zbyt śliczne, żeby je ruszyć. Carl zignorował większość gości i spędzał czas z tymi, nad którymi sprawował - w ten czy inny sposób - władzę. Brianna była gospodynią doskonałą, przechodziła od grupki do grupki, całowała mężczyzn i kobiety, starała się być przez wszystkich zauważona i doceniona.

Kapitan zatoczył szeroki łuk, żeby goście mieli dobry widok na Ellis Island i Statuę Wolności, potem skręcił na północ, w kierunku Battery Park i południowego cypla Manhattanu. Było już ciemno, rzędy drapaczy chmur rozświetlały dzielnicę finansów. „Brianna” w całym swoim majestacie płynęła East River, pod mostem Brooklińskim, pod Manhattan Bridge, pod Williamsburg Bridge. Kwartet smyczkowy skończył grać i z wymyślnego systemu nagłaśniającego popłynęły najlepsze rytmy Billy'ego Joela. Na drugim poziomie zaczęły się tańce. Kogoś wepchnięto do basenu. Inni poszli za nim. Wkrótce to, czy ktoś był ubrany, stało się sprawą uznaniową. Tak szaleli młodzi.

Zgodnie z instrukcjami Carla kapitan zawrócił przy gmachu ONZ i przyspieszył, chociaż nikt tego nie zauważył. Carl właśnie udzielał wywiadu w przestronnym gabinecie na trzecim pokładzie.

Dokładnie o wpół do jedenastej, według planu, „Brianna” przybiła do Nabrzeża 60. Goście zaczęli się powoli rozchodzić. Państwo Trudeau zegnali ich, całowali, machali rękami z nadzieją, że jak najszybciej pozbędą się głośniejszej czeredy. Czekala ich kolacja o północy.

Zostało czternaście osób, siedem szczęśliwych par, które miały wyruszyć w kilkudniowy rejs na południe, do Palm Beach. Wszyscy przebrali się w bardziej codzienne ubrania i spotkali w jadalni na kolejnego drinka. Szef kuchni kończył przygotowywać pierwsze danie.

Carl szepnął matowi, że czas odbijać, i kwadrans później „Brianna” opuściła Nabrzeże 60. Żona właśnie czarowała gości, przeprosił ich na kilka minut. Wszedł po schodach na czwarty poziom i zajął swoje ulubione miejsce na małym, wysoko położonym pokładziku. Było to stanowisko obserwacyjne, najwyższy punkt nad linią wodną statku.

Chłodny wiatr rozwiewał mu włosy. Carl chwycił się mosiężnej balustrady i patrzył na gigantyczne wieże dzielnicy finansów. Dostrzegł swój gmach i swój gabinet, na czterdziestym czwartym piętrze.

Akcje Krane szły w górę, kosztowały już prawie pięćdziesiąt za sztukę. Zyski rosły. Majątek Trudeau wynosił trzy miliardy netto i nadal się powiększał.

Niektórzy z tych idiotów, tam, na lądzie, śmiali się półtora roku temu. Krane jest skończone. Trudeau to dureń. Jak można stracić miliard w jeden dzień? Rehotali.

I kto się teraz śmieje?

Gdzie są ci wszyscy znawcy?

Wielki Carl Trudeau ich przechytrzył. Wyszedł cało z zamieszania wokół Bowmore i uratował swoją spółkę. Sprowadził ceny akcji do poziomu gruntu, wykupił je tanio, jak na wyprzedaży po pożarze, i teraz praktycznie miał je wszystkie na własność. Był coraz bogatszy.

Musi zająć wyższe miejsce na liście czterystu „Forbesa”. Żeglował rzeką Hudson na samym szczycie swojego niezwykłego statku, patrzył z zadowoleniem na lśniące wieżowce ściśnięte wzdłuż Wall Street i mówił sobie, że nic innego się nie liczy.

Teraz, kiedy miał trzy miliardy, zapragnął sześciu.

OD AUTORA

Czuję się zmuszony do obrony swojego rodzinnego stanu i zrobię to za pomocą nawalnicy dementi. Wszystkie postacie z książki są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób jest przypadkowe. Nie ma hrabstwa Cary, miasta Bowmore, Krane Chemical i produktów takich, jak pillamar 5. Bichloronylen, aklar i cartolyx, o ile wiem, nie istnieją. Skład sędziowski Sądu Najwyższego Missisipi tworzy dziewięciu sędziów pochodzących z wyboru; żaden z nich nie posłużył jako wzór albo inspiracja dla którejkolwiek z postaci wspomnianych lub opisywanych w tej powieści. Organizacje, stowarzyszenia, ugrupowania, trusty mózgow, kościoły, kasyna i korporacje są co do jednego fikcyjne. Po prostu wymyśliłem. Niektóre z miast i miasteczek można znaleźć na mapie, innych nie. Kampania wyborcza jest tworem mojej wyobraźni. Pozew zapożyczyłem z kilku realnie istniejących spraw. Kilka gmachów rzeczywiście istnieje, ale nie jestem pewien, które to.

Dawno temu byłem członkiem Izby Reprezentantów stanu Missisipi, do której kompetencji należy uchwalanie praw. W tej książce niektóre z tych praw zostały poprawione, zmodyfikowane, zignorowane, a nawet bezlitośnie zmasakrowane. Pisanie powieści czasem tego wymaga.

Przy kilku ustawach, szczególnie tych, które dotyczą hazardu w kasynach, nie musiałem nic zmieniać.

Teraz, skoro już zakwestionowałem odniesienia do rzeczywistości we własnej pracy, muszę powiedzieć, że w tej opowieści jest mnóstwo prawdy. Dopóki prywatne pieniądze będą wspierać kampanie wyborcze sędziów, dopóty będziemy świadkami tego, jak grupy interesów walczą o krzesła za stołem sędziowskim. To się dość często zdarza. Większość wojujących stron została rzetelnie opisana. Taktyka jest znana aż za dobrze. Rezultaty są nietrudne do przewidzenia.

Jak zwykle opierałem się na radach i wiedzy innych. Dziękuję Markowi Lee, Jimowi Craigowi, Nealowi Kassellowi, Bobby'emu Moakowi, Davidowi Gernertowi, Mike'owi Ratliffowi, Ty, Bertowi Coleyowi i Johnowi Shermanowi. Książkę wydał Stephen Rubin z pomocą zespołu - Johna Fontany, Rebecki Holland, Johna Pittsa, Kathy Trager, Alison Rich i Suzanne Herz.

Dziękuję jeszcze Renee za to, że jak zwykle była cierpliwa i poczyniła mnóstwo uwag redakcyjnych.

1 października 2007

JOHN GRISHAM

Najpopularniejszy pisarz świata i największy mistrz thrillerów prawniczych to jedyny pisarz dla każdego: dla wytrawnych znawców literatury i dla miłośników sensacyjnej intrygi. To jedyny pisarz, który w ciągu 20 lat wydał 20 światowych superbestsellerów sprzedanych w 225 milionach egzemplarzy.

Dwadzieścia lat temu młody adwokat pracował po 70 godzin tygodniowo w małej kancelarii w miasteczku w Missisipi. W wolnym czasie oddawał się swojemu hobby - pisał. Pewnego dnia usłyszał w sądzie wstrząsające zeznania dwunastoletniej dziewczynki. Głęboko poruszony zaczął pisać powieść o ojcu, który sam wymierza sprawiedliwość gwałcicielom córki. Po trzech latach w 1987 roku skończył *Czas zabijania*. Maszynopis odrzuciło 25 wydawców. Wreszcie kupiła go nieznana oficyna za skromną sumę i opublikowała książkę w nakładzie zaledwie 5 tysięcy egzemplarzy.

O następną powieść Grishama walczyły już największe amerykańskie i światowe wydawnictwa. Firma sprzedała się w milionach egzemplarzy. Przez prawie 50 tygodni zajmowała najwyższe miejsca na listach bestsellerów. Powstał pamiętny film w reżyserii Sidneya Pollacka z Tomem Cruise'em i Gene'em Hackmanem.

Raport pelikana zekranizowany z Julią Roberts i Denzelem Washingtonem, Klient - film z Susan Sarandon i Tommym Lee Jonesem, Komora - z Gene'em Hackmanem i Chrisem O'Donnellem, Rainmaker - z Mattem Damonem, Ława przysięgłych - z Gene'em Hackmanem i Dustinem Hoffmanem stały się największymi przebojami na całym świecie. Ich sukces powtórzyły kolejne thrillery prawnicze: *Wspólnik*, *Obrońca ulicy*, *Testament*, *Bractwo*, *Wezwanie*, *Król afer*, *Ostatni sędzia*, *Wielki Gracz*.

Grisham dowiódł, jak wszechstronnym jest pisarzem: od komedii obyczajowej *Ominąć święta*, przez powieść psychologiczną *Czuwanie*, po *Malowany dom* - wielką powieść o amerykańskim Południu - i *Niewinnego*, wstrząsającą autentyczną historię walki prawnika o niewinnego człowieka skazanego na karę śmierci. Prawa do ekranizacji książki kupił George Clooney.

W 2007 roku John Grisham został nagrodzony British Book Award for Lifetime Achievement - zaszczytną brytyjską nagrodą literacką za całokształt twórczości.

Najstynniejszy pisarz świata prowadzi spokojne życie na prowincji, stroni od mediów i bardzo chroni swoją prywatność. Poświęca się działalności charytatywnej: osobiście uczestniczył w budowaniu szkoły i szpitala w brazylijskiej prowincji Patal. Po huraganie

Katrina założył fundację na rzecz ofiar. Jako zapalony miłośnik bejsbolu na sześciu boiskach w swojej posiadłości rozgrywa mecze z udziałem 350 dzieci z 26 drużyn małej ligi.

John Grisham w swoich książkach piętnuje podłość i nieuczciwość ludzi, bezprawie prawa i niesprawiedliwość sprawiedliwości. Swoim życiem zaś dowodzi, że postawa i hierarchia wartości jego bohaterów wcale nie muszą być tylko literacką fikcją.

John Grisham

BRACTWO

CZAS ZABIJANIA

CZUWANIE

FIRMA

KLIENT

KOMORA

KRÓL AFER

ŁAWA PRZYSIĘGLYCH

MALOWANY DOM

NIEWINNY OBROŃCA ULICY OMINAĆ ŚWIĘTA OSTATNI SĘDZIA

RAINMAKER

RAPORT PELIKANA

TESTAMENT

WEZWANIE

WIELKI GRACZ

WSPÓLNIK